

Norbert Dudziński

Bezdech

„Bezdech to stan duszy, nie ciała”

Książkę dedykuję córce Asi

Chirurg (od serca) wychodzi z sali operacyjnej, jego kroki, pierwszy, drugi, trzeci i kolejne, nie może ich zliczyć, są niepewne, pełne obawy i lęku, który jest w nim, który będzie w nim pomimo czasu i przestrzeni, pomimo tego co widzi, co będzie widział kiedyś – we wspomnieniach.

Zatrzymuje się, patrzy w szklane drzwi, odbijają postać, zarysy, kształty, obawy – widzi mężczyznę lat trzydzieści siedem, mężczyznę zmęczonego, upokorzonego niemożnością i brakiem leku na tę niemożność, na ten zanik wiary w sercu, w nim – zanik całkowity. Gdy podnosi wyżej głowę, gdy chce ujrzeć siebie, tak dogłębnie i ściśle, widzi swoje oczy – jedno brązowe, z czarną kropką w środku – drugie niebieskie, lekko przymglone granatową plamką na obrzeżu – widzi dziwność jaką dała mu natura, obcość spojrzenia na świat, na innych, na rzeczy i kształty niewidzialne.

Patrzy i myśli. Przenika swój obraz, kształt, nieruchomość, jego wzrok sięga dalej, niczym rentgen omija kontury, zarysy i idzie głębiej, błądzi po jasnych ścianach szpitala, po lampach, ławach na korytarzu, omija kolejne zakręty i znika za oknem, za ostatnią barierą, która oddziela realny świat od nierealnego, ostatnią nadzieję od braku nadziei na zewnątrz – w świecie żywych jeszcze ludzi.

Jego ręka dotyka brody, nie ma na niej jeszcze białych plam, jasnych promyków zbliżającej się starości, masuje ją; druga ręka ściąga maskę z twarzy i wtedy, gdy czuje niemoc, bezsilność, z jego ust wydobywa się jedno słowo, dźwięk, może oddech (słaby, nierealny, ulotny):

- Kurwa mać!

Ktoś inny wychodzi z sali, podbiega do niego, dotyka delikatnie szyi, odwraca się, kobieta (kardiochirurg). Gdy spuszcza wzrok na dół, na białe płytki na podłodze, ona mówi:

- Wiedziałaś, że szanse są niewielkie – mówi cicho, szeptem, delikatnie, jak ktoś, kto nie chce kogoś innego zranić, zniszczyć, zmusić do poddania. – Bez tej operacji by umarła, musiała umrzeć, ty dałaś jej szansę...

- Szansę niespełnioną.

Kobieta milczy chwilę, zastanawia się, potem mówi:

- Przez tych ostatnich kilka dni, była znów sobą, mówiła co chce, czego pragnie, co zmieni w sobie, gdy się uda. Wiedziała, że może się nie udać, dzięki tobie uwierzyła w coś, w co ludzie nigdy nie wierzą – w siebie.

- W siebie? – dziwi się Chirurg.

- Tak, w siebie – kobieta uśmiecha się, chwyta go za rękę, delikatnie, czule, z dziwną nostalgią za czymś co się przed chwilą skończyło, urwało, znikło w ciemności i mroku. – Wciąż mówiła, że to, że tamto, że nie jest za późno, że jeszcze można, że potrafi, że umie, że spróbuje, że w końcu odejdzie tam, gdzie ludzie są inni, lepsi, wierzą w siebie bez braku przyjaźni na początku. Chciała poznać innych ludzi, chciała by inni, nowi ludzie poznali ją. Nie oceniali, poznali. Tak dużo się uśmiechała ostatnio, więcej niż kiedyś. Wiesz, co mi powiedziała przed operacją?

- Nie – mówi sennie, prawie niewidocznie Chirurg.

- Nigdy nie czuła się bardziej szczęśliwa niż teraz, gdy to teraz miało się nagle dla niej skończyć. Nigdy nie śmiała się bardziej szczerze niż teraz, gdy to teraz było wielką niewiadomą. Nigdy nie dostała tylu dobrych słów od obcych ludzi niż teraz, gdy to teraz to drzwi, które będzie musiała może otworzyć i zniknąć. Tak powiedziała, zniknąć, ale nie było w tym słowie obawy, lęku, śmierci – była wiara, że to zniknąć wygląda tak jak teraz, a nie tak jak kiedyś.

- Cieszę się, że sprawilem, że się zmieniła.

- Na końcu, ale jednak – uśmiecha się kobieta.

- Nigdy nie jest za późno na koniec, jaki sobie sami wymyślimy, wymarzymy, stworzymy. Koniec to my, nie ludzie którzy ten koniec tworzą.

Kobieta całuje go w policzek, uśmiecha się, odchodzi.

- Idź odpocząć, jesteś dobrym człowiekiem, dobrym lekarzem.

Chirurg wychodzi ze szpitala, wsiada do samochodu, odjeżdża – do domu (?), do siebie (?), do życia (?).

Mija ulice, ulice mijają jego, mija światła, ich kolory, omija inne samochody, te, które pędzą bardziej właściwie i pewnie przed siebie, potem budynki, bloki, place, chodniki się kończą, a on jedzie dalej i dalej...

Po godzinie jest przy małym domku, zatrzymuje samochód. Włącza silnik, przez chwilę siedzi nieruchomo, muzyka coś gra i gra – dźwięki, nuty, słowa, gitara, bębny perkusji coś jeszcze znaczą, unoszą się w jego przestrzeni, w jego bezruchu, w świadomości, która jest, a jednak jej nie ma; nagle z tego braku świadomości, z niemożności wydobywa się on, cały, zdrowy, inny, i wtedy wyłącza radio i wychodzi z samochodu. Wychodzi w budzącą się ciemność.

Idzie na przystań, wchodzi do łodzi, włącza silnik i płynie przed siebie, w mrok, w noc, w jasne światło migające w cichej toni jeziora. Pomiędzy jedną falą a drugą widzi odbicia gwiazd, które niczym jasne punkty tworzą wzory, figury, dziwne układy kształtów i barw; niekiedy są to obrazy rozpoznawalne, niekiedy obce – mają w sobie niewidzialność i smak tej niewidzialności w realnym życiu.

Zaczyna padać, krople są coraz bardziej widoczne w tafli jeziora – załamują jego kształty i ciszę, którą miało przez chwilę w sobie. Ciszę utraconą poprzez ruch.

Chirurg przestaje płynąć. Wyłącza silnik. Łódź kołysze się przez kilka sekund, może przez minutę, kilka minut i zastyga w bezruchu.

Chirurg wstaje i krzyczy w rozpacz jak ranne zwierzę złapane w sidła, w sieć niemocy i zwątpienia:

- Dlaczego! Boże, dlaczego!

Siada, nic nie mówi, myśli same przychodzą do niego, tak nagle i niespodziewanie, tak płynnie i obojętnie.

Chirurg ma wiedzę, talent, praktykę w Stanach Zjednoczonych, w szpitalu, gdzie śmierć boi się zaglądać; tam nie jest łatwo umrzeć, nie jest łatwo odejść bez walki; ma to czego nie mają inni, intuicję, i co? i dlaczego? i po co to wszystko?

Kolejna zła operacja, gdy ktoś odchodzi wraz z nim, przy jego znaczącej obecności. Próbuje, walczy, chce, ma dobrych ludzi koło siebie, anestezjologa, pielęgniarkę, kardiologa, specjalistę od rehabilitacji oddechowej i tych co muszą być wtedy z nim, gdy coś się waży, coś ucieka, coś się zaczyna – ma to wszystko, co potrzebuje

człowiek, gdy ma wiedzę, talent, doświadczenie, i może z tym zrobić wszystko, aby ktoś inny żył, trwał, szedł dalej do przodu.

Gdy był w Stanach, zaraz po studiach, nabył wiedzę potrzebną do życia, niezbędną do dawania życia innym, tym, którzy zwątpili już w życie, w jego radości i nadzieje.

Potrafił leczyć obrażenia serca, niewydolność serca, przeprowadzić przeszczep serca, przeprowadzić go tak, aby nie było infekcji później, potrafił szyc rany serca, otwierać je skalpelem. Operował gdy musiał, żeby poprawić jakość życia, choć poprawa nie zawsze przychodziła szybko, nagle, niespodziewanie – liczył się czas, liczyła się wiara w ten czas, w to bezsensowne trwanie czasu na posterunku nadziei.

A teraz co? Kolejna nieudana operacja tutaj, w tym szpitalu. Nie jego wina, a jednak on je prowadził, kierował nimi, podejmował decyzje (błędne?).

Ktoś powiedział, usłyszał to w barze, daleko, za morzem, że w życiu oprócz talentu potrzebne jest szczęście. Gdy nie masz szczęścia, niepotrzebny jest talent. Talent bez szczęścia jest jak ptak bez skrzydeł, jak ryba bez wody, jak chirurg bez wiary.

Jego szczęście skończyło się, kiedyś, tam, za morzem.

Praca zniszczyła jego miłość, kariera zniszczyła jego szczęście.

Gdy studiował tu, w Polsce, pod koniec studiów poznał kogoś, kobietę, inną niż wszystkie, inną niż świat, inną niż jego zakłamania, odmęty, wiry.

Iwona miała długie blond włosy, kręciły się aż do ramion, a potem uciekały niczym odpływy rzeki na boki, w nieład; nic nie było w stanie zburzyć ich braku harmonii – ani życie, ani ludzie. Ten brak harmonii był w jej spojrzeniu, w jej czerwonych oczach, w twarzy, w gestach, takich innych, obcych, nieprzewidywalnych.

To pamięta w niej najbardziej, brak harmonii i nieprzewidywalność. Teraz nie pamięta twarzy do końca, lecz te dwie rzeczy pamięta ciągle, może były w niej najlepsze, najdoskonalsze, najbardziej istotne – były jej prawdą, nadzieją, wiarą, sensem. Sensem obronnym, wartościowym.

Jej ciemna cera, zgrabne nogi, w zasadzie zgrabne całe ciało, burzone było brakiem harmonii w jej życiu, brakiem niepodważalnym.

To go w niej urzekło – nieprzewidywalność w rzeczach przewidywalnych.

Potem wyjechał pomimo miłości, pomimo bólu, pomimo lęku, że może stracić wszystko, i stracił...

Pamięta lotnisko, tłum ludzi, smutne twarze (jego i jej) i jej dotyk, niczym znamię, talizman na jego ręce.

- Wrócisz? – spytała Iwona.

- Tak, muszę. Do ciebie. Jak tylko się czegoś nauczę o życiu, o ratowaniu innych ludzi, wrócę. Czekaj.

- Będę czekać, aż zapomnę, że czekanie to ból, obojętność, skaza. Będę czekać, zanim czekanie zabije wiarę i nadzieję.

I wtedy go uściśnieła mocno w rękę, tak mocno, że zabolalo.

- Zostawiam ci dotyk na pamiątkę, żebyś go miał cały czas ze sobą.

Spojrzał na jej czerwoną sukienkę, obcisłą, tak ściśle dopasowaną do jej ciała, że wszystko miało w niej sens i znaczenie, i odszedł do samolotu, do pustki, a potem zniknął w chmurach, w odmętach i zawirowaniach powietrza nad morzem.

Obraz czerwonej sukienki miał w sobie, uścisk jej ręki czuł w sobie. To wszystko mu zostawiła, to wszystko mogła dać mu wtedy, w tym czasie, w tej chwili. Czerwony obrazznaczony dotykiem.

Potem pisał listy, tak dużo listów, krótkich, długich, gorących, smutnych, żarliwych z nadzieją, zimnych z jakąś skazą i bólem, pisał i pisał, a wraz z czasem, znużeniem, długością życia tam, pojawiła się obojętność i strach, że ta obojętność będzie już z nim zawsze, do końca – obojętność do ludzi, obojętność do kobiet.

Strach na stałe zdomowił się w nim, wtedy kiedy się go nie spodziewał, gdy dzień był jasny, piękny, bezchmurny, wtedy gdy wstał z uśmiechem, bez znużenia na twarzy. I to go zabolalo, zraniło, zadało ranę, poczuł niepewność, że tak już będzie zawsze, do końca, że obojętność do twarzy, ramion, rąk, nóg, charakteru, zniszczy go, powoli, konsekwentnie, sprawi, że jasny dzień będzie ciemny, a zimna noc będzie burzowa, z piorunami, z zamętem nieba nad jego głową.

I wtedy pojawił się dotyk na jego ręce, jej obraz w czerwonej sukni. Widział jej postać przed sobą, czuł jej znamię w sercu.

Zaczął jej szukać w mieście, w miejscach gdzie miasto umarło, gdzie czas się zatrzymał. Czuł, że w bezruchu ją znajdzie, w stagnacji, w zanikającej chwili, w bezkształcie zarysów, konturów, murów które to miasto tworzyły, gdzie ciemność ścian, cegieł, dachów nigdy nie była jasnością, nigdy nie stawała się nadzieją.

Któregoś dnia zobaczył kobietę; ta sukienka, jej zwiewność, ta czerwień i blask, który miała w sobie. Blask nigdy niegasnący.

Zaczął za nią podążać, jak lunatyk, jak zbieg, który chce dokonać zapłaty za swoje krzywdy, cierpienia, za swoją bezsensowną ucieczkę donikąd (t a k d o n i k ą d). Wiedział gdzie mieszka, w kamienicy na bezdrożach miasta, gdzie pracuje, w sklepie z odzieżą, drogą, nie dla każdego, z ceną, która ułatwia bycie kimś innym, bycie kimś lepszym. Gdzie chodzi na lunch, gdzie odpoczywa po pracy, w parku pełnym czerwonych kwiatów, tam jej czerwień mieszała się z ich barwą, zapachem, snem, jak jeździ metrem, na której stacji przysypia, na której się ożywia, jakby jej nazwa coś jej mówiła, o czymś przypominała, że tutaj, że kiedyś, że może, to wszystko wiedział, stała się snem, myślą, obrazem – królową pragnień i snów.

Gdy zaczął za nią chodzić, krok za krokiem, gdy dotknął pierwszy raz muru, który ona dotknęła nieświadomie, tak niewinnie ręką, poczuł, że jej dotyk jest dotykiem, który mu zostawiła Iwona. Wtedy pojawił się po raz pierwszy dreszcz w jego ciele, drżenie, które mu coś przypominało, miało jakieś znaczenie i sens, jakąś wartość.

Potem zaczął dotykać wszystkiego, czego ona dotknęła – poręczy, murów, ścian, towarów nad którymi się zastanawiała, a potem je odkładała na miejsce, gdy nic dla niej nie znaczyły, nie mogły nic znaczyć, dotykał talerzy, które ona zostawiała w restauracji (to szaleństwo! – myślał – szaleństwo przepełnione tęsknotą za kimś bliskim!); szedł za nią i stawał się częścią jej dotyków – wtedy jego życie składało się z nieustających dotyków, stało się snem. Zorientował się, może zbyt późno, może niepotrzebnie, że dotyki uzależniły go od niej. Stał się niewolnikiem jej kroków, skazańcem skazanym na jej cierpliwość, prawdę – sen.

Za każdym razem, gdy zbliżał się do miejsc, które ona dotykała czuł dawny dreszcz w sobie, dawne pożądanie. Przeszłość odsłaniała zapomniane obrazy w jego sercu, w myślach i pragnieniach.

Zastanawiał się, dlaczego Iwona nie odpisuje na jego listy – czy nic dla niej już nie znaczył? Był kimś – stał się niczym. To boli, myślał, gdy coś co jest ważne w przeszłości, nagle staje się nieistotne, błahe w teraźniejszości.

I nagle ona znikła, wtedy, gdy on chciał, zapragnął, musiał (już musiał, nie potrafił tak dalej żyć w ukryciu) się do niej zbliżyć, doświadczyć jej słów, uśmiechów koło siebie. Znikła, nie pojawiła się w pracy, w domu, w parku – była i nagle przestała istnieć. Złudzenie. W życiu, może w nim.

Szukał jej wszędzie, szukał jej nigdzie. Dotykał miejsc, które ona kiedyś dotykała, ale nic już nie czuł. To było okropne, stracił radość poznawania czegoś poprzez dotyk. Nic nie czuł. Tylko ból i świadomość tego bólu w sobie.

Stracił jedyną rzecz, która łączyła go z Iwoną – dotyk. Stracił jedyny dar, który mogła mu dać wtedy, i dała, zapach tego dotyku w nim, na jego ręce, na jego ciele, na jego duszy. Tracąc dotyk, stracił wszystko.

I wtedy poczuł się taki samotny, tak samotny jak nigdy dotąd – postanowił wrócić do przeszłości. Do rzeczy, spraw, wspomnień, które w teraźniejszości nie miały już żadnego znaczenia. Znaczenia istotnego.

Chirurg (od serca) chodzi wolno, z jakimś dziwnym niebytem po szpitalu. Zagląda do pacjentów, rozmawia z nimi, przez chwilę staje się częścią ich życia, słucha co ich boli, co dręczy, co niepokoi, czego się boją – najczęściej śmierci, rzadziej tego, że już nic nie zmieni, czas im na to nie pozwoli.

Chirurg słucha, czasami coś mówi, doradza, uspokaja, niekiedy milczy i kiwa głową. Kiwanie im pomaga, nie potrzebują słów, zbędnych zdań na końcu, chcą zobaczyć w nim prawdę, jakiś sens, wiarę, że ich śmierć, odejście ma znaczenie, ma jakąś głębię i postać. Najbardziej obawiają się postaci, która pojawi się zaraz po ciemności, zaraz po zamknięciu ostatnich drzwi w nich, ostatnich drzwi poza nimi.

Chirurg wchodzi do kolejnej sali, obcej sali i myśli „Oczekują prawdy, że życie ma sens, że życie ma znaczenie. Prawdą są ludzie,

którzy nas kochają, prawdą są ludzie, którzy nas niszczą. Bez ludzi nie ma prawdy, bez prawdy nie ma życia”.

Zauważa kobietę, leży bokiem na łóżku, patrzy w kierunku okna, na drzewa, które tam rosną, nierówno ruszają się w rytmie wiatru, w jego niepokoju i napięciu, w zastygnięciu światła na jakiś czas.

Podchodzi do niej, uśmiecha się, czuje dziwny niepokój, ona odwraca się i wtedy pojawia się skurcz w nim, napięcie w środku zaczyna szaleć, pulsować, rozpoczyna się burza w głowie, taka rozpacz, gdy coś się zaczyna kończyć, coś zaczyna uciekać.

- Iwona – mówi niepewnie, siada na łóżku koło niej, chwilę milczy i mówi drżącym głosem jedno słowo, jeden wyraz. – Dlaczego?

Iwona jest zmęczona, twarz ma bladą, prawie siną, uśmiecha się w bólu, poprzez ból, pomiędzy błyskiem (zgaszonym) w oczach.

- Cześć – mówi zaskoczonym, słabym głosem.

- Tak długo pisałem, tak bardzo wierzyłem w ciebie, w siebie, w nas. I ta pustka, ta twoja nieobecność w listach, we mnie, w samotności. Wróciłem po ciebie, dla ciebie, dla siebie.

- Nie mogłam pisać, chciałam, ale nie mogłam.

- Dlaczego? Nie rozumiem twojej nieobecności w moim życiu.

- Po twoim wyjeździe, gdy nagle zniknąłeś z mojego życia, chciałam złapać jakiś sens, jakieś znaczenie. Pragnęłam udowodnić sobie, światu, innym, że coś wiem, potrafię, chcę, że mogę żyć bez ciebie przez jakiś czas, może zawsze.

Chirurg słucha, łapczywie łapie każde zdanie w powietrzu, chwytając je zanim dojdzie do niego, gdy jest pomiędzy jej ustami a nim, pomiędzy życiem a sensem tego życia w nich, poza nimi.

- Wyjechałam do Afryki ze znajomymi, na południe, w sam środek kontynentu, byłam tam trzy miesiące. Poznałam kraj, poznałam ludzi – inny świat, inne uczucia. Tam życie bardzo różni się od życia tutaj, które tak dobrze znamy, rozumiemy. Którejś nocy, ciepłej, gorącej, bezwietrznej, suchej i obcej – obcość tam ma inny kształt i znaczenie – właśnie w taką noc, lekko upita życiem, samotnością, kształtem mojego życia tam, bezkształtem tutaj, poszłam do wiekowej szamanki na skraju wioski. Przepowiadała przyszłość, rozmawiała z duchami, potrafiła sprawić, że ludzie wierzyli znów w życie, wierzyli w siebie. – Iwona chwilę milczy, coś sobie przypomina, może szczegóły, może kształt, obraz tych szczegółów, skrawków

wspomnień w niej, a potem znów mówi, jednak ciszej i wolniej, jakby każde zdanie, wyraz miało znaczenie, inne niż te które znamy. – Coś mi dała, żebym mogła ciebie zobaczyć i zobaczyłam, jak mnie pragniesz, dotykasz obcego miasta, jego murów, ran, zapomnianych ulic i ta kobieta w czerwonej sukience, jak ją szukałeś, ją poprzez mnie, może mnie poprzez ją, widziałam jak błądzisz, jak cierpisz, jak potem wracasz do życia, do operacji, do ratowania obcych ludzi, a potem coś poszło nie tak, narkotyki zaczął działać inaczej niż powinien; szamanka się przestraszyła, krzyknęła „Życie dalekie nie zawsze można zrozumieć! Życie bliskie nie zawsze można niszczyć!”, i zaczęłam krzyczeć, zobaczyłam ból w sobie, nienawiść do świata, do pustki, którą on ze sobą niesie. Obudziłam się na ulicy, nic nie pamiętałam, tylko wspomnienie o tobie.

- Co było dalej?

- Wróciłam do kraju, inna, odmieniona. Nie byłam tym kim byłam przed wyjazdem. Może zawsze tak było, ale tego nie zauważałam wcześniej. W jeden dzień byłam sobą, czytałam twoje listy, płakałam, chciałam do ciebie napisać, a w drugi dzień coś się zmieniało, depresja, ból, nie wiedziałam kim jestem, co robię, dokąd zmierzam. Wiesz, co było najgorsze?

- Nie. Powiedz mi teraz.

- Nie poznawałam siebie w lustrze. Nie znałam tej twarzy, tego uśmiechu, tych oczu, niczego w sobie nie poznawałam. Potem znów byłam sobą przez kilka dni, i znów obcość, niepamięć, zaniki ciała w ciele, duszy w duszy. Brzydziłam się, że nie potrafię cię kochać, tak jak powinnam. Nie chciałam, żebyś mnie taką znał, taką kochał.

Chirurg milczy, chwytając ją za rękę, mocno, czule, boi się, że mu znów coś ucieknie.

- Kocham cię. Jesteś jedyną, prawdziwą, niezmienną miłością mojego życia.

Iwona płacze, łzy z niej same wychodzą, tak niewinnie, nieświadomie.

- Jutro mam operację serca, nie wiesz kto mnie operuje?

Chirurg podnosi wzrok, patrzy na łóżko, widzi nazwisko, zdumiewa się i mówi:

- Jestem taki nieobecny ostatnio, zagubiony, i te operacje, które nie idą zawsze w dobrym kierunku... Jak mogłem nie skojarzyć

nazwiska, skupiłem się na papierach, wynikach, zdjęciach. Ja operuję cię jutro... Nie wiem czy to dobrze, czy źle? Może...

Iwona mocno go ściska, tak mocno, że czuje ból.

- Tylko ty mi możesz pomóc, nikt inny. Nie zmieniaj tego, co jest nam przeznaczone.

- Los za nas zdecydował, nie my podjęliśmy tę decyzję wcześniej, kiedyś – sami.

- To co się dzieje nagle, niespodziewanie, często jest lepsze od tego co się zdarza wtedy, kiedy tego chcemy, kiedy rozumiemy, kiedy możemy. Możemy to najgorsze słowo tych, którzy już od dawna nie żyją. Są, ale nie żyją.

Chirurg całuje ją w usta, głaszcze ją po jasnych włosach, lekko kręconych przy szyi, przytula się do jej twarzy, zamyka oczy (myśli o niczym, tak mu z tym dobrze, z brakiem znaczenia w nim, z brakiem pustki poza nim), uśmiecha się poprzez myśli, potem odchodzi od niej, patrzy w jej czerwone oczy, które teraz są jeszcze jaśniejsze niż kiedyś, przed jego wylotem, a potem wychodzi.

- Do zobaczenia jutro – mówi, zanim opuszcza salę. Zanim opuszcza siebie na jakiś czas. Czas potrzebny, żeby dać szansę jej, dać szansę jemu.

Sala operacyjna mieni się szarym światłem, które sprawia, że dzień jest inny, noc jest inna. Na środku sali stoi białe łóżko, tuż przy nim, w jaśniejszej toni lamp, może nawet zbyt jasnym blasku żarówek, stoją ludzie ubrani na biało, lekarze, którzy chcą pomóc komuś, kto tej pomocy już nie oczekuje – strach na to nie pozwala, sen pod narkozą tego zabrania.

Aparaty podtrzymujące życie pracują równo, skutecznie, bez żadnego wysiłku. Coś się świeci, coś miga, jakieś pulsowanie unosi się nad stołem, gdzie leży kobieta.

Chirurdzy w skupieniu wykonują swoją pracę, w ciszy, w milczeniu, i tylko niekiedy padają ciche, suche komendy, może polecenia, czasami rozkazy – ich ton jest bezwzględny, nie znoszący sprzeciwu.

Chirurg patrzy na Iwonę, jest skupiony i to skupienie, napięcie, napięcie jego oczu, policzków, rąk jest coraz bardziej zauważalne w

jego ruchach. Coś idzie nie tak, w czymś co powinno wyglądać inaczej, lepiej, prościej, bez zbędnego zarzutu, chaosu.

- Tracimy ją – mówi cicho anestezjolog.

Chirurg przyspiesza, coś próbuje zatrzymać w środku, w nieruchomym coraz bardziej ciele, coś się stamtąd wydobywa – krew, za dużo krwi.

Pojawia się pot na jego twarzy, czole, pielęgniarka wyciera go szybko, naturalnie, automatycznie, odruchowo.

I nagle serce staje, całkowicie, puls zanika, oddech staje się ciszą, cisza oddechem. Bezruch ciała Iwony przechodzi w naturalny stan ciszy, w cichy poziom nieistnienia.

- Nie! – krzyczy Chirurg. – Nie!

Odsuwa się od stołu, szare światło przenika coraz bardziej obojętną twarz. Twarz nieruchomą i zastygłą teraz, zastygłą kiedyś.

Zamyka oczy, nie chce patrzeć na swoją porażkę – kolejny cios w jego serce. Nie jej serce – jego.

Otwiera oczy, jego źrenice przyzwyczajają się do szarości, która będzie już z nim zawsze, do końca, do ostatnich dni bez Iwony.

Nagle widzi jasne, skupione nad nią światło, mieni się różnymi odcieniami złota. Blask pulsuje, zmienia się, wygląda niczym lawa, która zaraz z niej wybuchnie, eksploduje, ucieknie do wieczności i ciszy.

Chirurg podchodzi bliżej, zatrzymuje go coś, jakaś siła, niewidzialna brama, może szyba, która oddziela ją od świata, świat od niej, może od niego.

Złote okręgi, chmury unoszą się do góry, są rozmazane, niewyraźne, obce i bezkształtne. Bezkształtność i brak znaczenia to ich naturalny stan uniesienia. Pojawiają się skrzydła, dużo złotych skrzydeł, wiele ruchu w nich, wiele bezruchu poza nimi.

Skrzydła ruszają się, mieniają, unoszą coraz wyżej do jasnego tunełu na ścianie. Złoty pył pływa, drga, wibruje – tunel zabiera wszystko, całe światło ze sobą do góry.

Chirurg chce zatrzymać choć jedno z nich, wyciąga rękę, natrafia na pustkę, nieobecność, nieosiągalność.

I wtedy czuje jej zapach – Iwony – wyczuwa smak jej skóry, włosów, ciała, rąk. Zapach zbliża się do niego, zatrzymuje na kilka sekund przed nim, a potem bezwzględnie wchodzi w niego, niczym

wróg, najeźdźca, i zadomawia się w środku, zostaje w jego oczach, sercu, duszy, w głowie i staje się miły, słodki, przyjemny. Są już ze sobą, nagle oswoili się ze swoimi wadami i zaletami. Z nałogami.

Chirurg czuje, że coś dostał od niej, z miłości, z rozpaczy, z nadziei, której on nie ma, tylko ona miała, musiała mieć, chciała mieć. I mu to zostawiła, ten ślad, ten zanik (ostatni) śladu w nim, w życiu. Zanik bezwzględny skierowany w kierunku jego słabości, jego potknięć i niepowodzeń.

Chirurg wybiega z sali. Łzy same wychodzą z niego, niczym wodosпад w górach, między górami.

Wybiega z budynku, jedzie samochodem kilka ulic, zatrzymuje się na poboczu, uspokaja oddech, swoje ciało, rozdygotane powieki i wraca. Zatrzymuje się w parku koło szpitala, wyłącza silnik. Patrzy na zegarek i czeka.

Po kilku godzinach, gdy księżyc lekko unosi się nad drzewami, nad dachami budynków, nad ulicami i latarniami, Chirurg wchodzi do szpitala bocznymi drzwiami. Ma klucze, determinację, siłę charakteru, brak stresu, ma wszystko czego potrzebuje, żeby zostawić Iwonę w sobie na zawsze, do końca, tylko dla siebie.

Przemyka się cichymi korytarzami, wie, gdzie można kogoś spotkać, wie, gdzie pielęgniarki plotkują o serialach i marzą o lepszej przyszłości, mężczyznach, których w realnym życiu nie ma i nigdy nie będzie. Nie będzie ich takimi, jakimi by chciały, aby byli.

Wchodzi do piwnicy, tam znajduje się chłodnia, tam znajdują się ciała tych, którzy odeszli na zawsze ze świata żywych ludzi. Otwiera drzwi, cicho stąpa po zimnych płytkach, otwiera szufladę, dużą niczym piec do wypiekania chleba i wysuwa ciało Iwony.

Patrzy na nią w milczeniu, zawiesza się pomiędzy życiem a śmiercią; nie czuje teraz jej zapachu, smaku, zimno zabrało jej wszystko – marzenia, skargi, cele, pragnienia, nie zostawiło nic w realnym świecie, a potem wyciąga nóż, zakrywa oczy jedną ręką, potem jeszcze raz zerka pomiędzy palcami i wykonuje ten ruch, gest, akt rozpaczy.

Chirurg od kilku dni siedzi w domu, nic nie robi, nic nie czyni dla siebie, dla świata, dla innych. Całkowita obojętność. Zaległy urlop, staje się obojętnym urlopem.

W jego pokoju panuje nieład, chaos, brak logiki. Jest w nim wszystko, nie ma tu niczego.

Są płyty, wieża z której teraz nie wydobywa się nic oprócz ciszy, biurko drewniane w kolorze brązu, ciemnego brązu, krzesło, takie masywne, senne jak on, jak jego ruchy, łóżko, nie za duże, w kolorze ciemnej zieleni, telewizor, który teraz milczy uparcie, jeden obraz, w nim niebo, niewyraźne chmury, w oddali jakieś ptaki, może orły, sokoły, kruki, i okno, jedyna rzecz, która przypomina mu o życiu, które jest, trwa, toczy się gdzieś obok, koło niego, za nim, bez jego naturalnego udziału, choć nieświadomie w tym uczestniczy, jest.

Chirurg podchodzi do biurka, patrzy na duży szklany słój, w środku jest formalina, bezbarwna, o ostrym drażniącym zapachu, a w niej jest Iwona, jej część, jej dusza (tak myśli Chirurg – d u s z a), jest to co potrafiło go pokochać, to co on pokochał kiedyś i wciąż kocha – jej serce.

Chirurg patrzy na serce, które staje się coraz jaśniejsze, prawie białe pod wpływem płynu, za sprawą czasu, który jest, a zarazem go nie ma – jest niewidoczną linią. Linią bezbarwną.

Nagle okno otwiera się, lekko, cicho, bez zamierzonego udziału sił przyrody, coś wlatuje do pokoju. Chirurg czuje to coś, nie zauważa, ale czuje. Bezkształtność czegoś, co nie ma nazwy i obrazu unosi się pośród mebli, cieni, zatrzymuje się przy obrazie, zawiesza swój bezruch i bezpostaciowość i płynie dalej jak statek, jak łódź, która od dłuższego czasu szuka portu, zaczepta się gdziekolwiek.

Coś, czego Chirurg nie widzi, zawiesza się nad szklanym słojem, drga przez chwilę, rozmazuje się w bezbarwności powietrza i wtedy pojawiają się złote pióra, unoszą się, przedzierają poprzez słońce, które nagle świeci w pokoju, zza szyby, zza chmur. Pióra lekko kołyszają się w powietrzu, wydobywa się z nich zapach, który Chirurg zna – zapach i smak Iwony.

Słońce znika, pióra uciekają w bezwymiarowość i ciszę, zostaje tylko kształt zapachu Iwony.

Chirurg widzi Iwonę poprzez zapach, poprzez smak jej skóry i szelest włosów. Zapach zaczyna uciekać w kierunku okna, umyka do życia na zewnątrz.

Chirurg zbiega po schodach, pragnie go zatrzymać jak najdłużej, jak najtrwalej zakuć w kajdany w głowie.

Wybiega na zewnątrz, zapach ucieka ulicą, coraz szybciej i szybciej, Chirurg widzi rower, wskakuje na niego, jedzie, za sobą słyszy krzyki „Złodziej! Złodziej!”, a on pedałuje coraz szybciej i mocniej.

„Niekiedy kradzież jest jedynym lekarstwem na szczęście. Niekiedy kradzież to jedyna droga, żeby dotrzeć do ludzi – myśli”.

Zapach mija bloki, chodniki, osoby, wychodzi za miasto, do zieleni, do braku zgiełku w ludziach, do braku chaosu w przyrodzie.

Chirurg wciąż go widzi, czuje, niekiedy zapach zanika, ucieka za daleko, i wtedy Chirurg pedałuje szybciej, mocniej, odważniej, nie zważa na samochody, motory, na zagrożenie, aż po chwili znów go czuje, wtedy się uspokaja, jego serce znów łapie rytm, chwytą właściwy ruch i znaczenie.

Zapach skręca w lewo, w pole, w zboże, w kierunku drzew, lasu, rzeki, w kierunku ciszy i mroku.

Chirurg jedzie połą drogą. Na końcu, gdy droga zamiera, a zapach jest tuż przed nim, w nim, wjeżdża w zboże, nie może go teraz stracić, nie w tym momencie, nie w tym czasie, nie w tej przestrzeni. Wolno jedzie pośród zboża, łanów, kłosów, pośród złotej barwy na ziemi.

Dojeżdża do rzeki, zapach unosi się nad jej zimnem i chłodem, przemieszcza się pośród wyskakujących ryb z wody. Chirurg wskakuje do rzeki, płynie szybko, potem coraz wolniej, i wolniej, aż jego ruchy zamierają, przestaje machać rękami, nogami, opada na dno, zamyka oczy, prawie nie oddycha, leży na dnie, pośród ryb, kamieni, roślin.

Bezruch go uspokaja, daje nadzieję. Nie chce oddychać, nie chce nigdzie iść, nie chce musieć niczego. Jest mu tak dobrze, tak swobodnie, tak wolno.

Ktoś go wydobywa z dna, jakaś siła, postać, kształt, obraz którego on nie zna.

Jest na brzegu, koło niego stoi duży mężczyzna, rolnik z pola, oboje ciężko oddychają. Jeden z rozpacz, drugi z nadziei.

- Człowieku! – dyszy rolnik. – Prawie zniknąłeś z życia, zniknąłeś na zawsze!

- Może chciałem.

- Zniknięcie nie jest żadnym rozwiązaniem, gdy jeszcze nic nie zrobiliśmy. Nic wartościowego.

- Nie każdy ma szansę zrobić coś istotnego, coś innego niż wszyscy. Coś, co sprawi, że uwierzemy w siebie, uwierzy w nas świat.

- Każdy może próbować robić to co umie, co potrafi najlepiej. Próbując dajemy sobie szansę na przetrwanie, nadzieję na wieczność. Gdy nadejdzie pustka, gdy nas osaczy i zniewoli, gdy odbierze nam wszystkie chęci i marzenia, zabije w nas pragnienia, będzie za późno na zmiany. Nikt nie zasługuje na pustkę, nikt nie zasługuje na skutki tej pustki w przyszłości. Skutki nieodwracalne.

Chirurg zamyka oczy, jego oddech się uspokaja, staje się równy i pewny. Stanowczy. Potem otwiera oczy, nie ma nikogo koło niego, może nigdy nie było. Wstaje, szuka roweru, wraca do miasta.

Stracił zapach, nie ma go w nim, nie ma go koło niego. Był przez chwilę, przez jakiś czas, dał mu nadzieję i siłę, jakąś moc, żeby walczyć, chcieć, móc. Był kilka sekund, może minut, nawet więcej czasu w nim, i to jest ważne, myśli Chirurg, może najważniejsze; mieć w sobie coś co daje nam nadzieję, choćby kilka sekund, choćby kilka minut. Mieć i zapamiętać. Mieć i chcieć wrócić do tego za jakiś czas, za jakąś chwilę.

Chirurg wraca do domu, stawia rower na swoim miejscu, idzie schodami do góry. Otwiera drzwi, patrzy na serce stojące na biurku, uśmiecha się, „Dziękuję” mówi, i kładzie się spać. Zostało mu jeszcze kilka dni urlopu, znajdzie ten zapach, myśli, znajdzie go tam, gdzie inni nie szukają, odnajdzie go w miejscach gdzie czas i przestrzeń zamiera, gdzie cisza i pustka mają swoje posłania, schronienie przed światem, przed ludźmi.

Przez kilka dni Chirurg chodzi po mieście, jest wszędzie, jest nigdzie. Mija ludzi, dyskretnie ich wacha, sprawdza czy nie mają namiastki jej zapachu. Jestem narkomanem, myśli, narkomanem skazanym na zapach. Jeździ metrem, dotyka w tłoku innych, przenika przez nich do obcego świata, lecz nie czuje Iwony w tłumie. Bywa w parkach, widzi dzieci, jak się bawią, lecz pośród nich też jej nie ma. Gdy jest w ogrodzie zoologicznym, patrzy na zwierzęta, ryby, ptaki, niekiedy gady, szuka cierpliwie, wciąż tropi.

Nie znajduje go wśród zwierząt, wśród ludzi, wśród murów.

Siedzi nad rzeką, widzi jej nurt i natężenie, siłę, patrzy na łabędzie, kaczki, mewy. I nagle czuje jej zapach nad wodą, w rzece, w jej odmętach. Nie mogą nieustannie zanurzać się w ciemności, żeby mocniej poczuć życie, myśli.

Chirurg wstaje, patrzy na zapach, który powoli zanika, rozrzedza się, unosi coraz wyżej i wyżej, aż staje się niewidoczny, nieosiągalny, odległy, roztopiony w bezmiarze chmur, w niewidzialności nieba i światła. Udaje się do domu, na biurku leży koperta od przyjaciela ze studiów, otwiera ją, czyta w skupieniu, w napięciu każdego słowa i zdania, w naprężeniu znaczenia tych zdań w nim, w jego otwierającej się na nowo przyszłości.

Teraz wie, po przeczytaniu listu, że jego świat jest gdzie indziej, nie tutaj. Zasiadł się za długo w jednym miejscu, szuka tego, czego może nigdy nie znajdzie, musi się znów spakować, napisać rezygnację i wyjechać na wschód, aż pod granicę, do nowego szpitala, gdzie jego przyjaciel jest dyrektorem, gdzie go potrzebują, gdzie będzie mógł na nowo coś zacząć, na chwilę, może dłużej, może tylko na jakiś czas. Jednak nowe mu pomoże, da siły, nadzieję, determinację, lub nic z tych rzeczy.

Świeżość jest lekarstwem duszy, nowość jest balsamem ciała, inność to bezwarunkowy pomysł na samego siebie.

Chirurg odkłada list na biurko, patrzy na serce i myśli „Tylko ty mnie kochałaś naprawdę. Tylko ty wiedziałaś, że jestem wyjątkowy. Tylko ty wierzyłaś, że będziemy razem kiedyś. Dlatego twoje serce zawsze będzie ze mną, koło mnie, we mnie. Mając ciebie wierzę, że świat jest dobry, mając ciebie, wierzę, że jestem inny”.

- Jutro, może za kilka dni wyjeżdżamy. Wykorzystam zaległy urlop, pozamykam przeszłość i wyjeżdżamy – mówi w kierunku serca. – Jestem egoistą. Biorąc twoje serce więcej zyskam niż ty. Twoje serce jest teraz moje, moje serce jest duchowo twoje. Dzięki temu oboje żyjemy, dzięki temu zatrzymaliśmy miłość w nas, na zawsze. Ty stałaś się mną, ja stałem się tobą. Jesteś jedyną osobą, która wiedziała czego chcę, czego pragnę. Czego potrzebuję od życia, od siebie.

Cisza zastyga w pokoju, Chirurg śpi – jego sny są spokojne, ciche, płynne, jego myśli wędrują wśród żywych, jego myśli wędrują wśród umarłych. Przemieszczają się wśród wieczności, pomiędzy

tym co wieczność niesie, pomiędzy tym co wieczność zabiera. Na zawsze.

Rzeźbiarka (w drzewie) smutno patrzy na ludzi, którzy oglądają obrazy podczas deszczu przy Bramie Floriańskiej, na ulicy Pijarskiej. Deszcz nie jest duży, nie jest mały, jest taki jak na wiosnę, gdy coś się zaczyna budzić, coś zaczyna zamierać, odchodzić w niepamięć.

Rzeźbiarka siedzi w swoim sklepie, naprzeciwko czerwonych murów z obrazami, i tam, zza okna, zza przybrudzonej szyby ogląda obce twarze, stara się zauważyć w nich chęć życia, pragnienie czegoś, czego ludzie nie mają tutaj – chęć poznawania świata, odnajdywania innych.

Po chwili odwraca się i patrzy na swoje rzeźby, każda z nich posiada część jej życia, część tego miasta w sobie. Są takie inne, sama ich nie rozumie czasami, ale to się w niej nagle dzieje, jakiś taniec rąk, palców zaczyna walkę, może bitwę z jej wyobraźnią. To, co się z kształtów, fragmentów drzew rodzi to ona, to, co z nich wyrasta, rośnie, nabiera innego wymiaru i znaczenia to też ona – ale jakby zmieniona, odmieniona, czysta – bogatsza o wyobraźnię, którą potrafi wydobyć, wyrwać, i odnaleźć w nowej rzeczywistości.

Sklep jest nieduży, mała lada ze szkła, krzesło, jedno, tylko jedno i rzeźby, dużo rzeźb, większe, mniejsze, z lipy, klonu, niekiedy dębu.

Rzeźbiarka najczęściej rzeźbi w drzewach miękkich, w lipie i klonie, jednak niekiedy, gdy chce coś zmienić, bierze drzewo twarde, dąb, moczy go w wodzie, kilka dni, potem suszy w cieniu i tworzy co chce, co pragnie, co musi.

Rzeźbiarka schodzi w dół, starymi kamiennymi schodami do dużej piwnicy. Zapach przeszłości otula jej twarz, ramiona, całe ciało, wciska się pomiędzy włosy, bawi się nieładem na głowie a potem ucieka pomiędzy czerwone cegły, duże, niekiedy podniszczone, ukruszone, wyrwane czasowi dawno, i nagle znika w powietrzu, w ciemności, w kurzu.

Rzeźbiarka patrzy na rzeźby przygotowane do wernisażu, stoją na małych podestach, w luźnych proporcjach, w luźnym znaczeniu i przynależności – jest z nich dumna, jest dumna z siebie, że odważyła

się, wciąż się odważa pokazywać swoją duszę bez kajdan i obręczy, które niszczą człowieka.

Uśmiecha się do nich, uśmiecha się do siebie. Od kiedy znalazła prawdę, pasję, dużo uśmiecha się do innych, dużo uśmiecha się do siebie. Jest szczęśliwa, inna, wyjątkowa.

„Mając pasję i marzenia wolniej umieramy – myśli. – Śmierć odwraca wzrok, gdy nieustannie zanurzamy się w pragnieniach”.

To już jej kolejna wystawa, następny port do którego płynie. Łudzi się, że w dobrym kierunku. „Niekiedy musimy zobaczyć wiele miejsc, żeby jedno okazało się domem, spokojem”.

Wernisaż będzie za kilka dni – będą znajomi, przyjaciele, dziennikarze z Krakowa, może z Warszawy, znajomi artyści, z jej szkoły, z Akademii Sztuk Pięknych, i przypadkowe osoby.

Rzeźbiarka wraca do sklepu, na górę, za oknem pada coraz bardziej. Turyści puciekali do restauracji, pubów, kawiarni. Patrzy przez szybę na obrazy, zastanawia się nad niektórymi, czy są dobre? czy złe? co znaczą teraz? co będą znaczyć kiedyś? a potem uświadamia sobie, że obrazy najbardziej piękne są podczas deszczu, gdy krople oddzielają sztukę od życia, od ludzi – niewidzialną kotarą zapomnienia.

W swoim sklepie sprzedaje rzeźby, które robi (tak to nazywa, robi, nie tworzy) pod turystów, na dole ma coś co tworzy dla siebie, dla duszy, żeby życie jakoś ukształtować, dać mu sens i znaczenie, kierunek.

Sklep jest jej, dostała go od rodziców, od mamy i taty (gdy jeszcze żył).

Matka jej pomaga w sklepie, w życiu. Gdy Rzeźbiarka tworzy coś w plenerze, zastępuje ją, robi to chętnie, z nieukrywaniem zapałem – jest sama. Samotnie budzi się rano, samotnie zasypia wieczorem. Samotność to naturalny stan jej duszy, naturalny stan jej ciała.

Rzeźbiarka straciła ojca gdy miała trzynaście lat, była w wieku gdy kochała go bezgranicznie, nie zauważając rzeczy, spraw, które mogły tą bezgraniczność zabić w przyszłości. Zabić dosłownie.

Pamięta ojca gdy był kierownikiem, kimś ważnym, liczył się w pracy, liczył się w życiu. Potem coś się zmieniło, stracił pracę, potem znaczenie, na końcu sens. Nie potrafił odnaleźć się pośród zwy-

czajnych ludzi, ludzie nie potrafili odnaleźć się w przebywaniu z nim.

Był dużym, potężnym, władcym i pewnym siebie człowiekiem. Gdy coś się zmieniło, gdy teraźniejszość okazała się inna, nie taka jaką chciał aby była – zwątpił, załamał się.

Nagle zaczął maleć, do dołu, na boki, w środku. Z dnia na dzień, z godziny na godzinę, z minuty na minutę robił się mały, nieistotny, zagubiony.

Jego duża głowa stała się głową dziecka, spojrzenie mężczyzny zmieniło się w strach dziecka, duże ręce, pewne, silne, mocne stały się małe, roztrzęsione, nogi skurczyły się do małości, do nieistotności, brzuch – kiedyś wielki, stał się wklęsły, zanikły, zraniony niemocą i błędem, który coś w nim zmienił, zniekształcił, zabił. I tak malał i malał, kurczył się i kurczył, aż któregoś dnia, gdy umarł jako dziecko (prawie), matka i córka nie wiedziały jak go pochować, w jakiej trumnie – dużej i władczej (choć ciało nieistotne i błahe), czy w trumnie małej (gdzie wszystko wiadome, ostateczne, niezamaskowane). Wybrały średnią – oszukały siebie, oszukały innych.

Rzeźbiarka często rzeźbi w miejscach, które nagle zauważy, coś jej przypomną, coś powiedzą, czymś zachwycą. Nie szuka ich specjalnie, na siłę, nie błądzi za nimi – one pojawiają się, potem znikają. Wierzy, że rzeźba stworzona w konkretnym miejscu przybiera cechy tego miejsca, staje się duszą ziemi, która tam jest.

Gdy jej palce trzymały długo pośród grobów na Cmentarzu Rakowickim, gdy zbliżał się zmrok, noc, głębia, księżyc powoli wychodził zza chmur, czuła jak figura konia, wierzchowca nabierała szał, pędu do wieczności. Czuła, jak dusze zmarłych przenikają ciszą i tajemnicą jej rzeźbę. To ją zaskoczyło – pierwszy raz to wtedy poczuła. Wpływ ziemi na martwe przedmioty, które dzięki wyobraźni mogą żyć, mogą dostać nowe życie i znaczenie.

W Ogrodzie Botanicznym przy Rondzie Mogiłskim, pośród kwiatów, alejek, zieleni, pomiędzy nazwami, których nie zna i nigdy nie zapamięta, jej kwiat, inny niż wszystkie, kwiat na skale, zaczął kwitnąć.

Jego liście, barwa nasączyła się energią kwiatów, smakiem zapachów. Czuła, że liście drżą, są niespokojne, chcą żyć, chcą być. Po-

myślała wtedy: „Ile osób żyje pomimo niemożności, niedopasowania”.

Przy autostradzie stworzyła coś, co miało nieść ruch, pęd, zagubienie. Dążenie do przodu, pomimo potknięć i niepowodzeń. Rzeźba miała być siłą, która nie patrzy za siebie, nie dotyka obrazów z przeszłości.

„Coś co nie zauważa przeszłości, szybciej odnajduje się w terażniejszości, zanim ta terażniejszość zniszczy ją w przyszłości” – myślała patrząc na rzeźbę.

W górach stworzyła niepokój, niewidoczność, zagubienie. Brak drogi w miejscach, gdzie drogi istnieją. Są niewidoczne dla tych, którzy czegoś innego szukają. Niewidoczności w terażniejszości.

Dach kamienicy przy rynku dał jej niewidzialność, rzeźba nasycona była wiatrem i niedostępnością. Stała się powietrzem, światłem, jasnością. Stała się tym, czym człowiek nigdy nie będzie – wolnością.

„Ludzie wolni, to ludzie niewidoczni – pomyślała wtedy. – Niewidoczni dla innych, niewidoczni dla siebie. Niewyraźni dla świata”.

Rzeźby, cały jej trud, znużenie, determinacja mają być wystawione za kilka dni na wernisażu, w jej piwnicy. Jest z nich dumna. Są częścią jej, ona jest częścią ich. Przenikają się wzajemnie, razem są jak mgła w lesie za jeziorem, jak niebo z chmurami, jak góry z białą poświatą na szczytach.

„Przenikanie to dar, jeśli nasączone jest innym przenikaniem – myśli Rzeźbiarka, gdy zamyka sklep, gdy patrzy na malarzy chowających swoje obrazy przed zmrokiem, przed ciszą, która powoli opada nad miastem”.

Rzeźbiarka od samego świtu jest zdenerwowana, rozdygotana, podniecona. Wraz z pierwszymi promieniami słońca, wraz ze światłem, które pojawiło się zaraz po ciemności, Rzeźbiarka zaczyna żyć innym życiem niż na co dzień.

Dzisiaj wernisaż, czas, który będzie inny, stanie się inny – teraz z rana ta inność ma posmak wojny, walki, jakiegoś niebezpieczeństwa – wieczorem inność zmieni się, zniekształci poprzez to co już było, i

nigdy nie będzie, nie wróci w tej samej formie i treści, w swojej wyjątkowości i szczegółach tej wyjątkowości w niej.

Nagle czuje drżenie rąk, dłoni, palców, nadgarstka – nie takie zwyczajne, pospolite, które może być częścią każdego człowieka. Ruchy rąk są inne, bolesne, niecierpliwe w przenikaniu przestrzeni. Potem pojawia się ból, nie jest on duży, nawet może niewidoczny, ale jest, nie w całym ciele, ale w ramionach i dłoniach.

Rzeźbiarka patrzy ze zdziwieniem co dzieje się z nią, co dzieje się z jej ciałem. Siada przy oknie, patrzy na drzewa lekko kołysane wiatrem i myśli „To minie, musi minąć. Złe rzeczy uciekają, gdy bardzo tego chcemy, bardzo tego pragniemy. Uciekają z głowy, uciekają z ciała”.

Po chwili coś zamiera w niej, ciało się uspokaja. Dłonie znów są sobą, palce w ciszy czekają na kolejne szanse.

Rzeźbiarka wstaje, robi sobie śniadanie, jednak czuje, że coś złego się w niej zaczęło. Na razie uciekło na jakiś czas, ale potem wróci, wtedy, kiedy będzie najślabsza, wtedy, kiedy będzie zła na świat, zła na ludzi.

Po południu wychodzi z kamienicy, skręca w prawo, idzie ulicą Długą w kierunku rynku, w kierunku swojego sklepu. Patrzy na chodnik, ulicę, nie patrzy na twarze ludzi. Ludzie ją niepokoją, gdy sama ma niepokój w sobie. Wie, że to uczucie minie jutro, gdy będzie po wszystkim, gdy wernisaż się zakończy.

Mija światła, wchodzi w ulicę Sławkowską, potem w lewo, w ulicę Pijarską, koło kościoła i już jest przy swoim sklepie.

Wchodzi do środka, jeszcze nie ma nikogo. Za godzinę coś się zmieni, czas, ona, przestrzeń i wymiar tej przestrzeni w niej, w innych ludziach.

Schodzi do piwnicy, patrzy na rzeźby w mroku, włącza czerwone, delikatne światła – są teraz wszędzie, na ścianach, murach, na lekko zakręconych schodach i rzeźbach, które poprzez ich blask mieniają się inną barwą – sennym smakiem czerwieni i niewidzialności.

Rzeźbiarka lekko mruży oczy, poprawia krótkie, czarne włosy. Czuje poprzez mrok, czerwień, barwę, rzeźby jakby była w innym świecie, w innym wymiarze. Cienie rzeźb opadają na podłogę, niekiedy wspinają się na ceglane mury, a potem uciekają do góry, żeby

tam, wysoko tworzyć swoje obrazy, światy, lustra snów i marzeń. Niekiedy pragnień.

Wraca do góry, do sklepu, potem znów na dół z butelkami wina, ustawia je na stoliku tuż przy ścianie, wraca po lampki, dużo lampek (na wernisażach dużo się pije wina – darmowego wina), potem przynosi jakieś soki, napoje i drobne przekąski. Uśmiecha się gdy już ma całą krzątanicę za sobą.

Przychodzi matka, całuje ją w policzek.

- Będzie dobrze – mówi. – Jesteś artystką samą dla siebie, nie dla innych. Jeśli poprzez sztukę czujesz się wyjątkowa, lepsza, inna to już warto być artystką. To, co mówią inni, którzy nigdy niczego nie próbowali zmienić, to bzdury. Żli ludzie zawsze byli i zawsze będą. Czekają na potknięcia tych, którzy walczą o siebie, o swoją duszę.

Przychodzą ludzie, schodzą na dół. Gromadzą się pary, grupy, niekiedy ktoś stoi samotnie niczym drzewo, które rośnie, choć wie, że jego kres nadchodzi, zbliża się, jest gdzieś obok.

Rzeźbiarka coś mówi o sztuce, jest zdenerwowana, widzi kilku dziennikarzy, potem zaprasza do stołu na wino i poczęstunek.

- Mam nadzieję – kończy swoją wypowiedź – że każdy wyjdzie stąd inny, odmieniony, że czas, który tutaj was zaprowadził, zmieni coś w was, zmieni innych poprzez was. Sztuka to wolność, gdy tą wolność potrafimy uwolnić z kajdan, z którymi rodzimy się i żyjemy aż do końca.

Ludzie oglądają rzeźby, milczą, niekiedy coś mówią, ale tak cicho, prawie niesłyszalnie, niezgłoskowo. Zanurzają się w przestrzeni i ciszy, która tą przestrzeń przenika, zabarwia, obezwładnia.

Rzeźbiarka zauważa dwóch mężczyzn, zna ich dobrze, z gazet, z wywiadów, z wernisaży, na których też bywa – wernisaży malar-skich.

Podchodzi do nich, uśmiecha się prawie niewidocznie, prawie niewidzialnie.

- Dziękuję za przybycie – mówi szeptem.

- Kolejna wystawa, każda coraz lepsza – mówi Tomasz Fitz, znany pisarz, który kiedyś mieszkał w Krakowie, a teraz uciekł w góry – góry go wyzwoliły, dały mu coś, co nie dało mu żadne miasto – wolność.

- Cieszę się – Rzeźbiarka jest zakłopotana, nigdy dobrze nie znosiła komplementów, wciąż nie znosi ich dobrze.

- Ta rzeźba podoba mi się najbardziej – mówi Zbigniew Czewski – malarz, który kiedyś zaczynał w Krakowie. Jego obrazy wisiały na murach, tuż koło niej, a teraz, poprzez sukces, tworzy co chce, gdy jego dusza chce uciec w pragnienia.

- Dlaczego? – pyta Rzeźbiarka.

- Ma w sobie rozpacz, brutalność, nadzieję, że świętość ma też skazy, brudy, skupia w sobie bóle i rozterki.

Patrzą na rzeźbę w kącie piwnicy. Czerwone światło otula ją zastęgnięciem powietrza – nad nią, koło niej.

Rzeźba przedstawia krzyż na skale, na szczycie. Krzyż jest połamany, opiera się sam o siebie. Jego kawałki są ze sobą, są obok siebie. Na jego ramionach wiszą trzy węże, silnie splecione ze sobą. Węże z taką siłą, determinacją wczepiły się w krzyż, że coś co wydaje się silne, nagle staje się słabe, nieistotne, zagubione.

„Zagubienie dosięga każdego, zabija w nas rzeczy, które nigdy nie powinny być zabite, nigdy nie powinny być zniszczone”.

Przypomina sobie Cmentarz Rakowicki w nocy, gdy została tam sama, tylko groby i księżyc schowany za chmurami. Rzeźbiła jak natchniona, choć strach przed duchami, ludźmi, ciemnością był w niej, był koło niej. I ten strach, to zatrwożenie jej rąk widoczne jest w rzeźbie. Krzyż ma tajemnicę, strach, zwątpienie które pojawiło się nagle w nocy na cmentarzu.

- Dobre wino – uśmiecha się Tomasz Fitz. – Dobre wystawy powinny mieć dobre wino.

- I dobre samopoczucie, które po nich następuje – dodaje Rzeźbiarka.

- Przyjechałem na jeden dzień, ale Tomasz powiedział mi o wystawie, nie mogłem wyjechać bez zobaczenia ciebie, zobaczenia twojej wyobraźni – mówi Zbigniew Czewski.

- Gdzie wyjeżdżasz?

- Do Paryża. Ktoś kupił kilka moich obrazów, zaprosił mnie na kilka dni do swojej posiadłości, a Paryż – Zbigniew Czewski się uśmiecha – to święto ruchome, a ja chcę w tym święcie uczestniczyć, choć przez chwilę.

- Może kiedyś i ja tam będę, jako człowiek, jako artystka – zamyśla się Rzeźbiarka.

- Paryż sam w sobie jest sztuką. Każdy powinien tam być choć raz, żeby dotknąć tej sztuki, nasączyć się jej barwą i nadzieją.

Chwilę chodzą pośród rzeźb, rozmawiają o nich z uwagą, pytają jak je tworzyła? gdzie? kiedy? dlaczego tak pośpiesznie? a potem wychodzą, żegnają się.

- Czas zawsze jest wrogiem dobrych chwil – mówi Tomasz Fitz. – Zbyt szybko je zabiera, zbyt szybko je niszczy.

- Do zobaczenia – mówi Czewski. – Przebywanie z tobą i twoją sztuką, to coś co zmienia człowieka, coś co zmienia mnie i mój stosunek do świata, mój stosunek do niewidzialności.

Wernisaż się kończy, ludzie wychodzą. Krótki wywiad do gazety i następuje cisza. Rzeźbiarka gasi światło, ciemność zabiera rzeźby w swoją przestrzeń, w swoją nieokreśloność.

Ręce znów zaczynają jej drżeć. Mają niepokój, jakąś rozpacz i brak lekarstwa na tę rozpacz. Beznadzieję.

- To minie – mówi do siebie. – Złe rzeczy kiedyś mijają, gdy bardzo tego pragniemy – powtarza jeszcze raz to, co mówiła rano, co myślała rano.

Wie, że gdy coś powtarzamy w kółko, na okrągło, gdy oswajamy się z tymi słowami, zdaniem cały czas, to nagle zaczynamy w nie wierzyć, nieświadomie, bo chcemy żeby były prawdziwe, pomimo nieprawdziwości i nieosiągalności tego o czym wciąż myślimy.

Budzi się w nocy, przeciera uśpiony jeszcze wzrok, spojrzenie, widzi tylko sufit, ciemność, czarną ciemność uśpioną księżycem za oknem. Potem wstaje, ubiera się powoli, sennie, automatycznie, jakaś siła zmusza ją do wyjścia z domu, na ulicę, do zanurzenia się w ciemne kontury miasta.

Rzeźbiarka czuje w sobie dziwny skurcz, napięcie, i to coś, co ją pali, wyżera z niej całą niepewność i obawę, zmusza ją żeby kroczyła ulicą Długą w kierunku rynku.

Okna kamienic są uśpione, nieobecne, zanurzone w ciszy. Tylko pojedyncze smugi jasności gdzieniegdzie migają za szybami – u tych, co już wiele nie mogą, u tych, dla których tamten świat jest coraz bardziej ważny od tego.

W połowie ulicy, na rogu, koło kiosku zauważa dwie kobiety. Starsze, z wyzywającymi makijażami, z ostrym zapachem perfum. Stoją, nic nie mówią – mają niepokój, znużenie na twarzach. Kobiety wiedzą, że czas je zniszczył, życie je zniszczyło, mężczyźni je powoli zabijali – nieświadomie. Jeszcze są (w zawodzie), lecz za chwilę już ich nie będzie – znikną – i to zniknięcie je jeszcze bardziej zaboli, bardziej niż czas, bardziej niż życie.

Rzeźbiarka jest już na Plantach, tam nikogo nie ma. Ławki śpią cicho w blasku księżyca.

Skręca w lewo, znów kościół, znów to dziwne napięcie w środku, które zmusza jej nogi do ruchu, jej ręce do nadążania za czasem, który jest tuż przed nią. Czasem przyszłym tego co za chwilę będzie, tego czego być może nigdy nie będzie.

Ulica Pijarska jest pusta, zagubiona, skąpana w ciszy i skupieniu. Takim skupieniu, gdy wszystko wokół jest nieobecne, dalekie, niedostępne – oddalone na wieki od życia, na wieki od ludzi.

Wchodzi do sklepu, potem na dół, patrzy na zegarek, jest trzecia rano. Zapala światło rozproszone zastygłą ciszą, uśpionym powietrzem. Nie wie co ma robić, co myśleć, dlaczego jest tutaj, może tak naprawdę jej tu nie ma, jest gdzie indziej, w łóżku – śpi uśpiona swoimi marzeniami, lękami.

Patrzy na rzeźbę Anioła ze złamanym skrzydłem, ze spuszczoną głową. Pamięta, że kiedyś, gdy była kimś innym, zaczęła nagle rzeźbić, żeby uciec od tego co niosą ludzie, co niesie świat. Była z tym szczęśliwa przez jakiś czas, czuła, że coś ma znacznie, coś ma sens.

Kiedyś ojciec do niej podszedł, objął ją, popatrzył na rzeźbę, przytulił się mocno do jej twarzy (wtedy mocno czuła jego miłość, wsparcie, zaufanie do tego co robi, robić będzie) powiedział cicho coś do jej ucha, gdy ich oddechy równo oddychały, zespoliły się w jedną całość:

- Czuję się bezpieczny, gdy mogę przytulić się do ciebie, do twoich marzeń.

- Czuję się wolna, gdy wiem, że mnie rozumiesz, gdy wiem, że wierzysz w moją szansę.

Trwali długo w uścisku, koło Anioła, koło siebie, aż długo przemieniło się w wieczność, a wieczność przetrwała czas i stała się wspomnieniem, obrazem z przeszłości.

Uśmiecha się do wspomnienia, do Anioła, do spuszczonego wzroku w nieobecność przed nim, za nim.

Nagle coś się zmienia, zmiana przeistacza się w ruch, grzmot, trzęsienie ziemi. Wszystko wokół drga, rusza się – mury, kamienica, ulica wykonują dziwne skoki, na dół, w bok, w kierunku ziemi, do ciepła, które skupione jest w środku.

Ze ścian, z sufitu wychodzi czerwony pył. Mieni się w świetle, w kurzu, w powietrzu. Iskrzy się tak jakby światłość była wszędzie, światłość była nigdzie.

Czerwony pył osadza się na rzeźbach nieśmiało, systematycznie, dokładnie. Jest zasłoną przed światem, kotarą przed ludźmi. Potem huk zmienia się w drżenie, drżenie przeistacza się w ciszę. Wszystko zamiera wokół rzeźb. Przez chwilę czerwona łuna opada na ziemię, aby po chwili zamilknąć na zawsze.

Rzeźbiarka patrzy na rzeźbę w kącie piwnicy, którą niedawno skończyła. Serce na gałęzi drzewa, suchego, zniszczonego, zabitego przez czas. Pękło na połowę, lecz nie do końca, wisi złamane, zniszczone, okaleczone.

Rzeźbiarka podchodzi do niej, patrzy na jej kształt lekko mrużąc oczy. Stara się zrozumieć co widzi, przeniknąć czego nie dostrzega, nie może dostrzec – niewidzialności.

„Martwe rzeczy ze skazą są więcej warte niż żywe, mające pozory istnienia” – myśli.

Coś co ma defekt, uraz, złamanie bardziej ją pociąga niż coś, co jest poprawne, dobre, bez żadnych zarysowań i pęknięć.

Rzeźbiarka wraca, jest zmęczona, chce uciec w sny, chce uciec w ciszę. I ucieka, i zasypia, i obojętnieje.

Budzi ją słońce, budzą ją niespełnione sny. Zawieszanie dwóch światów, dwóch pragnień jest widoczne na jej twarzy. Jej skóra jeszcze ma zapach snów, wciąż ma drżenie tamtego świata, nie tego.

Nad nią stoi matka, z jej oczu, z całego drżenia jej ciała płyną łzy, ich nasycenie, gęstość jest duża. Zbyt duża na zwykłe rozterki, zbyt mocna na zwykłe upadki codzienności.

- Moja mama umarła, jeszcze wczoraj żyła, trwała pomimo wieku, czułam, że jest, i to mi wystarczało, że jest – głos matki się łamie, jest okaleczony, zniszczony, poszarpany – daleko, ale jest. Już jej sama obecność, samo istnienie było dla mnie ważne. A teraz znikła gdzieś, może patrzy na mnie z oddali, ale ja tej oddali nie czuję, tej odległości nie jestem w stanie zrozumieć, poczuć w jakikolwiek inny sposób, niż poprzez łzy, poprzez smutek i skutki tego smutku w sercu.

Rzeźbiarka przytula się do matki mocno, tak mocno jak tylko potrafi, żeby jej nie zadać kolejnego, niepotrzebnego bólu. Niepotrzebny ból może bardziej zboleć niż ten, na który jesteśmy od pewnego czasu przygotowani.

Rzeźbiarka wie, że życie składa się z ciągłych, niepotrzebnych bólów, które nas niszczą bardziej niż bóle pewne, stałe, przewidywalne.

- Będzie dobrze – mówi Rzeźbiarka cicho – może nie teraz, może nie zaraz, ale będzie.

- Musimy wyjechać do niej – tu głos matki martwieje, matowieje, staje się suchy i inny, obcy, nie z tego świata, ze świata jej matki, a potem się wyrównuje, przeistacza się w jakąś równość i stałość – do jej domu, pogrzeb jest za dwa dni. Tam znów będziemy walczyć ze wspomnieniami.

- Czasami wydaje mi się, że życie to nieustanna walka ze wspomnieniami – mówi Rzeźbiarka. – Wspomnieniami swoimi, obcymi, które nas nie dotyczą, ale boją, jakby były nasze, i zadają nam więcej ran niż się spodziewamy.

- Wiesz, jak bardzo cię kochała – mówi matka. – Byłaś jej ukochaną wnuczką.

- Wiem, dzięki niej zaczęłam rzeźbić. Ona mi mówiła, że jestem mądra i piękna, że mogę wszystko w życiu mieć, wszystko w życiu chcieć. Mądre słowa, ważne zdania na początku, od kogoś bliskiego, dają siłę, gdy tej siły nam później zaczyna brakować, i brakuje wciąż, brakuje stale.

- Wiem, wiem... – zamyśla się matka. – Złe słowa zabijają w dziecku marzenia i pragnienia. Zwłaszcza gdy ktoś jest słaby, zwłaszcza gdy wypowiadają je osoby bliskie, nie dalekie.

Ściskają się mocno, tak mocno jakby świat nie istniał, życie nie istniało, ludzie nie istnieli. Ten uścisk im pomaga, teraz, mają nadzieję, że pomoże kiedyś.

Stary cmentarz oplata gęsta mgła, nad mgłą, nad jej szczytami rysują się szare, prawie brudne chmury. Kłębią się, mocno są zastygnięte w bezruchu. Ich cisza zabija resztki światła w powietrzu, ich nieobecność niszczy ostatki wiatru nad drzewami koło cmentarza.

Twarze ludzi, ich sylwetki, ubiory, ruchy które wykonują, choć są one minimalne, niewidoczne, ostateczne są rozmazane. Dzięki mgłę, dzięki białości i gęstości, nasyceniu, nie widać łez, smutku, nostalgii, wspomnień (dobrych, złych), nie widać tego, co jest typowe dla pogrzebu, co jest istotne dla odejścia w inny wymiar, bezmiar.

Głos Księdza przebija się przez niewidzialność, odbija się od niewidocznych ludzi, od ich zastygłych twarzy, a potem zatrzymuje się nad trumną, nad jej brązowym kształtem.

- Koniec to początek czegoś nowego, istotnego – mówi Ksiądz. – Koniec to podróż w nieznanie. Do światła, do nadziei.

Grabarze spuszcza ją trumnę na dół w milczeniu, w pogodzeniu ze swoją pracą. Po chwili słyszą, że opadła, zastygła w ziemi. Potem niewyraźne łopaty, wykonują niewyraźne ruchy, niewyraźną ziemią. Wydaje się, że to mgła zasypuje dół, wkrada się do trumny jakby chciała z nią uciec od tego świata, jakby ten świat ją znudził, zniszczył, i teraz chce tylko przemiany – dalekiej, odległej, wiecznej, przemiany w coś innego, niepowtarzalnego.

Wszyscy siedzą przy stole w domu kobiety, która już odeszła, ale jej meble, szafy, stoły, krzesła, ściany, ubrania, pamiątki, obrazy mają smak nieboszczki, mają jej zapach i smak. Czują, że jeszcze jest wśród nich, gdzieś siedzi w drugim pokoju, czegoś zapomniała, i wróciła, żeby t a m mieć ze sobą wszystko, niczego nie zapomnieć t u t aj. T a m jest teraz dla niej ważniejsze niż t u t a j. T u t a j jeszcze zaglądnęła, tak przelotnie, na chwilę, żeby się pożegnać, z tymi, których dawno nie widziała.

Nagle słyszą hałas w drugim pokoju. Nerwowość wkrada się w smutek i rozpacz.

Rzeźbiarka wstaje, wychodzi, po chwili wraca i cicho mówi:

- Spadł obraz ze ściany. Jakiś znak, symbol. Dziwne, to jedyny obraz, który sama namalowała. Może chciała go zabrać ze sobą, coś jej przypominał, wciąż coś przypomina, ale jej kształt, postać jaką ma teraz, na to nie pozwala.

- Nie zabiera się rzeczy z tego świata, na tamten świat – mówi matka. – Nic z tego świata, nie pasuje do tamtego świata.

- Napijmy się – mówi siostra matki. – Stypa rządzi się pewnymi prawami. Dzięki wódce jej duch znów będzie z nami, dzięki wódce bardziej zrozumiemy sens, który nagle się w człowieku urywa.

- I zamiera – ktoś mówi.

- I ucieka.

- I zaskakuje.

- Nie pozwala dokończyć niedokończonych spraw.

- I zabija to, co w człowieku jeszcze nie zabiło życie.

Dwie siostry siedzą koło siebie, uśmiechają się nieśmiało.

- Tak musiało być, od pewnego czasu nie była sobą – mówi Eliza. – Bardziej krążyła po świecie niż w nim żyła. Wychodziła w nocy nad jezioro, gdzieś błądziła wzdłuż brzegu, znikła, pojawiała się, coś czuła, tak mówiła. Może zbliżającą się śmierć, może obłąd, który jej coraz bardziej doskwierał.

- Gdy umarł nasz ojciec, nigdy nie była już sobą. Stała się kimś innym. Myślę, że nie miała siły żyć bez niego tutaj. Wolala być tam, bliżej niego.

- Gdy tracimy kogoś bliskiego, kto jest naszym życiem, nagle następuje w nas cisza. Bezruch staje się codziennością, cisza jakąś stałą. Niekiedy bezruch nigdy nie znika, cisza nie zastyga, wtedy niektórzy wolą uciec. A ucieczka jest tylko jedna...

- Była dobrą matką.

- Dziwne – mówi Rzeźbiarka. – Gdy o niej myślę, o wszystkich wakacjach tutaj, o naszych rozmowach, mam tylko uśmiech na twarzy, jasne światło.

- Byłaś jej słońcem, z tobą była inna – mówi Eliza. – Zmieniałaś ją, tak jak ona zmieniała ciebie. Obie zyskiwałyście, obie byłyście sobie potrzebne.

- Jak umarła? – pyta Rzeźbiarka.

- Błądziła od pewnego czasu, jej życie skupiało się wokół jeziora. Krążyła w świecie żywym, jednak bardziej przebywała w świecie martwym. Była tu, a zarazem była tam. Wciąż widziano ją nad jeziorem i stało się to, co musiało się stać. Wypłynęła łodzią na jezioro, i została tylko łódź. Ludzie mówią, że się utopiła, myślę, że sama tego chciała.

- Jej świat nie był światem stąd – mówi Rzeźbiarka.

- Kiedyś tak, od dłuższego czasu nie – mówi matka.

- Nikt nie mógł jej pomóc – mówi Eliza. – Gdy ktoś od dłuższego czasu żyje w martwym świecie, przechadza się wśród cieni i szarości, już nie chce wrócić do żywego świata. Żywy świat jest martwy, martwy świat, nagle staje się żywy. Gdy przekroczysz choć raz granicę świata umarłych, nie ma już odwrotu, zawsze będziesz tam wracała, aż w końcu tam zostaniesz, aż w końcu znajdziesz sposób i drogę, aby tam zostać na zawsze.

- I została. Znalazła drzwi do tamtego świata – mówi matka.

- Napiisała testament – mówi Eliza. – Twoja córka dziedziczy ten dom. Myślę, że to dobry testament. Jej decyzja jest mądra. Ty tutaj najbardziej pasujesz. Tworzysz rzeźby, jesteś mądra, potrzebujesz ciszy, żeby coś stworzyć innego. Myślę, że dała ci szansę na poznanie siebie.

- Ja... – Rzeźbiarka jest zaskoczona. – Sprzedam dom, dam wam pieniądze. To wasza matka.

- Nie – mówi cicho Ciotka Eliza. – Dom jest twój. Dzięki tobie on przetrwa. Dzięki tobie ona przetrwa. Myślę, że wiedziała co robi. Ty sprawisz, że to miejsce odżyje, pamięć po niej odżyje.

Ludzie są coraz bardziej pijani. Rodzina znów się poznaje na nowo. Za pomocą wspomnień, które kiedyś zatartł czas. Czują się bliżej, pomimo braku bliskości na co dzień.

- A pamiętasz – mówi wujek.

- A wtedy ty – mówi ktoś inny.

- A kiedy – ktoś z tyłu dodaje.

- Tak, to było tak – ktoś się wtrąca.

Gdy alkohol jest już wszędzie, w nogach, na twarzach, w ruchach rąk, w głosie, w całym ciele, ludzie, teraz rodzina, zaczynają mówić to, co jest zawsze obecne, gdy rodzina jest daleko:

- Musimy się spotkać.

- Koniecznie.
- Przyjedziesz do nas...
- Pojedziemy razem na wakacje.
- Ja też lubię morze.
- Kocham góry, kiedyś pojedziemy tam razem.

A potem odchodzą od siebie, ściskają się czule, namiętnie (alkohol pomaga, bardziej niż smutek), wracają słowami do obietnic i uciekają do samochodów, do swoich światów, do wspomnień, które jutro będą niewidoczne, rozmazane, nieistotne.

Pijane wspomnienia, obietnice nagle umykają, gdy zbudzi je świt, gdy obudzi je kolejny dzień. Coś co było ważne wczoraj, nie jest ważne dzisiaj. Słowa z wczoraj mają inne znacznie dzisiaj.

Bankowiec (od pieniędzy) idzie z teczką do pracy; jego blond krótkie włosy, są zawsze ułożone tak jakby wszystko w świecie miało ład, porządek, jakieś znaczenie. Jego kroki schludne, odliczone jak liczby godzin w pracy, przyporządkowane ziemi, kwiatom, chodnikom, ulicom, jego ciało opięte w garnitur, popielatą koszulę, krawat, to wszystko co w nim jest, to czego w nim nie ma, mówi mu, na razie niewyraźnie, podświadomie, gdzieś w głowie, że studia, jego zaangażowanie nic mu nie pomogą, że zawsze będzie tkwił w okienku, za szybą. Będzie uśmiechał się do nieznanomych twarzy, niekiedy bardziej rozpoznawalnych niż inne, do spojrzeń zalęknionych, zagubionych, zawstydzonych, rzadko dumnych, agresywnych, odważnych.

Jestem tylko maszynką do przyjmowania pieniędzy, maszynką jedną z wielu, myśli.

Wchodzi do banku, wita się, podpisuje listę, siada za szybą i codzienność, szara monotonia codzienności schowana za szelestem pieniędzy.

Potem wraca do domu, obiad, kolacja, telewizor, niekiedy wyjście na piwo do miejsc, które zna, lubi, rozumie; miejsca też go rozumieją, akceptują, nie oceniają. Powroty do domu senne, nieobecne, przygaszone, niekiedy otepione alkoholem. Tak, wtedy czuje, że nic nie czuje, że ta cisza to stan wyjątkowy w jego ciele, stan, który pozwala mu przetrwać bezradność, zastój. Łudzi się, że zastój pozorny.

Bankowiec ma kilku znajomych z pracy, kilka koleżanek z pracy. „To smutne, kiedy nasze życie skupione jest wokół ludzi z pracy, nie jest niczym innym zaznaczone, niż praca”.

Ludzie z miasta, z jego okolicy, z ulicy są mu obcy. Nie zna ich, oni nie znają jego. Widzą go, rozumieją że jest, gdzieś mieszka, gdzieś podąża, coś w nim żyje, ale go nie ma, jego postać pojawia się tu, tam, podąża niewidzialnie gdzieś dalej, w odległe miejsca. Jest widmem nieznanym, dobrze ubranym (zawsze w garnitur, rano, w południe), zmierzającym do obcych drzwi i koniec.

Dzisiaj rano, po burzy w nocy, z błyskawicami i wiatrem, takim wiatrem, który niszczy, zabija, przenosi coś z jednego miejsca w drugie, Bankowiec czuje nerwowość, bezradność schowaną za niepokojem i napięciem. Niezastygającym napięciem w głowie.

Wchodzi do pracy, jego kroki są inne, nie takie jak zazwyczaj, mają w sobie smak walki, niechęć do kroków z wczoraj, do kroków z ostatnich lat.

Nie rozumie tego, nie pojmuje. Czasami tak wielu spraw nie pojmuje, czasami tak wielu rzeczy nie rozumie. Nie dostrzega.

Może to zasługa snu, którego dokładnie nie pamięta, ale koniec wyobraźni, nad ranem, to wspomnienie czerwieni, jakiegoś hałasu, grzmotu, a potem ta czerwień, jej smak, znacznie się rozmyło i nastąpiła pustka, cisza, niemoc pokonania wspomnień za wszelką cenę.

Siada, kładzie swoją teczkę przy okienku, taki nawyk, przyzwyczajenie, potem ona śpi kilka godzin w jego nogach, niczym wierny pies, dozorca domu, myśli, pragnień i zaczyna się codzienność, rutyna, przyzwyczajenia, nawyki. Jego twarz ma posmak nudy i niechęci, którą chowa za uśmiechem miłym, życzliwym, usłużnym (taką praca, taki zawód).

Jeden klient (miły), drugi klient (smutny), trzeci klient (nerwowy), i następny, i następny i kolejny...

Nagle ktoś wchodzi, mężczyzna, długi płaszcz, czarny, luźny, rozgląda się, staje w najdłuższej kolejce (Bankowiec to zauważa), potem kobieta, przepycha się, mówi coś o dziecku, chorym, ma gorączkę, ludzie się litują, wiadomo, dziecko, płacz, problemy.

Kobieta z uśmiechem, z ładnym makijażem i błękitnymi oczami zaczyna krzyczeć:

- To napad, ręce do góry!

Ludzie podnoszą ręce, nie mówią, stoją sparaliżowani. Słychać strzał z pistoletu do góry, drugi strzał z pistoletu w podłogę – mężczyzny w czarnym płaszczu.

- Pieniądze! – krzyczy kobieta, a jej makijaż przybiera złą barwę, zły ton, ma smak agresji i gwałtu.

Wszystkie okienka wyciągają pieniądze.

Koleżanki Bankowca, niewolnice kredytów, własnych, obcych, na matkę, na ojca, na siebie, są jak roboty zaprogramowane na przetrwanie, zapieczętowane na wieczne posłuszeństwo, na obawy, że świat runie, gdy one runą teraz, nagle, dzisiaj.

Słychać szelest pieniędzy w okienkach, ciszę na sali, strach, że coś nagle się skończy, coś się urwie i zapanuje cisza, brak powrotu.

- Szybciej! – krzyczy mężczyzna.

Bankowiec sięga (nieświadomie) do teczki, patrzy się w oczy kobiety, nie mówi, wyciąga pistolet i kieruje go w jej twarz.

- Albo ty, albo ja – mówi spokojnie, i ten spokój go dziwi, zastanawia, myślał, że jest tchórzem, jak większość ludzi.

Kobieta drętwieje, makijaż staje się niewyraźny, zakłopotany, oczy skupiają w sobie niepewność, brak kontroli nad sobą, nad wszystkim wokół.

- Zabiję cię, gdy będę musiała – mówi niepewnym, łamiącym się teraz głosem kobieta. – Opuść broń.

- Dobrze – mówi Bankowiec, nacisnął przed chwilą przycisk pod lada, wie, że czas mu pomoże. – Odejdziemy razem. Ja i ty. Jesteś piękna. Dobrze umierać, gdy mamy koło siebie piękną kobietę, którą kochamy albo nienawidzimy.

- Opuść broń – szeptem mówi kobieta. – Proszę cię. Nie chcę cię zabić. Nie chcę zrobić czegoś, czego nie zapomnę do końca życia.

- Ty to zrób – uśmiecha się Bankowiec, jest mu obojętne co się stanie, dziwne uczucie, czuje obojętność na strach, obojętność na śmierć. – Zaraz oddam strzał. Kolejność nie ma znaczenia, odejdziemy stąd razem. Wspólnie przekroczymy piekło, za zabicie kogoś, kogo nie znamy.

- Raz, dwa, trzy – liczy Bankowiec – na dziesięć strzelał.

Za oknem słychać sygnał policji, coraz bliższy i silniejszy. Kobieta się trzęsie, zaczyna drżeć jej ciało. Usta, głowa, powieki, ręce

są w nieustannym chaosie, w nieuporządkowaniu. Mężczyzna w płaszczu ucieka, słyhać jego kroki, szybkie, pospieszne na ulicy.

Kobieta nic nie mówi, tylko drży, teraz cała jest spięta, ktoś wbiega do banku, zakłada jej kajdanki, a potem, po ciszy następuje hałas i głośne oklaski.

Bankowiec patrzy zdziwiony, nie jest kimś znanym, gwiazdorem, aktorem, muzykiem jednak oklaski odbijają się od niego, od jego uśmiechu.

Policjant łagodnie uśmiecha się w gabinecie dyrektora banku. Dyrektor teraz jest odprężony, zaraz po tym gdy był przed chwilą spięty, jak usłyszał to, co musiał usłyszeć. Bankowiec siedzi zdziwiony miejscem o którym wiele słyszał, ale nigdy tam nie był, nie miał prawa być. W gabinecie, tym gabinecie, w pokoju gdzie wszystko ma ład, porządek luksusu i elegancji, takiej wytworności, gdzie projektant wewnątrz może sobie pozwolić na wszystko, na cały swój kunszt i talent, słyhać głos policjanta:

- Skąd ten pistolet u pana? – pyta łagodnie jak ojciec, który chce syna pochwalić za coś, na co być może nigdy by mu nie pozwolił.

- Mieszkam na skraju miasta, koło lasu, zaraz koło mnie są pola, przestrzeń, to dom moich rodziców, których już nie mam, odeszli niedawno, ale dla mnie to wieczność – mówi drżącym głosem, głos spokojny został w okienku, a teraz coś każe mu mówić nerwowo, niestabilnie i niepewnie, jak mówią ludzie, gdy są blisko prawdy, takiej prawdy, która jest w nich, która skupia w sobie ważne osoby, od których wiele zależy, od których może zmienić się wszystko. – Ostatnio ktoś okrada domy, mieszkania z rzeczy, z przedmiotów, z wiary, ze spokoju ludzi, którzy tam mieszkają. Miejsce, gdzie mieszkam, to jeden wielki niepokój, napięcie, brak ciszy, która tam była obecna od pewnego czasu. Wczoraj odebrałem broń ze sklepu, mam na nią pozwolenie, zapomniałem ją wyjąć z teczki, źle się czułem wieczorem. Dzisiaj ją miałem ze sobą przez przypadek, jest nienabita, naboje są jeszcze w opakowaniu. Kupiłem ją ze strachu, żeby lepiej spać w nocy.

- Rozumiem – mówi policjant. – Sprawdzimy to, co pan mówi. Broń niektórym daje bezpieczeństwo, niektórym władze. Na razie ją wezmę ze sobą. Jak się wszystko wyjaśni, odbierze ją pan na poste-

runku policji. – Policjant się uśmiecha, tak swobodnie i czule. – Jest pan bohaterem. Panie dyrektorze, gratuluję takiego człowieka w banku. To rzadkość, odwaga dla innych, nie dla nas samych.

Policjant wychodzi, znika za masywnymi, czarnymi drzwiami.

Prezes patrzy na Bankowca czujnie, inaczej niż patrzy na ludzi zazwyczaj. Jego stanowisko, władza, moc władzy skierowana w kierunku innych, mniej ważnych niż on, moc która sprawia, że ludzie się go boją gdy są koło niego, ta moc jest teraz bezbronna wobec tego człowieka. Zaskoczył go.

Zazwyczaj ludzie go nie zaskakują, a ten ktoś, ktoś obcy, mały, nieistotny, nic nie znaczący zaskoczył go. Sprawił, że uczucia zapomniane, stany bezbronne w nim, odległe, coś co miał, a myślał, że stracił, uciekło mu kiedyś, te rzeczy do niego wróciły, teraz i namieszały mu w głowie tak niespodziewanie.

- W życiu oprócz talentu, trzeba mieć szczęście – mówi Prezes, głosem pewnym, w którym skupione są jakieś prawdy, jego prawdy. – Jeśli nie masz szczęścia, talent ci niepotrzebny. Jest jak balast, który czegoś chce, ale nie może tego zrobić, i ciągnie cię w dół, a na samym dnie jesteś ty, obdarty z brudów i upokorzeń. Ty prawdziwy, ty rzeczywisty.

Prezes patrzy skupionym, czujnym okiem na Bankowca, który siedzi, nic nie mówi, słucha, łapczywie łapie, wręcz połyka jego słowa, dźwięki, gestykulacje.

- Nie wiem, czy to co zrobiłeś to talent, szczęście, czy głupota. Może każda z tych rzeczy, może żadna. Wiem jedno – Prezes zawiesza głos, patrzy za okno – zaskoczyłeś mnie. Rzadko ktoś mnie zaskakuje. Dlatego jestem w tym miejscu, nie innym. Nikt nie jest w stanie świadomie mnie zaskoczyć, dlatego jestem taki dobry. A ty? Sam nie wiem, dlaczego wzbudzasz we mnie takie uczucia. Dziwne uczucia.

Prezes chodzi po pokoju, jego buty wykonują ruchy po liniach prostych, są skurczone w jakimś ładzie, porządku, sensie – przyporządkowaniu do czegoś istotnego, czegoś ważnego.

- Nie będziesz już pracował w okienku. Dam ci szansę. Czy ją wykorzystasz, zobaczymy. Byłeś tam, gdzie powinien być. W miejscu, gdzie coś się zaczyna, coś się kończy. Co będzie dalej, czas pokaże. Ważne, żeby być tam, gdzie szczęście i życie się krzyżują,

żeby być tam, gdzie talent i prawda łączą się ze sobą nieodwracalnie. Wracaj do pracy, jutro będzie początkiem nowego życia.

Prezes, zaraz po wyjściu Bankowca, patrzy na niebo, na chmury, które niesie wiatr, które przemieszcza przestrzeń.

„Nieprzewidywalność to prawda tych, którzy widzą więcej niż inni – myśli. – Ludzie nieprzewidywalni to ludzie prawdziwi, obdarci z ran, bólu, niepewności. Niepewności schowanej za nieprzewidywalnością”.

Bankowiec siedzi w swoim gabinecie – jest duży, oszklony, z jasnym zapachem, z meblami, które są stare w swojej nowości. Obrazy na ścianach, komputer nowy, sprawny, co liczy to co jest ważne, odejmuje to, co jest nieistotne, niepotrzebne, zbędne, kilka telefonów, jeden służbowy, drugi prywatny, trzeci do kogoś, czwarty do osoby ważnej, może najważniejszej – to wszystko ma, rozumie, potrzebuje.

Jest wysoko, nie na szczycie, ale wysoko. Wystarczyło kilka lat, dużo poświęceń, niezauważalności pewnych rzeczy u siebie, u innych, spędzanie zbyt małej ilości czasu w domu, więcej poza nim, zrezygnowanie z marzeń i prawd w zamian za marzenia inne, prawdy odmienne. Trochę arogancji, zapалу, wyrzeczeń – wszystko skumulowało się i eksplodowało, że jest teraz tu, zarabia tak, jak zarabia.

Z góry, z samego nieba, widać miasto, ludzi, tramwaje, autobusy, samochody, widać domy, często puste, bezimienne, widać brudną obdartą z życia ulicę, pełną tych, co już w nic nie wierzą, niczego nie pragną.

Na tej ulicy, w kamienicach z popękkanymi oknami, z rynnami połamanymi jak życie człowieka z roztrzaskanym sensem, Bankowiec widzi kobietę, starą, spacerującą zawsze pomiędzy piętnastą a szesnastą godziną. Codziennie, w zielonym płaszczu, popielatym kapeluszu, chodzi i wraca w to samo miejsce, w ten sam punkt, na kogoś czeka, krąży równą godzinę, w zimie, w lecie, na wiosnę, w jesień. Chodzi powoli, spaceruje, pomimo deszczu, śniegu, czasami wiatru.

Niepokoi to Bankowca od pewnego czasu, aż w końcu się odważył i podszedł do niej, porozmawiał, pokiwał głową, zrozumiał, od-

chodząc dał ciepły, miły uśmiech, może grymas. Więcej w nim grymasów niż ludzkich uczuć. Więcej pychy niż powagi.

Kobieta powiedziała, że kiedyś, dawno, gdy była młoda, piękna, inna, zanim ją życie całkowicie zmieniło, zniszczyło poprzez płacz i rozpacz, spotkała kogoś, mężczyznę. Miłość do niego, wielka, namiętna, pełna troski o kogoś innego ją ukształtowała. Potem się spotykali, tutaj, zawsze o piętnastej, co kilka dni. I nagle on zniknął, nie pojawił się, nie przyszedł więcej.

Szukała go wszędzie, nie mogła go znaleźć nigdzie. Miasto to obłąd, gdy szukasz kogoś bliskiego. Wierzyła, że kiedyś tu wróci o piętnastej, czuła, że wróci, musi wrócić. I ciągle tu przychodzi, i ciągle wierzy, pomimo lat, wieku, starości.

- On przyjdzie – mówiła. – Musi przyjść. Ważne rzeczy zawsze przychodzą, gdy tego mocno pragniemy. Ale musimy wierzyć i trwać. Nie poddawać się. Wielka miłość zawsze wraca, po latach, gdy wierzymy, gdy pragniemy.

Bankowiec wciąż ją obserwuje, codziennie, przez zaszkłone okno. Zaraziła go swoją wiarą. Ma jej więcej niż on, więcej niż inni.

„Wiara skupiona w małym ma więcej prawdy, niż złudna siła w wielkim”.

Bankowiec pakuje teczkę, zamyka ją na zamek, szyfr, schodzi na dół schodami, nie zjeżdża windą, na dzisiaj ma dość ludzi, dość ich lęków i obaw (bank – korporacja, kariera – niepewność, wyścig – ciśnienie).

Wychodzi na parking, podchodzi do czarnego samochodu, nowego, dobrego, znanej firmy, wsadza kluczyki do zamka, w szybie zauważa coś, co go niepokoi. Jakiś obraz, twarz, symbol, jakiś bezkształt, forma, wspomnienie, może lęk, obawa, sam nie wie co. Mruży oczy, widzi kontury czegoś niewidzialnego, istotnego i nagle...

Pisarz chodzi po tarasie, ma z niego widok na miasto, zapętlone miasto ostateczności. Miasto, które umiera, rozpada się, wciąga najsłabszych do siebie, do środka, do jego wewnętrznej struktury. Miasto gnije – on gnije.

Nic nie może napisać od jakiegoś czasu. W głowie pustka, w myślach pustka, w sercu pustka. Kiedyś czuł, że pustka nadejdzie, myślał, że później. Pojawi się wtedy, gdy będzie na nią przygotowany bardziej. Teraz wie, na żadną pustkę w życiu nie można się wcześniej przygotować. To niemożliwe, nierealne, nieuczciwe.

Chce pomóc sobie używkami, ale to też mu nie pomaga, próbuje kobietami, przyjemne, ale bezskuteczne, wciąga się w wir ludzi ciemnych, okrutnych, zakazanych – to okrucieństwo – ale też bezowocna to walka, a potem zbliża się do śmierci, jak najbliżej, jest tam gdzie ona śpi, czeka na swoje ofiary, wie, że jest cierpliwa, bardzo cierpliwa, przebywa z nią sam na sam – nic mu nie pomaga.

Siada bezradnie na podłodze, na szorstkim dywanie, rozrzuca papiery z próbami czegoś nierozpoczętego, opuszczonego w nim na zawsze, i płacze jak dziecko, nad swoją niemożnością i stratą.

- Dlaczego? – łyżę go oczyszczają, zmywają z niego coś, co w nim jest, a zarazem tego nie ma. Obsesję.

- Znowu płaczesz – słyszy głos koło siebie.

Przeciera oczy, łyżę uciekają w skórę, w jej drżenie i zapach.

- Znowu te jęki, niemoc, nadwrażliwość – mówi czerwona łuna na tarasie, łuna wpadająca w czerń. – Nadwrażliwość to rzeczywisty stan pisarzy, którzy nagle rozumieją, że już nic prawdziwego nie napiszą. Nic istotnego. To boli.

Pisarz wyteża wzrok, widzi światło, wygląda jak płomień, jak dym w kominku, to obłęd, który w niego wchodzi. Obłęd bardziej prawdziwy niż życie.

„Życie to obłęd schowany za resztkami życia” – myśli.

- Mogę ci pomóc, pod jednym warunkiem, jak zaufasz sobie, jak zaufasz mnie.

- Nie rozumiem – mówi cicho, szeptem Pisarz.

- Nie musisz. Ważne, że ja rozumiem. Dam ci tematy, historie ludzi którzy żyją, czegoś chcą, pragną jak ty. Zobaczysz ich poprzez mnie. Ale...

- Co mam zrobić?

- Skoczysz z tego tarasu, teraz, ze mną, w tej chwili. Chodzi o zaufanie. Bez zaufania nie ma niczego, bez zaufania nie ma sztuki.

- Przecież zginę – boi się Pisarz, jego oczy rozszerzają się bardziej niż zwykle, bardziej niż ból, bardziej niż prawdziwe znaczenie tego bólu w nim.

- Na chwilę tak, na wieczność nie – śmieje się luna, teraz jest czarna jak sadza, szara jak śmierć.

- Kim stanę się potem?

- Potem? Dlaczego? Po co? – ciągle pytania, nieustanny brak odpowiedzi. Nieustanność – skup się na tym. To najważniejsze słowo ludzi wątpiących. Nieustannie pijani, nieustannie zachłanni, nieustannie cierpiący i... nieustannie martwi.

- Nieustannie w niemocy.

- Właśnie – śmieje się dym i przemieszcza bliżej niego. – Skocz, zmienisz się we mnie, na chwilę, zobaczysz swoje opowieści, książki, ludzi, a potem przejdziesz do wieczności, dzięki nim. Będiesz najbardziej znanym pisarzem wątpiącym. Nieustannie wątpiącym.

Pisarz wchodzi na taras, niebo jest tak gwiaździste teraz, słońce, może już księżyc (wszystko mu się miesza, wiruje, pulsuje) jest czerwone i też zapach spiekoty, miasta, który odbija się od dachów, ścian, kamienic. Jest lato – suche, parne, pełne kurzu i brudu. Lato bez jasnych barw i złudzeń.

- Śmiało. Jeden krok i wszystko się zmieni. Wrócisz tam gdzie jest twoje miejsce.

- Na pewno?

- Tak. Kroki ostateczne, skrajne to jedyne rozwiązanie, gdy jesteśmy na rozdrożu. Bez skrajności nie ma ludzi, bez skrajności nie ma sztuki.

Pisarz odbija się, skacze, czuje pęd powietrza, leci wolno, nagle słyszy śmiech za sobą, pusty, obcy, niebezpieczny.

- Oszukałaś mnie! – krzyczy.

- Sam siebie oszukałeś. Chciałeś więcej niż inni. Przejdziesz do wieczności. Jesteś w wieczności.

- Nie! Nie chcę skończyć na ziemi, gdy nie dotknąłem jeszcze nieba!

- Wieczność to nieustający obłąd. Ci, co mają obłąd, nieustannie zanurzają się w wieczności.

Ziemia zbliża się, wchłania go, już prawie dotyka jego ciała, ramion, rąk. Już prawie chwyta jego głowę w swoje szpony...

Pisarz budzi się koło łóżka, na tarasie widzi resztki ogniska, czerwony obrus z salonu jest prawie spalony. Kartki z rękopisu, to co chciał napisać, próbował napisać, leżą w nieładzie koło popiołu, zanurzają się w sadzy.

Podchodzi do nich, bierze do ręki, patrzy z niepokojem na litery, zdania, przecinki, na ich sens i znaczenie, potem je targa i rzuca na dół, za taras.

Przez chwilę lecą prosto, potem się łamią, falują, zniekształcają i wtedy są najbardziej prawdziwe i istotne. Mają w sobie nierealny kształt i zapach życia.

Pisarz odwraca się, łamie pióro, odchodzi. Wie, że już nic nie napisze. Nic istotnego. Coś w nim zgasło kiedyś, coś w nim zgasło teraz.

Bankowiec otwiera oczy szerzej, jego źrenice są zdumione, stają się jednym wielkim ogromnym zdumieniem. Patrzy przed siebie, widzi coś innego, nie to co było kiedyś. Jest w innym miejscu, w innym punkcie, w innej przestrzeni. Nie jego przestrzeni.

Wyraz twarzy, ruchy rąk zastygają na moment, może na wieczność.

Bankowiec stoi na skraju lasu, widzi drzewa, krzewy, grzyby, jasną korę oświetloną cichym blaskiem słońca, zauważa przestrzeń nasączoną ciszą lasu.

Przeciera oczy rękami, nie pamięta jak się tutaj dostał, nie pamięta fragmentów drogi, przemieszczania, nie pamięta nic istotnego z teraźniejszości, z równoległości dwóch przestrzeni; pamięta tylko to co jest w nim, w środku, w głowie.

Cała droga, cała jej przestrzeń i kształt to złudzenie, cisza, mgła, jakiś sen, taki sen, którego się nie pamięta nad ranem, nie pamięta później, w ciągu dnia.

Bankowiec pamięta to co w nim jest, co jest urojone, co jest niewidoczne. Te obrazy, te lęki, ta niemoc, może pragnienie to sen, nie życie. Prawdziwe życie gdzieś uciekło, przepadło, gdy on był tam, nie tutaj.

Wraca do miasta ulicami, które zna z perspektywy samochodu, szumu silnika, obrazów szybko znikających za szybą.

Wchodzi na parking, widzi czarny samochód, stoi z kluczykami w zamku. Podchodzi do drzwi, zauważa, że kluczyki drżą, ruszają się, niepokoją się w przestrzeni, choć wiatru nie ma, burzy nie ma, jego nie ma. Kluczyki w końcu zastygają, zmieniają się w ciszę.

„Dziwne – myśli Bankowiec. – Drżą jakby czekały na mnie, jakby czas się zatrzymał, zasnął na jakiś czas”.

Wsiada do samochodu, włącza silnik, zapala światła, odjeżdża do domu. Martwi się, co będzie gdy czas nierzeczywisty zabije w nim resztki rzeczywistości, ostatnie prawdy.

Mija miesiąc, długi, monotony, pełny nierealności. Bankowiec coraz częściej ucieka w niebyt, coraz częściej ucieka w nierzeczywistość. Dzieje się to nagle, niespodziewanie, sen wkracza w niego szybko, zaskakująco, odważnie.

Bankowiec gdzieś idzie, coś widzi, jakieś kształty, twarze, ruchy i nagle pustka – budzi się gdzie indziej, w innej części miasta.

Wraca do punktu wyjścia, do punktu zero – do startu, gdzie rozpoczynał bieg – senny bieg nasączony niewidzialnością, senny kształt przepelniony obojętnością.

Pamięta to, co ma w głowie, nie pamięta tego, co ma przed oczami.

Martwi się, dlaczego niepamięć nagle staje się pamięcią, a pamięć przeistacza się w niepamięć. Martwi się co będzie, gdy to nie zniknie, co będzie, gdy to zostanie w nim na jakiś czas, może dłużej.

Złe prawdy niszczą czas, niszczą resztki czasu w przestrzeni, resztki czasu poza nią.

Obawia się złych decyzji, które może podjąć w pracy, gdy będzie w niepamięci. Wie, że może stracić to, na co tak długo pracował i wciąż pracuje – sukces.

Gdy będzie z ludźmi w gabinecie, gdy jakaś decyzja będzie musiała zaważyć na jego życiu, na życiu firmy, i wtedy to się nagle pojawi, niezauważalnie i nie zniknie, a potem on ucieknie, nie wie gdzie, nigdy nie zna miejsc swoich ucieczek, a potem Prezes go zawoła, spyta o sens, o ucieczkę, o niezrozumiałość tego co się w nim dzieje – co wtedy będzie? co mu powie? jak wytłumaczy swoją słabość? ucieczkę od lęków. To martwi go coraz bardziej, nie kontroluje już swojego życia, czasu i przestrzeni. Kształtów.

„Coraz więcej przebywam w sobie niż w realnym życiu – myśli czasami. – Coraz częściej chcę przebywać w sobie niż w realnym życiu”.

Któregoś dnia, sennego, pełnego mgły, takiego dnia, gdy chmury szybko uciekają za szybą, przemieszczają się raz w prawo, raz w lewo, odbijają się od murów, szyb, ludzi, od miasta, jego konturów i płaszczyzn, Bankowiec ucieka w zapomnienie, w sen.

Gdy wraca do pracy jest już za późno, widzi zdumione twarze, roztargnione spojrzenia, zalęknione oczy, potem idzie do Prezesa, a on milczy, każe coś podpisać, mówi o stratach, o zaufaniu, o braku intuicji. Powtarza wciąż jedno słowo „strata, strata, strata” i wtedy Bankowiec wie, to koniec, coś się zmienia dla niego, dla firmy – odwraca się i odchodzi.

Nic nie tłumaczy, nie chce nikomu tłumaczyć się ze swojego życia, ze swoich lęków i obaw. Ktoś kto tłumaczy się ze swojego życia, nie żyje naprawdę.

Kilka dni milczy w domu, przemilcza poranki, popołudnia, noce, sny, przemilcza posiłki, kroki, potem budzi się na chwilę, na moment i znów ucieka w milczenie – wobec świata, ludzi, siebie.

Potem pakuje rzeczy, powoli, systematycznie, dokładnie, układa je w kostkę równo do wielkiej granatowej torby, siada, odpoczywa, łapie chciwie każdy oddech, każdy jego podmuch i zrozumienie, leniwie wstaje i znów upycha martwe przedmioty do torby, dokładnie, ściśle i precyzyjnie.

Schodzi na dół do samochodu, odjeżdża. Ucieka do dzieciństwa spędzonego z rodziną daleko, nad jeziorem, nad lasem, nad nigdy nie znikającą przeszłością. Nad ciszą schowaną za drzewami, nad ciszą schowaną za wspomnieniami.

Rzeźbiarka (w drzewie) patrzy na niebo, na jego kształt i bezwymiarowość. Widzi stado koni, rozmyte i rozmazone, przechodzące z bezkształtu w świadomość innego obrazu, znaku, symbolu, i te konie, wierzchowce, mustangi, może inne pędzące zwierzęta skupiają się w jednym jasnym punkcie, w blasku do którego zmierzają, wpadają, chcą wbiec i zniknąć – na zawsze.

Rzeźbiarka uśmiecha się, kocha chwile gdy może patrzeć na niebo i może widzieć w nim obrazy (takie jak w Krakowie na murach), obrazy, których nikt nie dostrzega tak jak ona. Czuje się wtedy wolna, niczym nie ograniczona.

Mieszka w domu babci od kilku miesięcy. Mieszka i tworzy – rzeźbi.

Zadomowiła się tutaj, oswoiła się ze swoim ciałem w innym miejscu. Trwało to krótko, nie tak długo jak myślała, że będzie trwać. Rzeczy nowe stały się stare, rzeczy stare stały się odległe, zapomniane, mniej istotne niż kiedyś.

Przedmioty, mury, uczucia tamtego życia są odległe, zapomniane, coraz bardziej nienazywalne. Ich znaczenie to mgła, deszcz, cisza. Cisza coraz bardziej milcząca i zamierająca.

Przedmioty, ściany tego życia są jej coraz bliższe, bardziej znaczące i istotne. Rzeźbiarka je dotyka, oswaja ze swoim przebywaniem, zapachem i ruchem.

Już nie kłóć się ze sobą, już nie omijają się ze złością i niezrozumieniem, już nie podkładają sobie belek, kłód i pułapek na co dzień. Stali się sobie przyjaźni, i ta przyjaźń jest coraz bardziej znacząca, coraz bardziej gorąca.

Rzeźbiarka rzeźbi codziennie, czasami rano, niekiedy wieczorem, najczęściej w południe.

Na początku, gdy jej ręce drżały, a drżą już codziennie, nieustannie, zachłannie, starała się unikać rzeźbienia. Przystawała nagle, odrzucała drzewo z niechęcią, z obawą, ze wstrętem, a potem, gdy na nie patrzyła z lękiem, ze smutkiem czegoś straconego, czegoś co nigdy już nie wraca w stanie poprzednim, podnosiła je i znów zaczynała rzeźbić, powoli, z jakimś wewnętrznym buntem.

Teraz rzeźbi gdy jej ręce drżą, pulsują, grają jak pianista na pianinie.

Zrozumiała, że dzięki chorobie, skazie, przekleństwie coś zmienia w sztuce, coś zmienia w sobie.

Jej rzeźby są inne, mają ruch, zagubienie, ucieczki lęków z jej ciała.

Zawozi je do Krakowa co jakiś czas, i tam, ku jej zdziwieniu, w sklepach sprzedają się coraz lepiej. Ludzie przychodzą, patrzą, pytają

dlaczego drżą, dlaczego są w nieustannym ruchu, dlaczego mają inną świadomość, dlaczego ucieczka to jedyny ratunek?

Potem je kupują, polecają innym, chcą mieć w domach część tego ruchu. Łudzą się, że ich martwe życia nagle ożyją, opuszczone ściany zaczną drgać i coś się w nich zmieni, w miejscach w których żyją (za długo, za często).

Zorganizowała dwie wystawy, obie udane. Pisali o nowym kierunku, o nowej barwie w sztuce rzeźbienia.

„W końcu coś w sztuce ma kształt, wymiar nasączony ruchem. Do przodu, nie do tyłu” – ktoś napisał w gazecie. – „Sztuka to ruch, ruch donikąd, ruch do celu”.

Rzeźbiarka stoi przed domem, na werandzie, pod zadaszeniem, patrzy na drzewa, na jezioro schowane w oddali za lasem.

Nagle wiatr szeleści gdzieś pomiędzy drzewami, w sercu Rzeźbiarki pojawia się niepokój, o czymś jej przypomina, o tym, o czym chciała zapomnieć, co jej nie daje spokoju od pewnego czasu.

Niekiedy gdy chodzi po lesie, pomiędzy krzakami, grzybami, drzewami czuje obecność kogoś obcego koło siebie. Wtedy staje, zatrzymuje swój ruch i rozpęd, spogląda za siebie (nic nie widzi), odwraca wzrok w inną stronę (pustka) i idzie dalej. Ale niepokój wciąż w niej jest. Czuje, wręcz jest pewna, że ktoś koło niej jest – ktoś widoczny, cielesny.

Idzie (słyszy kroki), staje (słyszy ciszę), biegnie (słyszy pęd powietrza).

Gdy ma więcej odwagi (z rana, wtedy ciało jest świeże, mocne, silne), bawi się w szpiega, w agenta, w śledczego. Idzie tam gdzie coś ją niepokoi, przygląda się korze na drzewach (widzi jasne odciski palców), dotyka liści zmiętych na drzewach (są ciepłe, naznaczone obecnością kogoś niewidzialnego), widzi strącone gałęzie na drodze (ścieżka jest naruszona, zburzona czyimś pośpiechem), a potem nagle zaczyna biec przed siebie, szybko i gwałtownie, wtedy słyszy w oddali przed sobą ruch, pośpiech, trzask łamanych gałęzi.

Rzeźbiarka nie boi się, zawsze była odważna. Ktoś kto ucieka jest bardziej słaby niż ktoś kto goni. Ucieczka to cecha strachu, nie odwagi. Uciekający nigdy nie zrozumie goniącego, goniący nigdy nie zazna strachu uciekającego.

Rzeźbiarka idzie na spacer drogą którą zna, lubi i rozumie. Schodzi do jeziora, do jego brzegów, idzie wzdłuż linii wody, koło szuwarów, widzi wyspę na środku, małą, bezkształtną, zarośniętą gęsto, nieprzewidywalnie. Potem skręca w lewo, w kierunku starego zniszczonego cmentarza, zarośniętego czasem i historią, przeszłością. Widzi kościół pochłonięty obcością lasu, drzewami, które zaczynają do niego wchodzić niczym wierni na mszę. Gałęzie otwierają sobie okna, dotykają w środku ścian, krzyży, ławek. Krzaki rosną przy drzwiach, na środku kościoła, są jak pielgrzymi, którzy skupiają się na modlitwie. Gołębie, wrony, kruki siedzą na ołtarzu, na obrazach, na ławach, siedzą i milczą, są zastygłe, w bezruchu, w nienaruszalności tego miejsca.

Wchodzi do kościoła na chwilę, ptaki uciekają w popłochu przez wymarłe okna, przez dziurawy dach, skąd widać niebo, skąd widać wieczorem gwiazdy.

Żegna się, czuje kogoś za sobą, odwraca się i nic, tylko pustka, obłąd.

„Obłąd to myśli, które kiedyś zmieniają się w siłę” – powtarza sobie w głowie.

Wychodzi z kościoła, idzie dalej, jej kroki są szybsze, bardziej skoordynowane, chętne do ucieczki od tego obłądu.

Staje nad urwiskiem, widzi miasto w oddali – jest takie odległe, nieobecne. Tutaj wszystko jest takie odległe, nieobecne, myśli.

Wraca do domu, obecność kogoś obcego znika. Uśmiecha się do siebie, do swojego niepokoju i lęku. „Pokonując strach, zabijamy obłąd, zabijając obłąd, zapalamy nowe światło jutro, nowy blask przyszłości”.

Otwiera drzwi, wchodzi do pokoju, ściąga powoli płaszcz, ciepły, szary, wełniany. Patrzy na obraz w pokoju, obraz babci – jedyny jej, jedyny Rzeźbiarki.

Staw, może jezioro, na pewno nie morze, leży u podnóża lasu. Na nim, na jego tafli, granatowej poświęcanej wody płynie drewniana łódź, pusta, zagubiona, nieobecna. Wiosła dotykają wody, zastygłe, obce, nie na swoim miejscu. Jezioro milczy, nie ma w nim życia, nie ma w nim sensu, istnienia. Za lasem księżyc wynurza się z oddali, zza nierównych koron drzew. W wodzie, w jej głębi, widać jasny blask, błysk, odbicie czegoś istotnego, nieznanego; ten błysk, ja-

sność, to punkt, niewiadoma tego co w wodzie jest, czego w wodzie nie ma.

„Obraz to symbol czegoś, czego nie rozumiem. Znak, że stamtąd też można dostać odpowiedź, otrzymać wiadomość – myśli Rzeźbiarka”.

Obraz ją niepokoi, zadziwia, dręczy nocami, dniami. Jest odpowiedzią, której ona nie zna, pytaniem, którego ona nie potrafi zadać.

Gdy go dotyka, gdy czuje zapach farby, gdy jej palce wyczuwają kształty pędzla, ruch przeszły, teraz znaczący, Rzeźbiarka wie, że bliżej jest odpowiedzi. Robi to często, ale odpowiedź nie nadchodzi. Rozumie, że kiedyś nadejdzie i musi być na nią gotowa. Gotowa cały czas, nieustannie.

Zbliża się noc, księżyc dotyka drzew, ich wierzchołków, liści, szumu i nostalgii. Gwiazdy leniwie schodzą na dół, w kierunku ziemi, zbliżają się niebezpiecznie do granicy tego co jest widzialne, tego co jest niewidzialne. Rzeczywistość nocy niszczy ostatki jasności na ziemi.

Rzeźbiarka patrzy przez okno, leniwie, sennie, bez żadnych uczuć. Błogość jest w niej, błogość jest poza nią.

Nagle, pośród ciszy i ciemności, pomiędzy mrokiem widzi jasny punkt, jasne odniesienie czarnych barw lasu. Punkt, łuna, skaza dnia, nocy, zbliża się do jej domu. Jego jasność, skrajność, inność odbija się od ciemnych drzew, od ich gałęzi, konarów, liści. Żar raz jest, raz go nie ma. Pojawia się i znika, w miejscach odległych od siebie, niezależnych i dalekich.

Rzeźbiarka przeciera oczy, jasność jest coraz wyraźniejsza, bardziej kształtna i nazywalna.

W domu gaśnie światło, Rzeźbiarka idzie na korytarz, sprawdza korki, są dobre, nowe, bezpieczne, w domu jest mrok i cisza. Poza domem jasny punkt coraz bardziej zbliża się do murów budynku, do jej lęku i niezaradności poradzenie sobie z nim dzisiaj, poradzenie sobie z nim kiedyś.

Szuka świecy, otwiera komodę, szum wysuwanej szuflady rozjaśnia ciszę i pustkę, potem ją zapala; światło, ogień, blask mieni się w półmroku.

Rzeźbiarka wędruje ze świecą do okna, jej jasny punkt łączy się z jasnym blaskiem za oknem. Zespalają się nawzajem, przenikają w jeden łańcuch, w jedną więź.

Serce jej drży, łomocze, wybija szybciej sekundy, minuty, chwile. Mruży oczy, chce sięgnąć tam, gdzie nic nie widać – w ciemność. Gdzie wzrok nie sięga, gdzie pamięć nie może sięgnąć.

Coś zaczyna płonąć w oddali. Ogień, jego ramiona i lęki zaczynają pożerać okolicę, zabijają w niej to co jest żywe, to co umiera od jakiegoś czasu.

Zwierzęta, ich pęd, ucieczka, zagubienie, lęk, rozpacz biegną do przodu, przed siebie. Jeszcze ich nie widać, czarna kotara zakrywa twarze, obawy, lecz coraz szybciej biegną do przodu, do innej ciemności niż ta, która jest za nimi.

Rzeźbiarka je widzi, przed domem, w ogródku, za płotem. Jest ich tak dużo, jak dużo jest strachu w nich, przerażenia. Biegną wprost do domu, nie patrzą na nic, za siebie, przed siebie, na boki. Goni je lęk, przeraża je bezsilność.

Rzeźbiarka wchodzi pod stół, zanim coś rozwała drzwi, coś innego tłucze okna, coś obcego wdziera się do środka.

Zwierzęta przebiegają przez dom, skaczą, gubią się, obijają się o ściany, meble, stoły, są zdezorientowane ucieczką. Coś je goni, coś je pożera. Strach jest ich jedyną ucieczką. Jedynym celem.

Sarny śmiało wyskakują drugim oknem, dziki latają po pokojach, są zagubione, nieobecne, jelen z dużym porożem, koroną, zaczepia o lampę, żyrandol, kołysze się z nią przez chwilę, a potem odrywa ją od sufitu, lampa spada na jego grzbiet, a on ucieka wraz z nią przez drugie okno – większe, wyraźniejsze.

Niedźwiedź nie może wyjść trzecim oknem, zacina się pomiędzy tam, a tutaj, blokuje inne zwierzęta, które wpadają na niego w nieładzie.

Jeleń uderza go rogami, koroną, wiarą, że strach można pokonać tylko innym strachem, mocniejszym od tego pierwszego. Niedźwiedź wypada na zewnątrz, droga jest wolna, znów ucieczka ma sens, znaczenie.

Ptaki niczym samoloty na lotnisku latają z punktu A do punktu B. Nietoperze siadają na chwilę na suficie, a gdy odpoczną znów uciekają, ogień jest tuż za nimi, przed nimi, w nich.

Gdy złoty, ciepły blask jest tuż za oknem, Rzeźbiarka wychodzi spod stołu, nie boi się, ludzie umierają, zwierzęta umierają, świat umiera – ona też.

Stoi przy oknie, patrzy na ciepło, ławę przed sobą. Jest coraz bliżej, i bliżej, i bliżej...

Ktoś puka do drzwi, Rzeźbiarka otwiera oczy, wciąż jest ciemno w pokoju, nadal jest noc w domu. Podchodzi z lękiem, z trwogą, z niewiarą do drzwi. Otwiera je powoli.

- Mogę wejść – mówi starsza kobieta, z czerwoną chustą na głowie.

- Proszę.

- Potrzebuję spokoju, potrzebuję ciszy na chwilę – Star(usz)ka mówi sennie.

- Usiądź.

Światło zapala się w domu, obie kobiety gaszą świece. Patrzą się na siebie, oceniają się, widzą dwa światy wplecione w jedną wspólną chwilę.

- Znam cię – mówi Star(usz)ka miękko, czule, z przeszłością w każdym słowie, zdaniu, przecinku.

- Skąd?

- Gdy byłaś mała, bywałaś tutaj, u swojej babci, widziałam cię wiele razy. Żyjesz tu sama, próbujesz żyć sama. Będąc samemu, nie zawsze jesteśmy sami. Świat na to nie pozwala, ludzie na to nie pozwalają.

- Jesteś częścią mojej przeszłości, teraźniejszości, może przyszłości – uśmiecha się Rzeźbiarka.

- Jestem częścią lasu, częścią ludzi.

- Kawy?

- Chętnie – odpowiada Star(usz)ka.

Gdy para znad czarnej cieczy unosi się do góry, gdy ciepło przenika ich ciała, narządy, kręgosłupy, myśli, Star(usz)ka zaczyna mówić sennie, ospale, bez zbędnych nacisków na słowa, i ich prawdziwe znaczenie w teraźniejszości.

- Widzę, że coś cię gnębi. Coś nie daje ci spać, coś nie daje ci istnieć.

- Tak – zamyśla się Rzeźbiarka. – Dlaczego to zrobiła? Musiała? Chciała? Ktoś jej pomógł?

- Była sama, nie mogła być sama.
- Nie rozumiem.
- Nie wszystko można zrozumieć. Pewne sprawy musimy tylko zaakceptować.
- Śmierci nie można akceptować.
- Chyba, że prowadzi do czegoś wyjątkowego, lepszego, innego. Mniej bolesnego niż to, co jest tutaj.
- Opowiedz mi o niej. Coś. Cokolwiek. Chcę się do niej zbliżyć po śmierci, jak tylko to jest możliwe najbardziej, ponieważ nie mogłam zbliżyć się do niej wystarczająco blisko za życia.
- Gdy straciła męża, gdy czas stał się jej wrogiem, nieprzyjacielem, gdy poranki nie dawały szansy na radość, żal, zapomnienie, zapagnęła uciec, i to zrobiła.
- Samotność z kimś jest inna niż samotność z niczym.
- Widziała męża wszędzie, w przedmiotach, w domu, w ciszy, nad jeziorem. Był z nią, nie było go z nią. Coraz częściej rzeczy bliskie stawały się odległe. Nic nie cieszyło ją bez niego, nic nie cieszyło ją bez jego uwag i wad.
- Utopiła się?
- Nie – śmieje się Star(usz)ka. – Coś zobaczyła w jeziorze, koło jeziora, w jego głębi i ciemności. Spotkała się z mężem tutaj, chociaż już nie żył, dał jej jakiś znak, symbol, pokazał coś, że uwierzyła, że to on i odeszła. Gdzie? Tego nikt nie wie. Czasami świat nieżywy jest bardziej prawdziwy od świata żywego.
- Skoczyła do jeziora, tak mówią ludzie.
- Ludzie wiele rzeczy mówią, często nieprawdziwych i niegodziwych. Niegodziwość to cecha wspólna wszystkich ludzi teraz, wszystkich ludzi kiedyś. Bez niegodziwości nie ma ludzi, bez niegodziwości nie ma świata.
- Gdzie mieszkasz? – pyta Rzeźbiarka patrząc na kawę, kończy się, widać dno w szklance, widać czarną sadzę na dnie.
- Koło ciebie, w lesie, nigdzie. Nigdzie dla niektórych jest lepsze, niż gdzieś dla pozostałych. Nigdzie to wolność, gdzieś to uzależnienie. Odtrącenie od prawdziwego życia.
- Będziemy się spotykać? Czasami – uśmiech zawiesza się w oczach Rzeźbiarki.

- Wiem, że chcesz, więc będziemy. Piękno objawia się w rozmowie, z tymi, z którymi chcemy rozmawiać.

Star(usz)ka wstaje, odchodzi. Jednak zanim wychodzi, odwraca się i mówi:

- Pożar w lesie to rzadkość. Zwierzęta nigdy nie biegają w domach, w takim natężeniu i nasyceniu. Obłęd, u tych którzy tworzą to dar, nie przekleństwo.

Rzeźbiarka patrzy za nią, jak się oddala, jak znika w mroku, pomiędzy drzewami. Końcówka cienia odbija się od drzew, od ścieżki, od gałęzi. Od liści nie – liście nigdy nie skupiają obcych kształtów, obcych materii.

Chmury coraz szybciej pędzą przed siebie, niczym konie na wyścigach. Mijają kolejne czarne przeszkody, osadzają się nawzajem, wkraczają w swoje terytoria, kształty, przestrzeń i uciekają w dal, w niewyraźność.

Rzeźbiarka idzie do doliny, na polanę na skraju rzeki i jeziora. Pomiędzy stałością jeziora i pospiesznym pędem rzeki stoi dom, stary, zniszczony, z umierającym dziurawym dachem. Komin lekko zakrzywiony jest w prawo, w kierunku północy.

Rzeźbiarka zatrzymuje się, chwilę milczy i krzyczy do sąsiada, którego zna, rozumie, akceptuje, stara się być czasami z nim, pomiędzy tym co w nim jest, pomiędzy tym czego w nim nie ma.

Sąsiad wychodzi, jego oczy są zmęczone nocą, zmęczone dniem. Zgarbione ciało ciężko stąpa po ziemi, ciężko tkwi w jej korzeniach.

Rzeźbiarka patrzy na niego, nie zauważa już jego wad, nie dostrzega jego błędów, skaz, uzależnień. Czas sprawił, że w niego uwierzyła, w jego ciało, duszę, prawdę.

„To pół/człowiek, pół/pijak, pół/wariat – myśli Rzeźbiarka”.

Pół/człowiek. Jego jedna część ciała, prawa połowa jest normalna, jasna, pełna życia. Prawa ręka zawsze coś mówi swoimi ruchami, drga, gdy coś dobrego się dzieje koło niej; prawa noga nieustannie rwie się do walki, do przodu, do gonitwy. Jego prawa strona twarzy, jego oko, pół czoła to radość, nadzieja, sens.

Lewa strona ciała jest powleczone starością skóry, pomarszczeniem tego co już było i nigdy nie wróci, nie będzie. Czas przeszedł to naturalny stan jej życia, istnienia. Zmarszczki po lewej stronie mno-

żą się, kurczą, przechodzą jedna w drugą. Łuskowata skóra na szyi, klatce piersiowej, na lewej ręce źle wygląda na tle prawej skóry, tej gładkiej, pięknej, zadbanej. Lewa dłoń, jej palce, nadgarstek wolno unosi się w powietrzu, nie ma na nic siły, chęci, życia. Noga, stopa z palcami, paznokciami, z kolanem wyżej niż kostka, to mumia zastygła, matowa, lodowata część jego ciała.

Lewość umiera, prawość kwitnie. Lewość rozpada się, prawość zespala się w silność, jedność, potęgowość. Lewość to żal, prawość to jasność, uniesienie. Lewość to ból, prawość to wieczna rozterka, że można mieć wszystko i nic, czuć wiele i nic nie rozumieć, chcieć mocno, nie czując nic w pozostałości, która w nas jeszcze została.

Pół/pijak. Potrafi nie pić wcale, wiele miesięcy, dni, godzin. Wtedy omija sklepy, knajpy, bary. Nie chce widzieć nic co wiąże się z alkoholem, nie chce czuć nic czego alkohol dotyczy. Reklamy przy drogach, w telewizji – zamyka oczy. Dźwięk otwieranych butelek w bramach, na ławkach, na ławkach i w parkach – zatyka rękami uszy. Nie chce widzieć, nie chce słyszeć, nie chce czuć.

Jednak kiedyś coś w nim pęka i zaczyna się sztorm, burza, opętanie. Tajfun. Pije codziennie, rano, wieczorem, w nocy. Godziny mijają jak sen, jak mara, jak letarg. Kupuje, otwiera, pije. Zasypia. Budzi się, idzie do sklepu, gdy wychodzi pośpiech zmusza go do czynu, po drodze już jest pijany, nieobecny, nieokreślony. I znów sen, prawda, zwątpienie. Sny są coraz bardziej prawdziwe. Zlewają się w całość. W jakiś obraz, cykl obrazów, w wystawę. Jednego człowieka, jednej duszy, jednej myśli. Ciągłe upitej jednostajnie myśli.

A potem budzi się, przychodzi opamiętanie (po czasie, po ciągu, po miesiącu) i znów wstręt to naturalny stan jego duszy, naturalna bariera ochronna przed uzależnieniem.

I wtedy Sąsiad myśli, wspominając noc, dni, sny. „Niekiedy to co jest niewidzialne, jest bardziej prawdziwe od tego co jest widzialne”.

Pół/wariat. Żyje normalnie, czuje normalnie, je posiłki normalnie. Chodzi tak jak inni – obojętnie, nic nie robi ze swoim życiem tak jak inni – obojętnie, nie ma marzeń dobrych, złych, odległych tak jak inni – obojętnie. Chce tylko jeść, przetrwać, coś oglądnąć w telewizji – obojętnie. Tnie noc, dni, poranki na kawałki – obojętnie. Nic nie musi, nic nie chce, nic nie pragnie – obojętnie.

Po czasie coś w nim pęka, gdy pogoda jest zła (tak myśli), gdy noce są zbyt zimne (tak się ludzi), gdy ludzie go zmęczą swoją obecnością (tak czuje). Staje się inny, szaleństwo, obcość, panika, ból czynią z niego kogoś innego, obcego, zimnego.

Lata w lesie, pomiędzy pustką a ciszą, wbiega do miasta. Krzyczy na głos, tłum ucieka, boją się inności, jego słów, skarg. Niewiele pamięta z tego szału, opętania, nienawiści do siebie, obcości.

A potem budzi się z letargu, jest w celi, sam, zimno dotyka jego ciała, kąpie się w duszy. Wychodzi z celi, przeprasza, zmieni się, mówi cicho, bezbronnienie, z obawą i wraca do siebie. Onieśmienie miesza się z bólem, że nie można żyć tu i tam, że coś złego nie może mieć dobra na końcu, że każdy szal nie może oznaczać ciszy, a cisza często jest złym wyznacznikiem tego co obce, co inne.

Przychodzi do domu, leży kilka dni i milczy, nic nie robi. Potem wstaje i próbuje, potem wstaje i walczy, ze sobą, ze światem, z obcością ludzi w mieście.

- Czy wczoraj byłeś w domu? – pyta Rzeźbiarka.

- Tak.

- Nie było światła? – pyta z lękiem, jej głos jest niepewny, rozchwiany.

- Było.

- Dziwne. Mój dom był w ciemności, twój w jasności. A zwierzęta?

- Jakie?

- Były koło domu, biegły przed siebie, bez celu – walczy ze swoimi słowami Rzeźbiarka.

- Zwierzęta ciągle gdzieś biegają, przemieszczają się, walczą. Co cię gnębi?

- Już nic. Sama nie wiem, czy widzę to, co chcę widzieć, czy widzę to, czego nie chcę widzieć. Zasłaniam się obłędem żeby nie zaaważać życia.

- Usiądź – mówi Sąsiad.

Chwilę milczą, patrzą na siebie, prawa strona twarzy Sąsiada uśmiecha się, lewa kurczy się nienaturalnie na boki.

- Niekiedy chodzę oglądać zwierzęta w nocy przez lornetkę, gdy nie mogę zasnąć. Mam takie miejsce gdzie widzę granicę lasu, granicę państwa i miasto.

- Zawsze w nocy?
- Tak. Wtedy zwierzęta czują się bezpieczne, wolne, niewidzialne. Widzę jak lisy przechodzą za rzekę, a potem znikają w innym kraju, w innym świecie. Zwierzęta nie znają granic, są takie wolne w swoim ruchu, niekiedy bezruchu – gdy polują.
- Co wtedy czujesz?
- Ich wolność staje się moją wolnością. Dziwne, prawda.
- Nie. Jeśli sami nie uważamy się za dziwaków, to nie jesteśmy dziwni.
- Chyba tak – śmieje się Sąsiad. – Opowiem ci coś, ale w tajemnicy.
- Rzeźbiarka mruży oczy, jej powieki stają się mniejsze, skupione w swojej ciekawości.
- Gdy miasto śpi, gdy noc na dobre rozkłada swoje skrzydła nad domami, zwierzęta przychodzą do miasta. Wchodzą na budynki, przechadzają się w parku, idą śmiało ulicami. Jelenie często spacerują po cmentarzu, dziki wolą basen, który w nocy jest taki bezpański, węże oplatają latarnie, pną się wysoko aż po samą jasność i tam tulą się do lamp. Ptaki siadają na samochodach, dziobami wystukują jakąś melodię, zające je słuchają, w skupieniu; czasami gdy melodia jest dobra, znana, radosna podskakują i ruszają uszami do góry – Sąsiad się zamyśla, przypomina sobie coś w głowie i mówi dalej. – Niedźwiedzica często zachodzi do kościoła, on zawsze jest otwarty, tam znika na kilka godzin. Ptaki, nietoperze też tam zaglądają, przez dach, okna, szczeliny.
- Dlaczego to robią?
- Myślę, może to moja chora wyobraźnia, obłąd ze mnie wychodzi, za moje błędy i potknięcia, ale myślę, a nawet jestem pewny, że ludzie, którzy umarli kiedyś, którzy nie zasługiwali ani na niebo, ani na piekło, zmieniają się w zwierzęta, nie dosłownie, lecz ich dusze poprzez brak szans na jakąkolwiek krainę po śmierci, zostają tutaj w ciałach zwierząt. Może za karę, żeby zrozumieć życie poprzez inną postać. Inne znaczenie.
- Wierzysz w to, naprawdę?
- Tak. To musi mieć jakiś sens. Ich droga do ludzi, chęć ich poznania poprzez noc.
- Dlaczego niedźwiedzica chodzi do kościoła?

- Może kiedyś była moherowym dzieckiem ze zbyt dużą ilością lat na karku. Jasną dziewicą z wiecznym różańcem na ręku. Modlącą się w samotności codziennie, w nadziei, że coś się zmieni poprzez modlitwę, poprzez ciągle powtarzanie tych samych słów, aż do znużenia. A gdy wracała do życia, modlitwa nie pomagała. Modlitwa nigdy nie zastąpi życia, życie nigdy nie zastąpi modlitwy.

- I teraz tu wraca, codziennie, do kościoła, pod inną postacią.

- Tak – Sąsiad mruży oczy, senność widoczna jest na jego twarzy, senność wąpiąca. – Kiedyś tak zapomniała się w modlitwie, że w tym amoku pociągnęła za linę, i dzwon zaczął wybijać swoje dźwięki w nocy. Ptaki zaczęły uciekać, dziki, sarny; węże ledwo zdążyły zejść z latarni, zanim ludzie zaczęli krzyczeć w przerażeniu.

- Dlaczego tak zrobiła? Po co?

- Niedźwiedzica to wierna służka lasu, wierna służebnica kościoła. Zapomniała się. Obudziła całe miasto. Dzwon ostatni raz wydał dźwięki gdy był pożar, dwadzieścia lat temu. Uratował wtedy miasto.

- To śmieszne.

- Śmieszne było – uśmiecha się Sąsiad – jak ludzie wyrzucali w nocy swój dobytek przez okna. W piżamach wyskakiwali na dół. Myśleli, że znów jest pożar w mieście. A potem to ich zdziwienie, wieczne zdziwienie, że czegoś nie potrafili zrozumieć, swojego strachu.

- Zwierzęta to ludzie, ludzie to zwierzęta – zamyśla się Rzeźbiarka.

- Zwierzę często lepsze jest od człowieka, człowiek często bywa gorszy od zwierzęcia.

- Znasz Star(usz)kę?

- Poznałaś ją? – zaciekawia się Sąsiad.

- Wczoraj, jest taka dziwna, nieobecna, jakby była nie z tego świata.

- Ludzie różne rzeczy o niej mówią. Nikt nie zna jej dobrze. Ci, co mówią, że ją znają, nie znają jej naprawdę. Myślę, że najlepiej ją znają ci, którzy jej nie znają wcale.

- Gdzie mieszka?

- Jedni mówią, że na obrzeżach miasta, inni, że w lesie, w pieczarze, w jeziorze; to dziwne, nikt tego nie wie.

- Ile ma lat?

- Dużo, bardzo dużo. Ma siostrę bliźniaczkę, albo ją kiedyś miała. Siostry nikt nie widział od bardzo dawna, może od wieków. Była i znikła. Rozpłynęła się jak mgła, jak deszcz, jak śnieg. Są ci, którzy mówią, że u niej byli, pomogła im, ma kontakt ze światem zmarłych, gdzieś żyje w lesie, pod lasem, pod ziemią. Ale nic nie pamiętają z tych wizyt u niej, tylko fragmenty myśli, snów, obrazów. Nie wiedzą czy to prawda, czy sen? A jeśli tylko złudzenie.

- Uzdrawia innych?

- Jeśli żyje. Jeśli chce. Jeśli jeszcze jest wśród żywych. Może to legenda, może baśń, może chęć szukania szansy na sprawy przegrane, beznadziejne, bez żadnych rokowań na przyszłość. Łatwiej się żyje, gdy wierzymy, choć życie nie daje nam już żadnych szans na życie.

- Dwie siostry. Jedna zrodzona ze słońca, druga z ziemi, z ciemności.

- Z magii – Sąsiad marszczy czoło, podpira się ręką o biodro. – Coś, co jest magiczne nie może być prawdziwe.

- Dzięki magii niektórzy żyją, chcą żyć. Bez magii świat byłby gorszy, inny. Ludzie magiczni to Anioły, zanurzające się w nierealnym świecie.

- Wierz w to, co chcesz wierzyć. Dzięki temu będziesz silna, wolna.

- Wiem, wierzę w siebie – Rzeźbiarka wstaje, żegna się, odchodzi.

Gdy znika, gdy krzaki zaczynają ją oplatać, liście zaczynają głaszać jej twarz, odwraca się i krzyczy głośno:

- Dziękuję za rozmowę! Znów jestem bogata! Bogata w wiarę! W ludzi, w siebie!

Rzeźbiarka otwiera szerzej, jeszcze szerzej, beznadziejnie szerzej oczy. Przeciera powieki jeszcze nierozbudzonymi rękami. Nierozbudzoność to jej naturalny stan po nocy, gdy jeszcze śpi, jeszcze marzy, a już musi wstać, coś zrobić, uczynić cokolwiek, aby ten dzień, kolejny, nabrał sensu i kształtu. Barwy właściwej i treściwej. Głębokiej.

Podchodzi powoli do okna, przesuwając firankę, materiał swobodnie szeleści gdy zmienia swój kształt, swoje położenie względem światła.

Za oknem jasna chmura pędzi w rozpacz przed siebie, ucieka ze swoją jasnością i blaskiem przed ciemnością, która w oddali zarysowuje się tuż za nią. Czarne chmury niczym wilki na polowaniu, gdy zwierzyna jest zmęczona ucieczką, strachem, bezsilnością pędzą za jasną chmurą. Wpadają jedna w drugą, przenikają się wzajemnie, tworzą obrazy przepełnione ruchem, pędem.

Rzeźbiarka mruży oczy przed jasnością, później, gdy ona znika bezpowrotnie, gdy ciemność zalewa niebo niczym morze, które wylewa ze swojej linii brzegowej, pożerając plażę, wydmy, las, domy i pola, zamyka mocno oczy przed pierwszym jasnym błyskiem, światłem z góry, które po chwili zmienia się w huk, w zamęt, w nawalnicę.

Pioruny spadają na ziemię, na wszystko co jest żywe, co jest martwe i nieobecne – teraz – kiedyś.

Rzeźbiarka sprawdza okna, drzwi, szybko, pospiesznie, potem siada w ciemności, nie zapala światła, po co niszczyć ciemność, gdy jasność ją rozjaśnia co jakiś czas. Patrzy na życie za oknem, które powoli zamiera, ucieka.

Zar uderza co chwilę o ziemię, błądzi, zmienia kształty, figury, linie, tworzy pourywane kreski, poszarpane sygnały, złe diagramy ostrzegawcze.

Nagle piorun uderza w drzewo koło domu, duże, masywne, które nigdy nie miało być złamane, zniszczone, pokonane przez czas. Drzewo, niczym mała zapalka, niczym nic nie znacząca rzecz, bez wyrazu, bez znaczenia rozwala się na pół.

Potem wiatr się uspokaja, chmury znikają, ciemność rozjaśnia się światłem, pojawia się błękit przechodzący w szafirowy dach nad lasem.

Rzeźbiarka wychodzi z domu, podchodzi do drzewa, które leży martwe przed nią, bezużyteczne, obce, zagubione.

„Jedna chwila i wszystko się zmienia – myśli cicho. – Jeden moment i to co było ważne, staje się nieistotne, błahie, nieaktualne. Czas niszczy wszystko, czas zabija życie. Powoli. Skutecznie”.

Dotyka drzewa w środku, cała jego wewnętrzna przestrzeń ma kolor granatu wpadającego w popiel. Ściska go, czuje jeszcze ciepło, drzewo wciąż żyje – umiera powoli, w skupieniu. Patrzy na drugi kształt drzewa, leży obok.

„Coś co jest nierozzerwalne, trwałe może kiedyś umrzeć. Nic nie jest do końca trwałe – ludzie, uczucia”.

Dotyka ponownie drzewa w środku, czuje zimno, ciepło zniknęło gdzieś daleko, jest już poza drzewem, poza nią.

- Umarłeś – mówi do dębu. – Kiedyś musiałeś umrzeć. Pomogę ci, nadam ci nowe życie, nowy kształt. Dzięki mnie będziesz żył inaczej, poprzez ludzi.

Wraca do domu, bierze piłę mechaniczną i zaczyna ciąć drzewo na kawałki, fragmenty. Znosi je w skupieniu do domu, kładzie pod dachem, nikt nie zrobi już mu krzywdy.

- Będziesz miał siłę burzy, smak tego co jest złe, niebezpieczne – mówi Rzeźbiarka do drzewa. – Będziesz miał zapach gwiazd, barwę księżyca, ciemność nocy. – Rzeźbiarka uśmiecha się do siebie. – To będą zawierały rzeźby, dzięki tobie.

Rzeźbiarka chodzi z koszykiem pośród drzew, krzaków, korzeni, jej wzrok skupiony jest na dole. Patrzy, zerka, odgarnia rękami krzaki, liście, mech – zbiera grzyby. Jest jak pies na polowaniu, który szuka nosem tuż przy ziemi zwierzyny dla swojego pana.

Koszyk do połowy jest pełny – wiklinowy, szary, senny. Rzecz, która przeważnie śpi, nagle ożywa, staje się ruchem.

Idzie w prawo, klęka, coś wrzuca do koszyka, potem w lewo, nie patrzy na kierunek, liczy się cel i droga, która do tego celu prowadzi. Ruch ręki – zły grzyb – ruch błędny, skupienie na twarzy. Ruch ręki – dobry grzyb – radość, energia zostaje przetworzona w dobro, w coś właściwego, wartościowego.

Gdy koszyk jest pełny, Rzeźbiarka widzi, że się zgubiła – poszła dalej niż zazwyczaj. Patrzy z niepokojem w niebo, jest skupione, spokojne. Nie ma w nim strachu.

„Drogi, które prowadzą nas do celu, nie zawsze są właściwe. Niekiedy nie mają kierunku, niekiedy nie mają sensu”.

Słyszysz za sobą kroki, szelest, trzask gałęzi. Pojawia się strach i niepokój. Ktoś zbliża się, nie wie czy uciekać, krzyczeć (po co? jest sama), czy milczeć.

Patrzy – to wszystko co może teraz zrobić. Serce bije głośno, mocno, niczym młot kowalski w kuźni.

„W strachu, poprzez strach żyjemy mocniej – myśli przerażona.
– Nie tracimy życia”.

Z krzaków obok niej wychodzi dziewczyna, blondynka. Długie jasne włosy spadają jej na ramiona. Patrzy zaskoczona na Rzeźbiarkę.

- To ty? – pyta.

- Marzena – dziwi się Rzeźbiarka.

- Co tutaj robisz?

- Mieszkam, ale się zgubiłam – Rzeźbiarka czuje się zakłopotana swoją bezradnością. – Wiesz, grzyby, czas, to wszystko mnie doprowadziło do zagubienia.

- Chodź ze mną, idę do pracy, pokażę ci drogę. Mieszkasz tutaj? Znów będziemy się widywać jak w dzieciństwie, u twojej babci.

- Ona nie żyje, mieszkam w jej domu.

- Przykro mi – smutek pojawia się na twarzy Marzeny. – Słyszałam, ludzie dziwne rzeczy mówią. Nic nie wiedzą, nie znają kogoś dobrze, a wydaje im się, że wszystko wiedzą o śmierci, o samotności. Myślę, że była smutna po stracie męża, i ta samotność ją zaprowadziła tam, gdzie zaprowadziła. Dla niej to już nie ma znaczenia, nie powinno też mieć znaczenia dla innych.

- Gdzie pracujesz?

- W lesie – śmieje się Marzena. – Naprawdę. Skończyłam studia z psychologii. I wylądowałam tutaj.

- Tutaj nie ma niczego – patrzy na las Rzeźbiarka.

- Tak to ma wyglądać. W lesie znajduje się prywatny ośrodek psychiatrii, dla tych co mają pieniądze. Dla tych, co są znani, i nagle coś w nich pęka, coś ich niszczy, coś zabija. Byli inni, stają się jeszcze bardziej inni. Lęki, fobie, ukryte złe prawdy, które każdy ma, które nagle dają znać gdy wygrywamy, i ta wygrana jest nagle zagrożona. – Marzena zawiesza głos. – I ja tutaj pracuję.

Przed ich oczami, na dużej polanie, pośród drzew, rysuje się duży mur z czerwonej cegły, a tuż za nim widać nowoczesny budynek z ogrodem.

- Chodź, pokażę ci jak to wygląda w środku.

Wchodzą główną bramą, Rzeźbiarka jest zdumiona, zakłopotana, oszołomiona.

Widzi ogród, kolorowy, jego barwy, ich nasycenie, jasność jaką wydobywa z siebie sprawia, że wszystko tutaj jest inne, odległe, spokojne.

Drzewa są równe, jakby ktoś je narysował i wrzucił na siłę w życie, w jego odmęty; krzaki są identyczne, ustawione w harmonii i w ładzie, takim ładzie, który sprawia, że wszystko ma sens, wszystko ma znaczenie.

Ławki, jest ich dużo, cała masa są w kolorze jasnej zieleni, intensywnej, odległej.

Alejki wypełnione są czerwoną ziemią; po bokach, na obrzeżach białe kamienie kierują kroki ludzi do ciszy, do domu. Do snów.

Duża fontanna z figurami zwierząt tryska do góry, woda z niej ucieka w kierunku chmur, do słońca.

Budynek jest cały ze szkła, oszklenie to naturalny stan jego egzystencji. Wygląda jak ciemne lustro, które odbija świat, nie zabierając nic złego, niebezpiecznego. W środku, gdy już się tam jest, przebywa się ze schodami, meblami, drzwiami i łózkami. Lustra wewnątrz są jasne, skupiają to co jest w ludziach dobre, odległe, czasami senne. Senność, niekiedy bezsenność to naturalny stan życia budynku w środku.

Senność/jasność – jasność/senność – niekiedy krystaliczność.

- Jak ci się tutaj podoba? – pyta Marzena.

- Czuje się tutaj dziwną energię. Ciemność miesza się z jasnością. I ten niepokój, odrętwienie, jest we mnie, gdy tu weszłam. Od samego początku.

- To zakład dla tych, którzy znaleźli się w punkcie ostatecznym, w miejscu, gdzie każdy krok jest zły, bolesny, niebezpieczny.

Rzeźbiarka patrzy na drzewo tuż przy murze, wysokie, jego gałęzie uciekają za zarys jego konturów na zewnątrz, do góry. Widzi mężczyznę siedzącego na gałęzi, skulonego, wpatzonego w przemieszczające się wolno chmury.

- Kto to jest? – pyta Rzeźbiarka.

- Znany dziennikarz ze znanej stacji, ze znanymi powszechnie zarobkami. Jest u nas trzeci raz w ciągu roku. Lekarz mu pomaga, ale na chwilę. Ta chwila pozwala mu stąd wyjść, uciec do pracy, tam, gdzie może żyć, musi żyć.

- Dlaczego tam siedzi samotnie, skulony, jest taki obcy?

- Kiedyś kręcił filmy o zwierzętach, w nocy. Gdy księżyc pojawiał się na niebie zaczynał pracować. Najlepsze zdjęcia wychodziły mu w mroku. Siedział całymi nocami, aby zrobić jeden krótki film. Zdobywał nagrody, brązowe, za kunszt, za siłę tego kunsztu w obrazie, za niebanalność tego co robi. Nagle coś go przestraszyło w nocy, wilk, może niedźwiedź, zaczął uciekać, schował się na drzewie i wtedy zrozumiał, że jest ptakiem bez skrzydeł, sową – Marzena patrzy na Rzeźbiarkę, czy słucha, rozumie, nie ocenia pochopnie. – Teraz wchodzi na drzewa, siada, kręci głową, wtula ją w swoje ramiona, niczym w skrzydła i patrzy z góry na świat. Niekiedy to robi na szafie w pokoju, czasami na dachu budynku. Mówi, że to się dzieje, jest silniejsze od niego. Czuje się ptakiem, zagubionym ptakiem w powietrzu, na niebie. Nie wie, gdzie leci, nie wie, gdzie założyć gniazdo.

- Pomagacie mu? Możecie mu pomóc?

- Zawsze, ale na krótko. Wraca do pracy, robi nowy film, i znów tu wraca. Nie wiem, czy możemy mu pomóc na zawsze, na razie pomagamy tylko na chwilę.

Mężczyzna siedzi, nagle się ożywia, patrzy w górę, na niebie pojawia się orzeł, robi okręgi, koła, spirale, po chwili znika między chmurami. Mężczyzna znów zamyka oczy, jego ciało zastyga w milczeniu.

Koło nich przechodzi inny mężczyzna z długimi włosami, brązowymi, lekko zakręconymi na końcu; Rzeźbiarka go poznaje, zna go z telewizji, z koncertów, z wywiadów.

- To on?

- Tak – uśmiecha się Marzena. – Lubisz jego muzykę?

- Oczywiście. Jest w niej tyle prawdy, tyle uczuć, pragnień i marzeń. Jej dźwięki mają szansę przetrwać czas, oszukać życie.

- Jest u nas od miesiąca. Boi się tłumu, ludzi. Nie może występować od jakiegoś czasu.

- Dlaczego? Występy są jego mocną stroną, gdy śpiewa widać, że żyje naprawdę. Odsłania się, jest wtedy taki bezbronny, inny, naturalny. Lepszy. Taki jak jego muzyka.

- Był na meczu piłkarskim Polska z kimś tam. Nagle kibice wtargnęli na boisko, zaczęli krzyczeć, nienawidzić Polaków za to, że są Polakami, za to, że są z innych rejonów, klubów, miejsc. Polak Polakowi wrogiem, nawet wtedy gdy o coś walczymy razem, za czymś gonimy wspólnie. Zaczęła się bitwa, na kije, ławki, noże, ręce, nogi. Na przeżycie, na nienawiść. On to widział, uciekł. Gdy uciekał słyszał w oddali krzyki patriotów, kibiców: „Nienawidzę...”, „Ty świńko z ...”, „Za kim jesteś, jeśli nie za Polską”. Trzy dni milczał, a potem, podczas pierwszego występu na żywo poczuł strach przed publicznością, przed sobą. Zeszedł ze sceny, koncert się nie odbył. A tu za chwilę wydanie kolejnej płyty, promocja, koncerty, całe mnóstwo innych wydarzeń. Menadżer z nim przyjechał. Prosi o pomoc. Bez niego zespół jest niczym. Tkwią w marazmie, w kropce, w bezsensowności tego co robią, co grają. Może żyć bez muzyki na chwilę, nie na wieczność, tak mi powiedział kiedyś. Gdy umrze w nim muzyka, gdy słowa, dźwięki staną się obce, on zginie, stanie się martwy, nieistotny. On potrzebuje ludzi, ludzie potrzebują jego.

- Dziwny jest świat. Wielcy ludzie mają wielkie problemy, mali ludzie słabości, upokorzenia, niekiedy tragedie.

- Chodź, pokażę ci środek budynku.

Chodzą pomiędzy salami, które są luksusowe, pełne świeżości i jasności. Dużo tam kwiatów i jasnego światła.

- Tyle tu świetlanych pomieszczeń – mówi Rzeźbiarka.

- Ci, co mają problemy, nieustannie muszą się zanurzać w jasności. Jasność ich wyzwala, daje pozytywną, dobrą, nie nasączoną złem energię. Bez tej energii ich pobyt tutaj nie ma sensu. Są sale, gdzie nieustannie są nasączani, dotykani, pieszczeni słonecznym światłem. Jego dobro wchodzi w nich, do ich ciał, komórek, umysłów, spojrzeń. Stają się jednością na chwilę, stałością.

Wchodzą na dach, na którym jest duży taras z wielkimi ozdobnymi krzakami, kwiatami, roślinami. Siedzą tam ludzie, ich twarze są skupione, mają wyraz cierpienia w oczach, jednak gdy wiatr na chwilę rozgania chmury i pojawia się słońce, ich twarze stają się jaśniejsze, spokojniejsze.

Schodzą na dół, żegnają się przy bramie. Uśmiechają się do siebie.

- Cieszę się, że tu jesteś – mówi Marzena.
- Będziemy się widywać, jak dawniej? – pyta Rzeźbiarka.
- Oczywiście.
- Do zobaczenia – mówi Rzeźbiarka i ucieka w stronę lasu.

Cisza lasu pochłania jej ciało całkowicie. Drzewa ją dotykają, dając nadzieję na spokój, na ciszę. Na ucieczkę od rzeczywistości.

/Biskup jedzie samochodem przez las/Drzewa, zielone trawy, brunatno-czarne gałęzie, liście w kształtach takich, jakich nigdy nie widział, widzieć nie mógł (pochodzi z miasta, nie ze wsi), uciekają w popłochu za szybą, jak przestraszone ptaki gdy coś niespodziewanego, złego je przestraszy, przerazi swoją siłą i mrokiem – niebezpieczeństwem/Patrzy w dal, w pustkę, która pojawia się w obrazach krajobrazu szybko znikającego w oddali/

/Biskup wspomina to co się zdarzyło, wciąż się zdarza, pomimo chęci aby to zmienić, oddalić od siebie, uciec daleko tam gdzie czas jest inny, życie jest inne/

/Biskup żyje i pracuje w Watykanie – święte miejsce, święci ludzie/Tam czuje bliskość Boga, tam czuje siebie poprzez jego miłość/Teraz coś się zmieniło, pomimo niechęci Biskupa do tej zmiany/

/Którejś nocy, podczas snu, takiego snu gdy obrazy są realne, prawdziwe, bolesne, Biskup widzi Jezusa na krzyżu; nie widzi dokładnie jego twarzy, tylko zarysy i kontury jego boskiej postaci/Jezus patrzy na niego, długo milczy, lecz to milczenie ma jakiś sens, jakąś głębię i nostalgię/

/Nagle Jezus uśmiecha się do niego, uśmiecha poprzez ból krzyża i krzyku, który ten krzyż wydaje – krzyku ostatecznego/Potem Biskup słyszy słowa, ciepłe, niekiedy mające smak gorzki, cierpki, nienasycony/

- Jesteś tutaj ze mną, to dobrze. Ci, którzy są ze mną w biedzie, kiedyś będą ze mną w bogactwie.

- Co mogę dla Ciebie zrobić? Co uczynić? – pyta Biskup w trwodze, w niepokoju dalszych słów, lęków.

- Martwi mnie świat, który stworzyłem, martwią mnie ludzie, którzy są z mojego ciała, z mojej duszy. – Jezus opuszcza głowę, ciernie go uwierają, bolą, męczą. – Zamienimy się miejscami, pocierpisz za mnie, wtedy, kiedy ja będę przemierzał drogi na ziemi.

- Nie rozumiem – Biskup martwi się bólem, który za chwilę może nadejść. Nie jest jeszcze gotowy na ból (Watykan go rozpieścił), nie jest gotowy na śmierć.

- Moja dusza wejdzie w duszę innych ludzi, w ich myśli i pragnienia. Zrozumiem, dlaczego jesteście tacy źli, obojętni, niedoskonalni pomimo doskonałości, którą wciąż macie w sobie. Musicie mieć – w końcu was stworzyłem. Kiedy będę w was, ty będziesz we mnie. Nie bój się – Jezus się uśmiecha poprzez ból – nie na zawsze, na jakiś czas.

/Biskup widzi siebie z innej perspektywy, z wysokiego krzyża/Nie wie jak się tam znalazł/Głowa mu pęka od korony cierniowej, ręce go bolą od bólu ukrzyżowania, nogi mu drętwieją, próbuje się podnieść, ale ból go zatrzymuje, brak sił go zniewala/

/Jezus patrzy na niego, stoi tuż przed krzyżem/Zmienia się jego postać w niebieski obłok, chmurę, w rozmazany mgielny pył/Po chwili znika, Biskup zostaje sam pośród ciemnych chmur, pośród płaczu kobiet, których nie widzi, słyszy tylko szloch i jęki/

/Biskup budzi się, uśmiecha się, to sen, cieszy się, zły sen, może dobry, ma symbol znaku, przeznaczenia, wiary/Chce wstać z łóżka, dzień za oknem staje się coraz bardziej jaśniejszy, pogodniejszy, pełniejszy w swojej strukturze/Nie może, nie potrafi tego zrobić/Jego ręce są rozłożone na boki, jak na krzyżu, nie może ich ruszyć, oderwać od łóżka, pościeli, od siebie; nogi ma złączone, jakby ktoś wbił w nie gwoździe, usztywnił na zawsze/Nic nie może zrobić, leży i milczy, boi się co będzie dalej/Trwoga jest w jego oczach, w sercu coraz szybciej bijącym w środku/Boi się krzyczeć, ma przecież dwóch księży do pomocy, lecz strach przed ich pogardą nie pozwala mu otworzyć ust/Leży i milczy, a dzień mija, inny ksiądz coś mówi przez drzwi, on odpowiada, żeby nie wchodzić, chce odpocząć, zmęczenie, modlitwa, umartwianie/Rozumie, odchodzi, każdy potrzebuje spokoju, czasami – umartwiania duszy poprzez świat, poprzez słabości i lęki/Biskup próbuje się ruszyć, nic nie pomaga/

/Nagle jasne światło przychodzi z za okna, zbliża się/Biskup poznaje, to niebieski obłok przenika powietrze, wiatr, obezwładnia niewidzialność i blask światła/Gdy łuna jest nad łóżkiem Biskup czuje, że coś w niego wchodzi; potem może wstać, rozprostowuje kości, ręce, ciało, widzi drżenie niebieskiego, błękitnego powietrza przy oknie/Poznaje twarz, to Jezus/

- Byłem w kilku duszach, w kilku ciałach. Nie rozumiem, dlaczego ludzie walczą o rzeczy, których nie zabiorą nigdzie po śmierci. Są w tym dążeniu tacy uparci, tacy niedoskonali. I ta nienawiść do innych, że mają to, czego oni nie mają. I te słowa, nieszczerze, złe, pełne pogardy do innego człowieka, u tych co rządzą, co są na szczycie. Więcej godności mają ci, co są na dole, niż ci, co są na górze.

- Świat się zmienił, ludzie się zmienili – mówi Biskup smutno.

- Brak miłości jest widoczny na każdym kroku, w każdej dziedzinie życia. Ludzie kochają tylko siebie, nie innych. Stracili zdolność kochania przez czas, który ich niszczył i wciąż niszczy.

- Nie wszyscy są tacy, nie wszyscy chcą być tacy, jak inni.

- Zobaczę to jutro. Do zobaczenia – Jezus znika, rozplywa się w końcu jasności dnia.

/Biskup nic nie mówi o tym co widział, co słyszał/Kolejnego dnia, kolejnej nocy, znów jest to samo/Leży, nie może się ruszyć, jego ciało drży, nic nie pomaga na ruch, na chęć ucieczki z łóżka, gdziekolwiek, dalej, do innego pomieszczenia/Kręci tylko głową, ciało jest nieruchome, odrętwiałe, zastygłe/

/Gdy Jezus wraca, on znów może żyć, może istnieć/

- Byłem w ciele mordercy, w więzieniu. Tyle tam zła i nienawiści – mówi Jezus. – Ten człowiek poprzez przeszłość stał się niebezpieczny, poprzez ludzi, których spotkał na swojej drodze. Gdyby nie oni, byłby inny, miałby szansę, może cień szansy, jakąś nadzieję. Nikt mu nie pomógł, sam też nie mógł sobie pomóc. Był za słaby, za naiwny, za niecierpliwy.

- Żli ludzie często są słabi, poprzez nienawiść do świata, nienawiść do ludzi.

/Kilka dni to trwa, kilka nocy/Czasami gołąb wlatuje na parapet, siada, patrzy na Biskupa jak leży, jak nic nie mówi, modli się w mil-

czeniu, w milczeniu leżącym/Potem odlatuje, coś go płoszy, niebieski pęd powietrza w słońcu/Którejś nocy, nad ranem, Jezus mówi/

- Już nie potrzebuję cię jako zastępcy, widziałem, co chciałem zobaczyć. Odpływy, przypływy morza, wschody, zachody słońca, deszcze, ulewy, niekiedy burze; teraz wiem, że przyroda jest bardziej doskonała niż ludzie, doskonała pomimo swojej nieprzewidywalności. Popeliłem błąd, że was stworzyłem, błąd którego nie mogę już naprawić, nie potrafię, nie chcę.

- Zaufaj nam, zmienimy się.

- Nie umiecie, nie chcecie, nie potraficie. Marnujecie szanse, które dostajecie, gdy cierpicie, gdy boicie się śmierci. Tylko przed śmiercią jesteście sobą – ale trwa to za krótko.

/Jezus patrzy na Biskupa, wie, że on wątpi, wątpił od jakiegoś czasu, chce coś zmienić w sobie, nie potrafi/

- Będę do ciebie przychodził czasami, żeby porozmawiać. Przychodził poprzez sen, poprzez czas.

/Jezus znika, jednak w Watykanie wiedzą o Biskupie, że leży, z kimś rozmawia, że coś z nim jest nie tak/Potem Biskup im mówi co widział (musi powiedzieć), mówi żarliwie, z tęsknotą, opowiada, że Jezus znów przyjdzie, będą rozmawiać o świecie, o ludziach, o sensie/Watykan się martwi, co będzie gdy Biskup zacznie o tym mówić, gdzieś dalej, do telewizji, do gazet/To obłąd, mówią, spadek wiary w jego sercu, może złe sny, przepracowanie, kryzys, opętanie (tego się boją najbardziej), rozpacz za utraconym, lepszym czasem, może młodością/

/Watykan nie może sobie pozwolić na skandal, na kogoś kto rozmawia z Synem Bożym/Dość mają skandali w miłości mężczyzn do mężczyzn w zakonie, w miłości do kobiet, które są na plebaniach/

/Wysyłają Biskupa daleko, do Polski, tam gdzie się urodził kiedyś, gdzie żył, gdzie wierzył, gdzie znalazł sens w młodości/Wierzą, że dawne miejsca go uzdrowią, wspomnienia przypomną, co jest w życiu ważne, co istotne/Że obłąd nie zawsze jest prawdą, prawda nie zawsze jest obłądem/Choćby dotyczyła religii, choćby dotyczyła ludzi/

/Watykan jest bogaty, wysyła Biskupa do dobrej kliniki, prywatnej, z obcymi lekarzami/Tam mu pomogą, tam mu przypomną co w życiu jest ważne/Istotne/

/Biskup wciąż rozmawia z Jezusem, nocami, dniami, coraz częściej/Zaprzyjaźnili się, gdy zaczął tracić wiarę/

„Najślabsi są najważniejsi – mówi Jezus. – Gdy wątpią, walczą o życie wieczne. Ci co są pewni, przegrywają życie wieczne”.

/Teraz Biskup już nie leży w odrętwieniu w łóżku, w pościeli, w amoku i strachu/Rozmawia jak równy z równym z Jezusem/Przyjaźń ich zbliżyła do siebie/Biskup wierzy, że przyjaźń sprawi, że uwierzy na nowo/Jest tego pewny, pewny na swój własny wątplący spokój/

/Jednak na razie czarny samochód jedzie do przodu, do ośrodka, przez las, knieje, polne drogi/Izolacja go uzdrowi, odległość go oczyści ze snów, z lęków, z obaw – z fobii/

/Może kiedyś Jezus zniknie, mówią przełożeni/Może sen stanie się jawą, jawa snem – mówi on/Nie jest wybrańcem, jest tym kim jest, człowiekiem, który chce zrozumieć siebie, wtedy, kiedy jest najślabszy/

/A samochód jedzie i jedzie/Koła się kręcą i kręcą/Biskup myśli i myśli/A z tyłu, ponad lasem, w kierunku ośrodka, nad drzewami przesuwa się niebieska mgła, powoli, cicho, sennie/Przemieszcza się pomimo przeciwnego wiatru i burzy, która zbliża się nieubłaganie z oddali, znad jezior i gór/

Pianista uparcie z dziką zawziętością, z namysłem, z takim zapałem, że wszystko wokół niego zanika, ulatnia się, niknie, ćwiczy grę na fortepianie. Jego ręce, palce, twarz, oczy, całe ciało, zwłaszcza dusza i jej niewidzialna konsystencja, w środku, w ciszy zespala się z jego grą.

Muzyka płynie znad czarnego fortepianu, unosi się wyżej i wyżej, opuszcza okno, dach i kominy, a potem znika gdzieś daleko, w oddali.

Pianista jest młody, ma dwadzieścia kilka lat, całe jego życie to ćwiczenia, wysiłek, wyrzeczenia i odrętwienie palców, dłoni, gdy gra za długo, za niecierpliwie, zbyt na siłę. Poprzez grę, coraz dłuższą, coraz bardziej boleśniejszą, chce przekroczyć niewidzialną li-

nię, która oddziela pospolitość od sztuki, coś niezwykłego od zwykłej chałtury.

Pianista ma sukcesy, coś tam wygrał, gdzieś zajął dobre miejsce, awansował do etapów, gdzie sama gra już jest sukcesem, ale wie, że może więcej, że musi więcej, aby chęć grania nie zanikła w nim, nie opuściła go na zawsze. Tego obawia się najbardziej – zaniku pasji w jego duszy. „Bez pasji nie ma niczego – myśli. – Bez pasji nie ma życia”.

Teraz jego życie to wieczny trening, nieustająca gra ze swoim ciałem. Ciałem, które wątpi, ciałem, które cierpi. „Ludzie, którzy cierpią z powodu sztuki, są lepsi od tych, co cierpią z powodu rzeczywistości – myśli co jakiś czas”.

Któregoś dnia jego palce zmieniają się, dłonie zaczynają go piec, boleć, boi się że straci zapał do gry. Ale gra wciąż w orkiestrze, gra pomimo bólu. Jego palce chcą uciec od fortepianu, uciec poprzez ból. Lecz on się nie poddaje, zna dobrze ból od młodości – ojciec pił, matka pił, cała ulica pił. Dlatego uciekł w muzykę, od tych obrazów teraz zamkniętych szczelnie w jego duszy. Pasja go wyzwoliła, pozwoliła uciec od tamtych miejsc, od tamtych wspomnień.

Podczas jednego z koncertów, gdy orkiestra grała Chopina, gdy przez chwilę grał sam, a muzyka była tłem jego myśli, poprzez ból, poprzez żar w palcach, poprzez inne ruchy rąk, bardziej jasne, poprzez ogień w duszy publiczność oniemiała, trwała w bezruchu, połączyła się z nim, czuła to, co on czuł, tęsknotę za czymś innym niż rzeczywistość.

Po koncercie były owacje na stojąco. Dyrektor Filharmonii podszedł do niego gdy publiczność klaskała, biła brawa, wziął go pod rękę i zaprowadził do swojego gabinetu.

- Pana gra to geniusz – powiedział. – Geniusz naznaczony bólem.

- Dziękuję – odpowiedział. – Życie to nieustający ból, przesiąknięty sztuką.

Od tamtego czasu został gwiazdą orkiestry. „Jego gra jest inna – pisały gazety. – Ma w sobie żar, pasję, odrętwienie z którego nie możemy się wyrwać, nie chcemy się wyrwać. Poprzez dźwięk prowadzi nas w inne wymiary szczęścia, inne wymiary życia”.

Pianista zdobywa sławę, przenosi się do Wiednia, do orkiestry, która gra dla świata, gra dla ludzi.

Wiedeń jest zachwycony, jego zdjęcia są wszędzie, na każdej ulicy, w każdej gazecie. Jest jak gwiazda rocka, wszędzie znany, wszędzie zapraszany.

Zarabia dobrze, koncertuje wszędzie, na całym świecie, ale zawsze wraca do Wiednia, tam jest teraz jego miejsce, twórczość, niezależność.

Pianista czuje, że ból się nasila, jest coraz większy, coraz bardziej dotkliwy. Ale wciąż gra, nie chce zranić siebie, nie chce zranić ludzi.

Gdy wstaje rano jest dobrze, nic wtedy nie czuje, uspokaja się, nawet uśmiecha, otwiera okno, patrzy na miasto, na dachy, na ulice, na świat, czuje się szczęśliwy. Ale potem jedzie do Filharmonii, na próbę i zaczyna grać, ogień zapala się błyskawicznie, od ramion idzie na dół, poprzez dłonie do palców i tam zastyga na chwilę, żeby za moment znów wybuchnąć ze zdwojoną siłą, z większym zapалem. I tak bez końca. Bezustannie.

Dyrektor powiększa budynek, to nie pomaga, nigdy nie starcza miejsc dla ludzi. Jego muzyka przyciąga tłumy, cały Wiedeń.

Rozpoczyna się budowa nowej Filharmonii na peryferiach miasta. Koparki, dźwigi pracują cały czas, dzień i noc; czas goni wszystkich, każdy chce go słuchać, każdy chce przy nim być, gdy gra.

Podczas ostatniego koncertu, gdy Pianista gra żarliwiej, boleśniej, gdy grymas na jego twarzy, w oczach oznacza cierpienie, trwanie, ucieczkę, muzyka ucieka z budynku, pojawia się na mieście, na ulicach, w kamienicach, w parkach, na placach zabaw i w fabrykach.

Ludzie zaczynają tańczyć w jej rytmie, samochody jeżdżą w jej tonacji, konie w dorożkach zaczynają tupać kopytami w rytmie muzyki, zwierzęta w zoo tańczą walca wiedeńskiego, gołębie na niebie latają do przodu, do tyłu, w koło, walc je wciąga, przenika, zniewala w powietrzu, na niebieskim wiedeńskim niebie.

Cały Wiedeń tańczy w tonacji jego gry, cały Wiedeń uśmiecha się z przymrużonymi oczami do dźwięków, które fortepian podczas gry wyzwała.

Nagle Pianista gra szybciej, mocniej, boleśniej – Wiedeń czuje ten ból, tańczy z cierpieniem całe miasto. I jeszcze szybciej, mocniej Pianista uderza w klawisze fortepianu, miasto szaleje, jest w niebezpieczeństwie; muzyka zabija spokój i ciszę w mieście, w budynkach, na ulicach.

Potem Pianista kończy, kłania się, schodzi ze sceny. Sala klaszcze, Wiedeń bije brawa, ulice, zwierzęta, ptaki, ludzie zmieniają się w szum oklasków – wydaje się, że miasto to jeden wielki hałas przepelniony muzyką wydobywającą się z dłoni.

Pianista siedzi w garderobie, milczy, wie, że to jego ostatni koncert. Nie może, nie potrafi grać dalej. Ból jest okropny, silny, zbyt mocny, nie do zniesienia. Dłonie go palą, ciało jest zniszczone poprzez żar. Palce czują tylko ogień – może dlatego jego muzyka jest taka niezwykła – diabelnie płomienna.

- Doskonale – wchodzi, prawie wbiega Dyrektor. – Świat zamarł, gdy grałeś.

- To ostatni koncert – cicho mówi Pianista.

- Niemożliwe. Za miesiąc nowa Filharmonia, więcej ludzi będzie mogło cię słuchać. Orkiestra to ty, bez ciebie nie ma już Orkiestry. Podniosłeś poprzeczkę tak wysoko, że nie można już grać bez ciebie. Muzyka bez ciebie to cisza. Muzyka bez twojego udziału to mrok.

- Zbyt duży mam ból w sobie. Ręce nie nadążają za ciałem, za duszą.

- Wszystko można zmienić, naprawić, udoskonalić w człowieku, jeśli się wie, jak to można zrobić, gdzie to można zrobić.

- Nie dam rady, ból mnie zabija, ból mnie niszczy. Ołpina moją muzykę, wyzwała moją muzykę.

- Znam kogoś, daleko, w twoim kraju. To mój przyjaciel, pomaga tym, którzy tej pomocy już nie oczekują. Zawiozę cię tam, pokryję wydatki, tylko wróć do muzyki, wróć do sztuki.

- Nie wiem, czy będę umiał, czy będę chciał.

- Musisz – Dyrektor go mocno chwyta za oba ramiona. – Musisz wrócić. Wiedeń cię potrzebuje, sztuka cię potrzebuje.

- Spróbuję.

- Dobrze – cieszy się Dyrektor. – Idę dzwonić do przyjaciela.

Dyrektor wybiega z pokoju. Pianista zostaje sam. Patrzy na dłoń, na palce, na nadgarstki.

„Gdy grałem bez ognia byłem nikim. Gdy ogień się pojawił, zniewolił mnie stałem się kimś. Przekleństwo okazało się darem, dar przekleństwem. Poprzez ból stajemy się lepsi, poprzez ból stajemy się inni. Ci, co mają ból w sobie, bardziej cenią życie, bardziej cenią ludzi – myśli Pianista”.

Wraca do domu. Zasypia. Śnią mu się ptaki nad fortepianem, fruwały, siadają na jego czarnym kształcie. Potem coś je płoszy, przeraża, uciekają w bezmiar nieba. Następuje cisza, pojawia się światło, które zbliża się z daleka. To ogień, zwierzęta uciekają, biegną w panice, w popłochu, w przerażeniu. Przeskakują przez fortepian. Ogień pożera czarny kształt – fortepian znika ze świata żywych przedmiotów.

Pianista budzi się spocony, jest dzień; słońce nieśmiało zagląda do środka pomieszczenia. Pakuje torby, odbiera telefon „Schodzę na dół” mówi do słuchawki, zamyka drzwi, wychodzi z domu.

Wsiada do samochodu, obok siedzi Dyrektor. Ruszają przed siebie, jeszcze pustymi ulicami do przodu, do nowej przyszłości.

- Wszystko załatwione. Kolega ci pomoże, jeśli sam będziesz chciał sobie pomóc. Wszystko jest w człowieku, w głowie. Nerwy to najgorszy wróg człowieka, który wątpi w siebie, w swój talent, w swoje możliwości.

- W swoją przyszłość – dodaje Pianista.

Samochód wyjeżdża z miasta. Czeką go długa droga. Niepewna przyszłość.

Rzeźbiarka (w drzewie) siedzi w gabinecie, po raz drugi, po raz trzeci i kolejny. Patrzy melancholijnie za okno, na drzewa, na niebo i ptaki na horyzoncie dalekich chmur. Potem odwraca wzrok, skupia go na pomieszczeniu w którym teraz się znajduje. Zaostrza swoje zmysły, tężeje w środku i teraz (już wyraźnie) dostrzega kształty mebli, ich kontury i zarysy.

Głos lekarza, może doktora (nigdy nie wie jak ich zaszeregować, określić, ocenić – mają pomagać, nie pomagają, mają być ludźmi, nie chcą) dociera do niej w zaciśniętej jej myśli, coraz bliższych światłu i obrazom, które są coraz ostrzejsze i wyraźniejsze.

- Musi pani zrozumieć, jest pani zdrowa – mówi lekarz patrząc na wyniki.

- Jak zdrowa? – pyta Rzeźbiarka.

- Całkowicie – lekarz patrzy na białe druki, ich liczby, nazwy, wyznaczniki. – Wszystko jest w normie.

- Szkoda, że świat i ludzie nigdy nie są w żadnej normie. W żadnej klasyfikacji dobra.

- Nic nie mogę pani doradzić.

- Muszę z tym żyć. Polubić słabość. Pokochać to co nienawyalne i niewykrywalne, a potem zmienić to w przyjaźń, zrozumienie, przynależność.

- Musi pani zaakceptować sytuację i to co ze sobą niesie – lekarz wstaje, robi kilka kroków w bok, odwraca się w kierunku okna i mówi dalej. – Czasami coś się dzieje, coś się zmienia w człowieku i medycyna nie umie sobie z tym poradzić, nie potrafi nazwać tego, czego nie rozumie, nie potrafi leczyć tego, co nie jest w jej świetle nazwane, ocenione, sklasyfikowane.

- Pan mnie nie rozumie. Nie przyszłam na leczenie, przyszłam po odpowiedź. Dlaczego? Z jakiego powodu? Co z przyszłością? Coś co jest moim wrogiem, stało się moim przyjacielem. Dzięki drzeniu rąk tworzę lepsze rzeźby, daję im ruch, znaczenie, życie. Nie chcę tego stracić, chcę to zrozumieć. Pragnę wiedzieć, jaką cenę zapłacę za mój przypadkowy sukces, przypadkowe szczęście.

- Cenę? Tego nikt nie wie. Ceną każdego życia jest śmierć. Ceną każdego trwania jest rozpacz. Ceną każdego szczęścia jest nieszczęście.

Ktoś wchodzi do gabinetu bez pukania, pewnie, stanowczo. Krząta się przy szklanej szafie, czegoś szuka. Jego ruchy są gorączkowe, zbuntowane przeciw harmonii, są takie jakie muszą być ruchy człowieka, który chce uciec od rzeczywistości. Nagle zastygają, skupiają się w sobie, stają się bezwymiarowe i martwe, posągowo nieobecne.

Rzeźbiarka czuje czyjś wzrok za sobą, odczuwa dziwne napięcie myśli i pragnień w innym człowieku. Odwraca się, widzi Chirurga, który patrzy się na nią nieobecnym wzrokiem, pełnym napięcia.

Rzeźbiarka podnosi wzrok wyżej, aż w końcu widzi jego oczy, źrenice, twarz. Brązowe oko Chirurga rozszerza się mocniej, staje

się większe; niebieskie wciąż drga, zmienia barwy na mocniejsze i intensywniejsze – jaśniejsze.

Rzeźbiarka uśmiecha się, Chirurg budzi się z odrętwienia, oczy zmieniają swoją konsystencję na spokojniejszą tonację istnienia. Niezauważalną chęć bycia.

Chirurg (od serca) zadomawia się szybko w nowym szpitalu. Przyjaciel mu pomaga, rozumie co przeżył, jak żył ostatnio, w jakiej nieobecności i stresie.

Mieszkanie ma dobre, małe, przytulne, z kuchnią i łazienką. Okna wychodzą na las, na jezioro w oddali tuż za miastem.

Do pracy, do szpitala ma blisko, na tyle blisko, że chodzi na piechotę, wtedy czuje, że nic mu nie ucieka, czegoś nie gubi, coś zauważa. Im wolniej chodzi, tym bardziej widzi szczegóły życia koło siebie. Jego kształty i zarysy nie uciekają mu jak kiedyś.

Operacje prowadzi z innymi ludźmi. Na razie im pomaga, asystuje, daje radę i doświadczenie – ale jest gdzieś obok, ciągle, nieustannie – może zawsze. Oni robią czarną robotę, on zbiera laury za nazwisko, za przeszłość, za odwagę. Nikt nic nie mówi, przyjechał ze świata, żyje na odludziu. Doceniają, że z nimi jest, wiedzą (branża jest mała, skupiona między osobami, gestami, słowami, plotkami, niedomówieniami) że miał pecha, coś szło nie tak, choć powinno iść inaczej, wierzą, że to minie wraz z nimi.

Chirurg pracuje, spożywa posiłki, wraca do domu, ogląda telewizję i zasypia, niekiedy przy zapalonym odbiorniku. Potem wstaje, gasi telewizor, próbuje znów zasnąć – jednak wspomnienia wracają w snach, w lękach, w marzeniach.

Iwona wciąż w nim jest, w sercu, w obrazach, na zdjęciach z przeszłości. Chce od tego uciec, nie potrafi.

Patrzy na serce, które leży w szklanym naczyniu na stole. Jego barwa jest już całkiem biała, martwa, nieobecna. Płyn, w którym jest zanurzone przybrał tonację ciemniejszą, mętną, zastygłą. Zastygnięcie to naturalny stan życia Iwony poprzez serce.

Chirurg je kolację i patrzy w telewizor. Kolorowe cienie ruszają się w szklanym odbiciu. Coś mówią, z czymś walczą, do czegoś przynależą. Chirurg też chce do czegoś przynależeć, coś znaczyć, gdzieś iść, dokądkolwiek, do przodu, daleko.

Jajecznicą smakuje mu pomimo niechęci do życia. Dziwi się, że żołądek tak bardzo oddalony jest od duszy.

„Ci, co dobrze jedzą, nie zawsze są szczęśliwi” – myśli sennie.

Spogląda na serce, jakieś napięcie widoczne jest w płynie. Wstaje, podchodzi bliżej, w telewizorze zaczyna się kolejna telenowela, klęka przed stołem.

Płyn zmienia barwę na czerwoną, zaczyna mienić się różnymi odcieniami krwistej substancji, potem uspokaja się w środku. Zastygnięcie staje się uciążliwe, nieobecne, jakby coś ze środka chciało uciec, coś zostawić, dać jakiś sygnał, nakreślić znaczenie.

Potem serce zaczyna taniec, wykonuje dziwne ruchy, drgania, mieni się i nagle zastyga. Płyn się uspokaja, serce staje w bezruchu, barwa wraca do pierwotnego kształtu i znaczenia.

- Oblęd – mówi Chirurg i zakrywa twarz rękami. – Oblęd... jest we mnie, czy poza mną.

Chirurg zaczyna płakać. Łzy, niczym krople deszczu ześlizgują się po jego policzkach. Potem zastygają i uciekają, twarz Chirurga jest rozpalona, gorąca, ciepła. Żar sprawia, że łzy parują i znikają w powietrzu, w ciemności, w niewidzialności.

- Iwona... dlaczego mi to robisz? – mówi łamiącym się głosem, potem wstaje i idzie spać.

Zasypia w ubraniu, w niechęci do tego co widział, co chciał zobaczyć, co mógł zobaczyć.

Chirurg wraca z pracy, otwiera powoli drzwi, zamyka je z obojętnością na twarzy, potem siada w fotelu i milczy przez chwilę. Jego broda, lekko przybrudzona, zaczyna drgać nerwowo, budzi się.

Chirurg patrzy za okno, noc zbliża się powoli, dostojnie, z namaszczeniem każdej barwy i tonacji odcienia szarości.

Wyciąga kartkę, bierze pióro do ręki i zaczyna pisać list – do Iwony. Wie, że to co robi jest dziwne, obce, naznaczone oblędem i niemocą pokonania tego oblędu.

Gdy zaczyna pisać, gdy pierwsze słowa i zdania zaczynają żyć na papierze, odczuwa dziwną ulgę. Strach mija, ból mija, obcość własnego ciała gdzieś znika, ucieka na chwilę.

Czuje, że list musi wysłać na stary adres Iwony, do miejsca, gdzie kiedyś żyła, była. List na pewno dojdzie, ktoś go wyjmie ze skrzyn-

ki, przeczyta, nic nie zrozumie i wyrzuci do śmieci. Jednak świadomość, że może go napisać, że czuje się z tym dobrze, godnie, pewnie sprawia, że obłęd ucieka od niego na chwilę.

Pisząc, czuje się lepiej, pisząc, czuje że ona jest koło niego. Siedzi tuż obok i patrzy na jego ruchy ręki, szybkie, pospieszne, jakby za chwilę coś miało uciec, i ta ucieczka jest nieodwołalna, bezpowrotna.

Gdy kończy, wsadza list do koperty, adresuje ją na znany adres (zapomniany adres) i kładzie na stole. Jutro go wyśle, jutro musi go wysłać.

Idzie do łóżka w nadziei, że sny będą lepsze niż życie, lepsze niż samotność.

Mija kilka dni, list poleciał w nieznane, życie toczy się swoim pędem. Ciągłem.

Ktoregoś wieczoru, gdy kładzie się spać, patrzy na serce, na jego kształt i niewidzialność.

Coś zaczyna się dziać, coś zaczyna się zmieniać w naczyniu z wodą. Zbliża się do serca, patrzy z niepokojem na jego ruchy i barwę płynu w którym jest zanurzone.

W środku pojawia się zieleń, ciemna zieleń przenikająca cały kształt serca. Serce znika w tej barwie, w nasyceniu, w dziwnej palenie odcieni.

Chirurg widzi morze, dużo fal, skłębiona piana przy brzegu, chmury tuż za horyzontem. Iwona idzie z nim za rękę, całuje go w usta, przytula się do niego, wchodzi do morza, ona chlapie go słoną wodą, on jej oddaje, śmieją się.

Obraz się rozmazuje, po chwili widzi białego gołębia, leci znad plaży w kierunku horyzontu, za widnokrąg. Fale są tuż pod jego skrzydłami, chcą go dotknąć, zabić – jednak nie mogą, nie potrafią.

Potem wszystko znika, Chirurg przeciera oczy ze zdumienia. Widzi to, co chce, czy chce widzieć to, czego nie ma.

Znów ucieka w sny, znów ucieka w zapomnienie.

Wraca do domu zmęczony, upokorzony, obojętny. Zagląda do skrzynki, widzi list, wsadza go do kieszeni płaszcza, wchodzi schodami do góry, otwiera drzwi, zamyka je cicho, przekręca zamek i zaczyna czytać list.

Jego oczy, cały wyraz twarzy, policzków, czoła są zdumione. Na kartce papieru, równym pismem, nakreślone jest to, co go paraliżuje, przeraża, odmienia na jakiś czas. Długi czas.

„Dziękuję za list. Wiem co czujesz teraz, wiem co czułeś kiedyś. Życie składa się z prawd, które są dla nas zrozumiałe, z prawd, które nigdy nie będą dla nas zrozumiałe. Jestem jedną z takich prawd. Każde nieszczęście sprawia, że stajemy się inni. To nas uszlachetnia, to nas wzmacnia. Dziękuję za twoją miłość. Iwona”.

Chirurg wypuszcza list z ręki, czuje się słabo. Kładzie się na dywanie. Chwilę leży, oddycha nierówno, potem jego oddech się uspokaja i próbuje na nowo pozbierać myśli. Patrzy na serce, teraz rozumie, co widział wcześniej. Serce dało mu znak, że odpowiedź nadejdzie, nadchodzi, musi nadejść.

Siada do stołu, zaczyna pisać odpowiedź. Najpierw powoli, z minuty na minutę coraz szybciej. Aż w końcu jego ręka nie przestaje pisać wcale, jest jak karabin, który nastawiony jest na długie serie, bolesne serie.

„Iwona! Nie wiem czy to prawda, czy to obłąd. Jeśli obłąd, chcę żyć w tym obłądzie jak najdłużej. Dzięki temu obłądowi znów czuję się lepiej, znów czuję się dobrze. Obłąd mnie leczy, życie mnie niszczy. Już sama świadomość, że mogę do ciebie pisać uspokaja mnie, daje ukojenie snom i lękom. Będę pisał do ciebie o sobie, w czym tkwię, w czym chcę tkwić, pomimo strat jakie to tkwienie ze sobą niesie”.

Chirurg przestaje pisać. Zakleja kopertę, adresuje, wychodzi z domu pomimo nocy i księżyca, który tkwi na piedestale mroku. Wrzuca list do skrzynki – dochodzi druga rano. Wraca do domu. Zanurza się w nieobecność, w niewidzialność.

Mija kilka dni, nic się nie zmienia, nic się nie dzieje. Chirurg patrzy z niepokojem na serce, jest ciche, bezbarwne, bezruchowe. Schodzi po kilka razy do skrzynki – pustka, nieobecność, mróz.

Gdy słońce i księżyc przez jakiś czas się wzajemnie mijają, uciekają od siebie, serce znów zaczyna swój taniec.

Zielona barwa iskrzy się w wodzie, mieni się, zaciera z teraźniejszością. Chirurg zbiega do skrzynki, jest list. Szybko wraca do domu, otwiera kopertę, rozszarpuje biały płaszcz i czyta.

„Żyj! Musisz żyć! Miłość do mnie musi cię tworzyć, nie niszczyć. Bez życia nasza miłość nie ma sensu, nie mogła mieć nigdy sensu. Nie żyjąc, zaprzeczasz naszej miłości, niszczysz ją, zabijasz. Zaczniij podlewać kwiaty w pokoju, umierają. Kiedy przestaje się podlewać rośliny, przestaje się żyć. Jestem, pomimo braku logicznych prawd na mój pobyt tutaj. Pamiętaj! Coś co wydaje nam się obłędem, kiedyś może okazać się prawdą”.

Chirurg odkłada list, zastanawia się nad swoją sytuacją. Nie rozumie nic, nie czuje nic sensownego w głowie. Coś się dzieje, pomimo logicznych prawd na to coś.

Przez kilka dni Chirurg żyje spokojnie – chodzi do pracy, spaceruje, pisze nowe listy. Czeką na odpowiedzi. Czuję, że nadejdą, muszą nadejść. Wierzy, że rzeczy ważne zawsze przychodzą, gdy mocno w nie wierzymy. Silnie ich pragniemy.

Żołnierz z kolegami przedziera się przez ciemność, las, dżunglę. Wokół niego mrok i gwiazdy na niebie. Strach i przerażenie.

Co chwilę jasny huk rozjaśnia noc, głośno pojawia się blisko Żołnierza, uderza w drzewa, ucieka dalej i następuje cisza.

Oddział biegnie rozproszony w panice, do przodu, przed siebie, donikąd.

- Szybciej! – krzyczy Dowódca. – Trzymać się razem!

Słychać strzał, ktoś z drużyny pada na wilgotną ziemię, cichy jęk znika w jego ustach, następuje cisza. Krępująca cisza zwiastująca kolejną śmierć.

- Naprzód! – krzyczy Dowódca. – Strzelać na zmianę, amunicja się kończy!

Pościg trwa od kilku dni. Na początku ludzie wierzyli, że zgubili zło, które za nimi jest. Odprężali się, świeży duch przenikał twarze żołnierzy. Jednak po jakimś czasie znów czuli śmierć za sobą, za swoimi plecami.

Śmierć wyrażona była w małych postaciach o obcych twarzach, z dziwnym językiem, z obcą mową. Ich krzyki, agresja, siła, którą zyskiwali, gdy oni ją tracili, sprawiały, że duch w oddziale zaczął zamierać. Zabijało go zmęczenie, strach i obojętność do tego, co za chwilę może nadejść.

- Nie uciekniemy! – dyszy ciężko Dowódca. – Okrążyli nas! Kiedyś musiało to nastąpić, zdarzyło się teraz.

Nagle koło nogi Żołnierza pojawia się tunel, otwór w ziemi, duża jama.

- Tutaj! – krzyczy Żołnierz. – I tak nie mamy wyboru.

Zniszczony, prawie pokonany oddział wchodzi w głąb tunelu. Pojedyncze cienie znikają w ziemi. Wchodzą z ciemności w ciemność. Ze strachu w kolejny strach, może gorszy, na pewno inny.

Biegną po omacku przed siebie. Czują wilgoć ziemi nad głowami. Korytarze przez wroga wryte w ziemi są wąskie.

- Cały ten kraj jest za wąski dla nas – sapie Żołnierz. – Za mały na nasze zwycięstwa.

Za sobą słyszą wroga, który wchodzi w głąb ziemi, za nimi. Pościg zaczyna się na nowo, walka rozpoczyna się po raz kolejny.

„Kiedy to się skończy – myśli Żołnierz. – Śmierć w ciemności jest gorsza od śmierci pośród jasnych obrazów”.

Pociski przelatują im nad głowami, ziemia rozpryskuje się na ich twarzach, włosach, dociera do oczu, u niektórych do myśli.

- Zasypią nas żywcem! – krzyczy inny żołnierz, który kiedyś chciał być żeglarzem, podróżnikiem.

Seria z broni maszynowej odbija się głuchym echem po podziemiach, szybko uciekają w boczne korytarze ziemi.

Żołnierz czuje ciepło w ciele, nie czuje bólu, tylko ciepło, pulsujące, i żar, jakby coś go poparzyło.

Pada na ziemię, oddział go nie słyszy, hałas jest wokół nich, pomiędzy twarzami, postaciami, pustką. Znikają w kolejnym labiryncie ciemności.

Żołnierz próbuje wstać, czyni to z trudem, z bólem, z nienawiścią do świata, że czyni z ludzi to, co czyni. Zmienia ich w upiory, w wampiry nienasycone krwią. Obcą krwią.

Utykając biegnie wolno przed siebie. Wie, że coś się kończy, musi się skończyć. W jego stanie koniec oznacza wybawienie, oznacza spokój.

Skręca w boczny tunel, krew zostawia ślad na gęstej, ciemnej ziemi. Jego oczy przyzwyczały się już do mroku, Żołnierz rozróżnia szare obrazy przed sobą, ciemne obrazy za sobą.

Znów skręca gdzieś w bok, próbuje ich zgubić. Słyszy zanikające okrzyki wroga. Siada na ziemi, jest coraz słabszy, dotyka ręką swojego ciała, krew powoli ucieka z niego, systematycznie i skutecznie.

Żołnierz zamyka oczy, ucieka w obrazy z przeszłości. Chce żeby mu pomogły, dały wiarę i nadzieję. Siłę.

Przypomina sobie wartę w nocy, przy zanikającym ognisku. Cichy dym unosił się w kierunku jasnego od gwiazd nieba. Jego Kolega Ze Szklanym Okiem siedział tuż koło niego. Palili wtedy trawkę, musieli palić żeby nie zwariować.

To co widzieli na wojnie, w tym kraju, pomiędzy ludźmi, zmuszało ich do ucieczki w palenie. Widzieli nienawiść zmieniającą się w okrucieństwo, ból sprawiający, że ludzie stawali się potworami i cierpienie, które było wszędzie, musiało być wszędzie. Wojna to nieustające cierpienie nasiąknięte krwią.

- Cicha noc – powiedział Żołnierz. – Nietknięta obrazami wojny.

- Na razie – odpowiedział Kolega Ze szklanym Okiem.

- Dziwne – powiedział sennie Żołnierz zaciągając się ciepłym dymem. – Człowiek żeby przetrwać, żeby nie widzieć, musi uciekać w nałogi.

- Ci, co tylko chcą coś posiadać, nie potrzebują nałogów. Nałóg potrzebny jest tym, którzy są inni, którzy chcą więcej od życia, widzą więcej niż życie.

Coś trzaska koło nich, burzy ciszę w ciemności.

- Las żyje swoim życiem.

- Myślisz, że wyjdziemy z tego cało?

- Nie wiem – odpowiedział Żołnierz. – Wojna naznaczona jest nieustanną ucieczką, nieustanną gonitwą. Albo my gonimy kogoś, albo ktoś goni nas. Do tego dochodzi śmierć, która pojawia się nagle, niespodziewanie. Niekiedy śmierć ma zapach cierpienia, gdy trafiamy w ręce wroga.

- Życie to wieczne cierpienie naznaczone wojną. Wojna to życie zanurzające się w nieustannym cierpieniu.

Żołnierz otwiera oczy, chyba traci powoli przytomność. Wraca do krzyków, które cicho zbliżają się w jego kierunku.

Wstaje, jego lewa noga jest sztywna, prawie zimna, masuje ją obiema rękami. Trochę to pomaga, na chwilę, Żołnierz znów zaczyna uciekać przed siebie.

Zaraz po skrócie w lewo, gdy prawa ręka podpira się o ziemię, w korytarzu widzi ogromny tunel, nawet nie tunel, olbrzymi obszar składający się z podziemnego jeziora i brzegu tuż za nim.

Żołnierz wbiega do wody, zaczyna płynąć, jego ruchy są niepewne, chaotyczne. Na drugim brzegu widzi jasne światło dochodzące z góry, przenikające ziemię.

Dopływa do brzegu, kładzie się na piasku, na plaży, zaczyna oddychać, zgubił oddech i teraz stara się go odzyskać.

Czuje ciepło, nie czuje zimna, jest cały mokry, spocony, skudłony walką i cierpieniem.

- Hibernacja – mówi do siebie. – Zaczynam odchodzić.

Jakaś jasna postać zbliża się w jego kierunku. Podchodzi do niego, klęka, bierze jego głowę w ramiona, tuli do siebie, patrzy mu głęboko w oczy. Z miłością.

Żołnierz nie rozpoznaje twarzy, jest rozmazana, popękana, niewidoczna. Jednak wie, że to kobieta, czuje, że to kobieta.

Włosy ma długie, jasne, kręcone, aż do ramion i jeszcze niżej; jej zapach jest inny, ma w sobie czułość i tęsknotę, sny do których się często wraca, chce się wracać.

- Dobrze, że jesteś – mówi Żołnierz. – Człowiek powinien odchodzić wtedy, gdy czuje bliskość innego człowieka koło siebie. Dobra śmierć powinna być zawsze naznaczona bliskością.

Żołnierz zamyka oczy, jest gotowy na nową drogę, nową ścieżkę, inny ślad. Na podróż w nieznane. Słyszy krzyki na drugim brzegu, obce krzyki. Jego już nie dotyczą, są mu obojętne, dalekie.

I wtedy, gdy jest gotowy, pewny, przygotowany słyszy znajome głosy.

Pojawiają się koło niego, wybijają go z rytmu śmierci.

- Jest tutaj!

Czuje zastrzyk wbijający się w jego ciało. Otwiera oczy, znów jest wśród swoich, oddział wrócił po niego.

- Bierzemy go! – krzyczy Dowódca. – Szybko!

Oddział strzela do wroga, niszczy w nim ostatnią chęć kolejnego ataku. Mali żołnierze wycofują się w ciemność. Zlewają się z mrokiem.

- Będzie dobrze – mówi kolega. – Znów będziesz mógł walczyć, niszczyć wroga.

„Nie wiem czy chcę, czy jeszcze mogę – myśli Żołnierz. – Wojna to obłęd składający się z ludzi po obu stronach barykady”.

Chirurg wstaje, podnosi się szybko na łóżku. Zbiera myśli, balansuje pomiędzy nimi, a potem skupia w sobie pamięć, obrazy, które jeszcze w nim są, a powinny dawno uciec.

„Złe sny przeważnie naznaczone są wojną – myśli cicho. – Wojną ze sobą samym”.

Kładzie się znów do łóżka. Dochodzi trzecia rano. Próbuje zasnąć, udaje mu się to po jakimś czasie. Teraz śpi spokojnie, pewnie. Jego ciało zamiera na kilka godzin w bezruchu.

Dyżur się dłuży, czas staje w miejscu, zawiesza się, minuty ciągną się w nieskończoność, stają się wiecznością.

Chirurg idzie wzdłuż korytarza, patrzy na twarze ludzi, zmęczone, smutne, przesiąknięte bólem.

„Szpital to przedsionek śmierci – myśli Chirurg. – Tutaj czekamy, tutaj cierpimy, stąd odchodzimy”.

Skręca w prawo, znów tłum obojętnych ludzi. Przy drzwiach gabinetu słyszy znajomy głos, wydobywa się ze środka. Zatrzymuje się, słucha niczym lunatyk, jego twarz zaczyna nerwowo drgać. Ręce ma roztrzęsione, rozchwiane, bez żadnych szans na spokój i ciszę.

Głos zza drzwi, jego barwa, tonacja, sposób w jaki pokonuje przestrzeń to głos Iwony.

Chirurg wchodzi do gabinetu, udaje że czegoś szuka w szafce, jego ręce wykonują bezproduktywne ruchy, szukają czegoś w powietrzu, w przestrzeni.

„Ten głos, ta barwa – to ona. Ta kobieta skradła duszę Iwony – myśli Chirurg”.

Kobieta odwraca się, patrzy przez chwilę na niego, na jego skupioną twarz i uśmiecha się. Twarz Chirurga odzyskuje dawną świeżość; jego usta, oczy, nos też się do niej uśmiechają.

Chirurg wychodzi, opiera się o ścianę – jest taka chłodna dzisiaj, śliska, przeźroczysta. Czeki. Minuty, sekundy, czas to niecierpliwość i niemożność zaspokojenia tej niecierpliwości za wszelką cenę.

Kobieta wychodzi, zauważa go, on podchodzi do niej, przedstawia się. Całuje ją w rękę, czuje dziwne napięcie, a potem mówi szeptem:

- Słyszałem, co mówił mój kolega. To dobry lekarz. Można mu zaufać.

- Ufam – uśmiecha się Rzeźbiarka. – Choć podobno, lekarzom nie należy ufać.

- Zależy jakim – pogodnie mówi Chirurg.

- Ludzie są różni, lekarze też są różni. Czasami ktoś bywa niebezpiecznie tajemniczy, ale... – Rzeźbiarka poprawia ręką włosy – ja nie przyszedłam na leczenie, przyszedłam po poradę, wiadomość, jakiś sens.

- Dostała go pani?

- Nie – Rzeźbiarka marszczy czoło. – Dostałam nadzieję, że z wszystkim można żyć. Długo.

- To prawda. Byłem w Stanach, widziałem różne choroby, upokorzenia na ciele. To, co ma pani, to niepewność, że kiedyś coś się zdarzy, choć może nigdy się nie zdarzy.

- Zawsze to jakaś prawda, w świecie bez żadnych prawd.

- Może – Chirurg się waha. – Spotkamy się przy kawie i opowiem o ludziach takich jak pani, niesklasyfikowanych przez medycynę.

- Dobrze. Mieszkam przy jeziorze, za miastem, znajdzie mnie pan, jeśli panu zależy. Jutro o szesnastej.

- Doskonale.

- Do zobaczenia – Rzeźbiarka odchodzi.

Chirurg chwilę na nią patrzy, na jej młodość, ciało, nadzieję i wraca do pracy.

Zaczynają się spotykać, powoli, bez pośpiechu, bez zbędnych nadziei. Ona mówi o pasji, o Krakowie, o matce, o ojcu rzadko. On o studiach, o dawnej miłości, o Stanach, o medycynie i powrocie.

Robią sobie nawzajem akupunkturę wspomnień. Ona wbija swoje wspomnienia, obrazy, lęki w jego ciało, w różne miejsca. On w jej skórze, na jej aksamitnej powłoce zaznacza ślady swojej osobowości, nowe znaki. Sygnały wychodzą z niej do niego, odczyty wracają

z niego do niej. Rozmowa oparta na wspomnieniach daje im nadzieję.

Idą wzdłuż jeziora, Chirurg czegoś szuka. Wzrok wyteża na kilka sekund przed ich krokami, myślami.

- Jest gdzieś tutaj, była tutaj. Stara, zapomniana, bezużyteczna.

- Rzeczy bezużyteczne niekiedy stają się potrzebne. Wręcz niezbędne do życia – mówi Rzeźbiarka.

- Chodźmy tam, widzę coś, co przypomina łódź.

- Świat składa się z wielu bezużytecznych ludzi, z wielu bezużytecznych rzeczy – mówi Rzeźbiarka.

- Jest – uśmiecha się Chirurg.

- Wsiadamy – Rzeźbiarka wchodzi do łodzi.

Wypływają na jezioro. Chirurg ciężko macha wiosłami, nie ma już w nim tej energii co kiedyś, w młodości. Łódź płynie w kierunku wyspy, za nimi widać rozmazany ślad na wodzie.

Dopływają do brzegu. Chirurg wciąż ciężko dyszy, uśmiecha się.

- Wsiadamy? – pyta Rzeźbiarka.

- Tak. Chcę ci coś pokazać.

- Co?

- Tajemnicę. Przeszłość.

Przedzierają się przez trzcinę. Ich kroki słychać po całym jeziorze. Ptaki uciekają z szuwarów w kierunku chmur.

- Gdzie idziemy?

- Tam – Chirurg pokazuje polną drogę, rozmazany ślad lasu.

Dochodzą do ruin starego miasta. Rzeźbiarka staje, dziwi się, nie mówi przez chwilę, zawiesza się, wchodzi pomiędzy zniszczone budynki.

- Skąd to miasto? Tutaj, na wyspie?

- Legenda mówi, że kiedyś, dawno temu, było w okolicy ogromne miasto. Kupcy przyjeżdżali tutaj z całej Europy. Potem miasto zniknęło, schowało się pod wodą. Ludzie mówią, że wciąż tam jest, pod jeziorem, że dawne duchy nadal tam żyją, mieszkają. Podobno ktoś słyszał ich głosy w nocy, ich śpiewy wydobywały się z jeziora.

- Dziwne – mówi Rzeźbiarka dotykając skalnych ścian budynków. – Miasto wygląda jakby było schowane w ziemi. Widać tylko dachy, teraz zapadłe, wklęsłe, nieobecne. Wieża też jest widoczna

do połowy. Wszystko jest schowane, zniszczone, uśpione. Budynki wciąż zanurzone są w przeszłości.

- W niebycie – dodaje Chirurg.

Rzeźbiarka przymyka oczy, skupia się. Po chwili słyszy głosy z przeszłości. Widzi handlarzy, kupców, kobiety z dziećmi, konie ciągnące towary na wozach, melodie grane przez ulicznych grajków, kości rzucane na beczki i mężczyzn grających o towary, pieniądze, zakłady. Słyszy zaginiony świat, zauważa zapomniane zwyczaje.

Uśmiecha się, otwiera oczy. Jej twarz jest spokojna, lekka, odprężona.

- Przeszłość może być balsamem duszy, może być przekleństwem duszy – mówi szeptem.

- Mówimy o miłości?

- Mówimy o życiu. Życie to miłość. Miłość to życie. Do tego dochodzą ludzie. Ich żądze, pragnienia. Niekiedy nienawiść.

Przemieszczają się pośród murów, w milczeniu, w ciszy. Nie chcą zbudzić tego, co kiedyś zostało uśpione. Na wieki. Na wieczność.

Rzeźbiarka dotyka zimnych ścian z kamienia. Są takie obce, niedostępne. Czuje się przez te dotyki lepiej, pewniej, mniej samotnie.

Przyroda wrosła w resztki miasta. Gałęzie, trawa, mech, krzaki zadomowiły się w szczelinach, wnętrzach, przy ścianach budynków. Zespoliły się z nimi, na zawsze, na nieśmiertelność.

- Wracamy – mówi Chirurg. Bierze ją za rękę, czuje dreszcz, niepokój, słodki smak tego, co ma w głowie, co wydawało mu się, że umarło, a jeszcze w nim żyje.

Podczas dotyku, jego ręki z jej ręką, splotu ich palców, nadgarstków, Rzeźbiarka czuje odprężenie na skórze. Jego dotyk ją uspokoja, jego zapach ją wycisza.

„To dobrze – myśli. – Jeśli czyjaś obecność nas uspokoja. Odpręża”.

Odpywają z wyspy. Rzeźbiarka patrzy ze smutkiem w zanikające kształty miasta.

Meble, krzesła, stół wszystko ląduje na środku pokoju, na zniszczonym, starym, lekko przykurzonym dywanie. Miasto z mebli wyrasta na podłódze.

Rzeźbiarka siada na skórzanym fotelu. Lekko zsuwa ramiona, patrzy z roztargnieniem, zagubieniem, co się w domu dzieje za sprawą mocnego postanowienia, że dom potrzebuje świeżości, nowych kolorów.

Patrzy na boczną ścianę, jest dziwnie nierówna, bezkształtna. Coś jest w niej nie tak, dziwi się, wcześniej na to nie zwróciła uwagi. Jest w niej napięcie, naprężenie, coś z niej wychodzi. Wydaje się, jakby za chwilę miała się rozpaść, pęknąć, zsunąć na dół.

- Muszę ją wyrównać – mówi Rzeźbiarka. – Sprawię, że będzie prosta, pełna barw, kolorowa.

Bierze szpachelkę i zaczyna skrobać ścianę. Kurz, farba zaczynają opadać na dół, na podłogę, są niczym zranione liście na jesień, gdy przymrozek zabija wszelkie życie w przyrodzie.

Ze ściany, z wnętrza, z naprężenia coś się wyłania, coś się tworzy, coś nabiera kształtu i rozmiaru.

Rzeźbiarka patrzy na ścianę zdziwiona, zaskoczona, zdumiona. Ściana to rzeźba, schowana umiejętnie w gipsie. Jej ręce pracują szybciej, pewniej z oznaką niepokoju.

Po godzinie, może dwóch, po zmęczeniu, wykończeniu, trudzie Rzeźbiarka oddala się od ściany. Staje w oddali, w lekkim rozkroku i patrzy na swoje dzieło – cudze dzieło.

Widzi las, drzewa, duże, małe, poskręcane, ich gałęzie oplatają się, tulą do siebie. Koło lasu jest jezioro, głębokie, szerokie, senne. Pod wodą widać coś dziwnego i tajemniczego.

Rzeźbiarka zbliża się zdumiona do ściany, przeciera przykurzone oczy, szczypie się w rękę, mruży powieki.

W wodzie, w głębinie jeziora widzi ludzi, domy, płoty, zwierzęta. Widzi świat dzienny zanurzony w świetle nocnym.

Jedna twarz jest znajoma, bliska, ciepła. Rysy, powieki, włosy i usta to jej dziadek, który patrzy w jej kierunku. Uśmiecha się, na jego palcu coś jest, coś co należy do rodziny, od lat, od wieków. Sygnet, złoty, z godłem, ze znakiem w środku – błyszczy niczym diament.

Rzeźbiarka go bierze do ręki, dotyka, przytula do twarzy. Nagle jej oczy się naprężają, matowieją, rozszerzają. W oczach pojawia się strach i napięcie – przerażenie.

Biegnie do komody w drugim pokoju. Czegoś szuka, wyrzuca z szuflady wszystko – rzeczy, przedmioty, ciuchy. Nieład opanowuje podłogę. Znajduje to, czego szuka.

Przekłada zdjęcia szybko, pospiesznie, niepewnie. Boi się odpowiedzi. Czuje, że ją zna. Odpowiedź sprawi, że zwątpi, coś się w niej zmieni, załame. Coś zniknie, coś zaboli.

Znajduje zdjęcie z pogrzebu dziadka. Jest trumna, brązowa, z dębu, jest ciało zastygłe, martwe, zimne. Na splecionych rękach jest sygnet, ten sam, który ma teraz w dłoni.

Biegnie do telefonu, wykręca numer. Nerwowe ruchy, czekanie, serce bije niespokojnie, aż w końcu pojawia się głos, znany, dobrze schowany w innej przestrzeni, w innym kształcie.

- Słucham.
- To ja. Mam prośbę, przyjedź do mnie szybko, jak najszybciej.
- Co się dzieje?
- Przyjedź. Proszę.
- Dobrze. Będę jutro – mówi matka zaskoczona, jednak nie pyta o nic więcej, pakuje się i wychodzi z domu.

Rzeźbiarka i matka siedzą przed domem. Milczą, nic nie mówią. Patrzą na las, na zwierzęta w oddali, przy jeziorze, na chmury, ciemne, poszarpane, bezkształtne.

- To niemożliwe – mówi matka. – Niesłychane. Niewytłumaczalne.

- Jak to można zrozumieć, pojąć – zastanawia się Rzeźbiarka.
- Dobrze pamiętam. Ojciec miał go na palcu, gdy go zakopywali. Dobrze pamiętam... – matka załamuje się, zaczyna płakać. Łzy lecą jej na spódnicę, na nogi, na ziemię.

- A więc jak? Jakim sposobem?
- Nie wiem. Nie wiem...
- Coś, co staje się niewytłumaczalne, musi pójść w niepamięć. Niepamięć musi zniszczyć to wspomnienie, ten obraz, ten kształt w nas. Zanim niewytłumaczalność zniszczy nas na zawsze.

Rzeźbiarka wstaje, patrzy przed siebie, w końcu mówi:

- Napijmy się wina. To nas na chwilę uspokoi, odciąży od złych wspomnień, złych obrazów.
- Dobrze.

Wchodzą do środka domu, do pokoju, do przykurzonych ścian po remoncie, który jeszcze dobrze się nie zaczął. Staął w miejscu. Zastygł.

- Pomożesz mi? – pyta Rzeźbiarka rano.

- Co chcesz zrobić?

- Przesuniemy tę szafę, przy ścianie. Większość mebli oddaliłam od ścian. Została mi tylko ta szafa. Razem damy radę.

Skupiają się, natężają myśli, potem ciała i bezruch zmieniają w ruch. Szafa powoli przesuwa się na środek pomieszczenia.

Rzeźbiarka podpira się rękami, jej palce zastygają na biodrach. Podchodzi do ściany, kurz zaczyna opadać jak płatki śniegu, zaraz po jesieni, po ostatnich zanikach słońca na ziemi.

Zatrzymuje się, patrzy zdumiona na miejsce, gdzie przed chwilą stała szafa. Podchodzi do niej matka, mruży oczy, coś sobie przypomina z dzieciństwa, skrawki wspomnień wracają, omiatają jej oczy, myśli, lęki.

- Kiedyś, gdy byłam małą, była tu piwnica – mówi ciężkim głosem. – To było dawno temu. Wieczność temu.

Otwierają zniszczone drzwi, drewniane, z pomarszczoną farbą, która teraz powoli, systematycznie kruszy się i ucieka w kierunku ziemi.

Wchodzą w ciszy, matka trzyma córkę za ramię, jakby bała się wspomnień, jakby zastygły czas mógł je zniszczyć, zniewolić, otępić na zawsze.

Rzeźbiarka zauważa włącznik światła, naciska go bez nadziei na sukces, jednak po chwili coś się zaczyna jarzyć w powietrzu. Słychać lekki syk, szmer, półmrok ucieka od mroku, ciemność zmienia się w nieokreśloną szarość.

- Przynajmniej coś widać – mówi Rzeźbiarka.

Schodzą niżej, schodami w dół, ostrożnie, z lękiem, z obawą. Na ścianach, po obu stronach, na gwoździach umocowane są narzędzia do rzeźbienia w drzewie. Rzeźbiarka je rozpoznaje, zna dobrze ich kształty i przeznaczenie. Wie, co mogą zrobić jeśli trafią na właściwą osobę, na prawdziwy geniusz.

Dłuta o różnych kształtach, wielkościach, znaczeniu wiszą jak chrześcijanie na krzyżach, umęczone, udręczone, zapomniane. Zakazane.

- Kiedyś twój dziadek rzeźbił dużo, zachłannie. Las dostarczał mu energii, materiału, był jego muzą, ucieczką, nadzieją.

- Co robił, co tworzył? – pyta Rzeźbiarka.

- Figury, postacie, Święte Osoby do kościołów. I nagle... – matka się zamyśla, zbiera w sobie obrazy, skrawki obrazów, niepoukładane do końca reszki wspomnień – gdy wracał do domu, zaskoczyła go burza nad jeziorem. Wrócił odmieniony do domu. Przez tydzień nic nie mówił, milczał, siedział i patrzył w niebo, z lękiem, z obawą, ze strachem.

- Co zobaczył nad jeziorem?

- Gdy milczenie zaczynało z niego opadać, topić się jak śnieg na wiosnę, powiedział, że widział jak piorun uderzył w jezioro. Błysk, jego siła, moc, natężenie tej siły w przyrodzie rozwarło wodę na połowę, na dwie równe części i coś tam zobaczył, coś co sprawiło, że przestał rzeźbić. Nigdy nie powiedział co tam było, co tak bardzo zmieniło jego życie. Dalsze życie.

- Dziwne. Wszystko w tym domu, w okolicy jest takie inne, tajemnicze. Obce.

- Po tym zdarzeniu matka zasunęła drzwi, ukryła je, aby nie cierpiał, nie widział jak jego pasja umiera. Ta szafa – matka się zamyśla – stoi tutaj od tamtej chwili. Tak długo śpi w tym miejscu, że o niej zapomniałam, zatarłam w sobie pamięć o piwnicy.

Idą dalej, głębiej, żółte światło mieni się. Raz jest jasne, raz szare, niekiedy gaśnie na chwilę, by po sekundzie znów rozwinąć skrzydła, odnieść zwycięstwo nad mrokiem, nad skrajną ciemnością. Nad niedostatkiem ciszy.

Schodzą niżej i niżej, echo ich kroków, smak cieni na ziemi, roztacza swój płaszcz w półcieniach na ścianach.

Gdy są na dole, światło gaśnie na kilka sekund; matka chwytą Rzeźbiarkę za ramię mocniej, boleśniej, rozpaczliwiej. Słyszą szum rzeki koło siebie, zimny nurt przenika powietrze wilgocią. Światło się zapala, ich oczy rozszerzają się szerzej ze zdumienia. Nie wierzą, że to co widzą to prawda. Myślą, że to sen, coś, co nie może być rzeczywiste, namacalne, realne.

Na środku piwnicy jest wyspa z ziemi, rośnie na niej trzcina, wysoka, aż do sufitu. Można na wyspę wejść małą, drewnianą kładką. Cała piwnica, cała jej nizinna przestrzeń, podłoga to rzeka, strumień, który wychodzi ze ściany i ucieka w ścianę, po drugiej stronie.

Mury pomieszczenia pomalowane są jakby trzcina posadzona była naokoło, a tuż za nią wyrastają drzewa, duże, małe, liściaste, dębowe. Na suficie mienia się gwiazdy, dużo jasnych punktów na granatowym niebie – księżycy nie ma, może nigdy nie było.

Wchodzą niepewnie na kładkę, idą na wyspę, są przestraszone; światło gaśnie, rozjaśnia się, błyszczy żółtym blaskiem – zmienia znaczenie sensu w piwnicy.

- Co to jest? Kto to zrobił? – pyta niepewnie Rzeźbiarka.

- Nie wiem – głos matki się łamie, kaleczy przestrzeń dookoła. – Co ona zrobiła – matka się kurczy, nie wie co jest prawdą? co snem? co przeznaczeniem?

Gdy przechodzą z powrotem na drugi brzeg, Rzeźbiarka zauważa, że coś się w wodzie błyszczy, mieni, może lśni. Klęka, zanurza rękę w zimnym strumieniu, bierze jasny punkt w dłoń, wstaje.

- Znasz to? – pyta matkę.

Matka bierze do ręki dwa złote kształty złączone lnianym sznurkiem i patrzy na nie niepewnie.

- To obrączki, matki i ojca. Splecione ze sobą na zawsze. Nerozerwalne na wieczność.

- Skąd one się tutaj...?

- Nie wiem. Coraz mniej wiem z teraźniejszości, coraz mniej rozumiem z przeszłości.

Wracają do góry, wychodzą przed dom, nic nie mówią. Coś się w nich urywa, coś się w nich kurczy. Niepamięć zaczyna być ich przyszłością. Niepamięć staje się ucieczką.

Jasnowidz schyla się w kierunku zielonej trawy, jego ręka ląduje tuż przy ziemi, drugą odgarnia liście, podnosi grzyba do góry. Przypatruje mu się z uśmiechem.

- Dobry – mówi do siebie.

Wsadza go do koszyka i czuje, że dar powoli w nim rośnie, wraca po krótkim niebycie w pustej przestrzeni – przestrzeni, której on nie znosi, nie może znosić.

Przyjechał do ośrodka, do tego zapomnianego miejsca, skrawka ziemi na odludziu, aby coś zacząć na nowo, aby jego dar mógł się odrodzić, wrócić, dać mu wiarę, że jeszcze coś może, potrafi, umie.

Jasnowidz stracił swoją moc; nie wie kiedy dokładnie się to stało? gdzie? dlaczego to znikło w nim? Tego nie wie, lecz teraz ma przeczucie, że to wraca, powoli, ale wraca.

Jego dar jest mu teraz bardzo potrzebny, wręcz niezbędny. Gdyby nie wrócił, gdyby odszedł od niego na zawsze, nie pomoże rodzinie, która na niego liczy, tak mu ufa, bezgranicznie.

„Bezgraniczność ma sens, gdy podparta jest zaufaniem kogoś bliskiego – myśli Jasnowidz”.

Jego chrześniak, młody, utalentowany, który chciał zostać naukowcem, nagle zniknął, nikt nie wie co się z nim stało. Może uciekł, może chciał uciec, zapomnieć o starym świecie, albo spotkała go krzywda, tego nikt nie wie z jego bliskich. Oczekują, że on nie, będzie wiedział, jak kończy się ta historia.

Jasnowidz próbuje, skupia się, przeży jednak nie może znów być sobą z kiedyś – na razie. Stąd pomysł na ten ośrodek, na leczenie, na szukanie siebie poprzez nadzieję, wiarę innych.

Jasnowidz widzi kolejnego grzyba, sięga po niego, palce dotykają wilgoci w nizinnej przestrzeni i grzyb łąduje w niedużym koszyku. „Czuję, gdzie są, nie muszę ich widzieć wcale – myśli”.

Przypomina sobie, jak to się wszystko zaczęło. Pamięta początek, nie wie czy będzie pamiętał koniec.

Kiedyś, dawno temu, gdy był młodzieńcem usłyszał podczas posiłku w kuchni huk, może hałas na dole, na ulicy. Powiedział na głos „Zenek uderzył fiałem w poloneza”.

Matka podeszła do okna, wychyliła się, zdumiona popatrzyła na syna i powiedziała „Zenek uderzył fiałem w poloneza”.

Potem coraz więcej rzeczy widział, więcej rzeczy czuł. Działo się to naturalnie, dar sam w nim wyrastał jak roślina, nawet nie musiał go podlewać i pielęgnować.

Ludzie do niego przychodzili, prosili o kształt przyszłości, choć niewielki, rozmazany, wierzyli że się spełni i przeważnie się spełniało to co powiedział.

Kiedys przyszedł do niego ktoś z telewizji, płakał, że syn, że pustka, nie wie jak żyć dalej. Poprosił o zdjęcie, coś osobistego, popatrzył na rysy syna, uśmiechnął się „Żyje” powiedział.

Pojechali tam, gdzie czuł, że może być. Inne miasto, inne budynki, inni ludzie. Czekali długo przy parku, kilka dni; rezygnacja pojawiała się na ich twarzach. I syn pojawił się jak zjawą, jak sen, jak duch.

Wrócił do domu, potem człowiek z telewizji zaproponował program, w podziękowaniu za to co zrobił. Zgodził się, wtedy jego życie stało się inne, bogate, sławne, z dużą ilością pieniędzy. Nigdy nie czuł chęci posiadania pieniędzy, bał się, że go zmienia, tak jak zmieniają innych. Gdy się pojawiły, nagle, niespodziewanie, zrozumiał, że nie pieniądze zmieniają człowieka, lecz człowiek sam zmienia się dla pieniędzy.

Program był dobry, popularny, dawał nadzieję tym, którzy tej nadziei już nie mieli. Ludzie wracali do miejsc z których uciekli, chcieli uciec, bo coś ich zmieniło, dobiło, zniszczyło. Wracali dzięki jego pomocy. Rozumieli, że skoro ich znalazł, pomimo zatarcia śladów, to muszą wrócić, zacząć wszystko na nowo. Starali się porządkować sprawy, rzeczy, kiedyś tak nieuporządkowane.

Potem zaczął pomagać policji. Czuł taką potrzebę, myślał, że to zmieni jego życie na lepsze, mylił się. Zbrodnia widziana myślami, nigdy nie zmienia nas na lepsze. Sprawia, że zło w nas wchodzi i nie chce uciec, pomimo naszych starań, chęci, ucieczek.

Wtedy zrozumiał, że zło ma wiele wymiarów, symboli, znaczeń. Jednak ma jeden punkt wspólny, odniesienie, skalę – człowieka.

„Nie rodzimy się źli – pomyślał. – Stajemy się źli poprzez świat, poprzez ludzi”.

Pamięta bagna, mgłę, szarość wieczoru, latarki, krzyki, zwierzęta zaczynające taniec w nocy, pamięta lęk, który się w nim pojawił, gdy zrozumiał, że może się pomylił, będzie za późno, za bezsensownie, za tragicznie.

W końcu pojawił się dom pomiędzy bagnami, zniszczony, stary, z dachem osuniętym na bok. Pamięta strach paraliżujący, że dom może być pusty, choć czuł, że ktoś w nim będzie i był (wtedy poczuł jak dobro w niego wchodzi).

Znów zabłysnął, porwany wrócił do rodziny, do bliskich, do strachu, który już będzie z nim do końca – strachu przed wodą, przed lasem, przed złymi ludźmi.

Pamięta jezioro, duże, tuż przy lesie, z szuwarami, trzciną, kaczki pływające w oddali. Wtedy czuł, że nie zdąży, że życie ucieka gdzieś obok. Czuł bliskość śmierci, jak się zbliża, jest tuż nad nim, rozpościera skrzydła.

Przeszukali całe jezioro – nic. Szukali kilka dni, w wodzie, pod wodą, koło wody.

Zobaczył wędkarza, podszedł do niego, zapytał o kształt jeziora, o wpływy, odpływy, prądy, czy jest w nim coś dziwnego, tajemniczego.

Wędkarz pokazał las na drugim brzegu, pomiędzy lasem gęste, wysokie szuwary. Za nimi jest małe jezioro, przepływa przez te zarośla, mało kto je zna, nie ma go na mapie.

Poszli tam, i wtedy, na drugim brzegu jeziora, poczuł jak obce życie ucieka do góry. Zobaczył jasne światło zmierzające wyżej nad horyzont i poczuł pustkę, i ból. Ból jakiego nigdy nie zaznał, ból obcego człowieka. Znaleźli trupa.

Zrezygnował z telewizji, policji, chciał odpocząć. Sława go męczyła, ludzie go męczyli, życie go męczyło. Zrozumiał, że dar może stać się przekleństwem. Złem rzutującym na całe życie.

I nagle stracił dar, tak niespodziewanie. Na początku poczuł ulgę, myśli stały się pogodne, ciche, nawet senne. Mógł spać spokojnie, mógł żyć w ciszy.

I wtedy chrześniak zniknął, rodzina się zjechała, nie rozumiała, że nie może, że już nie potrafi, że jego dawne życie to przeszłość. Nie mógł wytłumaczyć ceniom bez nadziei, że sam stracił kiedyś nadzieję.

Postanowił wrócić do przeszłości, choć wiedział, że często nie da się już wrócić do przeszłości, która przez teraźniejszość staje się inna, obca, niedostępna wspomnieniom, które jeszcze w nas zostały.

Jasnowidz wyczuwa czyjaś obecność koło siebie. Nie widzi nikogo, ale wie kto to jest. Uśmiecha się, dar wraca, zamyka oczy i patrzy w kierunku polany.

Marzena idzie z Rzeźbiarką przez las. Spacerują pomiędzy drzewami, słońcem, pomiędzy wolno uciekającym czasem.

- Jak ci się tam pracuje? – pyta Rzeźbiarka.

- Dobrze. Wiele zrozumiałam przez tę pracę.

- Jak wiele?

- Ci, którzy są wielcy, mają takie same lęki jak ci, co są mali.

- Wielkość nie oznacza życia bez bólu.

- Zgadza się. Ból sprawia, że lepiej rozumiemy siebie, lepiej rozumiemy innych.

- Artyści, którzy są u was mają obłąd w oczach – mówi Rzeźbiarka.

- Myślę, że każdy artysta naznaczony jest obłądem. Bez obłądu nie ma sztuki, bez obłądu nie ma artysty. Obłąd uczy artystę wrażliwości, sprawia, że wrażliwość wydobywa z niego wszystko, nawet to co jest w nim niewidoczne, to, co jest w nim niedostępne.

- Dzięki nim lepiej rozumiemy prawdy, które obłąd zasłania.

- Artyści wiedzą, że obłąd ich niszczy, obłąd ich wyzwala. Pozwala im być, kim chcą być, kim mogą być. Obłąd to prawda o świecie, prawda o nas. Ludzie, którzy nie mają obłądu w sobie są samotni, nie potrafią dojrzeć piękna wokół nas.

- Czasami czuję, gdy tworzę, że świat zamiera, staje w miejscu – mówi Rzeźbiarka. – Czy obłąd może też być bezruchem? Bezruchem myśli, bezruchem ciała.

- Obłąd może być wszystkim, może być niczym. Najczęściej może być sztuką, u tych, którzy mają wystarczającą wrażliwość.

Słyszą trzask łamanej gałęzi, gdzieś obok, odwracają się. Marzena widzi Jasnowidza, poznaje go, znów uciekł z ośrodka, uśmiecha się do niego.

- Nie może wychodzić z ośrodka, nikt nie może – mówi cicho Marzena. – A wciąż wychodzi. Często go widzę, gdy on mnie nie widzi, nie wiem jak to robi, na zewnątrz można wyjść tylko bramą.

Jasnowidz zbliża się do nich powoli, lekkim, stanowczym krokiem. Koszyk z grzybami kołysze się w jego prawej ręce.

- Powinnam powiedzieć, że to robi – mówi do ucha Rzeźbiarki Marzena. – Ale nie mogę, nie wiem dlaczego. Jakiś głos podpowiada, że nie powinnam tego robić.

Jasnowidz staje przed kobietami, patrzy im głęboko w oczy, potem mówi:

- Piękne kobiety, w tak odludnym, zapomnianym miejscu. Samotność jest ucieczką dla ludzi takich jak ja, nie dla tak niezwykłych kobiet jak wy.

- Wiesz, że nie powinieneś wychodzić sam do lasu – mówi Marzena.

- Wiem. Jestem ci wdzięczny za niewiedzę, którą masz w sobie. Za niewiedzę, którą nie rozpowszechniasz innym.

- Co tutaj robisz?

- Szukam daru, który kiedyś straciłem. Las mi pomaga, cisza mi pomaga, wasza terapia mi pomaga. Jestem blisko, może zbyt blisko.

- Wracamy do ośrodka – mówi Marzena. – Ty też tam lepiej szybko wróć.

- Wracam, ale za pół godziny – Jasnowidz odchodzi. Potem się odwraca, gdy jest kilka metrów od kobiet i mówi:

- Dziękuję, że nie mówisz o moich ucieczkach. To miłe z twojej strony.

- Proszę – uśmiecha się Marzena.

- Złoto może być szczęściem, może być przekleństwem, gdy zanurzone jest w niewidzialności – mówi Jasnowidz do Rzeźbiarki.

Rzeźbiarka czuje dreszcz na skórze, przypomina sobie sygnet, obrączki, obraz.

- Dar widzenia przyszłości też może być sztuką. Sztuką naznaczoną życiem. W pewien sposób też jestem artystą. Artystą życia przepełnionym obłędem.

Marzena patrzy jak Jasnowidz znika pomiędzy drzewami. Koło nich stoi koszyk z grzybami, pełen tego co daje las, co rodzi las.

„To na kolację – Marzena słyszy głos Jasnowidza w głowie”.

„Miasto istnieje w legendach, w wyobraźni ludzi – Rzeźbiarka czuje głos Jasnowidza w sobie”.

Obie patrzą na siebie, nic nie rozumieją. Czują, że coś niewidzialnego dotknęło ich myśli, dotknęło ich duszy.

Rzeźbiarka w skupieniu pracuje nad nową rzeźbą. Ręce jej drżą, już przyzwyczaiła się do ich ruchu, zagubienia, niekontrolowanych

gestów. Skrawki drzewa opadają na ziemię, zasypiają tuż przy niej, w nogach, na trawie.

Rzeźbiarka odchodzi z dłutem kilka kroków, patrzy na rzeźbę, zamyśla się, chwilę zastanawia i wraca do pracy. Coś nabiera kształtu, coś nabiera ruchu, coś rodzi się z niczego.

Słońce coraz bardziej nagrzewa ziemię, sprawia, że jasne obrazy pojawiają się pomiędzy drzewami, by po chwili zniknąć i narodzić się w innym miejscu, w innym kształcie.

Rzeźba przedstawia konie wychodzące z wody; ciągną za sobą ciężki wóz z drewnem. Konie są zmęczone, strudzone, obojętne. Czują, że niewiele życia im zostało, ale wciąż uparcie idą naprzód. Wiedzą, że czasami trzeba tylko iść do przodu, inne rzeczy wtedy nie mają znaczenia, nie mogą mieć znaczenia.

Rzeźba ma w sobie ciszę, moc, ruch. Patrząc na nią odczuwa się chęć dotknięcia koni, aby poczuć ich siłę, ich drgającą lśniącą skórę.

Ktoś stoi w cieniu drzewa, Rzeźbiarka odwraca się, patrzy zmęczonymi oczami, rozpoznaje Star(usz)kę.

- Zapraszam na kawę – mówi Rzeźbiarka.

- Świetny pomysł.

Po chwili już siedzą przed domem, patrzą na chmury, na niebo, na słońce. Ciepła kawa rozjaśnia ich myśli. Stają się pogodne i miłe, czule dla świata.

- Dobra kawa – mówi Star(usz)ka.

- Dobre towarzystwo – uśmiecha się Rzeźbiarka.

- Chcesz mnie o coś spytać?

- Tak. Byłam na wyspie, widziałam ruiny, coś mnie w nich urzekło. Czy miasto istniało kiedyś? Czy to, co widzę teraz to złudzenie, że coś większego było tutaj, dawno temu?

- Ludzie mówią, że było. Tych kilka ruin świadczy, że mogło być – Star(usz)ka patrzy w niebo, mruży oczy i mówi dalej. – Myślę, że świat naznaczony jest tajemnicą i ta tajemnica pozwala jednym żyć, innym nie zezwala żyć tak jak chcą.

- Nikt do końca nie zna odpowiedzi, nie wie co mogło być tutaj w przeszłości.

- Tajemnica to doskonała rzecz, jeśli czegoś nie potrafimy sobie sami wytłumaczyć. Znałam kobietę, która składała się z samych tajemnic, była jedną wielką tajemnicą. Gdy coś mówiła, nigdy nie

kończyła zdania. Uważała, że sam początek może być końcem. Nie nawidziła marnować słów. Była mądrą kobietą. Wiedziała, że słowa mogą zburzyć cały sens innego człowieka. Mówiła tyle, ile musiała. Nic więcej.

- Jak to wyglądało? Te rozmowy.

- Pytałam ją „Czy ludzie są źli?”, ona odpowiadała „Zło to świat, zło to...” i tyle. Znów pytałam o coś innego „Czy wierzy w Boga?”, odpowiadała „Bóg jest wszędzie, w słońcu, w deszczu, w zwierzętach, w obrazach. Bóg jest...”. Nigdy nie kończyła tego, co zaczynała mówić. „Czym jest dla ciebie ból?” kiedyś spytałam, „Ból to strata kogoś bliskiego, ból to nienawiść do siebie za błędy młodości, za same wspomnienia tych błędów. Ból to myśli, ludzie, którzy...”. Potem się odwracała, odchodziła, coś robiła, zamykała się w sobie. Nie zauważała nic poza sobą. Liczyła się czynność, nie człowiek.

- Niezwykli ludzie sprawiają, że sami niezwykle żyjemy.

- Niezwykli ludzie zawsze są jakąś tajemnicą, skazą. Ich tajemnica przyciąga, wciąga, pochłania. Każdy chce ją poczuć, odnaleźć siebie poprzez cudze wspomnienia.

- Tajemnica sprawia, że chcemy uciec od teraźniejszości, od rzeczywistości.

Star(usz)ka wstaje, patrzy na las, pomiędzy drzewa, potem odchodzi.

- Dziękuję za rozmowę, za czas, który mi poświęciłaś – mówi Rzeźbiarka.

- Obie korzystamy z naszych rozmów, obie inaczej.

Rzeźbiarka wraca do pracy, chce skończyć rzeźbę dzisiaj, przed zmrokiem, przed nocą.

Chirurg (od serca) coraz częściej zostaje na noc u Rzeźbiarki. Czuje się dobrze w jej domu, dobrze w jej łóżku, w objęciach. Na razie nie pisze listów, stara się zamknąć tamten rozdział, nie wie na jak długo. Ciężko zamknąć wspomnienia, które kiedyś były tak ważne, tak bolesne.

W pracy Chirurg odzyskuje pewność siebie; ruchy jego rąk są lekkie, stanowcze, dokładne. Dokładność to cecha jego charakteru, cecha jego pracy.

Z Rzeźbiarką czuje się dobrze, inaczej niż z innymi kobietami. Kobiety z teraz, mają ślady kobiet z kiedyś. Ślady istotne.

Siedzą na werandzie, piją czerwone wino, patrzą na zachód słońca, na cień, który powoli zastyga przed ich domem.

- Wiesz, za co cię kocham? – pyta Chirurg.

- Za wolność, którą ci dałam. Za nadzieję, którą cię obdarzyłam.

- To też. Jednak najpierw pokochałem twój głos, jego barwę i nasycenie tej barwy we mnie. Ten głos mi coś przypomina, coś co teraz jest dalekie, piękne, ale dalekie. Czas sprawia, że to coś staje się coraz mniej istotne teraz, coraz mniej istotne kiedyś.

- Czułam, że gdzieś jesteś, w którymś miejscu na mnie czekasz. Musiałam tylko odnaleźć to miejsce gdzie cię spotkam, odnaleźć ten czas. Bałam się, że się miniemy, nie zauważymy.

- Bałem się, że nie będę potrafił zauważać rzeczy ważnych, że będę je mijał i szedł dalej obojętnie.

- Teraz się nie boisz?

- Z tobą niczego się nie boję. Jeśli ja przeoczę coś ważnego, ty to zauważysz. Jestem spokojny o nas, o przyszłość.

- Dzięki tobie jestem bliżej życia, poprzez pracę jaką wykonujesz. Ty jesteś blisko śmierci, ja jestem blisko obłędu. Dzięki tobie jestem wciąż na powierzchni, nie muszę tak często uciekać w nierealność, w odrzucenie.

Chirurg nalewa kolejną lampkę wina. Patrzy w oczy Rzeźbiarki. Czerwony płyn rusza się przez chwilę w szkłe, potem zamiera. Stygnie.

- Wino jest jak moje rzeźby. Gdy się na nie patrzysz widzisz barwę, ruch, nasycenie. Widzisz to, co chcesz widzieć, czujesz to, co chcesz czuć.

- Za przyszłość – mówi Chirurg.

- Za nas – mówi Rzeźbiarka. – Żeby czas nas nie zniszczył, żeby życie nigdy nas nie zniewoliło. Nie zniekształciło.

- Nie zatrulo ludźmi.

Wracają do domu, do środka. Zimne powietrze spływa na okolicę powoli, bardzo powoli, lecz stanowczo. Złe rzeczy, zimne obrazy powoli zabijają to, co jest ważne, to, co jest istotne. Niezauważalne.

Bankowiec (od pieniędzy) zadomawia się w nowym miejscu. Zna okolicę z przeszłości, z dzieciństwa, z dobrych wspomnień. Teraz te wspomnienia, obrazy, fragmenty zapomnianych snów znów są w nim, krążą nad jego głową nieustannie.

Mieszka u brata, na poddaszu, dawno się nie widzieli, od śmierci rodziców. Czas, kilometry, zbyt ostre słowa, sprawiły, że oddalili się od siebie, na zbyt dużą odległość. Kartki na święta, telefony na urodziny, listy z życzeniami na imieniny to wszystko. To nic.

Teraz znów są koło siebie, mają szansę na normalne życie – obaj.

Bankowiec często chodzi po małym rynku, przygląda się ludziom. Widzi twarze znajome (tak mu się wydaje), twarze obce (tych jest pewien), widzi świat z perspektywy zagubienia.

Nie wie co ma ze sobą zrobić, jak odpowiedzieć na pytanie co dalej? Czy choroba to drogowskaz? Czy choroba to przekleństwo? Brama?

Na razie nie musi pracować. Gdy był wysoko w banku, tam gdzie pieniądze są inne, mocne, łatwe, coś zaoszczędził, coś zainwestował, coś ulokował na gorsze czasy.

Teraz najważniejszy jest spokój i zrozumienie, co się z nim naprawdę dzieje.

Chce, nawet zamierza pójść do lekarza, jednak na razie nie ma odwagi. Nie ma wystarczającej siły i determinacji. Nie ma mocnej woli i chęci.

Wie, że pewne rzeczy w człowieku są stałe – taką prostą linią jest choroba.

Zbliża się do jeziora, siada na brzegu. Patrzy na jego czystą, granatową taflę, poświatę łączącą ziemię z powietrzem. Rzuca kamyczek przed siebie, woda się mąci, zbiera, tworzy figury i kształty, jednak po chwili znów jest czysta, dziewicza, zamrożona w ciszy, w nostalgii.

Trzciny cicho kołyszą się poprzez wiatr, poprzez chmury, poprzez niepokój uśpiony w jeziorze. Niepokój nigdy nie stygnący.

Malarz budzi się rano, wcześniej rano. Otwiera okno, słońce dopiero wschodzi, wylania się powoli znad horyzontu. Nabiera powietrza głęboko w płuca, zamyka oczy. Żar jeszcze nie obudził się na

dobrze. Za kilka godzin będzie rządził całą okolicą, ziemią, powietrzem, roślinnością, wszystkimi istotami żywymi.

Malarz bierze sztalugi, farby, pędzel i wychodzi na zewnątrz. Idzie przed siebie, tam gdzie będzie dzisiaj tworzył. Porusza się wolno, pewnym krokiem, czasami pogwizduje pod nosem, to mu daje dodatkowe skrzydła, większą siłę i nadzieję.

Dochodzi do pól ziemi na skraju miasta, miasta gdzie mieszka od jakiegoś czasu. Wybiera miejsce gdzie będzie czuł się dobrze i rozkłada sztalugi.

Patrzy na pole słoneczników, jest ich mnóstwo, tak dużo, że końca żółtego dywanu wcale nie widać. Ich nasycenie, barwa, kształt zniewalają umysł Malarza. Sprawiają, że jego praca ma sens, ma znaczenie.

Malarz mieszka we Włoszech od roku. Osiedlił się na południu gdzie słońce jest inne, ludzie są inni, wiatr jest inny, żar z nieba jest inny. Malarz potrzebuje inności w swoim życiu, inności w swojej sztuce. Jest na etapie poszukiwań, wierzy, że najlepsze obrazy ma wciąż przed sobą, musi mieć przed sobą.

Szuka kolorów, które dadzą obrazom głębię, inny kształt i nasycenie. Chce, pragnie malować obrazy jasne, żywe, pełne życia, takie, które będą same żyły, bez niego.

Malarz patrzy na słoneczniki tak, jakby chciał, aby przeniosły się na płótno, za chwilę, za moment, za kilka godzin.

Zaczyna malować, powoli, spokojnie; farby na palecie łączą się ze sobą, wiążą na stałe, stają się nowe, świeże.

Pierwszy ruch, coś się tworzy, drugi ruch, coś się zaczyna, trzeci ruch (pędzla), coś wyjątkowego budzi się do życia.

Słoneczniki uspokajają Malarza, ich żółta barwa łagodnie zasypia na płótnie.

Wieczorem Malarz kończy pracę, uśmiecha się do jeszcze wilgotnego obrazu, potem bierze sztalugę w ręce i wraca do domu.

Pogoda załamuje się, wiatr się wzmaga, ciemne chmury coraz szybciej pędzą przed siebie. Nagle z oddali Malarz widzi kometa, dużą, ogromną z jasnym ogonem. Kometa zbliża się do ziemi, ogon rozwiewa się na boki, stara się nadążyć za światłem.

Malarz stoi, patrzy na jasne zjawisko zdumionymi oczami.

„Tak wygląda piękno obdarte z brudu życia – myśli”.

Kometa uderza w ziemię, koło Malarza. Jej jasność, blask, nasycenie i zapach odrzucają go w bok i oślepiają na chwilę. Malarz leży na ziemi niczym trup, po kilku minutach wstaje, próbuje odzyskać wzrok.

Mruży oczami, przeciera je rękami, lecz jasne światło komety oślepiło Malarza.

Teraz widzi tylko jasne plamy na oczach, kontury przestrzeni. Idzie do domu, jego kroki są niewidzialne, ręce kurczowo trzymają sztalugę i obraz.

Gdy dochodzi do domu, otwiera niepewnie drzwi, kładzie obraz przy ścianie, patrzy przed siebie starając się znaleźć resztki jasności w powietrzu.

Jego ciało się kurczy, gdy myśli o jasności, która w niego uderzyła.

Nagle jego umysł rozbłyska, rozjaśnia się i wtedy Malarz coś czuje, jakąś moc, siłę, władzę nad sztuką. Chce malować, musi malować więcej i więcej, czuje kolory poprzez ciemność przed oczami, jasność w głowie.

Nie może spać, wciąż myśli o nowym obrazie, o nowych obrazach. Wie, że musi wykorzystać tę energię, ten czas, który w nim się rodzi, teraz, tutaj.

Rano, bez śniadania rusza w pole, żeby malować chłopów przy pracy. Chce ich uchwycić w jasności, w trudzie, w ruchu zmęczonych ciał.

Pędzel szybko miesza farby, jasne, żywe, pełne skrajności, nasyczone energią, siłą, jakimś ciepłem i ogniem.

Malarz maluje, prawie na pamięć, po omacku. Nakłada kolejne warstwy pomarańczowej, żółtej, miedzianej farby, wciąż jest niezadowolony. Uważa, że za mało jasności i życia jest w obrazie. Za mało ruchu.

Znów miesza farby, palce mu drętwią, żar leje się z nieba niczym deszcz, promienie dotykają głowy Malarza. Jego skóra staje się czerwona, niebezpiecznie poparzona.

Malarz nie przejmuje się spiekotą, ciepłem, poparzeniem. Nie zamierza nakładać kapelusza na głowę. Im bardziej będzie zmęczony, wycieńczony, tym bardziej będzie bliżej słońca. Wtedy lepsze będą jego obrazy.

Malarz maluje nieustannie, ciągle, zachłannie od miesiąca. Wstaje, coś je, idzie w plener, kopiuje pejzaże, ludzi, świat, wraca do domu. Sen, tylko kilka godzin. I znów to samo. Jeden dzień, jeden obraz. Ma ich już trzydzieści. Trzydzieści dni, trzydzieści obrazów. Każdy inny, każdy nasączony światłem, wilgocią, jasnością, ciepłem. Chce wykorzystać czas. Czuje, że tworzy coś niezwykłego, że blisko jest doskonałości. Na szczycie artysta jest raz, nigdy dwa razy. Nieliczni próbują tam wrócić, zawsze nieudanie.

Malarz wysyła obrazy do galerii, na sprzedaż.

Są niezwykle, przesiąknięte prawdą o ludziach. Poprzez obrazy chce dostrzegać ludzi, ich słabości i lęki. Strach i zagubienie. Do tego dążył przez całe życie, do tego dąży teraz. Gdy to odnajdzie będzie skończony jako artysta, jako człowiek.

Gdy Malarz leży w łóżku zmęczony, schorowany, samotny do jego domu przychodzi list. Obrazy są dobre, doskonałe, pełne życia i pasji. Cały świat malarzy jest z niego dumny. Zbliżył się do siebie, zbliżył się do sztuki poprzez swoją pasję do ludzi.

Malarz umiera samotnie z wiedzą, że jego życie coś znaczy, coś będzie znaczyć kiedyś.

Gdy zamyka oczy, gdy jego ciało jeszcze oddycha, przed oczami widzi swoje obrazy, jak w galerii. Najpierw te pierwsze, gdy się uczył, potem drugie, gdy coś zauważył, i ostatnie gdy coś umiał. Setki obrazów przechodzą mu przed oczami, a on się tylko uśmiecha.

„Malując żyłem. Żyłem poprzez malowanie. Gdyby nie obrazy byłbym martwy. Gdyby nie obrazy byłbym inny”.

Bankowiec (od pieniędzy) otwiera oczy, jest w lesie. Nie ma jeziora, nie ma brzegu, nie ma nic. Pamięta tylko obrazy, sztalugę, pędzel. Nie pamięta drogi, tego jak się tutaj znalazł. Pamięta bezdech, bezdech nasączony niewidzialnością.

Bankowiec zaczyna układać swoje życie. Zamierza dostosować je do tego co jest rzeczywiste, co jest prawdziwe.

Wstaje powoli, z dokładnością zegara, ścieli sumiennie łóżko, dokładnie, z naciskiem na każdy szczegół, z namaszczeniem – wolno – wolno – wolno. Ubiera się, każdy ruch ręki, nogi, stopy to

zwolniony kadr, zatrzymana chwila, złamana sekunda na pół, na dwie ostatecznie wolne sekwencje.

Idzie do łazienki, woda spłukuje zmęczoną twarz, umęczone powieki. Sny niewidzialnie znikają z jego spojrzenia.

Wraca do pokoju, jego kroki są wolne, ostateczne, podwójne. Cały pokój przemierza stopami, krok po kroku, stopa po stopie, pięta po pięcie. Przesuwa nogę za nogą, teraz wie, policzył to dokładnie, ile jest stóp do ściany, ile jest kroków do okna. Czas spędzony w pokoju to czas naznaczony dokładną ilością jego kroków – od ściany do ściany, od okna do mebli, do łóżka.

Bankowiec wierzy, że to mu pomoże zostać tu, nie tam. Gdy będzie staranny, dokładny to rytm życia tu, nie pozwoli mu uciec tam, gdzie wszystko jest nieprzewidywalne, niejasne, niezrozumiałe. Ostateczne.

Wciąż odciska swoje ślady na przedmiotach, uczuciach, pragnieniach. Gdy kroi chleb nożem, robi to według ściśle pomnożonych sił nacisku na deskę. Siły zjednoczone wiarą są jasne i pewne.

Gdy połyka kanapkę, wkłada ją do ust, żuje ją dłużej, dokładnie, aby wyżyć się woli ucieczki od rzeczywistości, od teraźniejszości. Jego życie to ciąg powtórzeń, kumulacja tych samych rzeczy. Jedna czynność boi się wkroczyć w drugą, z obawy, że podczas tych przenosin nastąpi coś, co zmieni sens i znaczenie pierwszej czynności.

Bankowiec rozbija jajka nad patelnią, jajecznica smaży się niezauważalnie na kuchence. Jej zapach odciska piętno na kuchni, na ścianach i meblach.

Bankowiec wciąga zapach w siebie, czuje przyjemny dreszcz w środku. Uśmiecha się, coś stąd daje mu sygnał, że warto być tu, nie tam.

Słyszy kroki przed domem, ktoś otwiera drzwi, naciska klamkę, zbliża się do kuchni. Krokami pewnymi zmniejsza przestrzeń do niego...

Terror(ysta) stoi spokojnie na granicy, na przejściu celnym. Kolejka ludzi przesuwają się wolno, bardzo wolno. Gdy jest blisko celnika, gdy prawie czuje jego oddech na swoim ramieniu (niespokojny), wyciąga paszport i pozwolenie na pracę.

Cel(nik) patrzy na dokumenty, przenosi wzrok na twarz mężczyzny, obserwuje go przez chwilę, jego oczy skanują obraz, a potem mówi:

- Warto uciekać z kraju?
- Nie warto wracać do kraju.
- Tam nie będzie lepiej, będzie inaczej.
- Tam, skąd pochodzę, inaczej oznacza ból, inaczej oznacza niepewność. Nie chcę więcej żyć w niepewności, w lęku.
- Powodzenia – Cel(nik) oddaje dokumenty obcemu.
- Dziękuję.

Terror(ysta) idzie kilkaset metrów. Za rogiem czeka samochód, stary, nierzucający się w oczy.

- Były problemy? – pyta kierowca.
- Żadnych.
- To dobrze. Pierwszy krok za tobą, teraz musisz czekać na rozkaz. Termin znasz.
- Znam, za sześć miesięcy.
- Zawiozę cię do twojego mieszkania. Pieniądze będą na stole. Ty masz tylko żyć, nie rzucać się w oczy i czekać. Ktoś do ciebie przyjdzie. Poznasz go. Znasz go z ćwiczeń w Palestynie. Nie boisz się?
- Nie boję się przyszłości, boję się przeszłości. Żeby znów nie wróciła.

- To dobrze.

Jadą w kierunku miasta. Muzyka w samochodzie otula przestrzeń w środku, sprawia że powietrze jest spokojne, jasne.

Terror(ysta) wysiada, żegna się z kierowcą, wchodzi do domu. Zastygła cisza przytuła się do jego twarzy.

Bierze pieniądze ze stołu, patrzy na nijakie meble, w szarej tonacji, nieszczegółnej barwie, potem kładzie się do łóżka, w ubraniu, z butami na nogach. Jest zmęczony, zniszczony drogą, którą musiał pokonać, aby być tu, nie tam, w imię Allacha.

Terror(ysta) mieszkał w małej wiosce, na pustyni, gdzie nie było wody, jedzenia, życia, nadziei. Najbardziej brakowało mu u ludzi, z którymi żył – życia – bardziej niż wody i jedzenia. Ciągły strach, ciągła niepewność – to naturalny stan bytu jego wioski.

Raz na jakiś czas pojawiali się mężczyźni z karabinami, z długimi brodami. Coś krzyczeli, rozmawiali z przywódcą wioski, a potem

każda rodzina musiała dać jednego syna, który wyjeżdżał wraz z nimi. Nigdy już nie wracali, nigdy nie pisali, nigdy nie mówiono o nich przy ognisku, przy posiłku.

Kiedys, gdy dzień był jasny, ciepły, gorący, gdy słońce stykało się z wirującym powietrzem i piaskiem, przyjechali, zabrali go, wyjechał wraz z nimi.

Na odludziu nauczył się posługiwać bronią, przygotować ładunek do wybuchu, nienawidzić ludzi, że są inni niż on, niż jego kraj. Niewierni stali się jego wrogiem – byli przyczyną jego głodu, zagubienia, braku marzeń. Przez nich był tym kim był, stał się tym kim stał – tak mu powiedzieli ci, co go szkolili.

Potem dorastał wśród nich, zrozumiał, że jego życie ma cel – celem jest walka z ludźmi, których nie zna, nie pozna, nie zrozumie. Ci ludzie są źli, wybrali złą wiarę, złego Boga, złe życie, złe zasady – inne niż oni, inne niż on.

Dostał rozkaz, po to tu był, szkolił się, uczył tak długo. Potem odejdzie, tam, gdzie idą bojownicy – spotka go nagroda po śmierci, smak zwycięstwa zastąpi się wiarą. Wiarą absolutną.

Terror(ysta) mieszka w mieście, na obrzeżach. Cierpliwie czeka na rozkaz. Żyje wśród ludzi takich jak on – emigrantów. Oni pracują – on czeka. Oni chcą pracować – on czeka. Oni łudzą się, że znajdą pracę – on czeka.

Gdy rano wychodzi z domu, idzie sprawdzić (po raz kolejny) miejsce, gdzie coś kiedyś się zacznie. Ktoś go woła, macha rękami, zaprasza do siebie, do domu. Podchodzi, uśmiecha się, nic nie mówi.

- Obcy – mówi kobieta o ciemnej karnacji skóry. – Ciężko być obcym w dalekim kraju. To niszczy duszę, zabija ciało.

- Przyzwyczajam się.

- Do emigracji ciężko się przyzwyczaić. Zapraszam na kawę.

Terror(ysta) wchodzi, siada, przygląda się dwójce dzieci, małej kobiecie, niedużemu chłopcu. Stary mężczyzna czujnie patrzy się na niego.

- Z daleka?

- Z Palestyny. Z małej wioski na pustyni.

- Warto było tu przyjechać?

- Życie zmusza nas do rzeczy, których nie warto robić. Ale je robimy z obowiązku, z przyczyny, ze skutków tych czynów w przyszłości.

Kawa pojawia się na stole; ciepło paruje do góry, czyni w powietrzu zamęt, nieokreśloność, niedoskonałość.

- Ktoś z was pracuje? – pyta Terror(ysta).

- Mąż. Na czarno. Dla mnie na razie nie ma pracy.

- To niedobrze. Dzieci potrzebują szans, które dadzą im rodzice.

- Potrzebują lepszego życia, niż ich rodzice – uśmiecha się kobieta, a jej uśmiech jest miły, radosny. Sprawia, że Terror(ysta) czuje ciepło, smak utraconego domu, zapach zgubionego dzieciństwa.

- Wracam do siebie – Terror(ysta) wstaje, podnosi się z niechęcią, nie może przyzwyczajać się do ludzi, do ich dobroci, do ich marzeń.

Marzenia innych zabijają nasze marzenia. Zabijają niepotrzebnie. Skutecznie.

Terror(ysta) znów jedzie w miejsce, gdzie to się kiedyś zacznie, skończy dla niego. Obsesja. Nie boi się śmierci, boi się skutków tej śmierci zaraz po śmierci.

Obchodzi teren, duży plac, mało tam drzew, dużo zieleni.

„Ludzie potrzebują zieleni w życiu. Zieleń sprawia, że czują się lepiej, szczególnie – myśli patrząc na krzaki, trawę, kwiaty”.

Wraca do domu, zasypia. Więcej śpi ostatnio. Nieustanne czekanie go męczy, zabija, obezwładnia. Czekanie na śmierć bardziej zabija człowieka, niż sama śmierć.

Zaprzyjaźnia się z rodziną, poznaje ojca, pochodzi z tego kraju co on. Ma te same rysy, oczy, niepokój w spojrzeniu, ten sam strach i obawę – to samo zwątpienie.

„Strach ludzi biednych jest wszędzie ten sam – myśli. – Ból ludzi biednych jest wszędzie ten sam. Ma ten sam obojętny smak i zapach”.

Dzieci go lubią, często się z nimi bawi. Grają w piłkę, w warcaby, w zgadywanie.

Którejś nocy ktoś puka w okno, lekko, ze strachem, z obawą. Otwiera okno, ktoś wchodzi, cień, poznaje ten uśmiech, te zęby, tą nienawiść w oczach. Nienawiść do białego człowieka.

- Akcja jest jutro. Po południu. W tej torbie masz ładunek i pistolet. Wiesz jak go podłączyć. Ubierz luźne ubranie, żeby nic nie było

widać. Spotkamy się przy moście, o czternastej. To będzie nasze ostatnie spotkanie – mówi cicho. – Będziesz znany.

- Z nienawiści do innego człowieka.

- Z nienawiści do świata. Tak musi być. Muszą zrozumieć, że źle żyją. Że to, co robią, jest błędne, grzeszne, niepotrzebne. Gubią świat, gubią ludzi. Wyniszczają siebie.

- Gdy gubimy siebie, gubimy świat, który nas otacza.

- Do jutra – mężczyzna wychodzi.

Terror(ysta) śpi niespokojnie, ma złe, obce sny. Duszne.

Najbardziej boi się snów, których nie rozumie, których nie może wytłumaczyć zaraz po przebudzeniu. Mają w sobie groźbę, nieuchronność, obawę, że jesteśmy tacy jak one.

Rano je śniadanie, powoli, w milczeniu. Czuje, że ostatni posiłek należy spożyć w milczeniu, w ciszy, w skupieniu.

Idzie w kierunku mostu, mija plac, pas świeżej zieleni. Widzi ludzi, kobiety z dziećmi, obce twarze, nieznane oblicza. Maski.

Nie zna nikogo z nich, nie chce znać nikogo z nich – nie musi, nie może. Gdyby ktoś znał, może by zrozumiał inność. Dlaczego mają rodziny, cele, radości, smutki, żale, niepewność. On tego nie ma, nigdy nie miał, nie mógł mieć. Urodził się w złym kraju, gdzie walka służy przemocy, przemoc służy walce.

Idzie na koniec mostu, czeka. Poznaje twarz skupioną, zmęczoną, zimną. Niepewną.

- Długo czekasz?

- Nie. Jesteś gotowy?

- Na śmierć?

- Na wieczność.

- Tak. A ty?

- Tak – mówi ciężko Terror(ysta). Jeszcze dobrze nie poznał życia, zaraz straci życie.

Wchodzą w tłum ludzi. Słyszą gwar, rozmowy, uśmiechy. W oddali widać estradę, instrumenty, perkusję. Tłum czeka na zespół. Sklepy z żywnością, z ciepłymi przekąskami skupiają poprzez zapach ludzi. Ruchome kształty zanurzają się w nich ciągle, nieustannie, zachłannie. Ludzie chcą żyć, bawić się, tańczyć.

Terror(ysta) zauważa znajome twarze, rodzinę z sąsiedztwa. Dzieci rozpoznają go, uśmiechają się do niego, machają rękami.

„Wmówili mi nienawiść – myśli szybko, pospiesznie, czas ucieka mu nieubłagane. – Nienawiść do świata, do ludzi. Wmówili mi, że nie ma dla mnie innej drogi, niż śmierć. Śmierć pomoże mi zrozumieć moje życie. Nakieruje je na nienawiść do innego człowieka. Wmówili mi, że nie mogę żyć inaczej. Przyszłość jest dla innych, nie dla mnie. Powiedzieli, że rodzina to słabość, liczy się jednostka. Jednostka nakierowana na właściwy cel. Ich cel”.

- Chodź ze mną – łapie mężczyznę z zimnym spojrzeniem za ramię. – Musimy poczekać, ktoś nas zauważył.

- Kto? – pyta niepewnie mężczyzna.

- Powiem ci, gdy się oddalimy.

- Mamy zadanie – mówi suchym głosem mężczyzna.

- Wiem. Zaraz to wrócimy.

Stoją pod mostem. W ciszy, w bezruchu. W oddali słysząc przysgaszone samochody, pociągi.

- Co się dzieje?

- Musimy to zrobić? Nie znamy tych ludzi. Nic nam nie zrobili.

- To nasz obowiązek.

- Nie skrzywdzili ciebie. Nie skrzywdzili mnie. Dlaczego nam każą ginąć z ludźmi, których nie znamy?

- My tego nie rozumiemy. Nie musimy rozumieć. Od rozumienia są inni. Tworzymy historię.

- Poprzez śmierć.

- Ktoś musi – mówi mężczyzna i idzie w kierunku ludzi.

- Poczekaj – krzyczy Terror(ysta). – Idę z tobą.

Podchodzi do niego, patrzy przenikliwie w oczy.

- Szkoda, że nie mieliśmy dzieciństwa, młodości. Szkoda, że nie mieliśmy czasu zrozumieć jak należy żyć bez wojny, bez nienawiści. Wiara to puste słowa naznaczone krwią ludzi.

Terror(ysta) pociąga za zapalnik. Widzi przerażone oczy naprzeciwko. Oczy, które będą z nim do końca. Przesiąknięte strachem i nienawiścią.

Jasne światło podrzuca most do góry. Żelazna konstrukcja chwije się, próbuje walczyć z materią, z siłami fizyki, a potem rozpada się na miliony kawałków. Znika w granatowej poświacie rzeki.

Bankowiec (od pieniędzy) mruży oczy, przeciera je starannie. Ktoś go dotyka z tyłu, za ramię, delikatnie, czule, z troską. Odwraca się, widzi swojego brata, ma smutną, zdziwioną twarz.

- Idę za tobą od jakiegoś czasu – mówi Brat-J. – Staram się ciebie dogonić, lecz twoje kroki są szybsze niż moje, bardziej stanowcze i odważne.

- Co tutaj robię? – dziwi się Bankowiec, patrząc na rynek w mieście, na wieżę ratuszową i fontannę z lwem, obok niedużego kamiennego murku.

- Idziesz, pędzisz, gonisz, za czym, tego nie wiem.

- Znów to wraca – Bankowiec zakrywa twarz rękami. – Łudziłem się, że żyjąc w spokoju, bez napięć, starając się robić wszystko wolno, podwójnie, nie będę musiał podróżować między światami, pomiędzy myślami i lękami.

- Gdy szedłem za tobą, gdy patrzyłem na twoje lekko zgarbione plecy, widziałem jak bezpiecznie poruszasz się w tym życiu, pomimo niebezpiecznego zanurzania się w tamtym. Zagrożenie nie jest tu, gdy jesteś tam. Tutaj radzisz sobie doskonale będąc równocześnie tam. Przechodząc przez ulicę patrzyłeś się na boki, zatrzymałeś się, gdy rowerzysta przemknął koło ciebie. Schyliłeś się, gdy jakaś piłka przeleciała nad twoją głową. Kontrolujesz swoje życie, gdy jesteś w tamtym świecie.

- Co mam robić? Jak walczyć? Nie mogę uciekać dalej. Nie mam gdzie. Droga jest zbyt krótka. Wszystkie drogi prowadzą mnie donikąd.

- Wracajmy do domu – mówi Brat-J.

Zegar tyka niespokojnie. Jego wskazówka powoli przebija się przez szum powietrza, przez półmrok światła w kuchni. Ściany nie mówią, szyba milczy patrząc na obrzeża miasta. Lustro odbija bezimienne kształty przedmiotów przed sobą. Cisza zastyga nad stołem, nad dwoma skulonymi kształtami.

- Zaczynij pisać, co widzisz tam, gdy wędrujesz – mówi Brat-J.

- Co pisać? Jak?

- Kiedyś pisałeś scenariusze. Chciałeś być znanym filmowcem. Reżyserem. Pragnąłeś tworzyć rzeczy ważne, istotne, które o czymś mówią, czegoś dotyczą. Scenariusze miały ci w tym pomóc.

- Kiedyś tak było – uśmiecha się Bankowiec. – W coś wierzyłem, czegoś chciałem. Teraz nawet nie chcę chcieć. Dziwne, jak czas nas zmienia, ludzie nas zmieniają.

- Otwórz kartkę, weź do ręki długopis i pisz. Słowa same popłyną, wciąż masz to w sobie. Marzenia z młodości tak łatwo nie znikają. One wciąż są, czekają na właściwy moment, aż ktoś je rozbudzi, coś je rozbudzi. Jakiś impuls, siła, czasami ból, nieszczęście, tragedia. Pisz, po prostu pisz.

- Może to dobry pomysł. Pisanie wielu ludzi uzdrowiło, wielu zniszczyło.

- Pomoże ci.

- Przypomnę sobie wszystko. Potrzebuję tylko stylu i historii. Dobrej historii.

Bankowiec wstaje, idzie schodami na górę. Jego ręce delikatnie dotykają ścian, które drżą.

Od miesiąca Bankowiec cały swój czas poświęca pisaniu. Wstaje, podchodzi do okna, wita się z dniem (niekiedy zimnym, chłodnym), myje całe ciało (czasami tylko twarz i ręce), spożywa posiłek i zaczyna pisać.

Ruchy ręki, pióra, szelest zeszytu sprawia, że czuje się inaczej, lepiej. Stara się odtworzyć co widział w głowie. Znów jest tam, skąd chce uciec. Przypomina sobie barwy snu, kształty niewidzialności, smak ciemności. Czyni to szybko, pospiesznie, nie chce żeby czas pokrył to zapomnieniem, nieświadomością. Piszze jak maszyna, scenariusz jeden, drugi leży już na stole. Ten o tym, tamten o tamtym. Tu jest tym, tam jest kimś innym.

Brat-J. podchodzi do niego czasami, patrzy z boku, ukradkiem, z lękiem. Gdy się zbliża jak łowca, gdy zagląda w zeszyt przez ramię, widzi twarz skupioną, nieobecną, odległą. Zastygłą.

„Pasja zawsze pomaga życiu – myśli. – Życie nie zawsze pomaga pasji”.

Bankowiec robi sobie krótkie przerwy, na odpoczynek. Wychodzi z domu, lekki spacer, oddycha wtedy głęboko, tak, jakby powietrze miało go uzdrowić, dać siły, a potem wraca do pracy. Podczas pisania czuje się spełniony, podczas pisania czuje się inny.

- Nie wiem, czy to co robię jest dobre. Wiem, że to mi pomaga. Dzięki temu czuję się szczęśliwy, lepszy – mówi Bankowiec.

- Ci, co nie mają marzeń są zagubieni. Ci, co nie mają pasji są nieobecni – mówi Brat-J. – Nieobecni dla świata, nieobecni dla ludzi.

Deszczowego popołudnia drzwi trzaskają mocniej na dole, odbijają echo po całym domu. Brat-J. pędzi do góry, na poddasze. Staje pomiędzy framugami drzwi, uśmiecha się szeroko i mówi:

- Jutro się z kimś spotkasz.

- Z kim?

- Spotkałem Marzenę, koleżankę z dzieciństwa. Wspominaliśmy, śmialiśmy się.

- I?

- Mówiłem jej o tobie. Słuchała uważnie. Chce się z tobą spotkać, porozmawiać, to mądra kobieta.

- Dlaczego? Po co chce mnie widzieć?

- Pomoże ci. Skończyła studia, psychologię, potem psychiatrię, zna się na człowieku, na jego rozterkach, zagubieniu. Mówi, że wie co ci dolega, zna takie przypadki.

- Nie wiem? Nie znam jej.

- Nie musisz. Wystarczy, że ja ją znam. Niekiedy obcy ludzie więcej ci pomogą, niż bliscy, niż rodzina.

- Dobrze... Jutro... Idę na spacer. Przemyślę to jeszcze.

- Zgodziłeś się – mówi Brat-J. – Ale spacer ci pomoże. Choć – Brat-J. patrzy za szybę – wciąż pada.

- Lubię deszcz pomiędzy chmurami, lubię chmury pomiędzy deszczem. Deszcz mnie uspokaja. Podczas deszczu jeszcze nigdy nie uciekłem.

Drzewa rosną wysoko, nienagannie pną swoje ciała do góry. Kiedy jest słońce wyżej unoszą korzenie, gałęzie, pnie w kierunku jego ciepła, promieni.

Drzewa są ze sobą zespolone, połączone ziemią, korzeniami, gałęziami. Są jak rodzina, rozrzucona w nieładzie. Nieuporządkowana, nieskończenie odległa wzajemnie w uczuciach, w pragnieniach, w

celach. Niby są ze sobą blisko, a jednak daleko, niby przebywają ze sobą, a jednak uciekają, gdy wiatr zawieje.

Gałęzie wzajemnie jednoczą się, potrzebują dotyku, gdy burze przechodzą nad ich wierzchołkami. Głaskają się poprzez wiatr, tulą się poprzez deszcz. Są ze sobą, pomimo prób niebycia ze sobą.

Korzenie przeciskają się poprzez ziemię, kamienie, podziemne nurty, aż potajemnie się czują, oplatają dosłownie. Są jak linie elektryczne, łączą ze sobą żar i nadzieję, ból i skutki tego bólu w niewidzialnym świecie – podziemnym.

Niektóre drzewa stoją na skraju lasu. Są jak hotele często odwiedzane przez podróżnych. W ich sercach skupiają się uczucia, samotność, dotyk podróżnych, którzy je odwiedzają, muszą je odwiedzać.

Gałęzie to pokoje, niektóre jasne, inne ciemne, zaciemnione, nieobecne, zbyt dosłowne. Pokoje gdzie skupia się życie, pokoje gdzie wszystko ma smak obcości, nieobecności, samotności.

Hotele nasączone są obcością ludzi, zbyt pospiesznie uciekających od siebie.

Pień w drzewie to korytarz, z którego rozchodzą się drzwi, a w nich, za nimi są pomieszczenia, przechowalnie obcych ciał uciekających przed życiem.

Ptaki, sowy, kruki, inne lotne stworzenia, czasami nocne zjawy – nietoperze, to ich goście. Przylatują – odlatują. Śpią – zamierają na chwilę – uciekają. Zostawiają ślady, które ktoś (wiatr) musi usunąć.

Ten wiatr, nocny stróż wszystkich drzew, hoteli, wchodzi w gałęzie (pokoje) i niczym pokojówka bezszelestnie uczestniczy w życiu (pozostawionym) obcych ciał.

Zauważa ich dotyk, nieład, nieuporządkowane ślady na ścianach, meblach, łózkach. Te ślady, znaki, symbole świadczą, że coś wciąż żyje, musi żyć. Że jakaś iskra jeszcze tli się, choć uciekają, muszą uciekać, gonić za czymś.

Wiatr usuwa bliskość niczym odkurzacz. Niszczy osobowości, zapach, marzenia. Wiarę.

Potem goście wracają, znów chcą zaistnieć na jakiś czas w przechowalni ciał. Zostawiają dotyki, zapachy, uczucia.

Najbardziej wiatr boi się uczuć, je najtrudniej usunąć. Zostają głęboko na ścianach hotelu, na dywanach, meblach, pościeli. Uczu-

cia wsysają się w powietrze, w niewidzialność. Są utajnione, skryte, nieobecne.

Ktoś, kto je zostawia, wie, że po nie kiedyś wróci, musi wrócić. Bez nich jest bezbronny, bezsilny. Świadomość, że ktoś ich do końca nie zniszczy pozwala mu żyć gdzieś daleko. Wie, że zawsze może po nie wrócić, wie, że nikt ich nie znajdzie, są głęboko schowane w niewidzialności.

Rzeźbiarka (w drzewie) chodzi pomiędzy drzewami, przytula się do nich z czułością. Dotyka ich ciał schowanych pod korą. Rozpoznaje chropowatość, zadziory. To są prawowici właściciele tej ziemi, na której ona tylko gościnnie mieszka. Przebywa.

Gdy wiatr rozbija się po okolicy, gdy tańczą gałęzie, Rzeźbiarka czuje, że las żyje.

„Bez lasu nie ma życia – myśli”.

Bankowiec (od pieniędzy) siedzi w kawiarni, tuż przy oknie. Zawsze stara się ukryć, tak aby widzieć dwa światy, słaby zewnętrzny, mocny wewnętrzny. Ma wybór, świadomość, że zawsze może uciec z jednego do drugiego, może być pomiędzy, trochę tu, trochę tam.

„Życie ciekawe to nieustająca umiejętność przebywania gdzieś pomiędzy” – myśli.

Wchodzi kobieta, ładna, młoda, z długimi jasnymi włosami, z oczami które coś mówią mężczyźnie, nie są obrazami bez treści i formy. Jej ruchy to sensowne gesty, zawsze przemyślane, na swoim miejscu, uporządkowane w czasie i przestrzeni. Widać, że czas jest dla niej ważny, cenny, nie chce go marnować, tracić, gubić w pośpiechu.

Podchodzi do Bankowca, uśmiecha się kącikami ust, oczami i mówi prawie szeptem:

- Marzena.

Bankowiec wstaje, podaje jej rękę, trochę niezgrabnie, niechlujnie, z roztargnieniem. Siadają, patrzą się na siebie, przenikają, oceniają.

- Nie wiedziałem, że lekarze mogą mieć w sobie tyle radości, tyle wdzięku – mówi Bankowiec.

- Nie wiedziałam, że choroba może być tak atrakcyjna, poprzez twarz, wygląd, oczy.

- Brat chciał, żebym się z panią spotkał.

- Z Marzeną – poprawia go kobieta.

- Tak, z tobą. Dobrze zrobiłem, że tutaj jestem? Wciąż się zastanawiam, czy jest mi to spotkanie potrzebne, niezbędne.

- Tak – mówi Marzena, cicho artykułując każde słowo, które za chwilę ma wydobyć się z jej ust. – Dzięki mnie zrozumiesz, że możesz z tym żyć, musisz z tym żyć.

- Zamieniam się w słuch.

- Skończyłam psychologię, psychiatrię, dużo czytam z tych dziedzin, wciąż się rozwijam, pracuję w zawodzie. Wiem, że nie jesteś jedyny.

- Nie pociesza mnie świadomość przebywania z takimi jak ja, choć błędą gdzieś daleko, bezimiennie, w oddali.

- Są ludzie, którzy to mają i nigdy to nie znika. Są też tacy, którzy to mieli, i nagle to się skończyło, bez powodu. Przeważnie jest to cykl, powtarzający się, naprzemiennie co kilka miesięcy, niekiedy lat. Można to znieczulić tabletkami, receptami, innym formami uśpienia w nas życia. To bezsensowne. Wtedy mniej czujemy, żyjemy, pragniemy. Kto tego chce?

- Na pewno nie ja.

- A więc, co nam zastaje? Twój brat powiedział, że nic ci nie grozi, gdy jesteś tam. Będąc tu, będąc tam, żyjesz instynktownie. Bezpiecznie. Nie musisz się obawiać o siebie. Gorzej z pracą. Pracodawcy nie rozumieją słabości pracowników. Rozumieją tylko siebie, ważne są ich potrzeby. Musisz znaleźć zawód jednoosobowy. Sam siebie nie wyrzucisz z pracy za niewidzialność, za ucieczkę, za bunt duszy.

- Pomyślę o tym.

- Zaczynj pisać scenariusze dla siebie, nie dla innych. Pomogą ci. W nich będziesz szczery, będziesz sobą. Gdy jesteśmy sobą coś się zmienia. Nasze s o b ą staje się czymś dla innych. Większość geniuszy nigdy nie była sobą, była utrapieniem dla samego siebie. Mieli skazy i pragnienia. Mieli obłęd i marzenia. Poprzez obłęd byli sobą, poprzez obłęd nigdy nie mogli być sobą.

- Piszę, od miesiąca.

- To dobrze. Poznam cię z kimś, kto też coś tworzy. Kobieta, rzeźbi, poprzez sztukę jest inna. Ludzie sztuki potrzebują przebywać z innymi ludźmi sztuki. Przebywać przez rozmowę.

- Chętnie ją poznam.

- Ona pozna cię z ludźmi, którzy kręcą filmy – niezależne, autorskie. Wysyłają je na festiwale, konkursy, plebiscyty. To ich pasja, to ich życie. Brakuje im wciąż dobrych pomysłów, scenariuszy. Może to zmienisz.

- Gdzie mieszkają? Daleko stąd?

- Tutaj – uśmiecha się Marzena. – Żeby być filmowcem nie musisz od razu mieszkać w wielkim mieście. Dobrym reżyserem możesz być wszędzie. Znanym reżyserem musisz być w konkretnym miejscu.

Marzena wstaje, podaje mu rękę, dopija kawę, patrzy za okno, za szybę, na ciemne chmury na niebie i mówi:

- Jutro o tej samej porze, ten sam stolik, ta sama kawa.

Ubiera żakiet, poprawia go, zapina guziki i mówi dalej:

- Porozmawiasz o życiu, o sztuce.

- Poznam ją?

- Ona pozna ciebie. Bądź sobą, gdy będziesz z nią rozmawiał. Nie udawaj nikogo innego.

- Nigdy nie udaję.

- I dlatego jesteś tutaj – mówi Marzena, przechodząc przez drzwi.

Znika w chmurach, które dotykają prawie ziemi, chodników. Ślizgają się po betonowych ulicach, dostają się do szczelin budynków. Osaczają drzewa w parkach, zabijają światło w powietrzu.

Rzeźbiarka (w drzewie) zamyka drzwi, sprawdza czy są na pewno domknięte. Chce spokojnie uciec od murów, pokoi, mebli, uciec na jakiś czas. Wychodzi z domu. Idzie w kierunku rynku do małej kawiarni. Jej kroki, każda odległość którą pokonuje, pożera ruchem swojego ciała, są ciepłe, pogodne, pełne życia.

Zerka na niebo, które dzisiaj jest takie czyste, bez zarysowań, bez żadnych pęknięć i skaz. Niebieska poświata, barwa, nasyciona jest jakąś jasnością, spokojem, zadumą.

Zauważa dwie chmury, dwa kształty na całym horyzoncie nieba. Jedna jest duża, ogromna, pełna; druga mała, niewinna, bezbronna jak dziecko.

Zamyśla się – wciąż szuka nowych inspiracji. Sztuka to nieprzewidywalność, niewymiarowość, niedokończoność.

Duża Chmura przytula się do Małej Chmury. Uśmiecha się, dzień jest dobry, pogodny, pełny.

Mała Chmura ucieka na moment od Dużej Chmury. Kocha te ucieczki, uwolnienia, żeby potem wracać, odpoczywać, uspokajać swój ruch i niepewność.

- Zawsze będziesz ze mną, w pobliżu, gdzieś obok? – pyta Mała Chmura.

- Tak – odpowiada sennie Duża Chmura, która ma w sobie tyle spokoju, ciszy.

- A gdybym zniknęła, oddaliła się zbyt niebezpiecznie od ciebie, znajdziesz mnie?

- Oczywiście. Żyję po to, żeby cię chronić, bronić, dodawać ci odwagi, gdy tej odwagi ci nagle zabraknie. Musisz zrozumieć, że odwagę zdobywa się raz, i wtedy ona już jest z nami na zawsze, do końca. Później ją można stracić, lecz ona wciąż jest, choć często wątpimy w jej istnienie, sens. Lecz ona tylko śpi, drzemie, odpoczywa. Musimy sami lub z kimś ją obudzić. Zawsze będę ci przypominać o odwadze, którą masz w sobie.

- W każdym świecie mnie znajdziesz? W każdej ciemności?

- Tak – Duża Chmura przytula się do Małej Chmury. – Żyję po to żeby walczyć o ważne sprawy, które dotyczą ciebie. Walczyć o twoją przyszłość. Nadawać jej właściwy kierunek, gdy coś nagle zgubisz.

Wiatr się wzmaga, porusza się z ciemnej zasłony nieba w kierunku jasnej toni horyzontu. Pojawiają się pioruny z oddali. Z odległości wyglądają jak złe zakazy, to można! tamtego nie! tego nigdy! Potem wszystko zmienia się w szarość i ciemność. W półmrok.

Duża Chmura stara się nie oddalać od Małej Chmury. Jednak wiatr, błyskawice, demony niszczą całą barwę, tonację, spokój w przestrzeni.

Mała Chmura spychana jest do góry, wysoko, zbyt daleko od ziemi. Walczy, próbuje, jest zbyt mała, słaba, nieporadna. Przegrywa. Unosi się coraz wyżej, zbyt niebezpiecznie w kierunku słońca, które pojawia się nad skrajną mapą nieba.

Burza ucieka, przemieszcza się. Znika, zostawia po sobie niewyraźny kształt i zapach. Wiatr wciąż szaleje po pustej przestrzeni nieba.

Duża Chmura patrzy z rozpaczą na Małą Chmurę. Widzi jak walczy, słabnie, jak wiatr rozkłada ją na małe fragmenty, skrawki, okruszki. Słońce kończy dzieło wypalając z niej cały ruch, całą odwagę i strach.

Duża Chmura przebija się w kierunku słońca, chce zbliżyć się jak najbliżej. Walczy z wiatrem, z naturą, ze sobą.

- Znajdę cię, nawet wtedy gdy będziesz w innym świecie, w innym wymiarze. Nie zostawię cię samą w ciemności – mówi słabnącym głosem Duża Chmura.

Teraz jest blisko jasności, ognia. Czuje jak zaczyna się kurczyć, gasnąć. Słońce, ogień wypalają z niej całe życie – resztki życia. Zanim czuje ostatni oddech, zanim gaśnie w niej każdy skrawek myśli Duża Chmura mówi:

- Ciemność też ma jakiś koniec, kres. Odnajdę cię, choćbym musiała przemierzyć wszystkie krainy ciemności, wszystkie zakamarki mroku.

Duża Chmura znika, rozprasza się, jest już daleko. Tam, gdzie koniec nigdy nie jest początkiem, tam, gdzie początek zmienia się w nieskończoność, w odległość, w niewyraźność.

Rzeźbiarka (w drzewie) zbliża się do rynku, do ratusza, do centrum. Przemyka pomiędzy ludźmi, oddechami, myślami.

- Gdybym miała więcej takich ucieczek, moja sztuka byłaby lepsza – mówi cicho do siebie, prawie pod nosem, szeptem. – Ci, co mają sensne marzenia więcej mogą, niż ci, co nie mają ich wcale. Nie chcą mieć ich wcale.

Zatrzymuje się przed kawiarnią. Poprawia prawą ręką włosy, układa je delikatnie, czule, z namiętnością do tego co jest piękne w niej, co jest istotne. Bierze głęboki oddech, uspokaja swoje ciało i wchodzi do środka.

Widzi kilka par, dwie starszki, jedno zagubione serce – kobieta, a na końcu, tuż przy szybie siedzi on. Rozpoznaje go od razu, opis Marzeny był bezbłędny, doskonały. Podchodzi wolno do niego.

Zatrzymuje na nim wzrok, na jego rękach, są takie spokojne. Potem, gdy on wyczuwa jej napięcie, spojrzenie, zarys cienia nad stolikiem, jego postać wstaje, wita się z nią. Zastygają razem na krzesłach, na oparciach, na sobie.

- Długo czekasz? – pyta Rzeźbiarka.

- Chwilę. Jakiś czas. Moment.

- Cieszę się, że mogę cię poznać – mówi Rzeźbiarka.

Coś w nim jest, wyczuwa to od razu, coś, co ona chce mieć, a nie może dostać, od nikogo, od niczego. To nie może ją martwić, zasmuca, daje cię na jej spojrzeniu.

- Podobno rzeźbisz, i to doskonale.

- Podobno uciekasz gdzieś daleko, i to doskonale – uśmiecha się Rzeźbiarka.

Już wie, jest pewna, że to coś, to jego ucieczki w siebie, w innych, w odległe zaświaty.

- Tak... Ucieczki. Niektórzy wciąż uciekają, podczas gdy inni nie mają odwagi uciec choć raz.

- Dzięki nim możesz pisać, dzięki nim poznasz świat z innej strony.

- Mrocznej strony.

- Dzięki rysom jesteśmy inni, dzięki pęknięciom jesteśmy doskonali.

- Mamy podobne zainteresowania – mówi twardo Bankowiec. – Oboje uciekamy, jednak kierunki mamy inne. Ty w sztukę, ja...

- W scenariusze. To też sztuka, jeśli potrafisz pisać o rzeczach ważnych, takich, których inni nie widzą. Nie zauważają.

Słychać huk, trzask, zgrzyt koło drzwi. Rzeźbiarka się odwraca, rozlana kawa, złamana porcelana, resztki cukru leżą na podłodze. Śpią nieregularnie ułożone na ziemi.

- Ludzie, którzy coś tworzą muszą rozmawiać, przebywać z ludźmi, którzy są tacy jak oni. To im pomaga – mówi Rzeźbiarka. – To ich wycisza, zatrzymuje, zabija zgiełk w środku. Daje ciszę na jakiś czas.

- Mieszkasz w dużym domu?

- Tak. Za dużym. Kiedyś pokażę ci moje rzeźby, są w nim ułożone jak w galerii. Sennej galerii na bezdrożu.

- Myślisz, że dobrze robię pisząc scenariusze.

- Tak. Pokażesz mi je kiedyś, albo... – Rzeźbiarka się zamyśla. – Zrobimy inaczej.

- Jak?

- Wstawaj. Idziemy do domu kultury.

- Po co? Jaki to ma sens?

- Kilka osób będzie tam dzisiaj. Tworzą filmy dokumentalne, z pasji. Filmy wysyłają na różne konkursy, dalekie festiwale. To ich wciąż zdumiewa, że robią coś tylko dla siebie, bez żadnych chęci zarobku, dla lepszego samopoczucia.

- Wiele rzeczy robimy tylko dla dobrego samopoczucia. Przeważnie rzeczy wygodne.

- Oni robią rzeczy niewygodne za swoje pieniądze. Za swój czas, za ucieczki od rzeczywistości.

Dochodzą do domu kultury, otwierają duże, masywne drzwi, z drzewa. Kierują się na pierwsze piętro. Zatrzymują się przed dużą salą. Rzeźbiarka kładzie mu palec na usta, mówi cicho:

- Milcz. Nic nie mów. Zobaczysz jak wygląda pasja, jak wygląda szaleństwo wymieszane z gniewem, z niecierpliwością.

Wchodzą ukradkiem, niczym złodzieje na salę. Zatrzymują się za kotarą, czerwoną, długą, aż do ziemi i patrzą przed siebie na rozmaity obraz.

Kilka cieni w przygnionym, przygaszonym świetle rusza się. Stoją, walczą ze sobą. Bankowiec ich liczy – pięć osób.

Cienie zbliżają się do siebie i wtedy Rzeźbiarka mówi:

- Zasłoń uszy i patrz. Tylko spoglądaj przed siebie.

Niewidzialne kształty zatrzymują swój taniec. Dochodzą do siebie niczym koguty w walce, machają rękami, ich twarze są skupione. Coś krzyczą ich usta. Oczy wysuwają się w kierunku innych oczu. Czoła się marszczą, skupiają niechęć do światła, do jasności. Niektóre z cieni się odwracają, odchodzą w kierunku ścian. Zastygają w bezruchu, podpierają ręce na biodrach, stoją się posągami, mumiami. Uśpionymi demonami czasu i przestrzeni.

Nagle wracają do siebie ze zdwojoną siłą, energią, entuzjazmem. Znów grymasy, walka rąk, ciał, myśli. Wszystko się kłębi, skupia nad nimi – mrok, ciemność, jasność, powietrze.

- Odsłoń. Patrz w skupieniu na ich ból, niezrozumienie, zamęt – Rzeźbiarka zabiera jego ręce na dół, uwalnia uszy od ciszy. – Słuchaj.

- To nie tak! Tak nie może to wyglądać!

- Dlaczego nie może?! Twoje nie może, to znak dla mnie, że może, wręcz musi! Należy!

- Gdzie tu sztuka! Gdzie tu przekaz!

- Bezruch jest przekazem! Cisza jest przekazem!

- Kolory też! Kolory najbardziej!

- Brak kolorów to barwa kolorów! To tęcza przesiąknięta nasyceniem!

- Co wyciąć?! Kiedy nie ma już nic do wycięcia!

- Film musi mieć odpowiedni czas, kształt, zapach! Inaczej go odrzucą, muszą odrzucić!

- Odrzucając ten temat, film, odrzucają siebie! Swoje autorytety, zasady!

- Ty tak uważasz, nie oni!

Cienie uspokajają się, ich ręce bezradnie opadają na dół. Zwisają niczym zniszczone gałęzie w kierunku ziemi. Ciała są zmęczone walką, gonitwą, pasją. Udręczone niekompletnością świata, niekompletnością filmu.

Jeden z kształtów odwraca się, zauważa nieznajomych, marszczy czoło, nos. Zaczyna poruszać się w prawo, w lewo. Potem, niczym lunatyk, po zapachu, po nitce skupionej w niewidzialnej jasności idzie w kierunku Rzeźbiarki i Bankowca.

- To ty – uśmiecha się postać, gdy jest już blisko nich. – Chodźcie do nas.

Bankowiec zauważa projektor z tyłu, na końcu sali. Stoi niczym wartownia w obozie, w obawie przed walką, skrajnością nagłego ataku światła.

Rzeźbiarka wita się z nimi, dotyka ich rąk swoją ręką, dłonią, smakiem i zapachem swojej skóry. Drżeniem swojego ciała.

Potem niczym prezenter telewizyjny mówi:

- Reżyser S. – stwierdza.
- Reżyser E. – przedstawia.
- Reżyser A. – oznajmia.
- Reżyser N. – recytuje.
- Reżyser S. – deklamuje.

- Poznasz ich lepiej, gdy staniesz się tak szalony jak oni – mówi Rzeźbiarka na końcu.

- Usiądź – mówi Reżyser S. – Puścimy ci coś. Coś istotnego, ważnego, z jakąś prawdą. Naszą prawdą. Ocenisz to.

Światło gaśnie, projektor puszcza jasną lunę w kierunku białego ekranu. Życie zaczyna się rodzić poprzez blask, mieni się ruchem i światłością.

Na ekranie pojawia się mężczyzna, młody, obok kobieta, piękna, z mądrymi oczami. Chodzą po parku, trzymają się za ręce. Ich palce są splecione, połączone, złączone na zawsze.

Obraz jest szary, czarno-biały, matowy. Mężczyzna coś mówi, ona się uśmiecha, trzyma go teraz pod ramię. Nagle on się potyka i wtedy widać, że nic nie widzi, nic nie może zauważyć. Kształty, barwy, są dla niego niewidzialne, obce – może czuć życie tylko poprzez zapach, smak, dotyk.

Mężczyzna jest teraz w domu (szary obraz załamuje się, przekształca, wsiąka w ciemne kolory), kroi chleb, smaruje go masłem, dżemem. Zaczyna jeść. Sen, ucieczka.

Potem proste czynności, trudne czynności, gesty, ruchy, próby usamodzielnienia się od ciszy, zastoju, niepokoju w oczach. Znow sen, znow ucieczka z ciemności w ciemność. Mroku w mrok.

Nagle obraz zmienia się w barwę zieloną, lekko szarą, złamaną. Mężczyzna chodzi po górach, uśmiecha się, ona jest z nim. Pokonują szlaki, strumienie, głązy, kamyki, mostki. Idą przed siebie, coraz wyżej, coraz odważniej. On zatrzymuje się, oddycha ciężko, ona też jest zmęczona, uśpiona bólem i trudem. Chwilę stoją, znow wspinaczka.

Dochodzą na szczyt, on podnosi ręce do góry, coś krzyczy. Jego głos przedziera się przez ciemność w oczach. Mężczyzna patrzy na szczyty jakby je znał, choć nigdy ich nie widział, nie mógł widzieć.

Ci, co nie widzą nic, mogą więcej dojrzeć niż ci, co codziennie zanurzają się w jasności.

Obraz znów staje się szary. Mężczyzna jest w domu – codzienność. Mężczyzna jest koło domu – szarość. Mężczyzna jest na ulicy – nijakość.

Potem widać chmury, krzyki, niebo, słońce rozpalone do czerwoności – jakiś kształt, dwa kształty unoszą się w powietrzu. Paralotnia, on, kobieta, powietrze wypełnione przestrzenią. Wolnością.

Obraz jest zielony, mieni się różnymi odcieniami zieleni – szarej zieleni.

Ponownie dom, te same kroki w prawo, w lewo, te same zagubione ruchy rąk, nóg, kolan. Tysiące nieważnych czynności dla ciała, dla ducha. Coś do przodu, coś do tyłu. Coś na skos, coś na dół. Walka z ciemnością – ucieczka od ciemności.

Na końcu mężczyzna pakuje się. Duża torba, raczej plecak, jakieś ubrania, buty, konserwy. Paszport. Taksówka wiezie go na lotnisko. Tam zgiełk i chaos. Dużo ludzi, dużo pragnień. Więcej ucieczek niż życia.

Samolot unosi się w powietrzu. Słyszać huk, ruch skrzydeł, szelest wiatru.

Obraz się zamyka, uszczelnia, niknie, umiera. Potem cisza, kilka sekund i światło zapala się na sali.

- Jak ci się podoba? – pyta Reżyser S.

- Coś w tym jest – mówi Bankowiec. – Wiara, że można żyć tak jak się chce, pomimo niechęci do życia.

- On chce żyć – mówi Reżyser A.

- Tylko wtedy, gdy ucieka – mówi Bankowiec. – Gdy stoi jest martwy. Widać to w jego oczach, w ruchu każdej części jego ciała. Jego oczy są zastygłe. Nie ciemnością – niewiarą.

- Za długi? – pyta Reżyser E.

- Nie za długi, za smutny.

- Dlaczego?

- Żyjemy tylko wtedy gdy uciekamy. Gdy stoimy trwamy, czekamy na kolejną ucieczkę. Ile może mieć człowiek ucieczek w życiu? Ile sił na kolejne ucieczki?

- Dużo?

- Im dłużej żyjemy, tym mniej uciekamy. Aż w końcu stajemy, w bezruchu. Bezruch to nasz naturalny stan życia na końcu. Bezruch obojętny.

- A film?

- Dobry – mówi Bankowiec. – Jutro przyniosę wam moje scenariusze. Ocenicie, czy są takie, jakie powinno być życie, czy są takie, jakie są nasze sny.

- Do zobaczenia – Rzeźbiarka wychodzi wraz z nim pod rękę. Czuje, że to coś dla niej znaczy, coś ważnego. Coś się zaczyna, pomimo zbyt małej ilości czasu, zbyt małej ilości rozmów. Zaczyna dla niej – zaczyna dla niego.

Bankowiec patrzy na dom, mruży oczy. Oślepia go jasne światło dnia, jasny blask powietrza. Przechodzi przez bramkę, może furtkę, może drzwi oddzielające coś od niczego.

Zauważa Rzeźbiarkę, siedzi z boku, przy drzewie, w sennym cieniu, coś rzeźbi. Jest taka skupiona, nieobecna, obca. Ruchy rąk, powolne, pewne, skupione jak jej twarz, jak jej oczy. Policzki wykonują coś, co nie ma jeszcze nazwy, sensu, znaczenia. To coś to sztuka, nadzieja, ucieczka – ucieczka do doskonałości poprzez niedoskonałość.

Rzeźbiarka zauważa go, wstaje, zostawia niedoskonałość i zaczyna iść do niego, żeby niedoskonałość odpoczęła od niej. Zasnęła na jakiś czas.

- Witam – uśmiecha się, całuje go w policzek. Czuje ciepło jego ciała. To ciepło, ten rumieniec skupiony w tym cieple sprawia jej radość. Daje uczucie zaspokojenia i nasycenia.

- Jestem. Chcę zobaczyć twój dom, rzeźby – Bankowiec się rumieni, jego głos cichnie, zanika w nim. – Ciebie...

- Wejdzmy do środka.

Wchodzą przez przedpokój, czuć w nim świeżość, zapach nowej barwy. Jasność i czystość nasączoną jaskrawym światłem dnia.

- Remont – mówi on. – Niedawno był tu remont.

- Tak – uśmiecha się ona. – Remont to ucieczka od przeszłości ukrytej za brudem, za czasem, za obrazami dawnych wspomnień.

Idą dalej, Bankowiec zauważa obraz. Patrzy na niego, zamyśla się, jakby to, co jest na nim już gdzieś widział. Był tam kiedyś, sam, we wspomnieniach, snach, może w życiu.

- Pokażę ci moją galerię – mówi Rzeźbiarka.

Wchodzą do dużego pokoju, okna są zasłonięte ciemnymi tkaninami. Całe pomieszczenie, ściany, sufit, podłoga składa się z szarych, może ciemnych, niekiedy czarnych, wpadających w granat materiałów. Tkaniny luźno zwisają przy ścianach, opadają na dół niczym krople deszczu, wodospadu, morza. Gdy wiatr pojawia się w przestrzeni ruszają się swobodnie, delikatnie niczym aktorzy w teatrze.

- To wszystko wygląda jak labirynt – mówi Bankowiec.
- Labirynt sztuki.
- Doskonale są materiały.
- Doskonała jest sztuka. Materiały to dodatek do tej sztuki – mówi Rzeźbiarka. – To atlas we wzory, niekiedy wiskoza, aksamit.

Bankowiec patrzy na rzeźby ułożone na niewielkich podestach na ziemi, podłodze, na podporze świata.

Widzi dom na skale, może górze, wzniesieniu. Dom, który się osuwa na bok, jakby umierał, chciał umrzeć, musiał gdzieś odejść. Jest w ruchu, sprawia wrażenie jakby wszystko w nim drgało, grało niczym muzyka w filharmonii. Płot naokoło niego, wokół jego struktury, wnętrza, oplata go niczym pierścień. Zacieśnia się na jego ucieczce, ucieczce donikąd.

Bankowiec idzie dalej. Widzi ludzi w mieście, w nocy, w cieniu kamienicy. Stoją, milczą, tylko ich ręce się ruszają. Mają smak walki. Ich twarze są martwe, ręce coś chcą, coś muszą, pomimo niechęci do przemijania.

Następna rzeźba, ludzie przy pracy, w polu. Żniwa, trud, walka. Twarze zmęczone, pod którymi coś drga, krzyczy, płacze.

W rogu pokoju zwierzęta w różnych pozach, na ziemi, w powietrzu, w wodzie. Drganie, ucieczka od ciszy, od nieobecności. To przyciąga wzrok Bankowca.

- Dobrze – mówi Bankowiec.
- Nie – śmieje się Rzeźbiarka. – Są na sprzedaż. Nie są doskonałe. Gdyby były naprawdę dobre, nigdy bym się ich nie chciała pozbyć. Byłyby ze mną ciągle, nieustannie, zawsze. Te czekają na ucieczkę od tego miejsca, od lasu, gdzie się urodziły. Oswajają się ze światem, ze światłem, z ludźmi, z ciemnością. Muszą przyzwyczaić się do samotności, do przebywania w pomieszczeniach, których nie znają, nie będą nigdy znać. Są jak ludzie, przytulają się do

miejsz, których nigdy nie będą znać do końca. Kiedyś je wypuszczę, gdy będą na to gotowe. Będą przygotowane do bycia sobą, w miejscach, gdzie nikt nigdy nie jest sobą.

- Mnie się podobają.

- Chodź ze mną, pokażę ci coś, co naprawdę jest sztuką.

Idą do góry schodami, które skrzypią każdym ich krokiem, ruchem, drganiem nóg. Potem wchodzą drabiną na strych, powoli, dokładnie. Ich ręce w panice trzymają się szczebli, jakby od nich wszystko zależało, musiało zależeć.

- To jest sztuka – mówi Rzeźbiarka na strychu. – Tutaj są rzeźby, które są bliskie doskonałości, ocierają się o sztukę. Są jej blisko, na tyle blisko, że nigdy ich nie oddam nikomu. Za żadną cenę. Będą ze mną teraz, później, kiedyś. W chorobie, radości, smutku, w umieraniu. Staną się moimi przyjaciółmi. A... – Rzeźbiarka się zamyśla. – Przyjaciół się nigdy nie sprzedaje, nigdy nie kupuje.

Bankowiec patrzy na rzeźby, dotyka je, czuje ich barwę, ruch. Przytula się policzkiem do każdej z nich, chce poznać zapach lasu, duszę drzew, smak nieśmiertelności.

Widzi ptaka ze złamanym skrzydłem, w locie, w walce z upadkiem. Leci, choć nie ma już dla niego nadziei.

Zauważa mężczyznę na skale, wzniesieniu, szczycie. Klęczy, patrzy na niebo, mruży oczy przed jasnością, może ciemnością, zgiełkiem wokół. W jego smutku jest mądrość, rozsądek człowieka, który wie jak wygląda cierpienie.

Podchodzi do kwiatów w doniczce – słoneczniki. Ruszają się na wszystkie strony. Żyją, pachną, chcą rosnąć choć nie są w ziemi. Muszą umrzeć, czas jest dla nich wyrokiem, wrogiem, katem – nieśmiertelnością.

Przytula się do łez na skale, które spływają wolno, bez pośpiechu. Twarzy człowieka nie widać, oczu, smutku. Tragedii. Tylko łzy, zapomniane, senne. Senność to ich naturalny stan ucieczki.

Bankowiec zamyśla się, dotyka rękami Rzeźbiarkę. Całuje ją w usta.

- Dziękuję – mówi z miłością. – Za to, że mogłem być tutaj. Zrozumiałem, że rzeczy ważne zawsze ukryte są za niewidzialnością. Że rzeczy ważne schowane są za najciemniejszymi barwami.

- Proszę – Rzeźbiarka oddaje mu pocałunek w usta.

Przytulają się do siebie. Milczą, nic nie mówią. Chowają się w zapachu rzeźb, ukrywają się w cieniu ich wspomnień za lasem, za utraconym życiem.

Korespondent Woj(en)ny siedzi od tygodnia w hotelu. Nic nie robi pożytecznego, zamawia przez telefon posiłki – śniadania, obiady, niekiedy kolacje – i alkohol, zawsze whisky.

Siada na balkonie, patrzy na miasto, rodzinne domy, dachy, kamienice, ulice i sklepy. Zastanawia się jak tu mógł żyć wcześniej, przed powrotem z wojny.

Nalewa sobie whisky do kryształowej szklanki. Wypija łyk – pierwszy, drugi, trzeci – zawsze krótkie, treściwe, pełne, sugestywne dla jego ciała. Potem patrzy na spokój stygnący nad budynkami miasta.

Gdy ma chęci, odrobinę zapалу pisze o tym co tam widział, a czego tutaj nie ma. Opisuje przeszłość patrząc na nierealną teraźniejszość.

Potem kieruje ruch ręki pewny, pełny, czasami zakłopotany w kierunku telefonu. Obcy głos notuje zamówienie w głowie. Po chwili pojawia się dzwonek, nawet nie dzwonek, pukanie do drzwi. Wtedy on musi podejść, uśmiechnąć się, coś podpisać, a potem jest zamknięcie drzwi, zasunięcie całego świata na zewnątrz.

Raz dziennie wychodzi na miasto, swoje miasto. Idzie przez park, mija bazar pełen głośnych ludzi, zagubionych ciał i kroki kieruje w kierunku szkoły. Staje za drzewem, opiera się o jego szorstką korę, tak, że czuje jego chropowatość na ramieniu, skórze i patrzy na wychodzące dzieci.

W końcu zauważa córkę; idzie z plecakiem, uśmiechnięta, mówi coś do rówieśniczek, koleżanek, niekiedy kolegów. Zawsze idzie w kierunku swojego domu – już nie jego domu.

Czasami płacze, gdy ją widzi. Płacze z niemocą która w nim jest, która nie pozwala mu się zbliżyć do córki na nowo, jeszcze raz.

Od tygodnia jest w swoim mieście, od tygodnia nie umie żyć w swoim mieście. Unika ludzi, twarzy, niepokoju – unika siebie. Najgorszą rzeczą, którą teraz czuje – to unikanie córki, którą kocha i będzie kochał zawsze. I żony, która go kocha, choć nie może już z nim żyć, być razem. Za dużo czekania na jego powroty z wojny, za

dużo niepewności i napięć. Gdy nie wiadomo czy jeszcze jest tutaj, czy tam, daleko, martwy.

Żona nie rozumie, że te wyjazdy uzależniają, są jak narkotyk, powietrze, sens. Musiał jechać, choć teraz już nie chce jechać, nie chce żyć – ani tu, ani tam.

Praca go zniszczyła, wojna go zniszczyła. To, co pisał, to, co ludził się, że ma znaczenie, nie ma żadnego znaczenia, dla tych, którzy w tym nie uczestniczą, nie chcą uczestniczyć. Wojna zawsze dotyczy tylko tych, którzy giną, dla innych jest słowem, wyrazem, obrazem w telewizji.

Pamięta miasto, oblężone, stłamszone, tłumy dziennikarzy, mieszkał z nimi w hotelu, pamięta jak szukał dobrych ujęć. Dobre zdjęcia to przepustka do kariery, lepszej pracy, nagrody. Strzały na okrągło, cały czas, snajperzy na dachach, za miastem. Skuteczni, jeden strzał, jeden cień.

Przypomina sobie ludzi, chcieli żyć normalnie, pomimo cierpień i bólu. Chodzili do teatru, zamkniętego pomiędzy zniszczonymi ulicami. Klaskali, tak bardzo klaskali aktorom na koniec. Chcieli być ludźmi, pomimo nieludzkiej sytuacji.

Rozmawiał z dziećmi, kobietami, mężczyznami. Wierzyli, że to się kiedyś skończy, musi się skończyć. Będą znów wolni, szczęśliwi, inni. I n n i – to słowo powtarzali najczęściej – i n n i.

Co to oznaczało, nie wiedział, ale czuł, że to jest ważne, może najważniejsze w nich.

Sklepy, resztki sklepów, pomimo kończących się zapasów żyły, chciały żyć, na przekór strzałom i wybuchom. Ludzie, niektórzy zagubieni, inni obojętni, przestraszeni, walczący, nie poddający się, pomimo niepewności. Pomimo cierpienia i bólu. Bólu za samym sobą. Za sobą z przeszłości.

Kiedyś, gdy niebo było pochmurne, gdy chmury wisiały prawie na ulicach, na dachach, chodził po obrzeżach miasta. Pośród zniszczonych budynków, bram, wybitych i stłuczonych okien.

Zauważył hałas, coś go poraziło, w środku; poszedł za przecuciem, przekonaniem, że musi, że chce, że może.

Zobaczył oficera z żołnierzami i trzech jeńców z podniesionymi rękami. Podeszedł bliżej, schował się za pękniętą ścianą, wyciągnął aparat.

- Gdzie jest sztab? – spytał oficer.
- Nie wiem – drżącym głosem mówił jeniec.

Strzał, jeniec upadł niczym kukła. Oficer podszedł do drugiego, popatrzył chłodno w jego oczy i rzekł:

- Gdzie?

- Wojna nauczyła mnie jednego – powiedział twardo mężczyzna. – Nigdy nie bierze się jeńców, gdy nie ma się wystarczającej liczby ludzi, aby się nimi zająć. Nic ci nie powiem. I tak zginę.

Strzał. Postać pada nienaturalnie na ziemię, na szare kamienie. Krew powoli ucieka z ciała, miesza się z szarością i brudem. Z kurzem miasta.

- Znasz odpowiedź? Gdzie? To ci pomoże.

Trzeci jeniec drży, jego wargi stają się ciężkie. Nie może oddychać, wydobyć słowa, zdania, odpowiedzi z siebie.

- Gdzie? – powtarza twardo oficer.

- Koło kościoła, przy ratuszu.

- Musisz słuchać tego, co mówią inni – mówi spokojnie oficer. – Nikt nie potrzebuje jeńców na wojnie.

Pada trzeci strzał. Następuje cisza i spokój, taki spokój, który rzadko zdarza się na wojnie.

Oficer odwraca się, zauważa kobietę w kamienicy. Krzyczy coś do żołnierzy, biegną w jej kierunku. Po chwili kobieta klęczy płacząc przed oficerem.

- Widziałś wszystko?

- Nie – płacze kobieta. – Zapomnę. Wyrwę to wspomnienie z pamięci.

- Tego nie można zapomnieć – oficer mocno przykładając pistolet do jej głowy.

Z boku słychać krzyk. Mały chłopiec biegnie do matki, staje przed nią, patrzy dumnie w oczy oficerowi. Ten się uśmiecha, następuje strzał, krzyk kobiety, drugi strzał – cisza.

Oficer patrzy na dwa ciała. Dziecko leży jakby tuliło się do matki po złym dniu, przed nocą.

- Głupiec – mówi oficer patrząc na chłopca. – Mógł żyć. Wojna czyni z ludzi głupców, ślepców. Nie potrafią odróżnić odwagi od głupoty. Nadziei od klęski.

Korespondent Woj(en)ny robi zdjęcia, ma to teraz w aparacie. Czeką aż żołnierze odejdą, potem podchodzi do trupów, klęka, modli się za ich dusze. Patrzy na chłopca, na jego uśpioną odwagę. Coś w nim pęka, czuje to teraz, nagle, w sobie. To pęknięcie, tę rysę, która już nigdy się w nim nie zagoi. Nie zniknie, nie ucieknie pomimo przyszłych lat, które są przed nim, muszą być przed nim – może za nim.

Jeszcze tydzień jest na wojnie, potem wraca. Musi wrócić. Coś się skończyło, gdy chłopiec ratował matkę, coś umarło w nim.

Siedzi na balkonie, pije kolejnego drinka. Czuje pustynię, piach, suche powietrze, parzące słońce – odczuwa brak deszczu w sercu.

Ktoś puka, mężczyzna wraca do życia. Podchodzi do drzwi, otwiera je wolno, schematycznie, obojętnie.

Córka stoi na korytarzu, patrzy mu w oczy. Uśmiecha się, przytula do niego mocno, czule, z nadzieją. Z determinacją i siłą.

- Czułam, że wróciłeś, że jesteś. Czułam to od jakiegoś czasu. Potem cię przypadkiem zauważyłam, stałeś koło drzewa. Śledziłam cię, aż tutaj doszłam, aż trafiłam pod te drzwi.

- Przepraszam – płacze Korespondent Woj(en)ny.

- Wiem, że ci trudno. Musi być ci trudno. To, co widziałeś tam, nie może przekreślać tego, co widzisz tutaj – mówi szeptem córka. Wyjazdy ojca nauczyły ją, że życie ma sens, gdy ludzie są razem, pomimo prób rozłąki. – Obrazy, złe wspomnienia to nie jest życie w całości. To część, którą można zmienić, gdy mamy dla kogo żyć, po co żyć.

Córka patrzy mu głębiej w oczy, mocno, czule, z zawziętością i siłą, potem mówi:

- Jeśli nie możesz żyć dla siebie, żyj dla mnie! Bez ciebie nie ma mnie, w takim kształcie i wyrazie, w jakim powinnam być zawsze! Jeśli pragniesz, żebym życie zaczęła szczęśliwie, żyj dla mnie! Musisz żyć dla mnie pomimo wspomnień, pomimo bólu!

Mężczyzna klęka, przytula córkę z taką zawziętością, siłą i płacze.

- Dobrze. Nie mogę pozwolić, żebyś nieszczęśliwa była już na starcie. Na samym początku drogi.

Rzeźbiarka wyłącza telewizor. Podchodzi do okna, patrzy na wiatr pomiędzy chmurami.

- Dobry film – mówi do siebie. – Mądry.

Odchodzi od okna, zerka w lustro, zamyśla się i szepcze cicho do postaci w szkle:

- Ludzie walczą z ludźmi o skrawki ziemi, przy okazji krzywdząc innych ludzi, obcych ludzi.

Gasi ręką światło, ciemność zniekształca kształty w środku domu. Wydają się inne. Zmieniają swoją barwę i znaczenie w mroku. Swoją postać.

Rzeźbiarka patrzy za szybę autobusu, sennie, bez żadnych emocji. Jeszcze jest dzień, jeszcze słońce jest w połowie za horyzontem ziemi. Była u matki w Krakowie, kilka dni, lecz musi wracać. Coś ją tutaj ciągnie, coś innego sprawia, że chce należeć do tego miejsca, do jeziora i tajemnicy, którą ono ma – musi mieć.

Po godzinie jest blisko miasta, gdzie mieszka, gdzie chce mieszkać. Teraz już jest noc. Gwiazdy, niczym rozsypany popiół, żar z kominka błyszczą na niebie. Raz ich blask jest mocny, intensywny, a za chwilę bledną, skupiają się, prawie nikną.

Światła autobusu rozjaśniają fragmenty mroku przed sobą.

Rzeźbiarka się ożywia, patrzy za skaczącymi słupami ognia na drodze. Kocha chwile, gdy coś co jest niewidoczne, staje się przez coś innego widoczne.

Widzi las ciemny, mroczny, zastygły w granacie nieba i nagle światło go budzi. Skacze po jego niedostępności, ożywia jego mroczne barwy i kształty. Po chwili coś się zmienia. Blask go opuszcza, zabija. Znika.

Widzi jezioro z oddali. Światło tam nie dochodzi, nie może dojść. To za daleko, za odległa to przestrzeń dla jasności. Jednak skrawki światła dochodzą tam w pojedynkę, sylabami, punktami. Te punkty, fragmenty punktów są widoczne nad wodą. Nieskazitelnie schowane w jej odbiciu i głębi.

Rzeźbiarka lubi patrzeć, gdy niejasność zmienia się w jasność. Gdy mroczność ożywia się przez zagubione sygnały.

Zauważa mężczyznę, siedzi z boku, rząd wcześniej w autobusie. Coś czyta, jasne światło z góry, z lampki pozwala mu uciec w inny wymiar, obcy świat.

Podgląda go ukradkiem niczym szpieg, zwiadowca przed walką, burzą, może ucieczką.

Widzi żółte kartki wypełnione drukiem. Jakieś obrazki, mapy, może wskazówki. Zaczyna czytać, patrzy na rozbiegane oczy mężczyzny. Już wie, to Rzym, historia, Koloseum. Czasy zamierchłe, odległe, brutalne.

Mężczyzna przewraca kartkę, jakaś harmonijka. Strona schowana w książce, niczym chusteczka rozwija się w jego ręce. To mapa połączona z brzegiem książki – ślad tamtego świata, dalekiego, obcego, zaginionego.

Rzeźbiarka zamyśla się, stara się dotrzeć do przeszłości, do czasów gdy życie nie było nic warte, nie mogło być nic warte...

Cesarz Neron chodzi po swojej komnacie. Jego twarz jest skupiona, nerwowa, nieobecna. Sprawuje władzę od dziesięciu lat i wciąż walczy z Senatem. Chce żeby zrozumieli, że jest Boski, i to co robi też jest Boskie. A oni, ci szarzy ludzie, którzy udają mądrych, mądrzejszych od niego, wciąż go atakują, spiskują jak go zgładzić, usunąć od władzy. Nie rozumieją, że jest wielki, a wielkości nie można oceniać, klasyfikować, podporządkować.

Nazywają go tyranem, zbrodniarzem. Zabija wszystkich, których kocha, których kochał. Kontakt z nim to śmierć odwleczona w czasie – tak mówią.

- Muszę zabijać tych, którzy nie wierzą w Moją Boskość, we Mnie! – krzyczy ze swojego tarasu w ciemność Rzymu.

Opiera się o wapienną barierkę na tarasie. Patrzy na dół, na nieruchome punkty strażników przy bramie.

- Ci, co nie zauważają we mnie artysty, nie zauważają we mnie Boga! Muszą zginąć! – krzyczy gardłowo, aż głos mu więdnie, staje się suchy, nieobecny, obcy.

Neron podchodzi do złotej tacy, bierze złoty kielich pełen wórow i wypija czerwone słodkie wino. Po chwili czuje się lepiej.

Siada na tronie, wysokim, pełnym władzy. Jego ciało nienaturalnie chowa się w jego kształcie, w jego przestrzeni.

Podpiera głowę o nadgarstek i smutno zaczyna śpiewać. Śpiew, poezja, aktorstwo to jego pasje. Jest wrażliwy, czuje się wrażliwy. Zauważa, dostrzega to, czego nie widzą inni, sztukę.

„Zbrodnia też jest jakąś formą sztuki – myśli. – Sztuki duchowej, sztuki cielesnej”.

- Zabijam, bo muszę. Ludzie mnie do tego zmuszają, poprzez bliskość, wobec mnie, wobec mojej władzy! – krzyczy. – Nie jestem szaleńcem! Jestem Szalonym Bogiem! To różnica, wielka różnica! Szalony Bóg może wszystko, szalony człowiek nie!

Brytanik musiał umrzeć, chciał być Cesarzem, jak on. Nie może być dwóch Cesarzów. Dwóch wielkich i potężnych ludzi. Musiał go usunąć na ucztę, przy wszystkich, ku przestrodze. Żeby zrozumieli, że tylko on może przejąć władzę. Pośród śmierci, muzyki, śpiewu, tańców.

Widział jak kona, jak łapie się rękami za swoje czternastoletnie ciało. Jak brakuje mu tchu i odwagi. Podeszedł do niego, spojrzał w jego umierające oczy. Zauważył, że on wie, dlaczego to zrobił, dlaczego musiał to zrobić.

- Brytanik mnie rozumiał, gdy umierał – mówi Neron do siebie. To obłąd, że wciąż mówi do murów? Strach przed samotnością, przed sobą? – Wybaczył mi. Sam by to zrobił później, ze mną. Był dumny, że pierwszy się odważyłem. Dzięki mnie nie musiał walczyć ze swoimi słabościami, wstrętem, wątpliwościami.

Wypija kolejny łyk wina. Złoty kielich odbija się od gwiazd za oknem, od jasności świec w komnacie.

Przypomina sobie matkę, żonę, przeciwników – to byli jego wrogowie. Bliskość go niszczy, musi zabijać tych, którzy są zbyt blisko niego. Bliskość to strach, przed sobą, przed innymi. Zabija w nas czujność, a on musi być czujny. Ludzie przy władzy zawsze coś knują.

Jeden spisek już zniszczył, w ostatnim momencie. Straże w nocy wyłapały wrogów, w ciszy, w milczeniu. Oddali mu majątki, niewolnice, przywileje – za karę, za swoje słabości. Zabił ich, musiał ich zabić. Ktoś mu doniósł, w samą porę, w ostatniej chwili. Nagrodził go, a potem zniszczył, tak, żeby nikt nie widział. Ktoś kto raz zdradził swoich, kiedyś zdradzi jego. Później zdrada będzie boleśnieszka, nie do zniesienia.

Wchodzi Akte, jego kochanka, była niewolnica. Kiedyś się zakochał, potem ją wyzwolił.

Przytula się do niego, do jego twarzy, włosów, lekko zakręconych na końcu.

- Kocham cię – mówi słodko, sennie, niczym kotka wypuszczona ze złotej klatki.

- Wiem – mówi Neron. – Tylko ty mnie kochasz. Ostatnia, jedyna, do końca.

Akte siada mu na kolanach. Zaczesa mu ręką jego włosy. Równie, dokładnie, z ukrytą pieśczęcią między palcami.

- Brakuje mi teraz Seneki, jego słów, mądrości, filozofii – mówi Neron. Jest coraz bardziej pijany od wina, od nocy, od napięcia, które wciąż ostatnio ma w sobie. – Dlaczego wycofał się z polityki? Tak wielu rzeczy mnie nauczył. Jak żyć, jak rządzić, jak nie być zbyt często zbrodniarzem.

- Nauczył cię też języków. Kocham chwile, gdy do mnie mówisz łaciną, greką. Jak śpiewasz, recytujesz swoją poezję. Poezja to ty, sztuka to ty. Jesteś wielkim artystą. Największym.

Nerona oczy błyszczą mocno, od wina.

- Wiem! – krzyczy, nagle wstaje. – Wiem! Jestem Największym Artystą Świata!

Neron bezwładnie niczym kukła opada na tron, zasypia. Akte przykrywa go tkanym kocem, wychodzi cicho, na palcach. Złote obroże na nogach, naszyjniki, ozdoby na rękach delikatnie szumią w powietrzu. Kołyszą się na ciele Akte.

Noc spowija wszystko swoim płaszczem. Całe złoto komnaty, całe przepych i rozmach pomieszczenia skupiony w rzeźbach stojących przy ścianach. Posągach marmurowych.

Neron budzi się, boli go głowa. Wchodzi niewolnica, ładna, młoda, przynosi mu posiłek i wino. Wypija wino, ból głowy nie pozwala mu nic jeść, na razie.

- Dlaczego Bogów też boli głowa? – mówi znów do siebie. Jest szalony przez mowę do siebie. Chce mówić do siebie, gdyż wie, że tylko on sam jest w stanie siebie zrozumieć. Zrozumieć właściwie.

Schodzi na dół, wsiada do lektyki. Czterech niewolników prowadzi go ulicami Rzymu. Z przodu, z tyłu idą strażę. Słyszy gwar mia-

sta, szum ludzkich głów, ojczystą mowę. Nie słyszy siebie w tym szumie.

- Dlaczego wciąż nie mogę usłyszeć siebie? Nie widzę swoich słów, nie słyszę swoich słów. Słyszę tylko szepty, złe szepty. Mówią, że zginę, jeśli oni nie zginą wcześniej.

Neron zamyśla się, myśli o spisku. Czuje, że gdzieś koło niego jest. Wśród senatorów, w ich głowach, w spojrzeniach, w ruchu ich ciał.

Wchodzi do Senatu, siada na podwyższeniu, każe ciałom obradować. Sam pije wino, krwisto-czerwone. Nie wie, dlaczego lubi czerwień. Może przez krew, może przez kolor bólu, który ona zadaje.

Nie słyszy senatorów, tylko szmer, nieskładność. Wciąż mówią o Rzymie, o ludziach, a tak naprawdę mówią o sobie. Pragną więcej mieć, więcej chcieć, więcej posiadać.

Kto z nich? myśli, który się odważy? komu zabrać majątek, żeby inni zrozumieli?

„Muszę zagrać na lutni, teraz – wciąż myśli – a potem uciec w noc, samemu. Udać się do winiarni jak zwykły człowiek. Posłuchać co mówią o władzy, o nim, o spisku”.

Wyprawy nocne, choć czasami nic z nich nie pamięta, nic po nich nie czuje, niekiedy wraca poobijany, pomagają mu, dają uczucie ukojenia, spełnienia. Odprężają go. Ciemność go odpręża, życie nocne go odpręża. Obcy ludzie, łatwe kobiety, bezimienne, bez twarzy, dają mu jakieś nasycenie.

- Muszę zagrać na lutni! – krzyczy, wstaje i wychodzi pośród zdziwionych twarzy senatorów.

Lektyka go niesie do stajni, na skraj miasta. Teraz chce pojeździć rydwanem, za murami Rzymu. Szybko, bez opamiętania, bez żadnych zakazów.

„To miasto, to wieczne zakazy! Dla mnie, dla ludzi! Kiedyś je spalę, za ten żar, który w sobie ma. Za zakazy, które na mnie wymusza. Wciąż wymusza!”

Wsiada do rydwanu, pędzi przed siebie. Tylko wiatr i on, tylko jego ciało i pęd powietrza.

„Gdy oczyszczę ciało, oczyszczę duszę – myśli. – Oczyszczę poprzez śpiew, poprzez muzykę”.

Potem wraca do swojego pałacu. Basen, wino i muzyka, to mu pomaga, to go oczyszcza. Później przychodzi Akte, rozbiera się, oplata jego ciało swoim ciepłem i znów zapomina o życiu, o zdradzie.

Neron siedzi na tronie, pośród senatorów, słucha ich w milczeniu. Ich słowa to wieczne skargi, Rzym jest wieczny, nie oni.

- Chrześcijanie zatruwają studnie, modlą się do Boga nie z tego świata. Ktoś ma przyjść i ich wyzwolić. Knują przeciwko tobie!

Neron rozumie jedno słowo „knują”. To mu wystarcza, muszą zginąć. Manipulują nim, wie o tym, ale zabicie kilkuset osób pomoże Rzymowi, pomoże jemu. Uspokoi miasto, uspi ludzi, da zabawę całemu światu.

- Będą igrzyska śmierci, w Koloseum! Chrześcijanie, zwierzęta, krew! To wyzwoli Rzym, to oczyści Rzym!

- Dobry pomysł – przyklaskują mu. Są jak hieny, jedzą to, co im da, co musi im dać.

„Hieny też trzeba karmić. Gdy ich nie karmimy mogą zjeść nas samych” – myśli Neron.

Wychodzi z sali, patrzy na twarze senatorów. „Który z nich się odważy? Kto jest zdrajcą? Może wszyscy? Może nikt?” Wychodzi pełen wątpliwości.

Wsiada do lektyki, krzyczy na niewolników, jest zdenerwowany. Myśli o arenie, o chrześcijanach, o śmierci. Śmierć go uspokaja. Już sama myśl o niej daje mu uczucie jakiegoś ukojenia, odprężenia.

Wieczorem ucztą, orgią, młode niewolnice. Na końcu jego poezja, będzie ją recytować.

Kocha chwile, gdy na niego patrzą, z obawą, z trwogą. Jego słowa są ważne, może najważniejsze. Poezja zanurzona w strachu, w śmierci ma inny wymiar, niż poezja o wschodzie słońca, o zachodzie księżyca. Zrozumiał to, gdy recytował wiersze przed walkami gladiatorów.

„Poezja i śmierć to afrodyzjak – myśli. – Afrodyzjak schowany w strachu”.

Od miesiąca Koloseum przygotowywane jest do igrzysk śmierci. Arena jest czyszczona, nowe dekoracje chowane są pod powierzchnią ziemi, w podziemiach budowli. Kilka pięter niżej ukrywa to, co później będzie widoczne, ku uciechu ludzi. Zwierzęta sprowadzane

są z dalekich krajów. Będą głodzone, aby walczyły o każdy kęs ciała chrześcijan. Pięćdziesiąt tysięcy ludzi będzie krzyczało, gwizdało, tupać, jadło, spędzało czas z Neronem. Rzym się zjednoczy, ludzie się zespola w jedną całość. Kiedyś były tu walki morskie, bitwy okrętów, teraz będą igrzyska – igrzyska chrześcijan.

Neron czasami zagląda do Koloseum. Chodzi dumnie po arenie, patrzy na swoją lożę. Chce poczuć, co czują ci, którzy za chwilę zginą. Chce widzieć, choćby w myślach ich strach, zagubienie, przeżenie.

Wchodzi do piwnic Koloseum, patrzy na uwięzionych ludzi. Na zwierzęta, coraz bardziej oburzone swoim głodem. Niewolnicy pilnują scenografii, ludzi, sprzętu gladiatorów.

Neron patrzy na obojętne twarze chrześcijan. Są smutne, przygaszone, przestraszone. Niektórzy modlą się na kolanach, z twarzami skierowanymi do nieba.

- Oni naprawdę wierzą – mówi Neron. – Ciekawe, czy Bóg im pomoże za kilka dni – uśmiecha się poprzez swoje szaleństwo.

Wchodzi do Senatu. Siada tam, gdzie nie lubi siedzieć, na tronie. Nienawidzi wtedy swojej roli.

Patrzy na człowieka z brodą, jednego z przywódców chrześcijan. Stoi skupiony pośród strażników.

- Nie boisz się śmierci? – pyta Neron.

- Nie. Życie nie jest tu, jest tam.

- Tam będzie ci lepiej?

- Tam będę wolny, ze swoim Panem. Ze swoim Bogiem. Tutaj jestem niewolnikiem swojego ciała – mówi starzec w szarej szacie, przewiązanej lnianym sznurkiem, w zniszczonych sandałach.

- Jednak najpierw pocierpisz, na arenie. Nie boisz się cierpienia?

- Cierpienie zawsze człowieka do czegoś prowadzi.

- Z tym się mogę zgodzić – mówi Neron. Gdy on zadawał cierpienie, śmierć, zawsze go to do czegoś prowadziło.

Cierpienie to symbol władzy, symbol człowieka, który tę władzę nosi.

Neron wstaje, wychodzi z sali. Jest zmęczony. Igrzyska niedługo, odprężą go, znów będzie popularny, lubiany. Może nawet kogoś wyzwoli, jednym ruchem ręki, kciukiem do góry. Jaka to władza, czasami się zastanawia, jeden ruch dłoni – ktoś żyje, jeden gest –

ktoś odchodzi, umiera. Bez zbędnych protestów kogokolwiek obok. Neron zawsze ma rację, nigdy się nie myli.

Idzie korytarzem, widzi brodatego starca, stoi pod ścianą, czeka aż Neron przejdzie. Patrzą sobie w oczy. Są inni, jednak mają ten sam blask wewnątrz. Wiare, że czynią co czynią, żyją jak żyją. Wbrew sobie, wbrew ludziom.

Nagle Neron zauważa nóż w ręce senatora, tego, co mieszka w willi nad rzeką. Nóż jest coraz bliżej jego ciała, szyi, skóry. Gdy nóż już prawie zanurza się w jego boskości, brodaty mężczyzna go zasłania. Bierze cios na swoje serce. Potem upada, umiera z uśmiechem na twarzy.

- Zabić go! – krzyczy Neron. – Zabić natychmiast!

Senator wychodzi ze strażnikami. Po chwili już nie żyje. Neron patrzy na twarz chrześcijanina, milczy, każe zakopać jego ciało na cmentarzu. Tyle może dla niego zrobić.

Wraca do sali, skąd przed chwilą wyszedł. Widzi zdziwione twarze senatorów. Myśleli, że już nie żyje.

Spisek – Neron to zauważa. W ich oczach, w gniewie. W ich dłoniach i głowach. Nie wiedzą co teraz robi, jest nieprzewidywalny.

Czują, że każdy jest zagrożony. Muszą działać szybko, zanim on zacznie pierwszy wydawać rozkazy.

- Znajdę pozostałych, pośród was! – mówi groźnie Neron i wychodzi.

Akte nie zbliża się do Nerona. Siedzi w kącie, nalewa mu wina, podaje winogrona i wraca na swoje miejsce na obrzeżach komnaty. Nie widziała go dawno tak wzburzonego. Cały obłęd wychodzi z niego. Teraz się uspokoił, poprzez wino i ucieczkę w jego moc.

Wcześniej był jak tygrys. Chodził po komnacie, warczał, krzyczał, śpiewał. Mówił coś do matki, zanim ją zabił, do żony, zanim ją zakopał w ogrodzie. Do Brytanika, że jego też by chcieli zabić, gdyby żył. Mówił do wszystkich, których zniszczył, musiał zniszczyć.

Akte myślała, że ich naprawdę widzi, przecież dotykał ich twarzy rękami, niewidzialnie.

Teraz siedzi, pije, milczy. Zastanawia się. Może mu wmówili nienawiść do chrześcijan. Może nie są źli, są inni, jak on. Gdyby chrześcijanie byli na jego miejscu, czy jego też skazaliby na arenę, na walkę, na ból, na śmierć. Dlatego, że go nie rozumieją.

Obcy człowiek więcej dla niego zrobił niż ci, którzy powinni być przy nim cały czas. A teraz on ich niszczy, musi ich niszczyć. Cały Rzym na niego liczy, na jego bezwzględność i konsekwencję.

Podchodzi do okna, patrzy na miasto schowane w mroku, w nocy.

- Na pewno nie śpią, wiedzą, że się waham. Czują to, patrzą na mnie z dołu, na światło w mojej komnacie. Chcą wiedzieć, czy jestem słaby. Mogłbym ich uwolnić, dać bandytów, złodziei na śmierć. Ale po co? To mnie zniszczy, ich zniszczy. Mnie, bo okażę się słaby, ich, bo nie pójdą do nieba dzięki mnie. Zabiję chrześcijan, pomimo wątpliwości – postanawia.

Patrzy na Akte. Jego oczy są bezwzględne, twarde, zmęczone.

- Chodź do mnie! – mówi. – Spraw, abym zapomniał o dzisiejszym dniu.

Akte podchodzi do niego, lecz zanim jej skóra dotyka jego skóry, rzuca z siebie szatę. Całkiem naga znika w jego objęciach.

Rano Neron wstaje z bólem głowy, z bólem myśli. Woła dowódcę straży a potem mówi:

- Weź ludzi, podziel ich na kilka grup i zabij wszystkich senatorów. Każdego w domu. Jest wcześnie, powinni jeszcze spać. Potem powieście ich ciała na krzyżach za miastem. Za chrześcijan. Za to, że wmówili mi że są źli, obcy. Zatruwają wodę, zatruwają Rzym.

Neron chwilę się zastanawia, potem mówi chłodno, recytując wolno każde słowo:

- Rozwiesić ogłoszenia, wysłać posłańców do ludzi, że igrzyska będą za dwa dni. Nic się nie zmienia. Rzym musi mieć swoją zabawę, choćby kosztem niewinnych ludzi.

Neron patrzy na śpiącą Akte. Jej ciało skulone jest w jedwabnej pościeli.

- Kiedyś ciebie też będę musiał zabić. Wymaga tego władza, wymaga tego mój spokój. Za dużo o mnie wiesz, za dobrze mnie rozumiesz. Ci, co rozumieją mnie lepiej niż inni, muszą wcześniej odejść z tego świata.

Neron wchodzi na taras, patrzy na miasto budzące się ze snu. Słońce powoli wynurza się z ziemi, zza lasów i gajów oliwnych.

- Kiedyś spalę to miasto – mówi. – Poszerzę ulice, sprawię, że będzie więcej przestrzeni dla ludzi. Ludzie potrzebują więcej świa-

tła, więcej zabawy, więcej wina. Igrzyska to zabawa zanurzona w winie. Zabawa nieustanna.

Odwraca się plecami do miasta, wchodzi do złotej komnaty.

- Władza zawsze miesza się z samotnością. Samotność z władzą. Niekiedy dochodzi do tego cierpienie ludzi, którzy chcą tę władzę zabrać. Cierpienie konieczne.

Rzeźbiarka (w drzewie) podskakuje na siedzeniu autobusu. Wjeżdżają do miasta.

Jej oczy skupione są na książce. Mężczyzna patrzy na nią z uśmiechem.

- Dobra książka? – pyta Rzeźbiarka.

- Chyba tak, wciąż patrzy pani na mapę świata, mapę Rzymu.

- Kiedyś Rzym był całym światem. Kiedyś Rzym był całą sztuką, przyszłością schowaną za kaprysami władców.

- Za morderstwami władców – mówi mężczyzna.

- Może – Rzeźbiarka wychodzi z autobusu.

„Odleciałam – myśli. – W tamte czasy. To ze zmęczenia, ze zbyt wybujałej wyobraźni”.

Rzeźbiarka zanurza się w ciemność prowadzącą ją do domu. Ciemność zmierzającą do jasności. Do kominka, do łóżka, do rzeźb. Do spokoju schowanego za ścianami domu.

Marzena odgarnia ręką długie włosy z twarzy. Kręcą się, falują, dotykają wiatru. Ścigają się z czasem, kłócą się z przyrodą.

Szuka wzrokiem znajomych twarzy. Za murem z czerwonej cegły, za fontanną z figurami zwierząt zauważa to, czego szuka.

Podchodzi niezauważalnie, z wdziękiem do dwóch zamyślonych postaci w kącie ogrodu.

Zatrzymuje się na chwilę. Jej ciało zamiera na jakiś czas. Upłynięcia się i rozprzestrzenia, potem wykonuje gest, ruch, może krzyk schowany za ciepłym uśmiechem w oczach.

Skupiony Fitz podnosi wzrok znad zeszytu. Wyczuwa czyjaś obecność, kształt, cień zarysu koło siebie.

- Cześć – mówi do Marzeny.

- Cześć – odpowiada szeptem Marzena, tak aksamitnie, żeby nie zakłócić ciszy Czewskiego, który maluje obraz tuż obok.

- Piękny dzień – mówi Fitz. – Jaskrawy.
- Tak – odpowiada Marzena i siada koło Fitz'a na ławce.
- Jesteś pisarzem – mówi. – Pisarz to ktoś, kto pisze o ludziach.

Zna ich słabości i lęki.

- Tak – zaciekawia się Fitz.

Obok nich pojawia się Czewski. Jego spodnie pobrudzone są farbą. Symbolami, znakami, figurami kolorowych pasemek na tkaninie.

- Chcę wam coś pokazać – mówi Marzena. – Coś co zmieni wasze nastawienie do świata, do ludzi.

- Co? – pyta Czewski.

- To, co tutaj widzicie, ten strach w ludziach, to jedna strona lustra. Ta lepsza, bogatsza, wykwintniejsza. Tutaj ludzie godnie żyją w swoim strachu. Za pieniądze.

- Co zamierzasz nam powiedzieć? – pyta Fitz.

- Chcę wam pokazać coś innego. Drugą stronę strachu i obłędu. Wezmę was tam, gdzie bywam czasami z poczucia winy. Że nie robię tego, co powinnam robić.

- Pomagasz innym, to ważne – mówi Fitz.

- Wartość człowieka określa się poprzez zauważalność bólu innych ludzi. Ty go zauważasz. Przesypujesz na inną kupkę, rozkładasz na mniejsze ziarenka, aż w końcu zniknie całkowicie, na zawsze, na jakiś czas – mówi Czewski.

- W mieście, z boku, na obrzeżach jest drugi ośrodek. Mniejszy, skromniejszy, nieistotny. Tam wszystko wygląda inaczej. Pomagam im, kiedy mogę. Za darmo. Chcę, żebyście ze mną pojechali, zobaczyli go od środka.

- Dobrze – mówi Fitz, wstaje z ławki.

- Ruszajmy – Czewski zabiera świeży i wilgotny obraz, pędzele, sztalugę i patrzy z uporem na Marzenę.

- W drogę – mówi Marzena.

Samochód wyjeżdża z lasu. Zostawia za sobą drzewa, krzaki, zwierzęta schowane pomiędzy zaroślami. Jedzie przez miasto, rynek, omija osiedle domów jednorodzinnych i skręca w boczną, zagubioną ulicę. Drogę wypełnioną dziurami, zamętem, skrzywionymi, zaspanyymi latarniami.

Zatrzymują się przy metalowym ogrodzeniu. Wychodzą z samochodu. Mijają portiernię, znudzonego strażnika. Mówią „Dzień do-

bry” i wchodzi do dużego, szarego, lekko przekrzywionego na bok budynku.

Przestronne korytarze, szerokie okna, wysokie aż do sufitu mają smak niepokoju i zgiełku. Sennego zagubienia.

- Tutaj – mówi cicho Marzena.

Zaglądają do dużej sali pełnej łóżek. Przy każdym stoi szafka, metalowa, zniszczona.

- To lżejszy oddział – mówi Marzena. – W tych gorszych nie ma przedmiotów, które mogą zaszkodzić człowiekowi.

- Jak w życiu – mówi Fitz. – Świat pełen jest przedmiotów, które wciąż przeszkadzają człowiekowi. Ograniczają go, otepiają. Zabijają w nim to, co ma najlepsze.

- Używki – zamyśla się Czewski. – Bez nich świat byłby inny, bez nich świat byłby lepszy. Niekiedy gorszy.

- Cóż jest wart świat bez używek. Cóż jest wart człowiek bez leków – oświadcza Fitz.

- Patrzcie – mówi Marzena. – Nic nie mówcie.

Na sali słychać krzyk. Ktoś biega, macha rękami niczym intruz w ulu. Potem jego oczy zaczynają płonąć, palić się. Nie mogą oddychać.

Człowiek pada na ziemię. Przez chwilę drga, następuje cisza.

Inni podchodzą do niego, nachylają się nad nim, nic nie mówią. Niewidzialne ręce podnoszą ciało, bez zastanowienia przenoszą je w kierunku łóżka. Niemy pochód męczenników, duchów, bezimien-nych twarzy kładzie ciało na swoim miejscu.

Potem wracają do siebie, do swoich zajęć, uciezek, niepewności. Życia, bezimienne, bezosobowe, zatrzymane w czasie zaczynają czegoś szukać, przemieszczać się po sali.

Chodzą, marudzą, coś mówią, próbują mówić. Do siebie, do innych, do niewidzialności.

Niewidzialność to jedyna rzecz, która ich rozumie. Niewidzialność to jedyna rzecz, która ich nie dręczy.

- Co się stało? – pyta Fitz.

- Mają ataki, różne – mówi Marzena. – Każdy inny, każdy podobny. Coś się w nich skupia, napręża, drga. Gdy to napięcie przekroczy niewidzialną linię, punkt, dopłynie do wyspy, niewłaściwej plaży, następuje atak. Potem jest cisza, ucieczka w ciemność.

- Pomagają sobie nawzajem – stwierdza Fitz.

- Tak. Nie oceniają siebie, nie zagłębiają się dlaczego są inni względem innych. Wiedzą, że za chwilę ktoś z nich będzie musiał zmierzyć się z ciemnością. Też będzie potrzebował pomocy od innych.

- Bezimiennie pomagają sobie. W ciszy, w skupieniu, w rezygnacji.

- Rezygnacja z życia to ich naturalny stan tutaj – mówi Marzena.

Wychodzą z budynku. Nic nie mówią, myślą o tym co widzieli. Co musieli zobaczyć, żeby zrozumieć coś na nowo.

Wsiadają do samochodu, Marzena włącza cicho radio. Muzyka senna, skupiona na swojej przestrzeni, przenika ciszę.

Odjeżdżają rozkopaną czasem drogą. Wciąż nie potrafią nic do siebie powiedzieć. Jakby to, co widzieli zabrało im mowę. Okradło ich z sensu i wiary.

Gdy uciekli od rynku, kamienic, ulic, gdy zanurzyli się znów w lesie, w jego ciszy i stagnacji, ich oddechy stały się spokojniejsze i równe. Bardziej pewne swojej wartości.

Przed szklanym ośrodkiem, przed czerwonym murem Marzena patrzy na Fitza, potem na Czewskiego. Zaczyna mówić, wolno cedząc każdy dźwięk, sylabę, znaki w zdaniu:

- Tutaj życie ważniejsze jest niż obsesja, tam obsesja ważniejsza jest niż życie.

Potem wchodzi do zakładu, z myślami, które jeszcze krążą za tym co było, za tym co będzie, jeśli nie starczy jej sił, zabraknie jej wiary.

Kawa, jej zapach, smak, coś co się z niej wydobywa, unosi do góry i znika gdzieś w oddali, przenika całą kuchnię, dom, jego zakamarki.

Rzeźbiarka ma zamknięte oczy. Uśmiecha się do siebie, do ciemności, którą ma tuż pod powiekami.

Kocha chwile, gdy czas się zatrzymuje, spowalnia swój bieg i rozpęd. Gdy nic nie musi, nic nie może, niczego nie oczekuje od siebie, od innych. Po prostu siedzi, zanurza się w ciszy, w odległości od świata, od jego zgiełku i zamętu. Tak, kocha nie istnieć dla siebie, tak, kocha nie istnieć dla innych.

Do kawy dodaje sobie ciastko, niekiedy czekoladę, drożdżówkę, pączka. Wtedy esencja kawy jest inna, wyraźniejsza, pełniejsza.

Zagłada przymglonym spojrzeniem za okno, niedbale, trochę niechlujnie, bez zbędnej zażyłości z tym, co tam widać, co może być widać dalej.

Wstaje leniwie, z sennością w każdym ruchu i wychodzi przed dom. Wzrok kieruje ku niebu, trochę dalej. O wiele wyżej niż słońce, niż księżyc w nocy.

- Chmury, tyle chmur jest w tym miejscu – mówi do siebie. – Dzięki chmurom dotykamy nieba, dotykamy marzeń.

Podpiera się ręką o barierkę na werandzie. Stare drzewo skrzypi, przechyla się na bok, do tyłu, a potem wraca na swoje pierwotne miejsce. Na swój trwale wyznaczony ślad.

Chmury schodzą jeszcze niżej i niżej. Cały las, drzewa, rośliny, zwierzęta i krzaki, cała ziemia uśpiona jest w chmurach.

Lekki wiatr je przesuwają pomiędzy prawie niewidocznymi konarami drzew. Wydaje się, że wszystko tańczy, odbywa bal na cześć kogoś, kto się jeszcze nie pojawił, lecz za chwilę, za moment nadejdzie. Musi nadejść. Otworzyć zapomnianą melodię do tańca.

- Moje życie to senność – myśli na głos Rzeźbiarka. – Czy senność to prawdziwy sens mojego życia? Senność uśpiona.

Od jakiegoś czasu Rzeźbiarka spotyka się z Chirurgiem. Jest im razem dobrze, niekiedy doskonale. Jest troskliwy, kochający, zawsze pragnący być z nią w jej myślach, marzeniach. To ważne, myśli, że męczyzna uczestniczy w moich pragnieniach. Choćby czasami.

Dzięki niemu wie, że życie jest tutaj, nie tam.

Chirurg, który często ociera się o śmierć, potrafi jej pokazać oczami, gestami, że można kochać życie te, nie tamte. Tamte jest ciemne, zbyt odległe, niebezpieczne.

- Ci, co zbyt często ocierają się o ciemność, nigdy nie będą potrafili znaleźć jasności – mówi Chirurg.

Kocham go, myśli Rzeźbiarka, kocham go, choć niekiedy nie rozumiem.

Rzeźbiarka widuje się też z Bankowcem, nie tak często jak z Chirurgiem, ale jednak. Dotykają się rękami, rzadziej ustami, pocałun-

kami, a jeśli już to niewinnie. Nie tak niebezpiecznie jak z Chirurgiem.

Coś ją do niego ciągnie, jeszcze nie wie co. Boi się, że jak się dowie, może być za późno na ucieczkę, na płacz, na pożegnanie.

Wyczuwa niebezpieczeństwo, jednak jeszcze nie wie jakie.

Obawia się, że go kocha. Za ucieczki donikąd, do snów, które ona nie zna, nigdy nie pozna. Za dotyk, który choć jest rzadki, to intensywny, parzący, dający jej ciału drzenie, zapomniane emocje.

Kocha jego głos, spojrzenie, gesty – gesty najbardziej. Uwielbia patrzeć jak się zamyśla, ucieka gdzieś daleko, a potem do niej wraca, tak nagle, niespodziewanie, czule. Z tak niebezpieczną czułością dla nich dwojga.

Co mam zrobić? zastanawia się. Kocham dwóch mężczyzn, każdego inaczej. Czy można kochać dwa serca, dwa światy? Czy można być z kimś blisko, pomimo równoczesnej bliskości do kogoś innego? Czy to zdrada któregoś z nich, czy zdrada samej siebie?

Którejś nocy, gdy Rzeźbiarka zasypia dobrze, wygodnie, z wdzięcznością dnia minionego, słyszy za oknem hałasy, krzyki – gdzieś z oddali.

Budzi się. Nie wie w ciemności gdzie jest światło, jasność, przycisk do nadziei, że się jeszcze nie odchodzi, nie umiera.

Podchodzi do okna, serce jej drży, bije nierówno, nierytmicznie, niespołowo z ciałem. Przeciera senność z oczu. Nie zapala światła. Nie może, nie chce, coś jej podpowiada, że nie powinna.

Patrzy na las, na drzewa, które rozjaśnia blask czerwonego księżyca ukrytego gdzieś w oddali.

Pomiędzy drzewami, ich ciemnymi kształtami przebijają się jasne łuki pojedynczych blasków, tuneli. Błyskają po liniach prostych, a potem się załamują – znikają na chwilę, na jakiś czas. Żeby potem znowu się odnaleźć, połączyć ze sobą. Skrzyżować i zapleść na sekundę, na kilka chwil.

Jasne plamy, laserowe odbicia wyglądają jak światła w cyrku, gdy ciemność zapada nagle. Gdy coś się kończy, a za chwilę ma się zacząć coś innego. Lepszego. Śmieszniejszego.

Rzeźbiarka patrzy zdumiona. Słyszy strzały, głuche, rytmiczne, powtarzalne. Teraz rozumie – polowanie.

- Powtarzalność niekiedy oznacza śmierć, niekiedy oznacza niewolę – mówi drżącym głosem.

Wychodzi przed dom, w ciemność. Krzyki oddalają się, po chwili znikają.

Rzeźbiarka odwraca się, chce wrócić do snów, do spokoju, do ciszy. Cisza ze snów to cisza doskonała, dla każdego – myśli. W ciszy odpoczywamy, w ciszy znikamy dla świata, dla ludzi. Znikając, świat o nas zapomina. Znikając, my zapominamy o świecie.

Nagle za sobą słyszy hałas, jęk. Coś, co nie można nazwać słowem, coś, co nie można nazwać jękiem.

Podchodzi do płotu, jej oddech drży. Cała jej skóra faluje, napręża się. Aż do granic wytrzymałości.

Jej oczy powoli przenikają ciemność. Rozpoznają kształt przy płocie. Nieruchomy. Zagubiony.

Rzeźbiarka klęka, nic nie mówi. Jej głos zamiera na kilka sekund.

Dotyka niespokojnej skóry, która niczym ocean przesuwają się do góry, potem opada.

- Nie bój się – mówi z troską Rzeźbiarka do małej sarenki. – Zaopiekuję się tobą, tak jak kiedyś ktoś zaopiekował się mną.

Bierze małą sarenkę na ręce i przenosi ją do domu. Czuje jak jej ciało nieruchomieje, wciąż nie może się uspokoić, zasnąć.

W przedpokoju kładzie sarenkę na ziemię. Patrzy jak bezradnie stara się nie upaść. Zachować równowagę i spokój. Jej przednia noga lekko się łamie, chwieje, ucieka od pozostałych.

Rzeźbiarka podchodzi bliżej do sarenki. Klęka powoli, cały czas głaszcząc jej szyję. Dotyka jej nogi. Zgina ją delikatnie, czule, z troską.

- Nie jest złamana – mówi. – Tylko naciągnięta. Zraniona biegiem, ucieczką, strachem.

Nalewa sarence wody, z koca urządza jej miękkie pośłanie. Potem mówi odchodząc do drugiego pokoju:

- Nie bój się. Czasami musimy komuś obcemu zaufać. Pomimo nieuzasadnionej niechęci i strachu. Pomimo bólu, który ktoś nam kiedyś zadał, nie wiedząc, jakie skutki przyniesie on nam w przyszłości. Ludzie nie są zli, są tylko niedoskonali.

Rzeźbiarka zamyka drzwi za sobą. Kładzie się, przykrywa kołdrą i zasypia. Wraca do swoich dobrych snów z przeszłości.

Las cały się trzęsie, podskakuje, kurczy do wewnątrz. Wszędzie krzyki, strzały, odgłosy ludzi. Słysząc rozgarniane krzaki, zarośla, pędy roślin. Natarczywe ruchy rąk chcą znaleźć to, czego nie można nigdzie znaleźć – zaspokojenia żądz. Za wszelką cenę.

Strzał – czerwona plama kurczy się gdzieś w oddali. Kolejny strzał – coś się zapala, coś znika. Jeszcze jeden – świst gorący ognia dusi ciszę lasu w oddali.

Ojciec biegnie szybko, za nim Syn. Oddech Ojca jest krótki, pewny, pełen przygotowania na to, co może się zdarzyć za chwilę, za jakiś czas.

Zatrzymuje się, słucha głosów lasu. Już je rozpoznaje lepiej niż kiedyś, gdy zaczynał swoją zabawę w dawnych czasach. Teraz tak odległych. Prawie zapomnianych.

Nagonka idzie z prawej strony. Jest natarczywa, nieobecna w mroku, niewidoczna. Nosi w sobie smak zwycięstwa, kielich porażki.

- Tato – pyta Syn – dlaczego musimy to robić?
- Co robić?
- To, co właśnie teraz robimy.
- To nasza tradycja, nasz obowiązek. Rodzinny.
- To takie niehumanitarne, niegodne człowieka.
- Niegodność – zamyśla się Ojciec. – Cały świat jest nasączony niegodnością. Ludzie to jednak znoszą. Od lat. Od wieków.
- Nie chcę tego już robić.
- Musisz – mówi Ojciec twardo, sucho, zaciekle.
- Dlaczego kierujesz swoim życiem w ten sposób?
- Żeby bardziej rozumieć zło, które mam w sobie. To mi pomaga, na jakiś czas.
- To są ludzie, twoi ludzie.
- To nie są ludzie, to niewolnicy, czarni. Służą mi. Mogę zrobić z nimi co chcę. Mogę ich zabić, mogę ich uwolnić.
- Nie dajesz im żadnej szansy – mówi Syn. – Noc, ucieczka, ich strach. Przerazenie.
- Daję. Mają wybór. Niewielki, ale jednak.
- Jaki? – pyta Syn.

- Gdy uciekną, gdy oszukają mnie, nasze psy, będą wolni. Gdy ich złapiemy, zginą. Lepiej, gdy umrą podczas ucieczki. Będą wtedy bardziej wolni. W godzinie śmierci. To ważne, czuć wolność gdy umieramy, choć całe życie byliśmy w niewoli.

- Dlaczego ludzie są niewolnikami innych ludzi?

- Czarni pracują dla mnie, bo są czarni. To jedyny powód.

- Ludzie, którzy pracują dla innych to niewolnicy?

- Tak.

- A biali, którzy pracują dla innych białych?

- Biali, którzy pracują dla innych białych to też niewolnicy. Niewolnicy z wyboru. Nie tak jak czarni. Czarni nigdy nie będą mieli wyboru.

- Dlaczego zabijasz ludzi? Swoich ludzi.

- Gdy ich gonię, gdy uwolnię z siebie najgorsze cechy, zło, nienawiść, cierpienie, wtedy wiem, że kiedyś wrócę do siebie, do swojego świata. Poprzez zło, bardziej rozumiem dobro, które mam koło siebie.

- Nie rozumiem. Twój ludzie też w tym uczestniczą. Czasami są bardziej okrutni dla czarnych niż ty.

- Niekiedy lepiej jest, gdy właściwie skierujesz nienawiść jednego człowieka do drugiego człowieka. Wtedy ty jesteś bezpieczny, a inni są w niebezpieczeństwie.

- Tam są! – słysząc krzyki naganiaczy. – Chwytać ich!

- Biegniemy! – krzyczy Ojciec do Syna.

Przedzierają się przez ciemność, zagęszczenie ciemności w mroku. W cieniu lasu.

Syn się gubi, traci orientację. Biegnie na oślep, w panice, w przeżeniu. Zawsze bał się ciemności, zawsze bał się ludzi. Życia.

Potyka się. Upada. Strzelba wypada mu z ręki. Szuka jej rozpaczliwie.

Na wprost, koło siebie, słyszy cichy skowyt, jęk jakiegoś zwierzęcia. Podnosi wzrok znad ziemi.

Widzi wilka, naprężoną, lśniąca sierść. Jego kły, to co z pyska ścieka na ziemię, skowyt, paraliżują Syna.

Oczy wilka błyszczą w świetle księżyca. Gwiazdy odbijają się od niebezpiecznego spojżenia.

Zaczyna iść w kierunku Syna. Powoli, stanowczo, równo.

Gdy jego pazury prawie odbijają się od ziemi, gdy jego pysk rusza do ataku poprzez ostre kły, z boku nadlatuje duży kamień. Uderza go w pysk. Oszołomiony wilk pada na ziemię. Rusza nogami zaskoczony.

Syn patrzy na bok, widzi niewolnika, uciekiniera – jednego z dwóch.

Wilk potrząsa głową. Wstaje, rusza do ataku. Z ciemności padają dwa strzały.

Wilk pada na ziemię. Niewolnik pada na ziemię.

Ojciec wychodzi z kniei. Uśmiecha się. Jest zadowolony.

- Dobry strzał – mówi do siebie. – Dwa dobre strzały.

- Dlaczego? – płacze Syn.

- To polowanie.

- On mi pomógł.

- Polowanie to polowanie. Niekiedy dobro pojawia się tam, gdzie nie chcemy aby się pojawiło. Jednak koniec polowania zawsze jest ten sam. Musi być ten sam. Takie są zasady.

- Mógł żyć – głos Syna się łamie.

- Gdyby każdy człowiek, który jest zły, był rozliczany z jednego dobrego odruchu, to świat byłby niebem. A nie jest. Żli ludzie też robią dobre rzeczy. Jednak rzadko. Zawsze przechodzi to bez echa. A więc, po co się starać.

Kilka ognisk unosi swoje krzyki w kierunku nieba, w kierunku gwiazd. Dym przedziera się poprzez niewidzialność do góry. Wyżej i wyżej. Mocniej i intensywniej.

Ludzie krzyczą, tańczą. Skaczą przez ogień. Są szaleni, pijani, nieobecni. Dla siebie, dla innych.

- Tato, nie chcę być taki jak ty, jak oni – mówi Syn niepewnie.

- Będiesz, musisz być. Masz moją krew. Moją odwagę. Będziesz miał moich niewolników, farmę, bawełnę, dom.

- Nie chcę tego, chcę żyć inaczej.

- Nie możesz. Jesteś moim jedynym synem.

- Nigdy nie stanę się tobą.

- Staniesz – uśmiecha się Ojciec. – To nieuniknione. Gdy dorastamy, nie chcemy być jak rodzice. Uciekamy od tego. Bronimy się. Jednak po czasie rozumiemy, że nie możemy być inni. To nas przeraża. Uciekamy od tego, od czego nie możemy uciec. Stajemy się

tym, czym nie chcemy się stać. Takie fatum, taka karma, takie przeznaczenie.

- Nie mogę, nie chcę.

- Kiedyś też wiele rzeczy nie chciałem, nie umiałem. Brzydziłem się. Potem zrozumiałem, że nie będę inny pomimo prób, ucieczek, nałogów. Gdy to zrozumiesz będziesz wolny. Zabijesz wilka, którego nosisz w sobie.

- A oni. Ten obłąd. Ta nienawiść do czarnych, do siebie.

- Lepiej niech nienawidzą innych niż siebie. To mniej boli. Mniej zabija. Ci, co nienawidzą innych, bardziej są odporni na nienawiść do samego siebie.

Padają strzały do góry, na wiwat. Zranione gwiazdy spadają na ziemię. Do ognisk, które jeszcze płoną na polanie.

Rzeźbiarka budzi się. Spocona, zmęczona, z krótkim oddechem, ze skurczem w sercu.

„Coś co widzimy za dnia, pojawia się w nocy, w innym kształcie, w innym wymiarze” – myśli.

Jej ciało opada zmęczone na pościel. Chwilę walczy z nocą, a potem zasypia. Ucieka, oddala się w nieistotność. W niezaprzeczalną ucieczkę duszy od ciała.

Niecierpliwe głosy unoszą się nad domem, dachem, drzewami. Unoszą się i opadają. Zagłębiają w swoim znaczeniu. Tracą cały sens, całkowitą ulotność swojego rozumienia.

- Jeszcze dolać? – pyta Rzeźbiarka. Jej oczy lśnią, błyszczą się, zamierają w swoim blasku.

- Tak – uśmiecha się Fitz. – To co dobre, musi wiecznie trwać.

- Musi zmienić się w nieskończoność – mówi Czewski. – W nieosiągalność.

Rzeźbiarka podnosi karafkę z kryształu i dolewa do lampek wina. Jasny, przeźroczysto-słoneczny płyn powoli osuwa się po ściankach szkła.

- Twoje zdrowie – mówi Fitz i wstaje. – Za to, żebyś zawsze była szczęśliwa, za to, żebyś zawsze była sobą.

- Wasze zdrowie – rumieni się od wina Rzeźbiarka.

- Jutro wyjeżdżamy. Trochę smutno – mówi Fitz.

- Człowiek przyzwyczaja się do miejsc, do ludzi – mówi Czewski.

- Macie już to, po co przyjechaliście?

- Tak – mówi Fitz. – Zgłębiłem obłąd, jego sens i znaczenie. Zobaczyłem to, co chciałem zobaczyć.

- Zacząłeś pisać – dodaje sennym głosem Czewski.

- Tak – zamyśla się Fitz. – Zacząłem.

- Znasz koniec książki? – pyta Rzeźbiarka.

- Mam początek. To ważne, może najważniejsze – mówi Fitz. – Mieć początek i wiedzieć co z nim dalej zrobić.

- Jednak końca nie masz.

- Mam tylko mały zarys. Krótką treść, zdanie, któremu podporządkowana jest książka. Niekiedy książka to jedno zdanie, do którego dążymy przez całą treść.

- Co z obłądem? Co o nim sądzisz?

- Gdy patrzyłem na ludzi, jak walczą ze sobą, ze swoim mrokiem, zrozumiałem, że obłąd nosi każdy w sobie. Bez wyjątku. Wiek nie ma znaczenia – mówi Fitz. – Obłąd to nieustająca ucieczka duszy od ciała. Ucieczka straceńca. Ucieczka niekontrolowana.

- Bez obłądu niektórzy nie potrafią zauważać życia – mówi Rzeźbiarka.

- Tak, to prawda. Jest wiele odmian obłądu. Niekórzy uciekają od przeszłości, od tego, co ich kiedyś niszczyło, wciąż niszczy. Inni dziedziczą to od tych, których kochają, którzy oddaliby za nich życie. Bez wahania. Dla niektórych to gonitwa za czymś, czego nigdy nie dostaną, nie mogą dostać. Czasami to przyczyna tego co robimy, jak żyjemy, gdzie spędzamy czas.

- Myślę – mówi Rzeźbiarka – że większość ludzi ma obłąd przez innych ludzi. Przez to, że są w pobliżu, że muszą z nimi przebywać, uśmiechać się, mówić to, czego nie chcą mówić. Rozmawiać o tym, o czym nie chcą rozmawiać. Udawać, że chcą z nimi być, pomimo nieustającej niechęci do przebywania z nimi.

- Obłąd to ucieczka od ludzi, to rozpaczliwe powroty do ludzi. Powroty bez względu na konsekwencje. Gotowość na ból, który te powroty przynoszą.

Rzeźbiarka, jako gospodyni, znów dolewa wino. Noc powoli zacierza całe światło dnia, ciszę lasu.

- Chcesz nas upić – żartuje Fitz.
- Nie wiadomo, kiedy znów się spotkamy.
- Przyjedziesz do Krakowa – mówi Czewski. – Kiedyś. Czekamy na kolejną wystawę.

Czewski przechyla lampkę i pije tak, jakby kręcono zwolniony film, zagubiony akt teatralny.

- Raz na jakiś czas przyjeżdżam do matki – mówi Rzeźbiarka. – A wystawa, cóż, kiedyś będzie.

- Wtedy ponownie spotkamy się, na rynku. Pójdziemy do Michałika, potem Pod Barany, uciekniemy na Kazimierz. Poszalejemy jak ludzie, którzy są wolni, muszą być wolni – mówi Czewski. – Tak naprawdę, w Krakowie, to kocham tylko noc, knajpy i czas, który tam inaczej płynie, ucieka. Wraz z ludźmi, którzy chcą w tym czasie z nami uczestniczyć.

- Ludzie spowolniają czas – mówi Fitz.

- Niekiedy dzięki ludziom czas płynie szybciej, tak bez namysłu, bez pamięci.

- Bez opamiętania – dodaje Rzeźbiarka. – Idę puścić muzykę – Rzeźbiarka wstaje z werandy i wchodzi do domu.

- Wyjątkowe miejsce – mówi Czewski. – Jest gdzie uciec, gdy życie człowieka zmęczy.

- Są takie miejsca, gdzie zmęczenie ulega zagładzie, degradacji – stwierdza Fitz.

Rzeźbiarka wraca, wnosi przekąski, zimne, dobrze wyglądające. Kładzie je na drewnianym, dębowym stole.

- Smacznego.

Muzyka gra, śpiewa, kręci się koło domu, ludzi, drzew. Przeplata się z ciemnością i blaskiem nieruchomych gwiazd.

- Dzięki wam ten dzień, wieczór jest szczególny.

- Myślę – mówi Fitz – że tylko dzięki ludziom wieczory są szczególne. Życie jest szczególne. Bez ludzi czas i dążenie do czegokolwiek nie ma żadnego znaczenia. Żadnego sensu i gwarancji, że ten sens kiedyś będzie. Nadejdzie. Wróci.

Rzeźbiarka zamyka oczy. Zanurza się w nutach, dźwiękach, słowach, które krążą koło jej głowy. Są lekkie, ciche, swobodne. Wolne.

„Tak mało mamy wolności w sobie. Tak mało wiary i nadziei. Szczęścia” – myśli jak na uśpionym filmie, zagubionym kadrze.

Gdzieś z oddali, z lasu, z ciemności słychać głosy zwierząt. Są takie odległe teraz, niepewne, rozmazane, nierzeczywiste. Nie dotyczą już jej, nie dotyczą jej myśli i lęków.

- Wracamy – słyszy jak przez mgłę.

Rzeźbiarka tylko się uśmiecha, otwiera oczy na chwilę, podaje rękę, żegna się i znów odpływa w swoje sny, marzenia.

Niekiedy kocha być sama. Niekiedy nienawidzi być sama. Dzisiaj kocha wolność, jaką daje samotność. Jaką daje cisza. Życie.

Złote liście obracają się wokół swojej osi. Drżą, przeplatają się ze sobą, wzajemnie odbijają w powietrzu, w nieregularnych podmuchach wiatru.

Cały las, jego płaska przestrzeń, nierówności, zagłębienia, jamy są pokryte miedzianą barwą.

Rzeka przemieszcza się na powierzchni, pod wpływem czerwonych liści. Niekiedy powiędłych, wyblakłych, nasączonych coraz mniej gorącym słońcem.

Jezioro to lodowisko, złoty dywan rozłożony nierówno. Magicznie. Bajkowo.

- Jesień – głos Rzeźbiarki jest ciepły, miły, przyjemny. Nasączony niewidzialnym dotykiem.

Dawno nie widziałam Star(usz)ki, myśli Rzeźbiarka. Dawno nie czułam jej słów koło siebie, w sobie, jej dźwięków wewnątrz ciała.

Przy furtce, tuż za nią coś się pojawia. Czerwony kształt, coś na głowie, to chusta.

Rzeźbiarka uśmiecha się, macha ręką na powitanie. Jej gest sprawia, że las ożywa. Szeleści swoją złotą barwą, miedzianym nasyceniem.

Star(usz)ka zbliża się do Rzeźbiarki.

- Dziwne – zastanawia się Rzeźbiarka. – Pomyślałam o tobie, za tęskniłam za tobą, a ty już jesteś.

- Niekiedy, gdy czegoś bardzo pragniemy, kogoś chcemy mieć koło siebie, to ta osoba się pojawia. Wysyłamy niewidzialny sygnał, ktoś wysyła swój obraz i coś się dzieje. Postać wynurza się poprzez myśli do rzeczywistości.

- Kawy?

- Tak. Zatęskniłam za twoją kawą. Za smakiem tej kawy, rozmową, milczeniem. Zerkaniem na świat z pozycji niezrozumienia.

Po chwili siedzą przed domem, na wiklinowych krzesłach. Kołyszą się. Patrzą na czerwony las, miedziane jezioro, pomarańczowe niebo.

- Jesień to piękny czas, dla tych, którzy zauważają życie, zauważają siebie – mówi Rzeźbiarka.

- Dla niewielu ludzi – ze smutkiem szepcze Star(usz)ka. – Reszta biegnie do przodu, byle do przodu, ciągle do przodu. Do przodu zabiera całą przyszłość, która zmienia się w do tyłu.

- Magiczne miejsce, magiczny czas.

Chwilę milczą, wzrokiem otaczają las. Zacieśniają spojrzenia, zagłębiają jego kształt i zakamarki. W końcu skupiają się na jednym punkcie – wyspie na jeziorze.

- Pokażę ci coś – mówi Star(usz)ka i wstaje.

- Gdzieś idziemy?

- Tak – Star(usz)ka już zmierza do furtki, do lasu.

Pomiędzy drzewami czują, że płyną. Są jak okręty na morzu, gdy wiatr jest ciepły, pogodny, przyjazny dla człowieka.

Liście, dużo złotych płamek, porozrzucanych miedzianych dukatów, ruszają się pod ich stopami. Są jak dywan perski, we wzory, symbole, znaki. Cały puchowy, głęboki, niekiedy szorstki.

Ich kroki płyną, suną, przemieszczają się pośród fal. Zagubiają się i wracają do siebie. Do z góry ustalonych tras, portów.

Dochodzą do części lasu, której Rzeźbiarka nie zna, nie poznała do tej pory. Zbliżają się do polany, do samotnego, zniszczonego czasem drzewa.

Tuż koło drzewa, pośród jego rozłożystych korzeni, wystających na zewnątrz ziemi, unosi się czerwony dym. Krwisty, nierówny, rozrzedzony lekkim wiatrem. Jeszcze ciepłym wiatrem. Ostatnim oddechem jesieni przed zimą.

- Podejdź bliżej – mówi Star(usz)ka.

- Co to jest? – Rzeźbiarka wysuwa rękę do przodu w kierunku dymu. Chce go dotknąć, poczuć, mieć w sobie.

- Ten dym jest tu od wieków. Kiedyś ludzie znali to miejsce. Kochali to miejsce. Teraz zapomnieli, tak jak zapomina się o rzeczach, na które nie mamy czasu, nie możemy mieć czasu.

- Co oznacza czerwień?

- Gdy zanurzysz twarz, całe ciało w jego ciepłe, poczujesz ulgę. Taką ciszę, że wszystko stanie, umrze na chwilę. Na jakiś czas nie wróci. Dym oczyści cię z myśli, z pamięci.

- Nie rozumiem.

- Gdy ktoś zanurzy swoją duszę w jego ciepłe zapomina o problemach, przeszłości, o sobie. Nie wie kim jest, gdzie żyje, co robi, dokąd zmierza. Dawno temu, gdy ktoś uciekał od życia, przychodził tutaj i zostawał na jakiś czas. Zanurzał się w ciepłe, uciekał od ciepła. Niepamięć, tylko to chciał mieć, musiał mieć. Gdy życie zbyt mocno docisnęło go do ziemi.

- Mogę zanurzyć się w nim na chwilę?

- Ty nie musisz. Nie możesz. Nie potrzebujesz.

Stoją chwilę, patrzą jak wiatr przesuwającą czerwoną plamę do góry, potem do ziemi. Jak przytłacza swoją siłą brunatną barwę chmur do czerwonego nasycenia powietrza.

- To nie koniec – mówi Star(usz)ka. – Coś, co działa na ludzi nie działa podobnie na zwierzęta.

- Zmieniają się, zapominają?

- Pójdziemy dalej, po okręgu, po kole, po zarysie ścieżki zrobionej przez wilki.

Przedzierają się przez rude knieje – bezlistne, bezkształtne. Cała ich barwa leży na ziemi, faluje na ziemi, umiera na ziemi.

- Uklęknij, nic nie mów. Patrz – mówi Star(usz)ka.

Na niebie, pomiędzy drzewami, pośrodku chmur ptaki latają do góry nogami. Ich skrzydła zbierają powietrze na odwrót, dziwnie, bez namysłu. Bezsens ich skrzydeł trzyma je w powietrzu. Są jak zranione lalki, rzucone przez nienawiść dziecka do góry, pomiędzy chmury.

Dwie wiewiórki schodzą z drzewa, uciekają z jego konarów. Chcą wejść w głąb ziemi, niczym do kopalni, do ciemności, do mroku. Kopia łapkami jak ktoś kto szuka domu. Tam gdzie domu nie ma, nie może być nigdy. Nigdy nie było.

Kret wychodzi z oddali, z niewidocznej płaszczyzny ładu. Mruży oczy, rusza łapkami. Czuje się zagubiony. Stara się wejść na drzewo. Jego przednie łapy, z pazurami, chwytają rozpaczliwie korę drzewa. Ślizgają się po jego powierzchni. Kret nie może wejść do góry. Wchodzi, schodzi, zsuwa się w dół.

Mrówki niosą małe patyczki, gałązki na drzewo. Chcą zbudować tam swój dom, zamek, niedostępną warownię. To co niosą, spada im po drodze na dół, a one wracają, wciąż próbują. Jak w amoku, jak w obłądnie, jak lunatycy.

- Co tutaj się dzieje? – pyta cicho Rzeźbiarka.

- To dym, unoszony przez wiatr, w kierunku drzew, lasu, polany. Sprawia, że zwierzęta żyją inaczej niż chcą, czują inaczej.

- Są inne, zagubione, bezbronne.

- Nic nie pamiętają ze swoich żyć wcześniejszych. Myślą, że powinny żyć inaczej.

- Jak ludzie. Wciąż myślą, że są inni, pomimo niechęci bycia kimś innym.

- Wracajmy – mówi Star(usz)ka.

- To takie dziwne.

- Świat jest dziwny, ludzie są dziwni, a my musimy w tej dziwności uczestniczyć.

- Nieświadomie.

- Niekompletnie.

- Niezupełnie.

- Czasami zbyt dosłownie.

Wracają do domu. Słońce chowa się za horyzontem drzew. Za ich nierównymi kształtami. Obcymi, poszarpanymi cieniami.

Po chwili ciemność zabija spokój w lesie. Ożywia strach, który powoli wynurza się z ziemi, z ludzi, z mroku. Strach naznaczony nocą, strach schowany w cierpieniu lasu.

Dzień jest krótki, noc zbyt długa. Promienie wschodu i zachodu zbyt płytkie, odległe, rozmazane.

Zima spowiła swoim oddechem miasteczko, okolice, jezioro i las. Zawiesiła się pomiędzy drzewami niczym mgła. Zastygłe drzewa, opuszczone, bez liści, zieleni, nadziei zasnęły w nieświadomości na jakiś czas. Zimny czas.

Ślady zwierząt są widoczne w lesie, pomiędzy drzewami, krzakami, zaroślami. Są błędne, zagubione, nieokreślone. Są chwilę tu, by po chwili gdzieś zniknąć tam. Są tam, urywają się w niewidoczności gdzieś daleko, odległe.

Niekiedy bardziej czuć zapach życia w lesie niż jego ruch. Smak zastygłych drzew, zasuszonych liści odbija się od prawie niewidocznego światła za dnia. Od jasności zanikającej coraz bardziej w przestrzeni.

Lekarz siedzi na krześle w swoim gabinecie. Jego prawa noga lekko zarzucona jest na lewą, tuż nad kolanem. Kiwa nią czasami, wolno, bez określonej prędkości tego przemieszczania.

Za oknem lepki, mokry śnieg zatrzymuje się na chwilę wśród wiatru, a potem ze zdwojoną siłą uderza o szybę. Tam, gdzie niewidzialność staje się jego barierą, potem umiera.

Niekiedy tworzy wilgotne, przeźroczyste plamy, bezkształtne, niczym archipelagi jezior. Wtedy to coś, co z niego zostaje zsuwa się w dół, ucieka od przestrzeni, aż znika, wyobcowuje się poprzez ciepło wychodzące z gabinetu.

- Cieszę się, że pan tutaj jest – mówi Lekarz. – Ci, co do nas przychodzą, zawsze wracają zadowoleni. Coś się w nich zmienia, pomimo tego, że nie wierzyli w tę zmianę, gdy tutaj przybywali.

- Liczę na to – mówi Magik. – Jesteście ostatnią szansą, żeby uporządkować we mnie to, co mam jeszcze nieuporządkowane.

- Człowiek to splot nieuporządkowanych zdarzeń, zachowań, myśli. Łącuch pragnień przemieszczających się w tym nieuporządkowaniu.

Magik zamyśla się, jego oczy zmieniają barwę na mocniejszą, intensywniejszą, ostrzejszą.

- Niech pan mówi – cicho szepcze Lekarz. – Tajemnica teraźniejszości, zawsze ma swój sekret w przeszłości.

- Gdy byłem mały często podróżowałem z rodzicami – mówi Magik, lekko mrużąc oczy jak we śnie, jak we mgle, jak przy zbyt ostrym świetle. – Zmieniałem miejsca, miasta, szkoły. Ciągłe byłem w ruchu. Hotel, wynajmowany dom, nowa szkoła – kolejna. Nowi ludzie wokół mnie. Wciąż musiałem udawać, że to nic dla mnie nie znaczy, a znaczyło. Nowe klasy, nowi koledzy – ciągle byłem obcy,

inny, niewidzialny. Zanim coś poznałem, kogoś zbyt blisko zbliżyłem, musiałem uciekać. I znów to samo. Próby pokonania siebie, nieśmiałości, wrogości. Nowi zawsze są inni. Inni poprzez obojętność zdomowionych w danym miejscu.

- Rozumiem – wtrąca się Lekarz. – Teraz mam jakiś kształt, obraz.

- W szkole średniej zbuntowałem się, zamieszkałem w internacie. Zbliżyłem się bardziej do ludzi, ludzie bardziej zbliżyli się do mnie. Wtedy zrozumiałem, że ucieczki z przeszłości wciąż mają znaczenie w teraźniejszości. Nowi koledzy, coraz bliżsi i ta niemoc przekroczenia granicy, rzeki, wodospadu uczuć. Nie mogłem się przełamać.

- Przyjaźń to rozmowa z kimś bliskim bez względu na konsekwencje – mówi Lekarz.

- Do tego doszły moje zainteresowania, nie takie jak innych. Mogłem być z nimi w zabawie, nie mogłem być z nimi w pasji.

- Każdy jest inny, to nawet lepiej – mówi Lekarz. – Gdyby ludzie byli podobni, świat byłby uboższy, pusty, przewidywalny. Nieprzewidywalność świata to nieprzewidywalność ludzi.

- Kochałem inne filmy, inne książki, inną muzykę. Interesowałem się kosmosem, gwiazdami. Zacząłem czytać o magii. Pierwsze występy w klubach, sztuczki, na początku proste, błahe, przewidywalne. Potem coraz trudniejsze, nawet dla mnie, dla nich. Dla ich pojmowania świata. Łamałem ich reguły myślowe poprzez moje reguły myślowe. Czuli się wyjątkowi, że mogą w tym razem ze mną uczestniczyć. Magia wciąga, uzależnia, nie tylko magika, ludzi też. Niekiedy bardziej ludzi niż magika.

- Dzięki magii wierzymy, że wszystko jest możliwe. Każde marzenie, każdy kształt tego marzenia w nas.

- Ludzie potrzebują wiary, że mogą coś zmienić w sobie, w swoim nieuporządkowanym życiu.

- Tak – uśmiecha się Lekarz. – Wierzymy, bez racjonalnych podstaw w tę wiarę.

- Potem były pierwsze sukcesy, telewizja, podbój świata. Duże pieniądze, duża oglądalność.

- Widziałem pana programy – mówi Lekarz. – Są dobre, mają dobrą oprawę, muzykę, pomysł. Myślę, że w magii najważniejszy jest pomysł. Reszta to dodatek do tego pomysłu.

- Jak w życiu – dodaje Magik. – Jednak wróć do istoty, dlaczego tutaj jestem.

- Bez istoty nie ma recepty, diagnozy.

- Kiedyś, być może w Monte Carlo podczas występu w kasynie pękło mi lustro na pół. Szkło. Oprawa została bez zmian. Zobaczyłem poszarpaną linię, dzielącą szklany obraz na dwie części. Po lewej stronie widziałem to, co jest, po prawej to, co będzie. Sztuczka została podzielona na dwa obrazy. Dziwne, pomyślałem wtedy. Nie przejąłem się bardzo. Magia to ja, nie to, co się złudnie koło niej dzieje.

- Co było dalej?

- Podczas następnego występu, w tym samym mieście, kilka dni później, miałem przejść przez kilka luster. Prosta sztuczka. Nic trudnego. Ludzie myślą, że skoro ja mogę łamać bariery, zakazy czasu, przestrzeni, oni też mogą. Po pokazie wychodzą naładowani wiarą, nadzieją, sensem. Gdy zbliżałem się do pierwszego lustra, nie zobaczyłem swojego odbicia. W następnych też.

- Sztuczka udała się?

- Tak. Jednak od tej pory nie zobaczyłem już swojej twarzy w lustrze. Nie wiem teraz jak wyglądam. Żyję w blasku kamer, żyję w ciemności. Podobno ci co zbyt często zanurzają się w jasności, tak naprawdę żyją w ciemności.

- Może – dodaje Lekarz. – Może tak, może nie. Zależy kto sądzi, zależy kto ocenia.

- Patrzę w lustro i widzę wszystko oprócz siebie. Zauważam meble, krzesła, ściany, kolor farby – nie widzę swojej twarzy. Golę się w ciemności, czeszę się w ciemności, przygotowuję się do przedstawień w ciemności. Ciemność to mój naturalny stan życia. Teraz, nie kiedyś.

- Żadnych kształtów, rysów, cieni, postaci. Tego tam nie ma?

- Nie – mówi Magik. – Niekiedy, gdy jestem w miejscu, gdzie jest dużo ciepła, słońca, jasności, blasku, gdy patrzę w lustro, wydaje mi się, może złudnie, że jakaś niewyraźna linia mojej postaci tam jest. Tkwi w tym drugim świetle za lustrem. Jednak gdy wracam do innych krain, ciemniejszych miast, mrocznych, przepęlnionych szarością, brakiem słońca, wtedy już nic nie widzę. Stoję, patrzę smut-

no przed siebie. Nie widzę twarzy, swoich oczu, włosów, ciała. To boli. Być w życiu, nie istnieć w życiu.

- Większość ludzi tak żyje – mówi Lekarz. – Są w życiu, nie ma ich w życiu. Stoją obok, mimo pozornego przemieszczania. Czasu wokół nich.

- Pomoże mi pan?

- Oczywiście. Mamy psychologów, psychiatrów, biegłych medyków konwencjonalnych, innych też. Prowadzimy hipnozy – leczące teraźniejszość poprzez przeszłość. Poprzez sny.

- Jesteście skuteczni?

- Bardzo. Jeśli nie pomagamy całkowicie, to uzdrawiamy częściowo. Ci, co u nas bywają, muszą wrócić do życia. Są zbyt wysoko, aby upaść teraz. W tym momencie. Dla naszych pacjentów, znanych osób, upadek to śmierć, nie choroba, z którą da się żyć w przyszłości.

- Ile czasu to potrwa?

- Niekiedy długo, niekiedy krótko. Zależy od pana, od nas. Od współpracy ciała z duszą. Od zależności tego co w panu jest, tego co w panu nie ma. Będzie kiedyś.

- Zaczynamy – mówi Magik i wstaje z krzesła.

- Od teraz – uśmiecha się Lekarz. – My działamy od teraz. Leczymy od teraz. Czas dla niektórych ma kolosalne znaczenie. My to rozumiemy. Dostosowujemy się do czasu. Do ludzi.

- Do potrzeb – dodaje Magik.

- Do przyszłości – stwierdza Lekarz.

Rzeźbiarka (w drzewie) zakochuje się w zimie. W jej jasności, w bieli którą dotyka słońce niewyraźnymi odblaskami. Kocha ją za to, że zakrywa cały brud świata. Całą jego ciemność i mrok.

Rzeźbiarka często wychodzi na zewnątrz, na spacer. Przemieszcza się między drzewami, między jasnością a ciemnością, między mrokiem a śnieżnym zagubieniem.

Jezioro całe pokryte jest piaskiem bieli. Wygląda jak mleczna pułstynia z oddali.

Zauważa ślady zwierząt, ich oddechy wypisane na ziemi. Niekiedy idzie za nimi, jakby czytała czyjeś symbole, znaki, hieroglify.

Prowadzą ją do czegoś tajemniczego, innego. Skrytego tajemnicą lasu.

Uwielbia zanurzać się w ciszy, gdy zima zabija cały zgiełk w powietrzu. Gdy las jest martwy, ona żyje. Czuje jak miliony żyć zamiera, usypia na jakiś czas. Przemieniają się w bezruch, w ciszę absolutną, w stagnację.

Trwają, żeby żyć. Jak ludzie. Trwają, żeby przeżyć. Niekiedy w złych miejscach, w złym czasie.

Któręś popołudnia, gdy słońce powoli znikło za jeziorem widziała jak wilki gonią sarnę. Osaczają ją, tworzą zwarte szyki skupione w biegu. Sarna uciekała w przerażeniu, w panice, w zbyt szybkim oddechu za sobą.

Zniknęła w lesie, na skraju jeziora. Rzeźbiarka patrzyła, bała się, że ją dogonią, zniszczą, zabiją. Po chwili zobaczyła ją na wzgórzu, za jeziorem. Stała dumnie, uciekła. Wilki zostały w tyle. Patrzyła w niebo, w horyzont, zmęczonym wzrokiem, ciałem.

„Niekiedy dobro zwycięża zło, gdy ufamy, gdy wierzymy” – pomyślała wtedy.

Innym razem niedźwiedź szedł przez zamrożnięte jezioro z małym niedźwiadkiem. Powoli, dumnie kroczyły przez szklaną szybę zasłoniętą bielą. Potem znikły w lesie.

Uśmiechnęła się wtedy. „Rzeczy niemożliwe stają się możliwe, gdy mamy dla kogo żyć” – pomyślała.

Często patrzyła na wiewiórki jak skaczą po drzewach, jak po trampolinie. Niczym skoczkowie bez spadochronów. Były takie zwinne, wolne, nieosiągalne.

„Nawet wtedy, gdy świat umiera, możemy być silni, wolni. Bezpieczni w swoim marzeniu” – pomyślała.

Rzeźbiarka wciąż spotyka się z Chirurgiem. Kocha go, jest tego pewna. Często śpi u niej, trzymając ją w nocy za rękę. Cały czas. Jakby bał się, że mu ucieknie w sny i już nie wróci. Oddali się bez niego na zbyt dużą odległość. Niebezpieczną dla niego, dla niej.

Ich związek opiera się na ucieczce od życia, takiego jakie znają. Nie chcą w nim uczestniczyć jak inni. Wolą mieć swój świat, swoje zasady. Swoje ucieczki.

Rzeźbiarka spotyka się z Bankowcem. Rządziej, ale jednak. Też go kocha, czuje to. Jednak coś jej podpowiada w głowie, w duszy, że to uczucie jest inne. Ma inny zapach i smak. Coś ją do niego przyciąga, coś ją od niego odpycha. Oddala. Nie może uciec od tej miłości. Nie wie co ta miłość ze sobą niesie, jaką tajemnicę ukrywa w oddali.

Spotkania z Bankowcem są inne niż z Chirurgiem. Mają w sobie niewinność i czystość. Niekiedy ich ręce się dotykają, tak ukradkiem, tak niespecjalnie uległe. Czasami dotyk niesie ze sobą pocałunek – niewinny, czysty, przepełniony nieśmiałością. Nie jest to miłość szalona, nie jest to miłość spokojna.

Z Chirurgiem czas pędzi bez opamiętania do przodu. Z Bankowcem czas zastyga, uspokaja się, niekiedy znika. Zwalnia.

„Kocham jednego mężczyznę za to, że jest. Kocham drugiego mężczyznę za to, że może być” – myśli niekiedy.

- Widzisz te ślady – mówi Rzeźbiarka. – Są takie inne. Mają smak śmierci, niebezpieczeństwa.

- Pogardy wobec życia – smutno mówi Bankowiec i podnosi siódło na zwierzęta do góry.

- Zostaw to tutaj – mówi Rzeźbiarka. – Pójdziemy dalej, zbierzemy całe zło jakie jest rozrzucone w lesie. Wrzucimy do studni, która jest niedaleko, w opuszczonym domu, przy polanie.

Idą powoli za ciemnymi plamami na śniegu. Kroki kłusownika lekko przykrywa jasny puch spadający z nieba.

- Tutaj – mówi Bankowiec.

Podchodzą do kolejnych sideł schowanych przy drzewie. Podnoszą je, patrzą z pogardą na żelastwo z mosiężnymi zębami.

- Tak łatwo zadawać ból innym. Tym słabszym – mówi Rzeźbiarka.

- Słabych niszczymy za to, że nie walczą. Nie za to, że są – stwierdza Bankowiec.

Idą dalej, ślady urywają się koło jeziora. Znikają jak zagubiony szlak, jak niewidzialna ścieżka do nieba.

- Ile mamy sideł? – pyta Rzeźbiarka.

- Pięć.

- Zbierzemy je i wrzucimy do studni.

- Dobrze.

Ciche plasknięcia opadają na dół. Chwilę lecą w powietrzu i zamierają na wieczność.

- Nie widać ich przez ciemność na dole – mówi Bankowiec nachylając się do studni.

- To dobrze. Zniszczyliśmy zło, które drzemie w człowieku.

- On wróci, wiesz o tym dobrze – mówi Bankowiec. – Zło zawsze wraca ze zdwojoną siłą.

- Wiem – zamyśla się Rzeźbiarka. – Zło uzależnia. Gdy już do nas trafi, nigdy nie odchodzi. Nieustannie powraca.

Wracają do domu przez śnieg, który jest teraz gęsty jak mgła. Jak opary życia zanurzone w niepewności jutra.

Żegnają się przy furtce. Dotykają spojrzeniami, oddechami, nie ustami. Za wcześniej na pocałunki, za późno na dotyki.

- Do zobaczenia – mówi on.

- Do jutra – odpowiada ona.

Ktoś dobija się do drzwi. Stanowczo, głośno, z jakąś zawziętością.

Rzeźbiarka powoli podchodzi do klamki. Patrzy przez wizjer, wyostrza wzrok, spojrzenie i otwiera drzwi.

- Witam – mówi sennie. Dzień senny, śnieg senny za oknem, życie w zimie wciąż senne.

- Mogę wejść? – pyta Star(usz)ka.

- Proszę. Na kawę?

- Jak zawsze. Mam nowiny. Nowe, świeże jak śnieg za oknem.

Po chwili kawa wypełnia swoim zapachem kuchnię. Otula ściany, meble, stół. Zamiera przy oknie, ucieka przez nieodmknięte mury, szczeliny.

- Słucham – uśmiecha się Rzeźbiarka. – Co nowego w mieście? Co nowego u ludzi?

- Śmierć zabiera złych ludzi. To dobrze, gdy zło zabiera inne zło ze sobą.

- Nie rozumiem.

- Znalaziono w studni kłusownika. Zginął na miejscu. Obok niego leżały jego sidła. Ktoś je tam wrzucił, albo on je tam schował i próbował wyciągnąć. Bez skutku.

- Skutkiem jest śmierć – dodaje Rzeźbiarka. – Kto go zabił?
- Nikt. Sam się zabił. Poprzez swoje życie, swoje słabości. Wpadł do studni samemu. Tak mówią policjanci. Jednak jedno ich zastanawia.
- Co?
- Ślady na jego plecach. Może rany?
- Jakie ślady?
- Po porożu sarny. Wygląda tak, jakby ktoś go popchnął, uderzył w plecy. Zaatakował z tyłu i uciekł.
- Sarna? – dziwi się Rzeźbiarka.
- Tak to wygląda. Policja jeszcze nie wie, czy są to rany wcześniejsze, czy z chwili zbrodni. Jeśli to jest zbrodnia.
- Tak wymyślili.
- Powiedzą, bo tak będzie lepiej, mądrzej dla wszystkich, że jest to śmierć przypadkowa. Bez znaczenia. Wszyscy wiedzieli, że kłusuje. Należała mu się ta śmierć. Już od lat.
- A ty, jak myślisz?
- Byłam tam. Widziałam ślady sarny koło studni. Obok nich, w oddali, ślady innych zwierząt. Dzików, jeleni, niedźwiedzia, wilków i lisa. Tak dużo symboli w jednym miejscu. Dziwne?
- Nie dla ciebie.
- Wiem, co się zdarzyło. Czuję to. Za długo żyję w lesie, by pewnych spraw nie widzieć, nie zauważać. Las nauczył mnie dostrzegać rzeczy, których inni nie widzą.
- Powiedz. Dlaczego tak się stało?
- Zabijał zwierzęta. Zwierzęta go zabiły. A potem stały koło studni i patrzyły jak cierpi, jak umiera. Krzyczy z rozpacz. Oddaje ostatni oddech. Życie go zniszczyło, tak jak on zniszczył życie.
- To straszne.
- Nie. To sprawiedliwe. Tak jak żyjemy, tak umieramy.
- Zawsze?
- Przeważnie – mówi Star(usz)ka, dopija ostatni łyk kawy i wstaje. – Masz gościa – mówi gdy wychodzi, gdy jest już przy drzwiach. – Jesteś dobrą kobietą, pomagasz innym – dodaje gdy znika za drzwiami.

Koło furtki stoi sarenka, którą kiedyś uratowała. Podchodzi do okna, dotyka porożem parapetu i czeka. Cierpliwie przebiera nogami.

- Witam – mówi Rzeźbiarka. – Wciąż do mnie przychodzisz. Myślałam, że już nigdy nie wrócisz, gdy ci się noga wyleczy. A ty, wciąż mnie odwiedzasz. To miłe, gdy pamiętamy o dobrze, które kiedyś ktoś nam dał, ktoś nam podarował.

Zbliża się wieczór. Chłód powoli ogarnia miasto. Zaciera całe ciepło w murach, ulicach, parkach.

Mężczyzna idzie ulicą. Jego kroki są pewne, stanowcze. Nigdzie się nie spieszy, ale życie, czas, praca nauczyły go wiecznego pośpiechu do czegoś. Do czegokolwiek.

Zauważa kobietę, młodą, ładną, o jasnych długich włosach. Zakręconych na końcu, na ramionach. Kobieta odwraca się, patrzy na niego tak cierpliwie, intensywnie, mocno. Z czymś, czego mężczyzna nie rozumie, nie wie, odrzuca, ale chce. Czuje dreszcz w sobie, w całym ciele, w rękach, w nogach.

Kobieta znika za zakrętem. Jest jak widmo, które pojawia się i znika. Zaznacza ślad na każdym przedmiocie, którego dotyka.

Mężczyzna idzie za nią, szuka jej wzrokiem, spojrzeniem, pragnieniem. Widzi ją na końcu ulicy, jak ociera się o mur, drzwi, złotą klamkę w bramie.

Mężczyzna podbiega, nie chce jej zgubić, stracić z oczu. Niebieska sukienka kobiety faluje na wietrze, który schodzi z nieba na ulicę.

Znów jej nie ma, uciekła w ciemność, w blask gwiazd odbijający się w oknach miasta.

Znajduje ją, gdy biegnie przez park. Patrzy za nim, ucieka z uśmiechem na twarzy.

Biegnie, stara się ją dogonić. Chce zobaczyć, czy ona też boi się ludzi, obawia się uczuć między nimi.

Gdy ją dogania, gdy ona jest na tyle blisko by mógł dotknąć jej ciała, ramion, włosów ona skręca w kamienicę, w bramę z metalowym mosiężnym kołem – dzwonkiem.

Mężczyzna staje, patrzy na kamienicę, ma kilka pięter. Jest szara, zniszczona, z dużymi oknami. Z rdzawym czerwonym dachem.

Kilka sekund się waha, coś go zatrzymuje na parę oddechów. Wchodzi do kamienicy. Na początku mruży oczy, zasłania je rękami. Chce przyzwyczaić się do światła, które krąży w półmroku, nad barem.

Tłum ludzi siedzi przy barze. Stoliki są zajęte, przepełnione, zaludnione. Przy ścianie stoją cienie ze szklankami, w których kolorowe płyny mienia się, iskrzą, zanikają w ciemności.

Cicha muzyka, obce twarze, gesty, które coś znaczą, będą znaczyć. Łagodny szelest mowy przedziera się przez dźwięki, ociera o nuty, pięciolinie.

Mężczyzna rozgląda się, szuka twarzy, jej rysów, oczu, żaru w spojrzeniu. Jest! Widzi ją, rozmawia przy barze z barmanem. Uśmiecha się. Niebieska sukienka lśni w szklankach, butelkach za barem.

Patrzy na niego, odwraca się, idzie schodami wyżej, na następne piętro. Jej ręce, dłonie dotykają murów. Sprawiają, że ściany zaczynają żyć, budzić się do życia.

Mężczyzna przedziera się przez tłum, przeciska przez ciała, gesty, grymasy na twarzach. W końcu ucieka na schody. Łapie chciwie świeży oddech, jedyny w tym pomieszczeniu. Idzie niepewnym krokiem na górę.

Kolejna sala, kolejny tłum, kolejne napięcie w powietrzu. Muzyka, cicha, szepecząca, zanikająca w ciemności ociera się o każdy gest na twarzach ludzi. Przykrywa ich zmęczenie, troski, niezauważalność za dnia.

Mężczyzna czuje się zagubiony. Ludzie tańczą na stolikach. Ich ruchy, gesty, skręty nóg, palców świadczą, że chcą uciec gdziekolwiek. Dokądkolwiek. Na chwilę. Na jakiś czas.

Widzi kobietę, znów siedzi przy barze. Odsuwa przeszkody, ciała, zbliża się do niej. Siada obok. Patrzy z bliska jaka jest piękna, inna. Niecierpliwa w dążeniu do życia. Do pragnień, jakie życie ze sobą niesie.

- Warto tak biec, za kimś kogo się nie zna? – pyta kobieta.

- Znam cię. Znam cię od dawna. Ze snów, z pragnień, z wiary że gdzieś jesteś, musisz być.

- Gdybym się nie zatrzymała, gdybyś ty nie gonił mnie tak uparcie, co by było? Co by się stało? – pyta z uśmiechem na twarzy.

- Niekiedy widzimy kogoś i już wiemy, że to ktoś na kogo czekamy od dawna. Od zawsze. Czujemy napięcie, obawę, która się rodzi. Jeśli coś nie zrobimy, jeśli zawahamy się, to ten ktoś zniknie i nie będzie już nic. Nie może już być nic.

- To się zdarza raz, może dwa razy w życiu – mówi kobieta.

- Może nigdy – cicho szepcze mężczyzna. – Jeśli się zdarzy, musimy mieć odwagę, by nadać temu sens, nie dać temu uciec. Ucieczka to ból przez całe życie, przez cały czas. Przez noce i dni. Poranki.

- Szukasz tego co pragniesz, czy tego co możesz pragnąć?

- Jednego i drugiego.

- Napij się – kobieta kiwa ręką na barmana. – Po tym drinku poczujesz, że coś się zmienia w tobie, w nas.

- Mam taką nadzieję – mówi mężczyzna i zanurza usta w niebieskim płynie.

- Zbyt mocny na raz, zbyt mocny na chwilę – mówi kobieta. – Jak życie, jak miłość, jak ucieczka.

Kobieta schodzi ze stołka i idzie w kierunku ludzi, tłumu, ciemności.

- Czekaj na mnie. Wrócę. Muszę wrócić, żeby dowiedzieć się, czy było warto na ciebie czekać.

Znika pomiędzy cieniami. Jej biodra, skóra, delikatne dłonie dotykają obcych ciał. Mężczyzna czuje się zazdrosny.

Wypija kolejnego drinka, zamyka oczy. Czuje, że szumi mu w głowie. Zbyt szybko coś się dzieje. Miłość? Alkohol? Cierpienie, które powoli się w nim budzi?

Otwiera oczy, nie widzi kobiety. Szuka jej w panice, w niepewności, która zaczyna docierać do jego głowy.

Zauważa ją, przeciera oczy ze zdumienia. Zamyka je na chwilę. Kilka sekund czeka i znów otwiera.

Widzi kobietę jak rozmawia z drugą kobietą. Taką samą, identyczną, w takiej samej niebieskiej sukience. Są jak dwie krople wody, jak takie same odbicia w strumieniu. Jak dwie tęcze odbijające się na horyzoncie nieba.

„To niemożliwe – myśli. – Widzę to, co pragnę. Silniej, mocniej, podwójnie”.

- Co robisz? – słyszy głos kobiety koło siebie. – Dlaczego masz zamknięte oczy?

- Z miłości – uśmiecha się mężczyzna. – Z konsekwencji tej miłości w teraźniejszości.

- W przyszłości – kobieta bierze go za rękę. – Idziemy do góry. Coś ci pokażę.

Zdobywają kolejne schody, barierkę, która trzyma ich w pionie. Zostawiają zgiełk, który rozplywa się na dole, zanika, i lądują na górze, w ciszy.

Duży pokój, wełniany dywan, we wzory, turecki, tkany. Ściany pełne malowideł, pejzaży, obrazów. Stare meble, antyki, komody, drewniany sufit, z belkami w poprzek, złote wzory na nich i ogromny taras – widok na całe miasto.

- Chodź – kobieta wychodzi z nim na taras, na zewnątrz kamienicy.

Czerwone światła, jasne punkty w budynkach, ślady, że ktoś tam żyje, próbuje żyć, pomimo czasu, przestrzeni, chorób, pragnień – często nieuzasadnionych. Cisza, jakby miasto umarło, zasnęło, wyciszyło się.

- Kocham ten widok – mówi kobieta. – Uspokaja mnie. Wycisza.

- Niektórych wycisza wysokość, innych odległość. Mnie wycisza czas, do którego biegnę, żeby dogonić to, czego pragnę, czego szukam.

- Wracajmy do środka – kobieta bierze go za rękę. – Zimno zaczyna dotykać mojego ciała, mojej skóry.

Stoją w pokoju, patrzą na siebie. Milczą. Ich ręce dotykają się wzajemnie. Czują, że drży im skóra, oddechy, serca.

- Jestem tym kimś, kogo szukasz?

- Tak. Jestem tego pewny – mówi mężczyzna. – Pewny od tego momentu, gdy cię ujrzałem.

- Widziałam cię w snach, bez twarzy.

- Dlatego nie mogłaś mnie rozpoznać.

- Jednak gdy mnie goiłeś, już wiedziałam, że to ty. Ze snów. Ze wspomnień.

Całują się. Ich oddechy zespalają się ze sobą, łączą. Docierają tam, gdzie ręce nie mogą dotrzeć. Gdzie myśli tracą sens i nadzieję. Wiarę.

Ktoś puka do drzwi, cicho, niepewnie. Mężczyzna oddala się od kobiety. Zastyga w niepewności.

Wchodzi kobieta, młoda, ładna. Zamyka drzwi bezszelestnie.

„To niemożliwe – myśli mężczyzna. – To sen. Obłąd. Przeznaczenie”.

Kobieta jest taka sama jak ta, którą przed chwilą całował. Ma te same rysy, włosy, ciało, sukienkę, uśmiech. Kolor włosów, ich barwa, nasycenie, falujące odbłaski na końcu – to ta sama kobieta. Jedna kobieta.

Kobiety podchodzą do siebie, całują się w policzki. Uśmiechają się do niego. Razem. Podobnie. Identycznie. Z troską. Z zakłopotaniem. Z nadzieją.

- Co się dzieje? – mężczyzna łapie się za głowę.

- Nic – mówią razem, podobnie, w tym samym czasie, momencie.

Ich usta śmieją się na przemian, wspólnie, równoznacznie.

- Jesteście identyczne – cicho szepcze mężczyzna.

- Tak – mówią razem, w tej samej sekundzie.

- Jak to możliwe?

- To moja siostra, bliźniaczka – mówi kobieta. – Jest starsza o kilka minut, mądrzejsza o kilka chwil.

Kobieta podchodzi do niego, opiera głowę na jego ramieniu, obejmuje go w pasie i cicho szepcze mu do ucha:

- Jesteśmy identyczne. Takie same. Mamy te same lęki, nadzieje, koszmary. Kochamy podobnie, z taką samą intensywnością i bólem.

- To niemożliwe. Niewiarygodne.

- Takie rzeczy się zdarzają.

- Mnie nigdy.

Kobieta tańcząc płynie do siostry. Uśmiecha się do niej. Patrzy na niego z troską, z uwagą.

- Mówisz, że mnie kochasz. Że już wiesz, że to ja. Na zawsze.

- Tak.

- Że jesteś pewny. Że w odpowiednim momencie mnie zauważyłeś. Goniłeś, żeby dać nam szansę. Nadzieję.

- Tak.

- Jeżeli ty pokochasz mnie, a ja pokocham ciebie, wkrótce pokochasz ją, a ona pokocha ciebie. To nieuniknione. Jesteśmy jak krople

wody. Kochając mnie musisz zakochać się w niej. Jest tak samo piękna i mądra jak ja.

- Tak myślisz?

- Ja to wiem – mówi kobieta. – Musimy przyspieszyć to, co się zdarzy, co musi się zdarzyć. Nie możemy walczyć z tym co daje nam przyszłość. Co może zniszczyć przyszłość.

- Co zrobimy?

- Nic. Pokochasz nas równocześnie. Oddasz nam serce, my oddamy ci swoje serca. Jeśli prawdą jest to, co mówiłeś, będziemy razem do końca. Wspólnie.

Kobiety równocześnie spuszczały sukienki na dół. Uśmiechają się do niego. Podchodzą. Dotykają jego ciała. Wspólnie. Tak samo, identycznie go całują. Przytulają się tak, jak chce, jak pragnie, jak pragnął żeby to było kiedyś.

Mężczyzna zamyka oczy. Podwójne pocałunki dotykają go z każdej strony. Czuje drżenie swojego ciała, swoich myśli.

Jego ręce stają się podwójne. Jego ciało dzieli się, rozdziela na pół. Teraz jest dwoma istotami, zmysłami, duszami.

Kobiety go rozerwały na pół, na dwa różne światy. Na dwie rzeki, które płyną w tym samym kierunku do morza. Do oceanu. Do lądu. Do siebie.

Rzeźbiarka ma zamknięte oczy. Jeszcze jest przez chwilę w kamienicy, na poddaszu, w ciemności nocy. Jeszcze ociera się o pocałunki w snach, w mroku pokoju.

Chce zatrzymać w sobie to, co myśli chcą oddalić od ciała. Wyrzucić do wspomnień.

„Czasami nie wiemy czego chcemy, czego pragniemy. Co jest dla nas ważne. Istotne” – myśli z zamkniętymi oczami.

Po chwili znów śpi. Ucieka w niewyraźność tego co już było, lecz jeszcze jest, trwa, musi być. Niewyraźność snów, marzeń. Pragnień.

Rzeźbiarka przytula się do Bankowca, opiera swoją głowę na jego ramieniu. Patrzy za okno kawiarni. Mokry śnieg, z deszczem ociera się o szybę. Tworzy wilgotne wyspy, skały, skrawki lądów i

spływa na dół. Zygzakami, elipsami, skosami. Niekiedy skokami, ucieczkami, powrotami. Nawróceniami.

Jest jej dobrze, ciepło, przyjemnie. Czuje się bezpieczna, tak bezpieczna jak bezpieczny może być człowiek, który kogoś potrzebuje, kogoś kocha.

Dym z kawy unosi się nad szklanym stolikiem. Ociera się o ściany, dotyka ścian, przenika ściany.

Rzeźbiarka go wacha, wchłania ustami, oczami, skórą – sobą.

Dym, jego zapach, esencja, kwiat wchodzi powoli do ust Rzeźbiarki, do nosa. Przemieszcza się niżej, niekiedy łaskocze coś w środku. Gdzieś daleko, głęboko, może w myślach, w duszy rozczepia się na małe kawałki, strużki. Fragmenty, ostatki zapachów, rozkładają się na małe punkty, które rozchodzą się w najskrytsze ciemności jej ciała. Znikają. Rozpływają się jak we mgłę.

Rzeźbiarka czuje, że jest każdym tym punktem. Każda kropka, plamka, rysa w środku to ona. Każda inna, każda głęboka, każda senna. Niedostępna.

- Dobrze, że składam się z różnych punktów. Niewidzialnych wysp – mówi Rzeźbiarka do Bankowca.

- Składasz się z miłości, jesteś miłością.

- Powiedz mi – Rzeźbiarka się ożywia, jej oczy nabierają innego kształtu, zapachu – co z twoim nowym scenariuszem.

- Mam go w głowie. Muszę go tylko przenieść na papier, przetworzyć, wytworzyć, nadać mu sens istnienia. Głębiej.

- Opowiedz mi o nim – Rzeźbiarka zamyka oczy, cała skąpana jest w zapachu kawy, w jego barwie i zapomnieniu.

Kobieta mieszka w dużym mieście, z dwójką dzieci, samotnie. Mąż ją zostawił, ona zostawiła męża, tego nie pamięta, nie chce pamiętać.

Zasiedliła się u matki. Zostawiła wynajęte mury, skażone ściany za sobą i przeniosła się w inne miejsce. Bezpieczny ład. U matki.

Na razie ma dość mężczyzn. Dość ich zaczepek, śmiechu, przewagi gdy się już odkryje i jest słaba. Osłabiona miłością do kogoś innego. Do innego ciała. Obcego ciała.

Pracuje od rana do wieczora w hotelu – dla dzieci. Trochę dla siebie – żeby zapomnieć. Nienawisć nie zabiła w niej całej miłości.

Pomimo czasu i bólu. Pomimo cierpień. Zapomnianych już trochę rys.

Rano wstaje, myje się, całuje uśpione twarze w łózkach i ucieka do pracy. Przez puste ulice, zapomniane budynki. Jeszcze uśpione kamienice.

Zaczyna pracę. Przebiera się w fartuch, granatowy, z białymi dodatkami. Bierze wózek na kółkach. Pod nim stygną płyny, szmatki i inne przedmioty do zabijania nieczystości, pomieszczeń, niekiedy śladów ludzi.

Najpierw sprząta, unicestwia brud w pustych pokojach, niezamieszkałych przestrzeniach hotelu. Potem, gdy ludzie się budzą, zacierają senne ślady istnienia przed lustrami, gdy uciekają do restauracji, do miasta, do życia, ona wchodzi tam, gdzie coś jeszcze żyje, gdzie coś ucieka na jakiś czas.

Widzi nieład – większy, mniejszy, bardziej widoczny na meblach, ścianach, dywanach i zaczyna sprzątać. Usuwa resztki pocąłunków, uczuć odkurzaczem, szmatką. Zabija w łazience dotyki, emocje, rany, które przeważnie zostawiają kobiety.

Łazienkę najgorzej unicestwić, oczyścić. Tam uczucia, ich ślady, dotyki zastygają, zamierają. Chowają się między płytkami, uciekają aż pod sufit. Niekiedy wchłaniają się w lustro, patrzą na nią ukradkiem, uśmiechają się przez łzy. Zostawione puste łzy. Na jakiś czas. Na moment. Rzadko na dłuższą chwilę.

Kobiety bardziej zadamawiają przestrzeń niż mężczyźni. Układają swoje gadżety, szminki, torebki, lusterka żeby dom daleki stał się nagle bliski.

Mężczyźni są obojętni. Żyją gdzie żyją. Uciekają gdzie uciekają. Kochają się gdzie kochają. Są inni. Inaczej żyją, inaczej myślą. Nie rozumieją kobiet. Kobiety ich nie rozumieją.

Kobieta wie, że każde miejsce, każdy człowiek ma tajemnice. Hotel też. Może nawet więcej tajemnic skupionych jest w hotelu, niż przez całe życie w jednym człowieku.

Przez te tajemnice, sekrety, zacieranie śladów, ucieczki od kogoś bliskiego do kogoś innego, niekoniecznie dobrego, może nawet bardziej obcego, Kobieta mocniej żyje w hotelu niż w prawdziwym życiu.

Hotel to ucieczka, hotel to zagubienie. Niekiedy prawda, o wiele częściej fałsz. Hotel to nie tylko przechowalnia ciał, to także przechowalnia uczuć. Rzadko pragnień.

W jednym pokoju, na końcu korytarza – skrytym, ciemnym, bocznym – czasami mieszka starsza kobieta z młodszym mężczyzną. Można powiedzieć pomieszkuje.

Schodzą się co jakiś czas, kochają co jakiś czas. Uciekają przed bliskimi, przed sobą. Przed czasem. Boją się, że świat ich zniszczy. Zabije w nich całą miłość jaką mają do siebie.

Kobieta dostrzega bliskość w oczach. Inni widzą wstyd, pogardę.

- Tacy niedopasowani wiekiem.

- Taka różnica. Nie do pogodzenia.

- Pewnie dla pieniędzy jest z nią, musi być z nią.

- Nic dziwnego, że uciekają. Nikt ich nie goni a oni wciąż gdzieś pędzą przed siebie.

Kobieta sprząta ich pokój. Ślady szminki są wszędzie. Na pościeli, na ścianach, na lustrze. W wannie, w łazience. Na meblach.

Cały pokój przepelniony jest miłością. Zapachem czegoś szczególnego, niewinnego, niewidocznego.

Kiedy stali koło windy, Kobieta usłyszała coś przypadkiem. Rozmowę, szept, kilka zdań, słów, wyrazów.

- Nie przeszkadza ci mój wiek? To, że mam pieniądze.

- Pomimo młodego wieku mam ich więcej, przecież wiesz. Bogata rodzina, moja firma. Nie kocham cię dla pieniędzy. Kocham cię dla siebie. Jestem egoistą. Kocham cię, żeby mniej cierpieć. Nie być tak bardzo samotnym w życiu.

- Jestem lekarstwem na twoją samotność?

- Nie. Jesteś nadzieją, że kiedyś przestanę być samotny. Nigdy już nie będę samotny.

W innym pokoju, z oknem na miasto, często mieszka biznesmen – przystojny, bogaty, zawsze w dobrze skrojonym garniturze. Za każdym razem jest z inną kobietą – sekretarką. Przeważnie są piękne, przeważnie głupie, przeważnie zagubione. Każda z nich ma nadzieję, że ciałem przekonają duszę, do zamieszkania razem w jakiejś przestrzeni, w jakimś czasie. Tam, gdzie będą się czuły pewnie. Bardziej pewnie niż tutaj.

Jego pokój to rozgardiasz, chaos, niepewność. Gdy wychodzą na miasto, gdy znikają na kilka godzin, Kobieta zaciera ślady gorzkiej miłości w powietrzu.

Jej ciuchy, jego ciuchy, jej sukienki, bielizna to wieczny rozkład ich pożycia, niedopasowania. Są wszędzie, są nigdzie. Bezwstydnie rozrzucone, bezwstydnie zapomniane.

Gdy wychodzi z pokoju czuje wstręt do siebie, do innych. Obawę, że tak wygląda życie. Że świat to tylko tacy ludzie, takie namiętności. Uczucia.

Na dole, przy samej ulicy, za restauracją jest jeden pokój, w zasadzie dwa, połączone ze sobą drzwiami, z osobnymi wyjściami na dwa różne korytarze. Pomieszczenie dla zakazanej miłości, niedostępnej miłości.

Wynajmuje go diler, handlarz spraw niedostępnych. Nie każdy to wie, nie każdy dostrzega.

Kobieta jest dobrą obserwatorką ludzkich twarzy, gestów, zachowań, oczu. Ludzie kłamią, gesty kłamią, oczy nigdy.

Co jakiś czas handlarz załatwia w nim interesy. Ktoś przychodzi, ktoś wychodzi. Kobieta zna te twarze, z telewizji, z koncertów, z wywiadów. Wchodzą skupieni, niby do restauracji. Coś zamawiają, szybkiego. Przekąskę, kawę, deser. Znikają na moment, potem wracają, płacą, szybko uciekają do swoich światów, innych krain.

Handlarz jest czujny, uważny. Nigdy nie pozwala sprzątać swojego pokoju. Płaci zawsze gotówką i znika. Rozpływa się w przestrzeni.

Potem znów wraca i ucieka. Jego życie to nieustająca ucieczka w niepewność. Brak zaufania do innego człowieka. Do obcych twarzy. Nieznanych.

Jego pokój zawsze pachnie czymś słodkim, dalekim – zakazanym. Jest posprzątany, czysty, można powiedzieć skażony nienaruszalnością przedmiotów, kształtów, zapachów.

Gdy Kobieta tam siada (uwielbia to robić, czasami), czuje, że mogłaby gdzieś odlecieć stamtąd, daleko. Unieść się i uciec. Nigdy nie wrócić.

„Ten zapach to ucieczka, ten zapach to szaleństwo. Zmartwychwstanie” – myśli czasami.

Na samej górze, na poddaszu z balkonem na miasto, z widokiem na dachy, kamienice jest pokój pisarza. Teraz znanego twórcy kryminałów. Kiedyś zagubionego gryziopiórka zdań, przecinków, pytań.

Gdy ma kryzys, zapaść moralną, duchową, wynajmuje ten pokój i czeka. Trwa na posterunku niczym żołnierz, aż zdania same z niego wyjdą, uciekną z jego umysłu na papier. I tak się przeważnie dzieje.

Kiedyś, dawno temu, napisał tutaj swoje dwie pierwsze książki. Jak do tej pory najlepsze książki. Teraz pisze to, co już wcześniej napisał. Zmienia tylko historie, postacie, uczucia. Ludzie to kupują, ludziom to wystarcza.

„Ludziom coraz mniej wystarcza do życia. Mniej sztuki, mniej marzeń” – powtarza w myślach Kobieta.

Niekiedy Kobieta, gdy przechodzi koło tego pokoju, słucha przez drzwi jak pisarz stuka w maszynę do pisania. Starą, zniszczoną maszynę. Mógłby ją dawno wyrzucić, ale nie chce, nie ma dość siły by to zrobić. Jest wspomnieniem, że może jeszcze dobrze pisać, musi umieć dobrze pisać. To jest w nim, nie umarło, czeka tylko na sygnał, gest z jego strony. Ruch ręki. Prawej (nigdy nie był leworęczny, choć niektórzy krytycy piszą, że jego zdania są leworęczne, treść jest leworęczna – poskręcana).

W jego pokoju Kobieta czuje, że słowa mogą wisieć w powietrzu, chować się w przestrzeni. Gdy się kładzie na łóżku, gdy zamyka oczy, to historie same do niej przychodzą, z każdego miejsca. Osaczają ją, zacieśniają krąg, tańczą wokół jej ciała. Skupiają się na głowie, myślach i przenikają ją bezwstydnie.

Wtedy robi się jej ciepło w środku. Czuje bezwstydną rozkosz. Pragnienie nasycenia tej rozkoszy poprzez drukowany zarys kartek papieru, pospieszny oddech jej ciała.

W niektóre dni pisarz zostawia swoje ślady na podłodze. Porozrzucane kartki papieru, w nieładzie, płoną – dotykając ostrymi brzegami siebie nawzajem.

Kobieta je zbiera, łączy ze sobą, bez składu, bez ładu. Nie wie co to chronologia, sens, numeracja stron. Potem je czyta, tak zespolone ze sobą. Czasami to ma sens, czasami sens jest w środku. Prawda jest w pourywanym zdaniach, fragmentach słów.

„Jak w życiu – myśli Kobieta. – Prawda zawsze tkwi w pourywanym skrawkach wspomnień, w zagubionych fragmentach zdań”.

Na środkowym piętrze, z boku, jest zapomniany pokój. Nieistotny pokój. Rzadko go ktoś wynajmuje. Numer 113. Jedyńka go oddziela od pecha, od niemożności. Nieszczęścia.

Ludzie się go boją, on boi się ludzi.

Układ zamknięty. Niedomknięta przestrzeń przeważnie śpi, stoi nienaruszona. Opuuszczona.

Wynajmuje go śpiewaczka operowa gdy jest w mieście na koncercie. Nie boi się numerów, nie jest przesadna. Jej matka wróży z kart, wie co to magia.

Śpiewaczka zawsze obcowała z nieszczęściem, z niezrozumieniem. Ktoś, kto ma matkę wróżkę, zawsze będzie niezrozumiały przez innych.

Miała talent, to jej pomogło. Dało szansę na ucieczkę. Na wyzwanie.

Kobieta często ją podsłuchuje, gdy ćwiczy przed koncertem. Przykłada ucho do drzwi i słucha. Zamyka wtedy oczy. Wyobraża sobie salę operową, scenę. Tłum ludzi, orkiestrę, że jest w pięknej wieczorowej sukni, z diamentami na szyi, rękach.

Potem wszystko pryska, jak bańka mydlana, gdy śpiewaczka ma zadyszkę, czuje się zmęczona, musi nagle usiąść i odpocząć.

Wtedy pod drzwiami nuty, dźwięki uciekają tuż koło Kobiety. Przesuwają ją ostrożnie na bok, ze wstydem, ze skrępowaniem i uciekają korytarzami na dół, do drzwi, na zewnątrz.

Śpiewaczka znów zaczyna śpiewać. Kobieta wyobraża sobie jej wnętrze, jej płuca, oddech, narządy w środku. Są jak wielka orkiestra, pełna skrzypiec, trąbek, puzonów, bębnów. To wszystko brzmi w niej, huczy, przeistacza się w dźwięk, duszę, w sny, marzenia.

„Talent, to jest to co oddziela nas od Boga, to jest to, co łączy nas z Bogiem” – prawie śpiewa sopranem w myślach Kobieta.

W hotelu są pokoje niewidoczne dla innych. Umiejscowione są z boku, z dala od zgiełku, od spojrzeń, zazdrości. To, co jest niewidoczne, często jest niedoskonałe. Ludzie nie chcą tego widzieć, nie muszą tego widzieć.

W tych kwaterach, ścianach, murach pojawiają się osoby. Znikają. Są jakiś czas, uciekają przez jakiś czas.

Życie tam tętni ze zdwojoną prędkością. Siłą. Ma w sobie zamęt, uczucia, pragnienia. To, co tam jest, nigdy nie zdarzy się gdzie in-

dziej. W innym czasie, w innym miejscu. Tam nienawiść miesza się z miłością, pragnienie z obojętnością. Niekiedy z obcością do samego siebie.

Kobieta poznała młodą dziewczynę, która czasami pojawia się w którymś z tych pokoi. Dziewczyna jest ładna, pewna siebie, dobrze się ubiera. Wygląda tak jakby świat był u jej stóp. Spojrzenie ma pewne, oczy głębokie, w których widać odwagę, determinację.

Co jakiś czas pojawia się z mężczyznami. Znikają w pokojach, raz tym, raz tamtym. Potem on wychodzi, poprawia spojrzenie – zakłopotane, potem ona wychodzi – bez skrępowania. Delikatny ruch ręki, żeby włosy znów były świeże, dojrzałe. Znikają w swoich światach.

Kobieta wchodzi, sprząta, widzi odbicia tego, co tutaj się zdarzyło (w myślach) – odbicia niepewne, rozmazane, zniekształcone. Cały pokój nasycony jest niepewnością, niezgodnością, niepoukładaniem.

Kiedyś dziewczyna wróciła, zapomniała torebki. Kobiety zmierzyły się wzrokiem, uśmiechnęły się do siebie.

Potem była rozmowa, na początku spięta, nieobecna. Dziewczyna była zakłopotana, że ktoś wie, to, czego ona nie chce wiedzieć. Wiedzieć.

Jednak to coś, co było w środku, musiało z kimś porozmawiać – kiedyś – może teraz.

Dziewczyna mówiła o biedzie, wsi, niezrozumieniu. O rodzicach, że tacy inni, konserwatywni – biedni. Słowo bieda pojawiało się najczęściej w jej ustach.

Chciała uciec, studiować, walczyć. Nie wiedziała, że cena tej walki, wolności, może być tak wielka.

Powiedziała, że studia skończy, musi skończyć. Ucieknie do innego miasta. Zapomni. Pieniądze z tego życia przeznaczy na początek innego życia. Nigdy nie wróci do wspomnień. Zatrze je przyszłością.

Wierzyła, że potrafi zapomnieć. Że czas jej pomoże, miłość do kogoś innego ją wyzwoli.

Kobieta słuchała, nic nie mówiła. Zapomniała o pracy, sprzątanii, obowiązkach.

Niekiedy człowiek musi wysłuchać innego człowieka, żeby zrozumieć. Żeby dać komuś innemu szansę. Przyszłość.

Potem dziewczyna znikła. Nie pojawiała się w hotelu. Może skończyła studia, zrobiła to, co chciała zrobić. Może inny hotel ją przyciągnął, zawładnął na zawsze jej ciałem. Duszą.

Niektóre miejsca zabierają duszę, nie ciało. Potem ciało błądzi, nie może znaleźć sensu, ukojenia. Dusza bez ciała jest martwa. Ciało bez duszy ociera się o nieistotność, zagubienie. Nieokreśloność.

Któregoś lata, ciepłego, gorącego, ocierającego się o żar w hotelu pojawili się ludzie, którzy wygrali konkurs z gazety. Darmowy pobyt, główna nagroda, dobre jedzenie.

Trzy osoby długo siedziały w hotelu, w pokoju, zamawiały posiłki przez telefon. Nie wychodzili z pokoju, jakby chcieli zaznaczyć przynależność do tego miejsca, do tej przestrzeni. Chwili.

Któregoś ranka Kobieta ich zobaczyła, jak ukradkiem, niepewnie zjeżdżali windą na dół.

Starszy mężczyzna, starsza kobieta – syn na wózku pchany przez ich wspólną rozpacz, cierpienie.

Kobieta zamarła. Zrozumiała, że wygrana może mieć wiele ciemności, wiele rozpacz.

Posprzątała ich pokój, był nieskażony jakimkolwiek ruchem. Wszystko było tam, gdzie powinno być, stać. Kobieta poczuła, że niektórzy boją się zmian. Obawiają się skutków, jak te zmiany mogą wpłynąć na ich przyszłość.

Gdy wracali ich spojrzenia, gesty, ruchy były nieznaczne, niepewne, zagubione. Chcieli tu być, nie mogli tu być. Nie mogli zrezygnować z tego, co im dał los. Nie pasowali do tego miejsca, gdzie musieli żyć przez los.

Potem wyjechali. Niezauważalnie. Tak, jak niezauważalny, niedostrzegalny był ich pobyt tutaj. Nie wszyscy pasują do pewnych miejsc, nie wszyscy odnajdują się w danej przestrzeni.

Co jakiś czas, w różnych pokojach mieszka Dama W Czerwieni. Tak ją nazywają w hotelu.

Przyjeżdża, mieszka kilka dni i wyjeżdża. Nikt nie wie, co tutaj robi? Co chce robić? Dlaczego tak uparcie wraca? Musi wracać.

Kobieta podczas sprzątania zauważyła list. Otwarty. Do niego. Przeczytała go nieświadomie. Potem czuła wstręt do siebie. Przez dotykanie innych uczuć. Obcych pragnień.

Nie powiedziała o jego treści, nikomu. Dama W Czerwieni uciekała od męża co jakiś czas. Kochała go, nienawidziła. Był jej miłością, przekleństwem. Nie mogła bez niego żyć, nie mogła być z nim cały czas. Stąd te ucieczki. Zapomnienia.

Wierzyła, że kiedyś uda jej się uciec. Zapomnieć. Łudziła się. Zrozumiała, po kilku nieudanych próbach, że ten mężczyzna jest jej pierwszą miłością, będzie ostatnią miłością.

Dama W Czerwieni wychodzi w nocy na korytarz. Dotyka rękami ścian, obrazów, drzwi. Szuka domu, miejsca gdzie może wrócić. Wierzy, że chropowatość murów przekłada się na chropowatość uczuć. Przynajmniej niekiedy.

Kobieta podczas pracy w pokoju nie może odnaleźć w sobie ciszy. Coś ją niepokoi, gdy widzi ciepło, jakie zostawia Dama W Czerwieni.

Meble, to co w nich jest, czego w nich nie ma, to wieczny smutek. Ślad po kimś, kto tu żył, ślad po kimś, kogo tu w istocie nigdy nie było. Był martwy. Dla siebie, dla innych.

Dym z kawy zastyga, uchodzi z ciała Rzeźbiarki. Rzeźbiarka otwiera oczy, chwilę patrzy na ściany, a potem mówi:

- Hotel to miejsce gdzie wszystko może się zdarzyć, gdzie nic nie może się zdarzyć.

- Hotel to ucieczka od miejsc, których nie kochamy. Nie możemy kochać – mówi Bankowiec.

- Dla niektórych hotel to jedyny dom jaki mają, jaki mieli.

- To miejsce, gdzie można wszystko zacząć, wszystko skończyć – mówi Bankowiec.

Śnieg wciąż pada za oknem. Jest mokry, śliski, niewidoczny. Niedoskonały w swojej strukturze, materii. W swojej poświęceniu.

Kroki, ślady, wgłębienia, zarysy stóp na śniegu. Bankowiec przesuwając się, zostawia za sobą niespójność, nieprecyzyjność.

Rzeźbiarka patrzy na jego lekko przygarbione plecy. Na łopatki, które ruszają się wraz z ramionami.

Kiedyś, gdy go poznała, gdy pierwszy raz zobaczyła co w nim jest, czego w nim nie ma, gdy ucieczka pierwsza, potem druga i ko-

lejne w nieświadomość ją zaskoczyły, zrozumiała, jaki jest inny, tajemniczy.

Gdy znikał, gdy uciekał od niej, od wszystkiego co go niszczyło, co go wyzwalało, czuła się odrzucona. Nie mogła mu pomóc, nie mogła go wyzwolić od tego obłądu.

Z czasem, jej miłość, przyjaźń, bliskość sprawiły, że częściej był tu niż tam. Pomagała mu – nieświadomie, wyciszała go – świadomie.

Teraz już nie ucieka, nie ucieka tak często. Tak dotkliwie i mocno.

- Co myślisz o snach? – pyta Bankowiec.

- Sny – zastanawia się Rzeźbiarka. – Sny pojawiają się, gdy ciało umiera na jakiś czas.

- Sny są prawdą, jacy jesteśmy? Czy prawdą, jacy możemy być?

- W snach jesteśmy inni, czy mądrzejsi, tego nie wiem.

- Gdy zasypiam, gdy coś za dnia się zdarza, jakiś obraz przeistacza się w ruch, ten kształt pojawia się w nocy. Zniekształca prawdę o mnie.

- Życie nas cały czas zniekształca, deformuje – mówi Rzeźbiarka.

– W snach ta deformacja ulega rozpadowi.

- Gdy się budzę, gdy jeszcze pamiętam obrazy z ciemności, z nocy, gdy resztki wspomnień są we mnie, na samym końcu wyobraźni, wtedy czuję strach. Ból, który nie może być bólem kogoś kto żyje. Ten ból, zgiełk przypomina mi kim jestem tam, kim jestem tutaj. Nie można połączyć tych miejsc razem, ulepić w jedną całość.

- Wyspa ze snów, nigdy nie będzie wyspą tutaj.

- Tego się boję – mówi Bankowiec. – Nie chcę żyć w ciągłej niepewności, kim jestem?

- Co chcesz powiedzieć? – pyta Rzeźbiarka.

- Historię, coś co wydarzyło się w śnie. Wczoraj, nad ranem.

Rzeźbiarka siada na konarze drzewa w lesie. Patrzy na zamrożone niebo, zniekształcone mrozem chmury i cicho wydobywa z siebie głos, prawie nie mówiąc ustami:

- Co nie pozwala ci spać, co nie pozwala ci obudzić się?

Bankowiec zbliża się do niej, siada obok, przytula głowę do jej ciepłych włosów i zaczyna mówić. Najpierw cicho, sennie, z lękiem, potem trochę szybciej, mocniej. Dokładniej.

- Mieszkam w akwarium – mówi mężczyzna niepewnie, z obawą.
- Gdzie? – pyta kobieta, nie rozumiejąc właściwie znaczenia tych słów.

- W akwarium.

- Nonsens. Nie można mieszkać tam, gdzie nie czujemy się wolni – mówi kobieta. – Ludzie mieszkają w domach na ziemi, pod ziemią, na łodzie, niekiedy na wodzie, na drzewach, ale w akwarium. To nonsens.

- Nonsensem było moje małżeństwo z kobietą, która mnie nigdy nie kochała. Nonsensem była praca, która dawała mi pieniądze, nie dawała wolności. Nonsensem było, że się na te rzeczy godziłem cały czas. I nonsensem było, że tak łatwo rzuciłem te rzeczy wierząc, że inny los jest mi pisany.

- W akwarium?

- Gdy już nie miałem co ze sobą zrobić, gdy nie miałem gdzie spać, co jeść, gdzie iść, spotkałem kogoś, kto był kiedyś dla mnie bliski, potem stał się obcy, a teraz chciał się tylko okazać człowiekiem.

- Pomógł ci?

- Zauważył mnie – mówi mężczyzna. – Wyłowił mój smutek z tłumu. Człowiek, który jest na dnie potrzebuje zauważalności. To ważniejsze niż chleb, ważniejsze niż dusza.

- Co było dalej?

- Zaprosił na obiad. Wysłuchał. Zrozumiał. Nie oceniał. Powiedział, że pracuje jako ochroniarz na wystawie akwarystycznej. Wystawa potrwa jeszcze miesiąc, powiedział. Jeśli chcę, jest strych i tam mogę spać. Poszedłem z nim, pokazał mi boczne wejście. Schody w ciemności na strych. Poruszałem się za nim po cichu niczym kot, sennie, jak we mgle. Gdy otworzył stare, zniszczone, popękane drzwi, zobaczyłem małe pomieszczenie, a w nim puste, duże akwarium.

- Dziwne – uśmiecha się kobieta. – Niezwykłe rzeczy spotykają ludzi.

- Możesz tutaj mieszkać, powiedział. Całe pomieszczenie wypełniało jedno duże akwarium. Usiadłem koło niego i zapłakałem nad

swoim losem. Tak nisko upadłem, tak się zagubiłem, że miejsce gdzie jestem, jest tym, do czego zmierzam. Do obłądu.

- Mów dalej – kobieta dotyka czule ręki mężczyzny. – Nie ważne jak upadamy, ważne jak się podnosimy.

- Była noc, wszedłem do akwarium, położyłem płaszcz pod głowę i zasnąłem. Rano wstałem, wyszedłem z budynku na miasto. W ciągu dnia nie mogłem tam przebywać. Błąkałem się pomiędzy budynkami, ulicami, patrzyłem na twarze ludzi, obojętne, zagubione, w wiecznym pośpiechu. Ci, co żyją zawsze gdzieś pędzą, ci, co umierają nigdzie się nie spieszą. Potem wróciłem na strych, o zmroku. Wszedłem do akwarium, popatrzyłem przez szybę na świat. Był inny, obcy, zimny. Przez kilka dni czułem nienawiść do siebie. Pewnej nocy zszedłem na dół, na wystawę. Zobaczyłem oświetlone akwaria, pełne ryb, wiele gatunków. Ich jasność, blask, który z nich bił, zniewolił mnie. Onieśmielił. Dotykałem szyb, przytulałem się, patrzyłem na ryby. Jak żyją, jak pływają, jakie są kolorowe i żywe w swoich barwach. Zacząłem na dół schodzić każdej nocy. Stałem się rybą jak one, żyłem w akwarium jak one.

- Człowiek może się zmienić w co chce, w co może. Do czego zmusza go życie.

- Gdy patrzyłem na ryby, na ich barwy, łuski, jak pływają, a potem zwalniają, zamierają, chowają się między roślinami, kamieniami, między sobą, zrozumiałem, że są wolne, pomimo ograniczeń jakie daje im człowiek.

- Człowiek sam dla siebie jest ograniczeniem, sam sobie stwarza przeszkody nie do pokonania.

- W nocy większość ryb zasypiała, leżała nieruchomo na dnie. Te, które po zmroku się ożywiały, mieniły się kosmicznymi łuskami w świetłówkach.

- Polubiłeś je?

- One polubiły mnie. Widziałem jak tańczą naokoło siebie, poziomo, pionowo. Dotykają się, całują, ocierają łuskami. Potrzebują bliskości, nie nienawiści. Zwierzęta nie nienawidzą jak człowiek. Zwierzęta nie ranią bez potrzeby jak człowiek.

- Bliskość, tego brakuje ludziom.

- Jedna grupa ryb, nie mówiła drugiej grupie ryb gdzie ma płynąć, co robić, jak żyć. Do czego zmierzać.

- Ludzie zmierzają do celu, ryby zmierzają do życia – mówi kobieta. – Życie nie zawsze jest celem, cel nie zawsze jest życiem.

- Ciemnej nocy, gdy spałem w akwarium, z okna, na poddaszu, jasny blask przedarł się na strych. Obudziłem się. Przetarłem oczy. Zobaczyłem kurz oświetlony światłem księżyca. Unosił się, mienił, złościł, zmieniał kształty i barwy. Upadał i zamierał.

- Coś co jest szare, nieistotne, zmienia się gdy ociera się o jasność, blask. Nabiera innego sensu i znaczenia.

- Dotyczy to ludzi?

- Przeważnie dotyczy to ludzi – mówi kobieta.

- Zrozumiałem, że mój upadek nie jest przekleństwem, jest darem. Dzięki miejscu, gdzie żyłem stałem się inny. Miejsca kształtują ludzi. Ludzie kształtują miejsca.

Kobieta wstaje, żegna się, odchodzi. Wraca do domu pustymi ulicami nocy. Jest smutna. Jej serce przepełnione jest lękiem.

Wchodzi do domu wolno, prawie bezruchowo, ciężko. Otwiera drzwi, widzi mężczyznę, z którym mieszka od trzech lat, przed telewizorem. Siedzi na kanapie, pstryka pilotem, szuka zajęcia dla swoich myśli. Kanału w telewizji, który dostosuje się do nastroju, do obojętności w głowie.

- Wróciłaś?

- Tak – kobieta podchodzi do szafy, wyjmuje walizkę, pakuje się w milczeniu.

- Co robisz?

- Odchodzę – mówi chłodno.

- Gdzie? Dlaczego?

- Kiedy mnie ostatnio przytuliłeś, tak bez powodu? Kiedy mnie objąłeś, pogłaskałeś po włosach, tak bez przyczyny?

- Kochamy się, czasami.

- Seks to nie jest bliskość, to czas kiedy zabijamy samotność z kimś obcym. Nieobecny.

Mężczyzna patrzy jak kobieta się pakuje. Wkłada bezszelestnie ciuchy do walizki. Jego serce drży, niepokój wyciska znamię w jego oczach.

- Bliskości brakuje ludziom, gdy wątpią, gdy się jeszcze kochają. Gdy miłość jeszcze nie umarła – mówi kobieta.

Kobieta bierze walizkę i zbliża się do drzwi. Odwraca się nagle i mówi cicho, z bólem, z nienawiścią do samej siebie:

- Spotkałam kogoś, kto potrafił pokochać swoje nieszczęście. Kogoś, kto potrafił zauważyć bliskość w rzeczach niezauważalnych.

Kobieta wychodzi, mężczyzna siada na tapczanie. Telewizor brzęczy, zagłusza niepokój w pokoju. Ciszę, która powoli wkrada się zza okna. Zza ciemności na niebie.

Rzeźbiarka marszczy czoło, wstaje z konaru drzewa. Podaje rękę Bankowcowi.

- Zimno tutaj – mówi z blaskiem w oczach. – Tego, czego brakuje ludziom, którzy się kochają to zauważalności.

- Wracajmy do domu.

Ich cienie rozmazują się w lesie. Znikają pomiędzy drzewami, mgłą, która zaczyna opadać na ziemię.

Ciepły, lekki wiatr tańczy tuż przy ziemi, kołysząc budzącą się do życia trawę. Unosi się wyżej, nad konary drzew i znika pomiędzy chmurami, pomiędzy coraz jaśniejszym blaskiem słońca.

Wiosna, jej oddech, znamię, jej przestrzeń i nieokreśloność rozpościera swoje skrzydła nad lasem. Nad domem Rzeźbiarki.

Rzeźbiarka wychodzi z domu. Jej oczy leniwie analizują przestrzeń wokół niej. Ruchy jej rąk, nóg są jeszcze uśpione zimą. Jeszcze uśpione zimnem, które powoli znika z jej ciała.

Idzie po duży kawałek drzewa, który leżał przy domu, pod dachem całą zimę. Kładzie go na innym kawałku drzewa, większym, który będzie służył za statyw, za stół, za wiarygodność tego, co za chwilę będzie robiła.

Zaczyna rzeźbić. Najpierw powoli, w skupieniu, w ciszy. Potem, gdy coś w niej się budzi, ożywia, rozbudza, jej ruchy nagle są szybsze, pewniejsze, zręczniejsze. Palce dotykają drzewa, dłuta przytula ją się do tego co jeszcze nie ma kształtu, wyrazu, znaczenia.

Coś odskakuje na ziemię, to resztki życia, które uciekają z drzewa. Opadają obok nóg Rzeźbiarki, obok jej stóp, jej zmęczenia.

Po dwóch godzinach Rzeźbiarka odchodzi kilka metrów, patrzy na rzeźbę z boku, z oddali. Na jej wyraz i znaczenie. Zamyśla się,

coś jej nie pasuje, coś złego wkrada się do jej pracy, do jej wyobraźni.

Chwilę milczy, marszczy czoło, zastyga w nieruchomości, a potem ze zdwojoną siłą zaczyna działać na nowo, na przekór niemocy i niemożności, które pojawiają się zawsze, gdy wątpi. A wątpi często, ciągle, nieustannie. W życiu, w pracy.

Trwa to kilka dni. Wstaje, rzeźbi, śpi, niekiedy coś je. Przełyka pożywienie na siłę, nie dając nic ciału, czego nie musi dać. Jej skóra, mięśnie, serce dostają minimum tego, co pragną, co chcą.

Wiecznie jest niezadowolona, wiecznie niespełniona. Ciągle coś poprawia, nieustannie coś niszczy. Jej wyobraźnia drży jak rozchwiany wiatr, który chce lecieć tu i tam, wysoko i nisko. Aż w końcu lata bez polotu, bez sensu. Bez skutku siły w przestrzeni.

Gdy mija tydzień, rzeźba jest skończona. Rzeźbiarka odrzuca dłuta na bok, na ziemię i patrzy. Jej oczy tężeją, zastygają, zamierają. Potem coś w nich się rozjaśnia, ożywia, uzupełnia z czasem.

Uśmiecha się do siebie. Czuje ulgę i zadowolenie. Udało się. Znów dotknęła siebie ze środka. Kawałek duszy oddała rzeczy martwej, nieżywej.

Rzeźba jest duża, delikatna – ma w sobie czułość, głębię. Przedstawia kobietę i mężczyznę. Stoją razem. Mężczyzna przytulony jest do kobiety, stoi za nią, za jej plecami. Jego ręce obejmują ją na brzuchu, tuż nad biodrami. Są splecione, razem. Kobieta ma podniesioną rękę do góry, dotyka nią głowy mężczyzny. Jej druga ręka spuszczone jest na dół. Jest wolna, gdzieś ucieka. Głowa, lekko skrzycona na bok, ociera się o twarz mężczyzny. Oczy ma zamknięte. Twarz rozjaśnia uśmiech – niewinny, bezbronny, oczywisty.

Dwa splecione ciała, dwa dotyki. Są wolne, bezgranicznie bezpieczne. Czas zastygł, został z nimi na zawsze.

- Bliskość – mówi Rzeźbiarka. – Tak ciebie nazwę. Bliskość.

Za plecami Rzeźbiarki, za lasem, słysząc coś niepokojącego. Coś, co zaczyna zbliżać się do domu. To coś jest niewidoczne, niekompletne, odczuwalne.

To, co jest niezauważalne, niekiedy jest gorsze od tego, co jest widzialne, przewidywalne, dostrzegalne.

Rzeźbiarka ucieka na ganek, patrzy na zostawioną rzeźbę. Waha się, co robić? Wracać, zostać, uciekać.

Wiatr dociera do płotu. Drzewo się chwieje, dotyka gałęziami ziemi. Trawa zaczyna szumieć, szeleścić, śpiewać. Jej śpiew to strach. Strach, którego nie widać, którego nie czuć.

Wiatr dociera do domu, wdziera się przez otwarte okna do pokoju, do kuchni. Przesuwa garnki, talerze, łyżki. Wykręca firanki i zasłony. Łamie drewniane krzesło na pół, na dwie bezkształtne, nic nie znaczące części. Potem ucieka na podwórko, odbija się od rzeźby, która zaczyna się chwiać. Rzeźba wytrzymuje napór, napięcie, zostaje na swoim miejscu – zastyga. Demon znika nad drzewami, nad lasem.

- Co to było? – ze strachem mówi Rzeźbiarka. – Wiatr, kara, przeznaczenie.

Podchodzi do rzeźby. Dotyka ją z czułością rękami. Jest cała. Bez skaz, rys, pęknięć.

Patrzy na dół, na dłuta które leżą na ziemi. Jej oczy rozszerzają się silniej, mocniej. Nie wierzy, nie może zrozumieć tego co widzi, co rozpościera się u jej stóp.

Dłuta małe, duże, ostre, tępe są powbijane w ziemię. Rana zadana ziemi ją nie przeraża. To co tworzą razem, ją onieśmiela.

Dłuta tworzą kształt litery X. Znak zakazu, niebezpieczeństwa, przestrogi śpi u podstawy rzeźby.

Rzeźbiarka patrzy na twarz kobiety, jest podobna do niej. Nieświadomie dała swoją część komuś innemu. Potem zerka na mężczyznę, z obawą, z lękiem. Podnosi wzrok leniwie, chwilę patrzy w dal, dalej niż kształt twarzy, a potem jej oczy tężeją i skupiają się na obliczu mężczyzny.

Do kogoś jest podobny, do kogoś kogo ona zna, musi znać i pamiętać. Skupia się, wyzwala siły które na pewno gdzieś ma, które mogą jej teraz pomóc. Muszą jej teraz pomóc.

Już wie, rozpoznaje. Dociera do niej kto to jest.

To Bankowiec, to jego uśmiech, zagubienie. Jego ucieczki.

Rzeźbiarka wyciąga dłuta z ziemi. Wychodzą powoli, z niechęcią, z obawą. Znosi je do domu. Kładzie na półkę w przedpokoju, drewnianą, dębową. Wraca w skupieniu do rzeźby. Z wysiłkiem znosi ją do domu. Umieszcza w salonie, na środku, pomiędzy stołem a komodą. Znow na nią patrzy, z oddali. Z obawą.

- Bliskość – mówi cicho. – Kogoś nieznanego do kogoś innego. Niebezpieczna czułość. Drapieżna nienawiść do tego co nadejdzie, do tego co musi nadejść.

Chirurg (od serca) ubrany jest elegancko, jednak wygodnie, z odrobiną luzu i wdzięku. Popielata marynarka, lśniąca guziki równo ułożone niczym żołnierze w szeregu, do tego niebieska koszula, rano uprasowana (nienawidzi prasować swoich rzeczy, cudzych rzeczy, myśli wtedy, że zabija dusze w przedmiotach, niszczy ich wolność i całą prawdę jaką mają w sobie, jeszcze mają w sobie) i dżinsowe spodnie, granatowe. Czuje się swobodnie i dobrze.

Słońce, niewyraźne chmury w oddali, ptaki budzące się do życia po zimie. Przyroda, która rozkwita, nie umiera. Szum lasu, taki intensywny i mocny. W końcu znowu coś żyje, coś się rodzi, coś nabiera kształtu i rozmiaru.

Chirurg kocha chwile, gdy czuje się dobrze sam ze sobą. Gdy jego ciało wie, że dusza jest szczęśliwa. Zdarza się to rzadko, niekiedy w długich odstępach pomiędzy dobrem a złem. Gdy to się pojawia, gdy go dotyka niewidzialnym oddechem, zapachem czegoś, czego nie ma a jednak jest, wtedy wie, że warto żyć, pomimo wcześniejszej niechęci do życia.

Czekanie na dobre chwile często zabija nienawiść do złych chwil. Niebezpiecznych momentów.

Podchodzi do płotu, widzi dom Rzeźbiarki. Chwilę stoi, patrzy na kształt komina, dachu, zarys okien i drzwi, które są teraz otwarte i wchodzi.

Gdy się zbliża do wejścia, gdy jego nogi prawie dotykają werandy, Rzeźbiarka wychodzi. Nie jest zaskoczona. Czekala na niego, z niecierpliwością i wdziękiem tej niecierpliwości w całym jej ciele.

- Wyglądasz doskonale – mówi Chirurg. – Wyglądasz tak, jakby coś z ciebie chciało uciec do mnie. Wejść we mnie i tam zostać, na zawsze.

- Bo tak jest – oczy Rzeźbiarki lśnią jakimś blaskiem, ogniem dnia, światłem nocy.

- Idziemy?

- Oczywiście, sztuka nie może czekać. Jeszcze ten spacer – Rzeźbiarka podaje mu rękę, ich palce się łączą, stają się jednością, spój-

nością, jednym kształtem. – Po lesie, z taką elegancją w nas, obok nas.

Idą pełną, leśną, zagubioną drogą w kierunku miasta. Obok nich drzewa, obok nich niebo. Niewidzialne, ale odczuwalne życie zwierząt.

- O czym jest ta sztuka? – pyta Rzeźbiarka.

- O kobiecie i mężczyźnie. O niemożności odnalezienia tego, co już było, i nigdy nie wróci, nie może wrócić. Przynajmniej w takim zarysie i kształcie jakim było kiedyś.

- O nienawiści też?

- Miłość i nienawiść są jak sąsiedzi. Stoją obok siebie, żyją obok siebie. Uważają, żeby nie dotykać się za często, za mocno, zbyt intensywnie.

- Dzieli ich cienka linia. Gdy się ją przekroczy, nie ma już nic. Tylko przepaść i mały, ruchomy most, na linach, z którego powypadały już prawie wszystkie belki. Zostały poszarpane liny i kilka dziur, pod którymi płynie dzika rzeka w oddali.

Dochodzą do miasta, pływają pomiędzy kamienicami, dachami. Uciekają w szarość ulic, zabieganie ludzi.

Wchodzą do domu kultury, patrzą na zegarek, zostało dziesięć minut do rozpoczęcia sztuki. Oddychają z ulgą patrząc sobie w oczy. Szczęśliwe zarysy żrenic uśmiechają się do siebie.

Siadają na swoich miejscach. Cała sala jest pełna. Przyszli ostatni.

Do tego miasta rzadko przyjeżdża teatr. Teatr omija miejsca gdzie czas się zatrzymał dawno i nie może ruszyć. Coś go tu trzyma, jakiś balast, niemoc, napięcie. Może suma tych rzeczy razem, różnica strat tych rzeczy obok.

Rzeźbiarka zerka niewinnie, niewidocznie, ukradkiem na twarze ludzi. Na ich napięcie. Natężenie w oczach.

Rozpoznaje niektóre osoby, cienie, kształty.

Widzi Marzenę, jest z koleżanką z ośrodka. Jej jasne włosy mają czarną kokardę z tyłu. Rzeźbiarka uśmiecha się, ta to zawsze potrafiła się ubrać, ma klasę i styl.

Zauważa lekarza z przychodni, jest z żoną. Zbyt dużą, zbyt dumną, zbyt kobiecą.

Nagle z boku, z tyłu, z kąta sali, coś czuje. Jakieś napięcie, natężenie, spłot dobrych myśli, skojarzeń, emocji.

Odwraca się. Szuka niecierpliwie tego, co w nią tak uderzyło. Zaskoczyło.

Na końcu, na samym rogu sali, skulona, niepewnie siedzi Star(usz)ka, patrzy na nią. Jej oczy są rozszerzone, rozmazane, jasne.

Rzeźbiarka uśmiecha się, ale jej uśmiech ma smak zaskoczenia, zdziwienia. Nie spodziewała się jej tutaj. Ludzie zaskakują innych ludzi. Miejsca zaskakują tych, którzy się na nich pojawiają.

Światło gaśnie, coś się zaczyna. Kurtyna otwiera się, rozsuwa bezszelestnie na boki.

Rzeźbiarka rozpoznaje twarze aktorów, z seriali, z telewizji, z teatru. Wciąż grają w teatrach pomimo sławy, pieniędzy. Wiedzą, że film to pieniądze, teatr to rozwój, sztuka, możliwość realizacji tego o czym marzą. Tego, o czym będą marzyć do końca.

Rzeźbiarka odpręża się, zna tę sztukę. Oglądała ją kiedyś w Krakowie, w Teatrze Starym. Inna obsada, inni ludzie, inne emocje. Inna zapomniana przeszłość. Czas, który zniknął, umknął, rozmazał się tak szybko. Zbyt szybko. Zbyt pośpiesznie.

Dwóch głównych aktorów, mężczyzna i kobieta, czują, że coś w nich umiera, może już umarło. Chcą to jakoś naprawić, znaleźć światło pomiędzy kłótniami i nienawiścią. Nie mają dzieci, nie mają niczego co by ich teraz łączyło. Mogło łączyć. Dało nadzieję na przyszłość.

Mieszkania zawsze wynajmowali, więc przedmioty, ściany, wspomnienia zawarte w murach są im obce. Nie mają czułości, dobrych obrazów – miłości.

Dzieci odkładali na potem, na kiedyś. Na lepsze czasy dla niego, dla niej. Najpierw praca, potem dom, tak mówili, gdy byli młodzi.

Teraz mają byle jakie prace, byle jakich znajomych. Zły, obcy dom. Niebezpieczny. Dom nad przepaścią.

Ciągle się kłóć. Nawet nie pamiętają, kiedy kłótnie zagłuszyły resztki miłości. Miłości z kiedyś, która już nie jest miłością z teraz. Nie w tym kształcie, nie w tym zarysie.

Kłótnie niewinne, kłótnie mocne o coś ważnego, istotnego. Kłótnie o cokolwiek, żeby udowodnić to, czego się nie da udowodnić –

rację swoją, nie kogoś drugiego. Klótnie o nic. Klótnie niezaprzeczalne, obojętne, żeby zniszczyć kogoś drugiego. Sprawić, żeby czuł się gorzej. Gorzej niż my, zaraz po klótni, gdy już minie.

Teraz wystarczy impuls, żeby wojna zaczęła się na nowo.

Jeszcze się kochają, tak myślą, jeszcze coś do siebie czują, łudzą się. Jeszcze chcą walczyć o resztki tego, co w nich zostało, musiało zostać.

Stąd pomysł szalony, jego, jej, że muszą wrócić do miejsc, gdzie czuli się szczęśliwi, spełnieni. Tak idealnie wkomponowani w krajobraz, w dopasowanie miejsc. W niezależność czasu.

Pakują się, wyjeżdżają. Żegnają się ze znajomymi z pracy, z przyjaciół. Nie wiedzą kiedy wrócą, czy razem wrócą. Może innymi pociągami, innymi trasami, żeby już nigdy na siebie nie trafić.

Jadą do Wenecji, pływają po kanałach, w gondoli, chodzą pomiędzy kamienicami. W nocy przemierzają zagubione mosty jak duchy. Latarnie dają ciemne światło na ich twarze, ulice i kamienice.

Wino, restauracje, splecione ręce, seks mniej wymuszony niż kiedyś sprawiają, że kierunek ich drogi jest właściwy.

Potem jadą do Rzymu. Chodzą po Watykanie, po placu. Zwiedzają Forum Romanum, Koloseum. Oglądają kościoły, stare, znane, mniej znane, zapomniane. Siadają na Schodach Hiszpańskich. Ich nogi prowadzą do miejsc, gdzie turystów jest mniej – Rzym to wieczne miasto, wieczne zabytki, nie zawsze znane.

Poruszają się ulicami, co chwilę ktoś ich zaprasza do restauracji. Na wino, posiłek, obiad, kolację. Czasami korzystają, niekiedy nie i idą dalej przed siebie. Miejsca kojarzą, fontanny kojarzą, przeszłość kojarzą – nazwy uciekły im z głowy, dawno temu.

Wsiadają do metra, jadą kilka stacji dalej, od centrum. Do restauracji, gdzie kiedyś często bywali. Znajdują ją, patrzą z obawą. Zmienił się wystrój, właściciel, zapach tego, co tu kiedyś było, a teraz tego nie ma. Odwracają się, patrzą na siebie. Rozumieją, to co w nich było, umarło. Jak ta knajpka, to miejsce, te wspomnienia.

Mogą żyć ze sobą, nie będą już nigdy żyć ze sobą, jak kiedyś. Nie będą kochali się tak mocno, tak intensywnie, z taką zawziętością i klasą. Nie będą wierzyli, że są nieśmiertelni, że ich miłość jest bezgraniczna.

Coś, co nie jest zbyt mocne, jest byle jakie. Nie chcą bylejakości, nijakości, szarości w ich życiu.

Wracają innymi pociągami do domu. Już się nie widują, nie chodzą do tych samych miejsc, do wspólnych przestrzeni.

Po roku się spotykają, przypadkiem, prawie wpadają na siebie. Są zakłopotani, idą razem do restauracji. Piją wino, dużo wina. Zbyt mocnego.

Ich ręce nieświadomie się dotykają, splatają, i tak już zostają, do końca kolacji.

Kobieta mówi, że próbowała z kimś innym, nie wyszło. Ciągłe myśli o nim. Że go nie ma, że nigdy nie będzie.

Mężczyzna mówi, że kochał się czasami – różne kobiety, różne uczucia, odmienne ciała. Żadna z nich nie dała mu tego, co dała mu ona. Próbował żyć szybko, próbował żyć wolno – uciekał od ludzi. Nic nie pomaga.

Zaczynają się znów spotykać, powoli, dokładnie, bez pośpiechu. Niewinnie.

Poznają się na nowo. Po czasie odkrywają w sobie cechy, których nie spodziewali się, że mają, że mogą jeszcze mieć. Czas im pomaga. Zrozumieli, że miłość z przeszłości, może być miłością w przyszłości. Jeżeli zapomnimy co nas dzieli, co nas niszczy.

Kurtyna zasuwą się. Brawa, oklaski, aktorzy kłaniają się kilka razy. Potem ciemność i koniec. Ludzie wychodzą z sali.

- Dobra sztuka – mówi Chirurg. – Pełna nadziei.

- Tak – mówi Rzeźbiarka. – Nigdy nie jest za późno, żeby człowiek był szczęśliwy. Nigdy nie jest za późno, żeby coś, co było dla nas ważne kiedyś, stało się ważne teraz.

- Pewne uczucia nigdy w ludziach nie umierają. Nie znikają. Zapominamy o nich. Chowamy w zakamarkach duszy. Ale one są, i nic tego nie zmienia.

- Niekiedy wracają.

- Czasami nigdy nie wracają.

Całują się, żegnają. Rzeźbiarka wraca do siebie. Chirurg idzie do szpitala, na dyżur nocny. Ich cienie rozchodzą się, znikają, oddalają. Na jakiś czas.

Zbliża się wieczór, ciepły, wilgotny, wiosenny. Ptaki śpiewają na drzewach. Ich arie, głosowe przepychanki kto jest lepszy, kto piękniejszy ma ton, rozchodzą się niewidzialnie pomiędzy gałęziami.

Rzeźbiarka włącza telewizor. Przez chwilę coś w nim trzeszczy, coś się pojawia, znika, znów kolorowa barwa, jasność, dźwięk, który jest dopełnieniem ciszy, znikającej w przestrzeni domu.

Siada w fotelu, tuż na wprost ekranu. Obok na stoliku stoi ciepła herbata, z sokiem malinowym. Dym unosi się znad filiżanki, chwilę zastanawia się, gdzie uciec? dokąd zmierzać? lecz po chwili przemieszcza się w kierunku sufitu, rozdrabnia się, rozkłada na czynniki pierwsze, drugie – niewidzialne symbole ruchu – i znika. Rozpływa się w przestrzeni.

Zaczyna się program, ulubiona spikerka opowiada o krótkiej etiudzie filmowej. Kto ją nakręcił, kiedy i kim jest teraz. Omawia symbole filmu, niedociągnięcia spowodowane tremą, debiutem, brakiem dojrzałego spojrzenia na świat.

Rzeźbiarka kocha ten program. Ogląda go od zawsze, nawet wcześniej niż od zawsze. Przypomina jej, że nic nie bierze się znikąd. Że ludzie, którzy czegoś chcą, czegoś pragną, i są konsekwentni, mogą dojść tam gdzie chcą. Liczy się pasja i konsekwencja. Droga.

Bez drogi nie ma niczego, bez drogi nie ma nadziei.

Filmy są krótkie, często czarno-białe. Aktorzy, którzy w nich są, niekiedy krótko, na chwilę, teraz coś znaczą. Krótko może oznaczać dalej, jeśli czegoś mocno pragniemy. Jeśli dążymy.

Pierwszy łyk herbaty – miły, drugi łyk herbaty – bliższy, trzeci łyk herbaty – rozkładający myśli na ostateczne czynniki przyjemności.

Tramwaj jedzie po szynach pośród mgły. Biały smog miasta, jego esencja, zagubienie cicho ociera się o kształt tramwaju. W środku są ludzie, dużo ludzi. Większość młodzi, niespełnieni, gniewni. Jadą, nic nie mówią. Mowa to przeżytek, język ociera się o bezsens. Liczy się to co mają w rękach. A mają władzę. Dostęp do nieokreśloności, dostęp do wiarygodności. Siebie? Teraz tego nie wiedzą, będą znać odpowiedź później. W przyszłości.

Komórki, tablety, laptopy to ich świat, zagubienie. Wyzwolenie.

Klikają, sprawdzają, wysyłają. Starają się zrozumieć, czego się nie da zrozumieć – siebie poprzez ucieczkę.

Tramwaj jedzie wolno. Nikt nikogo nie zna, nikt nikogo nie chce znać. Nie zauważają twarzy, nie dostrzegają gestów. Niezauważalność – tego nauczył ich świat, tego nauczylili ich ludzie.

Liczy się ruch palców ręki. Prawdziwą wartością jest światło wydobywające się z przedmiotów – nie z przestrzeni, nie z ludzi.

Krajobraz rozmywa się w bieli. Nie widać dokładnie kształtów, ulic.

To nie ma znaczenia. Nie może mieć znaczenia. Liczy się światło i możliwość skierowania tego światła w dobrym kierunku.

Mężczyzna L. – młody, z lekką nadwagą, małą brodą z przodu mówi do Mężczyzny K.

- Dawno cię nie widziałem. Znikłeś po studiach.

- Gdzie pracujesz? – pyta Mężczyzna K.

- Duża firma, dużo ludzi, dużo pracy. Mam swój team. Robimy to co na studiach, za dobre pieniądze.

- A czas? Ile czasu zajmuje ci życie, ile czasu zajmuje ci praca?

- Duża firma to ogrom pracy. Staram się wychodzić przed dwudziestą. Nie wychodzić przed dziewiętnastą. Nie mam czasu dla siebie. Może kiedyś. Mój team się wciąż rozwija.

- Twoje życie się nie rozwija.

- Stoi w miejscu. To się zmienia, gdy coś osiągnę.

- Jeśli jednak nic nie osiągniesz. Ani kariery, ani rodziny. Nic ci nie zostanie.

- To się zmienia, gdy nauczę się pożytecznych rzeczy, żeby tam przetrwać.

- Kiedy nauczysz się pożytecznych rzeczy, żeby żyć? – pyta Mężczyzna K.

- Później, zdecydowanie później.

- Czas jest nieubłagany dla tych, którzy zostawiają pewne rzeczy na później.

- Czas przyszedł nie dotyczy wszystkich.

- Korporacje wysysają z ludzi najlepsze cechy. Zabierają wolność, nadzieję, złudzenia. Gdy siebie stracisz, pozwolą ci odejść. Gdzie wtedy pójdziesz? Bez nadziei każda droga prowadzi donikąd. Każda droga jest samotna.

- Będzie inaczej...

- Już jest inaczej. Tylko tego nie widzisz, nie chcesz widzieć.

Ludzie wciąż zanurzeni są w jasności ekranów. Mgła jest coraz gęstsza, intensywniejsza.

Motorniczy coś klnie pod nosem. Jest zrezygnowany, zmęczony. Ma dość złości w sobie. Rezygnacji.

- Tak nie może być zawsze – mówi suchym, obcym tonem.

Naciska mocniej pedał gazu. Tramwaj wyskakuje z szyn na zakręcie. Jedzie powoli z górki na dół. Ciężko, ospale, do przodu.

Ludzie nic nie widzą. Obserwują świat przez obrazy, zdjęcia, rozmawiają przez Internet. Tam jest życie, nie tutaj. Świat tutaj jest niezauważalny, świat stamtąd jest istotny, ważny.

Motorniczy uśmiecha się. Jego twarz się rozluźnia, odpręża, staje się spokojna. Zawsze chciał uciec, zrobić coś szalonego. Nie iść tam, gdzie idą inni, choć przez chwilę. Zamierzał uciec, ale nigdy nie wiedział dokąd.

Drzewa, łąka, krzaki poszarpane nierówno, trawa prowadząca tramwaj na dół, w kierunku jeziora. Mgła, która się rozrzedza, rozplywa, ucieka w kierunku nieba.

- Wolność – cicho szepcze do szyby Motorniczy. – W końcu wolność. Bezsensowna, ale wolność.

Czuje ciepło w sobie, radość i nadzieję. Takiej nadziei nigdy nie czuł, nawet w snach, nawet w marzeniach. Oddech też jest inny, świeży. Ma zapach wiary, że człowiek może wszystko, choć nie wszystko ma sens w człowieku.

Tramwaj jedzie jeszcze kilka metrów, traci prędkość, pęd, rozmach, zatrzymuje się na plaży. Na żółtym, jasnym piasku. Tuż przy brzegu.

Jego przednie koła dotykają jeziora. Ocierają się o jego bezruch, ciszę.

Motorniczy otwiera drzwi, wychodzi z kabiny. Mgły już nie ma. Z nieba wydobywa się jaskrawe światło słońca, schowane do tej pory za chmurami.

Podchodzi do jeziora. Obmywa sobie twarz wodą. Pot, zmęczenie, znużenie ulatnia się z jego oczu.

„Każdy choć raz musi zrobić coś szalonego – myśli. – Coś takiego, co zostanie w nas do końca. Coś co zmieni nasze życie, przynajmniej w środku”.

Ludzie budzą się z letargu. Wychodzą z tramwaju. Ich porządek został zburzony. Muszą wyłączyć komórki. Odnaleźć sens, myśli. Tak bardzo nie lubią rozbudzać myśli. Szukać ich na nowo. Budzić je, pomimo niechęci budzenia czegokolwiek.

Nie po to usypiamy rzeczy odległe, żeby po przebudzeniu okazały się bliskie.

Motorniczy siada na piasku. Z kabiny dochodzi do niego głos. Ostry, suchy, poszarpany. Gniewny. Nie reaguje, stara się odpłynąć w dal.

Czuje się dobrze, doskonale jak nigdy dotąd. Chce to co czuje przeżyć po swojemu. Wie, że nie będzie to trwało wiecznie, więc delektuje się tym co ma, całym sobą.

Ludzie chodzą wokół niego, brzęczą rękami, nogami, gestami nad jego głową. Jednak on jest daleko. Twarze się rozmazują, głosy są coraz bardziej odległe, zapomniane. Ta pustka, ta czystość w nim! Cisza, która przepelnia jego oczy.

Rzeźbiarka podnosi się z fotela. Gasi syczący telewizor. Obraz zamiera, tężeje, zmienia się w ciemność.

- Ludzie, gdy nic nie muszą, robią dobre rzeczy – mówi patrząc w okno. – Gdy już im na czymś zależy, gdy coś od czegoś innego jest uwarunkowane, świat się zmienia, ludzie się zmieniają. Zmienia się sens postrzegania świata, zmienia się obraz postrzegania ludzi.

Jedna ręka odgarnia rozłożyste liście tuż przy ziemi, szuka niecierpliwie tego, co ukrywa las. Druga, ta silniejsza, niczym szpieg, zwiadowca, może wróg, ukryty wirus zagęszcza pole naokoło pierwszej ręki. Skupia kształty kolejnych roślin wokół nóg Star(usz)ki.

- O, tutaj – cieszy się Star(usz)ka. – Czułam, że tutaj jesteś.

Podnosi brązowe liście do góry, przygląda im się uważnie, tak, że jej oczy na chwilę kamienieją, zanim staną się znów jasne, spokojne, ciche.

- To na gorączkę – Star(usz)ka chowa liście do bawełnianej torby, powieszonych luźno na ramieniu.

- Znasz las, znasz jego tajemnice i sekrety. Jego lekarstwa – mówi Rzeźbiarka. – Jego sny.

- Las to przestrzeń składająca się z wielu tajemnic – mówi Star(usz)ka. – Te, które poznałam są nieistotne, zarówno dla mnie jak i dla lasu. Dla ludzi też.

Idą dalej pomiędzy drzewami. Ich oczy skupiają się na ziemi, pochłaniają jej nierówności i zagłębienia. Niedopasowania.

- Niekiedy myślę, że las to skóra, która oddycha, żyje, chce być niewidoczna w swoim oddechu – mówi Rzeźbiarka.

- Las żyje poprzez zwierzęta, poprzez rośliny. Umiera przez ludzi.

Star(usz)ka znów się nachyla, klęka przy starym drzewie, z suchą korą, z pomarszczoną powłoką gałęzi.

- Tego szukałam – uśmiecha się, a jej nierówne zęby zmieniają kolory, znaczenie. – To na obłąd, szaleństwo. Gdy jest zbyt mocny, intensywny.

- Trudno to znaleźć?

- Ta roślina przemieszcza się. Raz rośnie tu, raz tam. Gubi ślady, rozmazuje się w cieniu lasu. Nie chce pomagać szalonym duszom. Rzadko potrafię ją odnaleźć. Niekiedy miesiącami jej nie dostrzegam. Unika mnie, tak jak ja unikam ludzi.

Z oddali słychać trzask łamanych gałęzi. Kroki, które idą gdzieś nieświadomie. Zbliżają się w kierunku kobiet.

Gdy wydaje się, że kroki uspokoiły swój ruch, napięcie, cisza uśpiła ich czujność, znów pojawiają się gdzieś obok, na skraju dużego dębu.

Stara kobieta w brązowej chuście na głowie, w zniszczonej ciemnej sukience idzie dalej, koło nich, przed siebie. Nie zauważa kobiet. Nie dostrzega nic koło siebie, nic za sobą, nic przed sobą. Z jej oczu ciekną łzy – ciepłe, gorące, intensywne.

Kobieta ich nie wyciera, nie walczy z nimi od jakiegoś czasu. Wie, że to nie pomoże, nic nie może jej pomóc. Łzy są dla niej jak oddech, jak sen, jak zapomnienie.

Znika pomiędzy jasnymi drzewami, z korą jaśniejszą niż inne drzewa, inne drogowskazy lasu.

- Umiera na płacz – mówi cicho Star(usz)ka.
 - Na ból?
 - Nie. Umiera na płacz – gorzko powtarza Star(usz)ka. – Czuję, że nic ją przed śmiercią nie uchroni. Nie zatrzyma już łez, nigdy.
 - Znasz ją?
 - Poznałam kiedyś. Niedawno, może dawno temu, może to było wczoraj. Na starość czas ucieka, rozmazuje się w jeden niewidoczny obraz, w nieokreślony czasem punkt.
 - Co ci powiedziała?
 - To, co musiała. To, co chciała komuś obcemu powiedzieć. Nie mogła dłużej tego nosić w sobie.
 - Niektóre ciężary są za ciężkie. Niektóre bóle są za rozległe na pustkę.
 - Usiądźmy – mówi Star(usz)ka. – Opowiem ci historię.
- Gdy już zadowoływały się na rozwalonym drzewie, gdy odłożyły torby na bok, na trawie, gdy słońce przemieściło się o kilka centymetrów dalej od nich, od ich rozmowy, po chwili stygnącej ciszy Star(usz)ka zaczęła mówić.
- Kobieta przeżyła wojnę w obozie. Widziała tam to, czego nigdy nie powinien widzieć żaden człowiek. Jednak walczyła, ocalała. Cała jej rodzina zginęła na wojnie. Została sama. Czuli się zniszczona. Opuszczona przez los, przez Boga. Jednak nie płakała. Nigdy nie uroniła żadnej łzy. Nawet w rozpacz, nawet w bólu.
- Rzeźbiarka słucha, nic nie mówi, czuje, że za chwilę usłyszy to, czego nie powinna nigdy usłyszeć. Historię kogoś, kto od zawsze skazany był na nieszczęście.
- Po wojnie trafiła do obozu na wschodzie. Żyła bo musiała, nie dlatego, że chciała. Nigdy nie płakała, nie użalała się nad sobą. Potem wróciła do Polski. Zniszczona, zmęczona, oddalona o setki kilometrów od swojej duszy, od swojego ciała.
 - Wciąż nie płakała?
 - Nie. Była zdziwiona, że człowiek potrafi tak długo nie płakać. Wyszła za męża, uwierzyła, że nieszczęście może zmienić się w szczęście. – Star(usz)ka wstaje na chwilę, patrzy na ciemną chmurę na niebie, potem znów siada. – Urodziła się córka, potem druga. Odzyskała wiarę, sens. Zakopała wspomnienia w ogrodzie duszy.
 - Była szczęśliwa?

- Krótko, zbyt krótko. Do miasta przyjechał cyrk. Jej mąż uciekł od niej z akrobatką. Tak bez powodu. Napisał, że zakochał się. Sam tego nie rozumie, ale to jest silniejsze od niego. Od miłości do niej, do córek.

- Nigdy do niej nie wrócił?

- Nigdy. Kobieta sama wychowywała córki. Jednak jedna, ta młodsza, podczas powrotu z wakacji, pierwszych jej wakacji nad morzem, wypadła z pociągu. Ktoś ją wypchał. Umarła na miejscu.

- Rodzice nie powinni widzieć śmierci swoich dzieci. Wtedy umierają wraz z nimi, choć pozornie wciąż żyją. Oddychają.

- Gdy stała nad grobem, gdy ciało córki zniknęło już w ziemi, wciąż nie mogła wydobyć łez z siebie. Zaskoczyła ją ta prawda. Nie potrafiła płakać nad sobą, nie potrafiła płakać nad innymi.

- Podniosła się?

- Musiała. Była druga córka. Pomagała jej, oddała jej całe swoje życie.

- Nieszczęśliwe życie.

- Córka wyjechała za pracę. Do Anglii. Zakochała się. Zapomniała o matce, przestała odpowiadać na listy. Po kilku latach napisała jeden, ostatni list. Napisała, że żeby coś zacząć, musi coś skończyć. Wspomnienia zabijają szybciej niż śmierć, boleśniej niż życie.

- Została sama?

- Załamała się. Podczas kolejnej bezsennej nocy łzy zaczęły same z niej płynąć. Na początku małymi falami przez kilka dni, miesięcy. Potem niczym rzeka zaczęły uciekać z niej ciągle, nieustannie. Za dnia, w nocy, podczas snu. Uciekały z duszy, ze wspomnień, z jeszcze niezastygłych cierpień wojennych. Czuła się coraz słabsza. Nie wiedziała kiedy jest dzień, kiedy noc. Łzy zacierały całe postrzeganie świata. Przez łzy widziała miasto, ulice, sny, wspomnienia, noce, koszmary. I wtedy spotkała mnie. Spytała, czy mogę jej pomóc. Nie mogę, odpowiedziałam. Zobaczyłam w jej oczach noc, ciemność. Nie rozumiała, że czas jej się kończy. Że będzie coraz słabsza. Dzień stanie się nocą, noc dniem. Łzy nie pozwolą jej dokładnie rozróżnić pór roku, faz dnia, fragmentów nocy. Pokruszą codzienność, podzielią ją na kawałki, roztopią lód i usuną w niepamięć.

- Umiera na płacz – mówi gorzko Rzeźbiarka.

- Tak, umiera na płacz. I nie wiem, jak jej to mam powiedzieć.

Rzeźbiarka patrzy na Bankowca z radością w oczach. Z rozba-
wieniem. Jej źrenice mają smak szczęścia, zapach wyzwolenia.

- Co robisz?

- Skaczę pomiędzy cieniami, nawet nie pomiędzy cieniami, po-
między jasnością, która skulona jest w cieniu.

- Gonisz za czymś czego nie ma, czego nie da się złapać, za
czymś co jest niemożliwe.

- Każdy goni za niemożliwym. Nieosiągalnym. Bez gonitwy nic
nie ma sensu. Szczęście. Radość. Ból.

Bankowiec podskakuje nogami, stopami na ciemne plamy za
drzewami, krzakami, gałęziami.

- Zbieramy grzyby, czy uciekamy od grzybów? – pyta Rzeźbiar-
ka.

- Uciekamy od szarości – śmieje się Bankowiec.

Rzeźbiarka wkłada kolejne zdobycze do wiklinowego koszyka.
Pod palcami czuje, że kosz jest prawie pełny. Nie musi na niego
patrzeć, czuje. To ważne, pewne rzeczy czuć, nie rozumieć.

Patrzy na Bankowca, następuje w nim jakaś dziwna zmiana. Stoi
spięty, napręża się jego ciało, gęstnieje mrok w jego oczach, w spoj-
rzeniu, a potem niczym mechaniczna maszyna zaczyna iść przed
siebie.

- Gdzie uciekasz?! – krzyczy Rzeźbiarka.

Bankowiec nie reaguje, szybkim, pospiesznym krokiem przeska-
kuje przez nieduży strumyk wpływający do jeziora. Rozgląda się na
boki, czujnie, w skupieniu i niczym rozlana woda przenika dalej
szarość lasu.

Rzeźbiarka biegnie za nim, koszyczek wypada jej z rąk. Stara się go
dogonić, chwycić w ramiona, obudzić ze snu.

- Stój! – krzyczy. – Zatrzymaj się choć na chwilę! Dla siebie! Dla
mnie!

Bankowiec zbliża się do jeziora. Staje na jego brzegu, dotyka rękami
wody. Jego usta są spięte, naprężone, ściśnięte.

Wstaje, idzie dalej wzdłuż brzegu. Nie słyszy krzyków za sobą,
przed sobą, koło siebie. Liczy się ucieczka, stan pomiędzy duszą a
ciałem. Być czy nie być, być czy istnieć? Może zapomnieć.

Zza krzaków wychodzi jeleń z dużym rozłożystym porożem. Prawie wpadają na siebie. Jeleń staje, Bankowiec zatrzymuje się. Patrzą sobie w oczy. Chwilę, sekundę, może minutę – czas staje w miejscu. Jeleń wolnym krokiem, ruchem swoich kopyt zanurza się w ciemność lasu.

Bankowiec zmęczony ucieczką siada na kamieniu, tuż przy brzegu, przy granatowej poświacie jeziora.

Ktoś go dotyka, odwraca głowę. Patrzy nieprzytomnie na twarz koło siebie. Jego oczy odzyskują dawny blask, zapomnianą świeżość.

- Co tutaj robisz? – pyta zdziwiony.

- Nic – uśmiecha się Rzeźbiarka, troskliwie przytula się do jego twarzy. – Nic. Po prostu siedzisz i myślisz.

Z jej oczu płyną łzy. Niczym rzeka, wodospad spływają na dół po nierównych policzkach.

- Myślałam, że cię stracę – mówi drżącym głosem Rzeźbiarka. – Uciekłeś znów tam, gdzie nie mogę cię odnaleźć, gdzie nie mogę ci pomóc. Nie znam dróg do tamtego świata. Do odległych wspomnień.

- Pamiętam obrazy, widzę ludzi. Świat inny, obcy, lecz bliski. Ludzie stamtąd są dla mnie coraz bardziej bliscy. Starają się mi pomóc, tam, nie tutaj.

- Ostatnio nic ci się nie działo – mówi Rzeźbiarka. – Nie uciekałeś nigdzie, nie musiałeś. Myślałam, że cię wyzwoliłam od obrazów, wspomnień.

- Przy tobie się uspokoiłem. Nie boję się czasu. Jego bicia na alarm, gdy ucieka zbyt szybko.

- Bywasz między dwoma obszarami czasu. Czas tu, czas tam. Każdy jest inny, każdy niepewny.

- W którym mam zostać?

- W żadnym. Zostań ze mną. Zostań tam, gdzie ja jestem. Jeśli będę tam, bądź tam ze mną. Jeśli tu, bądź tutaj ze mną. Dzięki mnie zorientujesz się, gdzie jest życie prawdziwe. Gdzie jest życie twoje.

Bankowiec klęka na piasku. Jego głowa chowa się, maleje, kurczy, potem opada na kolana Rzeźbiarki.

Rzeźbiarka zaczyna go głaskać. Jej palce rozczesują jego jasne, krótkie włosy. Oddech Bankowca uspokaja się, zamiera. Jego serce

odzyskuje dawny spokój. Nie pędzi bez pamięci jak koń wyścigowy na torze.

- Opowiem ci, co tam widziałem.
- Jeśli chcesz. Jeśli musisz – mówi Rzeźbiarka.
- Chcę zrozumieć siebie poprzez sen, w którym uczestniczę. Muszę uczestniczyć.
- Nie wiem, czy ci pomogę. Czy mogę ci pomóc.
- Gdy będziesz ze mną, gdy wrócę tam jeszcze raz, gdy oni zrozumieją, że jestem tam przypadkiem, przez pomyłkę, odejdą na zawsze. Zostawią mnie.
- Wspomnienia nigdy nie zostawiają nas samych. Tak, jak źli ludzie.
- Wspomnienia można zabić, zniszczyć, spalić. Ludziom tego nie zrobisz. Nie możesz, nie potrafisz.
- Opowiadaj – Rzeźbiarka podnosi jego głowę wyżej. Chce zobaczyć życie w jego oczach.

Droga się kręci, wiję, poniewiera. Piasek, jego okruszki, pył który unosi się, opada, zaciera w powietrzu, w słońcu, jego tęsknocie i temperaturze, jest wszędzie. Pustynia, pusta droga, kamienna gdy się już pojawia, by po chwili znów zniknąć, przemienić się w ślepy trakt bez nadziei, bez szans, ciągnie się w nieskończoność.

Nieskończoność to najlepsza nazwa tego miejsca. Nieskończoność piasku, drogi. Nieskończoność sił, których granice zacierają się tam, gdzie następuje niemożność, upadek, zniewolenie ciała i duszy.

- Zgubiliśmy się – mówi ciężkim, suchym głosem Anna. – Nie wiem gdzie idziemy, gdzie dojdziemy.

- Mapa – Szymon patrzy pustym, obojętnym wzrokiem na kartki papieru ze znakami, drogami, drogowskazami. – Kto je robi. Ludzie, którzy nigdy nie ruszyli się z miejsca. Poznali szlaki z perspektywy pomiarów, skali, zdjęć.

Wokół nich coraz bardziej gorący piasek, nieprzystępny, suchy. Pojedyncze kaktusy, nieliczne drzewa, umarłe kamienie.

- Ile już idziemy? – pyta Anna.
- Kilka godzin.

W oddali widzą miasto, mury obronne, duże, poszarpane czasem, przyrodą, deszczem, który bywa tu rzadko, niekiedy raz do roku.

- Widzisz – Anna pokazuje palcem jasne wapienne budynki.
- Obraz się rozmazuje, załamuje, drga – odpowiada coraz ciszej, słabiej Szymon. – To fatamorgana. Widzimy to, co chcemy, nie to co jest, czego możemy dotknąć.

Idą w kierunku miasta. Budowla, jej kontury, zarysy, jej suchy smak zbliża się powoli w ich kierunku.

Gdy dochodzą do bramy, która nie ma już drzwi (zostały tylko drewniane zawiasy, wiszące niczym wstążki na wietrze – zniszczone, potargane), widzą człowieka. Wychodzi z miasta. Za nim słychać krzyki.

- Nigdy tu nie wracaj!

- Nikt nie potrzebuje ludzi, którzy mówią innym, jak żyć!

- Nigdy więcej nie niszczyć spokoju, naszego, twojego!

Mężczyzna odwraca się w kierunku pustki za nim. Poprawia długą szatę, białą, aż do kostek, która zatrzymuje się tuż przy sandałach ze skóry, teraz już popękanej. Jego prawa ręka zaciska się na grubym, szarym sznurze owiniętym wokół bioder. Zaczyna mówić, głośno, tak donośnie, żeby ci, co są niewidoczni, skapani w niewidzialności mogli go usłyszeć, zrozumieć.

- Spotka was kara! Za życie, które do niczego nie prowadzi! Za traktowanie uczuć jak przedmioty, które są niepotrzebne, zbyteczne!

Mężczyzna rusza wolno, ciężkim krokiem przed siebie. Okrzyki, obelgi milkną, znikają w żarze dnia.

Mijają się w ciszy. Patrzą na siebie w zamyśleniu. Anna chce coś powiedzieć, zrozumieć, jednak słowa zamierają jej w ustach. Nic nie może wydobyć się z jej ciała – żaden wyraz, dźwięk, gest.

Gdy mężczyzna jest daleko odwraca się w ich kierunku, patrzy na nich w skupieniu, tak ściśle, dokładnie, że Anna i Szymon czują coś w środku. Jakiś skurcz, bezład, niemożność zatrzymania tego co się stanie, co musi się zdarzyć, pomimo prób, żeby się nigdy nie zdarzyło.

- Żeby się zmienić, musimy coś przeżyć. Żeby zrozumieć, musimy coś poczuć. Żeby coś dostrzec musimy pokonać siebie, oszukać czas, który nieustannie w nas płynie – mówi mężczyzna, potem się odwraca i odchodzi, znika w oddali. Rozpływa się w piasku, w bieli, w nienaruszalności czasu pustyni.

Wchodzą nieśmiało do miasta. Nie widzą ludzi, twarzy. Czują obecność, zapach obcej skóry, dotykają napięcia, które tutaj jest, gdzieś mieszka pomiędzy murami, cieniami, słońcem.

Mijają kolejne ulice, zaułki schowane w cieniu, w szarości. Budowle są jasne, zbudowane ze skał, z wapiennej zaprawy wymieszanej z bezkształtnymi kamieniami. Gdzieś widać drewniane bale stopione z murami. Są jak wsporniki trzymające wszystko w ryzach, w jednej całości, w dużym kształcie rozczepionym na mniejsze odłamy.

Mury są blisko siebie, prawie się dotykają. Cień jest zawsze pomiędzy ulicami. Są jak mąż i żona, blisko a jednak daleko. W innych światach, niekiedy tylko połączonych ze sobą. Gdy muszą, gdy chcą, gdy lata spędzone razem ich jeszcze nie zniszczyły.

Domy nie mają okien. Puste otwory, otwarte rany, wgłębienia w tajemnice miasta poddają się nieustannie wiatrom, ich sile, ich szorstkiemu zakłamaniu. Wydaje się, że wiatr jest jedynym słusznym właścicielem tej okolicy.

Gdy Anna dochodzi do centrum, do placu, gdy Szymon patrzy zdziwiony na umierającą fontannę bez wody, na duży amfiteatr tuż za nią, teraz pusty, ze sceną, z siedzeniami piętrzącymi się łagodnie do góry, ludzie niczym duchy wynurzają się z zakamarków miasta.

Podchodzą do nich, dotykają ubrań, włosów. Uśmiechają się, są życzliwi.

- Zmęczeni – mówi kobieta o jasnych włosach.

- Tak.

- Rzadko ktoś tutaj trafia. Tego miasta nie ma na żadnej mapie. Coś, czego nie ma na mapach nie istnieje, nie może istnieć – śmieje się wysoki, barczysty mężczyzna.

- Zapraszam do mnie – mówi kobieta o jasnych, długich włosach.

– Mam na imię Miriam.

- Anna, a to jest mój chłopak Szymon.

Wchodzą do niskiego budynku. W środku jest skromnie, kilka mebli, starych, drewnianych, jakaś półka na ścianie, na niej gliniane garnki. Dywan z boku, tuż przy oknie, niczym łóżko do spania, do siedzenia.

Po chwili dostają wodę, w małych brązowych kubkach, popękanych od góry. Na drewnianej misce, półokrągłej pojawiają się banany, pomarańcze, chleb, jeszcze ciepły, pszenney.

- Smacznego.

Jedzą w ciszy, w skupieniu. Słowa same cisną im się na usta, lecz Anna czuje, że to oni muszą zacząć, nie ona, nie on.

Anna spogląda na ściany, są popękane, zniszczone. Sieć złamanych kształtów, pajęczyna odprysków tworzy na nich mapę świata – dalekiego, odległego. Świata, który nie istnieje, nie ma go na żadnej półkuli, w żadnym atlasie geograficznym. Ład odległy dla zwykłego człowieka. Świat duchów, demonów, aniołów.

- Smakowało? – pyta Miriam.

- Tak – odpowiada Anna. – Za długo w drodze, za długo w zmęczeniu przebywaliśmy.

- Zagubione dusze, w zagubionym mieście. Tutaj nikt nie trafia bez powodu. Ktoś kto chce tutaj przybyć, nigdy tu nie trafi, ktoś kto niczego nie szuka, musi tu trafić.

- Jak tu można żyć? Na pustyni, bez śladów cywilizacji. Nowej cywilizacji.

Miriam wstaje, jej oczy skupiają się na ich zmęczonych twarzach, a potem mówi:

- Pokażę wam coś. Coś, co ma dla nas istotne znaczenie. Bez tego nic nie może tutaj istnieć.

Idą pomiędzy ulicami. Kluczą, błędzą, zmieniają kierunki. Anna dotyka suchych murów rękami, palcami. Czuje jakie są zmęczone, zniszczone czasem, który przenika je coraz dotkliwiej. Mocniej.

Suche, mdłe powietrze, gorące ziarna piasku poruszane przez wiatr, docierają do skóry Anny. Ocierają się o nią, tulą nieświadomie i zaczynają mieszkać w jej wnętrzu. Osobowości.

Docierają na skraj miasta. Pod ich nogami (stoją na dużej skale), na samym dole widać ogromną oazę. Rozłożyste jezioro niczym plaster miodu rozlany na stole, błyszczy granatowym blaskiem. Wokół niego, we wszystkich kierunkach, poprzecznych, wzdłużnych, prostopadłych widać drzewa, a za nimi pola uprawne pełne zboża i gajów oliwnych.

- Zdziwiona – uśmiecha się policzkami Miriam.

- Tak – oczy Anny mają zapach, smak zaskoczenia. – Jak to odkryliście?

- Kiedyś, kilka lat temu przybyliśmy tutaj przez przypadek. Tak jak wy byliśmy bez nadziei. Snuliśmy się bez sensu, bez wody, bez wiary. Bez wody można żyć jakiś czas, bez wiary umiera się od razu. Chcieliśmy być wolni, kochać wszystkich, czuć miłość do każdej istoty. Dlatego uciekaliśmy od cywilizacji. Szukaliśmy lądu, jakiejś wyspy, prawdy.

- Od razu była tutaj woda?

- Nie trafiliśmy na nią na początku. Błąkaliśmy się po mieście jak opuszczone, bezpańskie psy. Bez właściciela, bez miejsca gdzie można żyć. Po kilku dniach, po przeczesaniu miasta, selektywnie, ulica po ulicy znaleźliśmy to miejsce. Wszystko się zmieniło.

- I tak żyjecie do dziś.

- Tutaj każdy jest wolny. Kocha kogo chce, żyje z kim chce. Myśli jak chce. Nie ma żadnych praw i nakazów oprócz jednej zasady. Nie krzywdzić innych.

- Jak hippisi – mówi Szymon.

- Jak ludzie wolni.

Schodzą na dół stromymi schodami w skale. Gdy są na dole patrzą na palmy, które rosną jedna przy drugiej. Widzą banany u podnóża nieba, pomarańcze, figi, daktyle, krzaki winogron.

Wskakują do wody, pływają, aż tracą oddech i pamięć na chwilę. Czują, że są wolni, nic nie muszą, nic nie pragną.

Potem odpoczywają na brzegu. Ich oddechy odzyskują dawny spokojny pęd, ruch ostateczny.

- Jak w raju – mówi Szymon.

- Raj tworzymy sami, w środku nas – mówi Miriam. – Gdy nie mamy raju w sercu, nigdy nie będziemy mieli raju w życiu. Burza zniszczy każdy port, nawet najbezpieczniejszy.

Wstają, wracają do miasta. Słońce zaczyna chować się za horyzontem. Znika powoli, ostatecznie, bez skrępowania.

Znów kluczą pomiędzy cieniami ulic. Cień to przyjaciel miasta, nauczyciel ludzi. Jak mają żyć, w miejscach gdzie nie da się żyć.

Wchodzą do domu Miriam. Po chwili oliwne lampki zaczynają płonąć w zakamarkach pokoju.

- Tutaj możecie spać – mówi Miriam. – Zostańcie ile chcecie, ile możecie. Gdy wrócicie musicie zapomnieć o tym miejscu.

- Dobrze – Szymon kładzie się spać.

- Dobranoc – Anna zamyka oczy i już śpi. Tyle wrażeń, tyle dróg, tyle martwych ścieżek wokół nich.

Rano budzą się nieświadomie. Przez chwilę walczą z niewiedzą, gdzie są? co tutaj robią? co to za miejsce? Myśli składają we wspomnienia, wspomnienia w obrazy i już wiedzą, odnajdują fragmenty, małe cząstki wczorajszego dnia.

Przez kilka dni chodzą po mieście, zanurzają się w ulice, które zaczynają rozpoznawać, nazywać po swojemu, a potem wracają do miejsc gdzie teraz żyją, gdzie śpią.

Rozpoznają twarze ludzi, wiedzą, że nie jest ich tak dużo jak myśleli na początku. Są jak duchy, niewidoczne, niezauważalne, jednak odczuwalne.

Rozmawiają z nimi, zauważają, że łączą się w pary na jakiś czas. Gdy coś się w nich zmienia, odchodzą od siebie, do kogoś innego. Nikt nie krzyczy, nikt nie lamentuje.

Człowiek może być z innym człowiekiem kiedy chce, kiedy tego potrzebuje. Człowiek nie musi być z kimś innym z przymusu, z przyzwyczajenia, z wygody. Odchodzi, nic nie mówi, idzie dalej do przodu.

Annie się to nie podoba. Ucieczki do kogoś innego, gdy coś się kończy, nie kończą się nigdy. To ucieczki donikąd.

- Nie mów tego na głos, jesteśmy gośćmi – mówi Szymon. – Nie rani się gospodarzy, gdy się u nich mieszka. Nie rani bez powodu.

Którejś nocy Anna zauważa jak Miriam płacze w kącie. Podchodzi do niej cicho, żeby jej nie spłoszyć. Jej kroki poruszają się jak szepty słów, które nigdy do końca nie są powiedziane. Siada w milczeniu tuż koło niej.

Miriam jest zakłopotana. Ściera ukradkiem wilgotną łzę z policzka. Promyk światła rozjaśnia zranione oczy.

- Przepraszam. Nie powinnam płakać. Tutaj tak się żyje. Zgodziłam się na to. Wszyscy się zgodzili.

- Zawsze możesz odejść. Wrócić do siebie.

- Dawnego świata nie ma, nigdy nie było – Miriam się uspokaja, mówi ciszej, jakby każde słowo mogło gdzieś uciec, zniknąć, zła-

mać się na pół i stracić swoje pierwotne znaczenie. – Odszedł. Zniknął. Ludzie odchodzą do innych ludzi, przy okazji raniąc bliskich ludzi.

Anna ją obejmuje, przytula się do jej drżącego ciała. Przez chwilę zastygają w uścisku, zamierają razem, łączą się w bólu a potem Anna zaczyna mówić:

- Wolność to nie jest ucieczka jednych ludzi do drugich ludzi. Wolność nigdy nie powinna być raną jednego człowieka zadaną przez drugiego człowieka.

- W tym mieście miłość ma inne znaczenie. Pojawia się, znika, odchodzi w innym kierunku. Pozostawia łzy, ukryte rany. Niewidoczne, bolesne.

- Co zrobisz?

- To co on, znajdę sobie kogoś innego. Jestem atrakcyjna. Pokocham kogoś, za to, że ze mną będzie.

- Na jakiś czas – smutno mówi Anna. – Widzę, że w tym mieście wszystko jest na jakiś czas. Wolność. Miłość.

- Nie oceniaj nas surowo – mówi drżącym głosem Miriam. – To inny świat. Niezrozumiały. Niewidoczny.

Za oknem, za otworem bez szyby widać jasną komętę. Zmierza w kierunku ziemi. Łuna tuż za nią, niczym dywan ciągnie się w nieskończoność. Uderza w oddali o ziemię. Płomienna jasność unosi się do góry i zmierza w kierunku miasta. Przenika budynki, śpiących ludzi i znika.

Miriam patrzy na Annę. Z jej ciała nie może zniknąć światło komety. Wygląda jak uśpiona latarnia, która się tli, żeby znów, kiedyś w nocy zacząć świecić intensywniej.

Anna zerka na swoje ręce. Promieniują pulsującymi odbiciami światła. Mienia się, uciekają w mrok, rozpraszają w ciemności.

Miriam ją delikatnie, z czułością, z lękiem dotyka. Cząstki jasności, połamane fragmenty chwilę tańczą na jej dłoniach a potem znikają w oddali.

- Dziwne – mówi Anna.

- Jakieś zjawisko – mówi Miriam. – Nieokreślone. Niezbadane.

- Człowiek, który wychodził z miasta mówił o klątwie. Dzisiaj mija siódmy dzień od jego wygnania.

- To szalenie. Chciał nas zmienić. Nie można zmieniać ludzi na siłę. Zamykać im oczy i otwierać na nowo. Zmuszać, żeby żyli inaczej. Niektórzy nie umieją żyć inaczej niż żyją. Nie potrafią się zmienić pomimo prób. Ich życie to nieustające próby, zmiany. Bezowocne. Na końcu i tak zostają sobą.

Anna znów patrzy na swoje dłonie. Światło znika, ciemnieje, chowa się w mroku pokoju.

- Koniec jasności w moim życiu – mówi Anna. – Jedynej prawdziwej jasności jaką miałam w sobie.

Zasypiają. Ich oddechy miarowo tańczą w coraz zimniejszym powietrzu na pustyni.

Anna przeciąga się w łóżku. Jest późno, czuje to. Wstaje, budzi Szymona. Nic nie mówi o wczorajszej nocy, o jasności, komecie, płaczu Miriam.

Za oknem czuje napięcie. Słyszy podniesione głosy kobiet, mężczyzn.

Wchodzi Miriam do pokoju. Patrzy na nich przerażona, zdeorientowana.

- Musimy wyjść, coś wam pokażę.

Wychodzą na rozgrzaną ulicę. Anna jest zdumiona, zaskoczona.

Słońce jest wysoko, unosi się jak zawsze, jego ciepło dociera do ziemi, murów, skupia się na ludziach na ulicy.

Jednak ulice, pomimo bliskości budynków, domów nie mają cienia. Całe zanurzone są w promieniach słońca.

- Gdzie jest cień? – pyta Anna.

- Zniknął – mówi drżącym głosem Miriam. – Popatrz na siebie, na mnie, nie mamy swojego ciemnego odbicia na ziemi.

Anna obraca się wkoło osi swojego ciała, czuje, że czegoś nie ma, że coś straciła. Jakaś część jej zniknęła bezpowrotnie. Rozpłynęła się w nocy.

Miriam stoi bezradna na ulicy. Cała skąpana jest w deszczu promieni.

- Pokażę wam oazę – idą w kierunku kresów miasta.

Ludzie, którzy ich mijają, patrzą bezradnie za siebie. Łudzą się, że cień się pojawi, gdy go zaskoczą niespodziewanie. Idą, nagle się odwracają, znów ruszają przed siebie. Wszyscy tak czynią. Całe

miasto wygląda jak brzęczący ul, który się rusza, krąży, tańczy wokół siebie.

Dochodzą do oazy. Patrzą z góry na dół. Nie ma jeziora. Duży otwór po komecie przeży się, napręża, chce wybuchnąć, uciec do góry.

- Nie ma wody, jeziora – mówi Miriam. – Drzewa jeszcze są, żyją, lecz bez wody zginą. Wszyscy zginiemy.

- Kłątwa? – pyta Anna.

- Przeznaczenie – odpowiada Miriam.

Anna i Szymon przez tydzień błakają się po mieście. Przyzwyczaili się do braku odbić za sobą, przyzwyczaili się do jasności tam, gdzie powinna być ciemność, nie przyzwyczaili się do nagłej nerwowości ludzi, którzy tutaj mieszkają.

Mieszkańcy chowają się po domach w ciągu dnia. Nie ma cienia, nie ma życia. Teraz, po czasie boją się patrzeć za siebie. Nie chcą, nie mogą.

Rozdrażnienie jest coraz bardziej widoczne na ich twarzach w nocy, gdy pojawiają się z lękiem na mieście. Dotykają rękami murów, które stygną po gorącym dniu. Chcą zbliżyć się do cienia, który teraz jest tylko mrokiem nocy. Oddechem księżyca.

Nie rozumieją, że coś się kończy. Oaza umiera. Drzewa walczą ostatkiem sił z przyrodą. Nie ma wody, nie ma życia.

Zapasy zaczynają się kończyć, woda też.

- To wasza wina – padają oskarżenia w kierunku Anny i Szymona. – Gdy przybyliście tutaj, wraz z wami wróciła zapomniana klątwa.

- To nie jest ich wina – broni swoich gości Miriam. – To kara, że tak żyjemy.

- Gdzie jest miłość człowieka do człowieka? – pyta Anna z niesmakiem, gdy mieszkańcy czują się zbyt pewnie i zaczynają mówić do nich, nie do ich pleców. – Gdzie wasza wolność?

- Sprawiliście, że to miasto umiera. My umieramy – słysząc odgłosy tłumu.

- Gdzie mamy odejść, nikt z nas nie ma domu. To przez was, przez wasze niecierpliwe spojrzenia! – krzyczy ktoś inny.

W nocy, gdy miasto zasnęło znużone niemocą dnia, nad ranem, Anna i Szymon pakują się i wychodzą przez bramę z miasta. Żegna

ich tylko Miriam. Przytula się mocno do Anny, podaje lekko rękę Szymonowi.

- Dziękuję, że byliście ze mną w ostatnim okresie. Pokochałam was jak rodzeństwo. Zagubione dusze zawsze ciągną do innych zagubionych dusz. Znajdują się wtedy, kiedy muszą, wtedy, kiedy mogą.

- Jeszcze się odnajdziemy – mówi Anna. – Wracaj z nami.

- Wciąż tutaj jest mój dom. Tutaj jest moja rodzina. Potrzebują mnie. Nie opuszcza się bliskich, gdy niemożność nie zmienia się w nadzieję.

Anna i Szymon znikają w ciemności. Ich kształty rozmazują się w powietrzu. Jeszcze przez chwilę Miriam widzi ich zarysy, słyszy ich kroki, potem następuje bezbronna pustka pustyni...

Rzeźbiarka podnosi z piasku Bankowca. Patrzy czujnie mu w oczy. Chce dojrzeć w nich świat, którego nie zna, który jeszcze jest w środku, widoczny w jego spojrzeniu.

- Wracamy – mówi do niego.

Patrzą na jezioro, na łabędzie pływające koło wyspy.

Wchodzą na drogę w kierunku miasta.

- Odprowadzę cię do domu – mówi Rzeźbiarka.

- Jestem szalony? Czy tylko czasami przebywam w szalonym świecie?

- Jesteś mój. Szaleństwo to tylko dodatek do tego m ó j.

Z oddali, zza lasu, koło jeziora, na polanie słychać dźwięki, słowa, śpiewy. Ich rytm, natężenie, esencja mieszają się z ciepłym powietrzem dnia.

Rzeźbiarka wychodzi z domu. Podąża za śpiewem, za jego barwą i tonacją. Zatrzymuje się na wzniesieniu. Przeciera oczy, słońce rozprasza w niej ostrość postrzegania świata.

Dostrzega wozy kupieckie, tak to widzi, dostrzega konie zmęczone, powoli gryzące zieloną trawę, tak to widzi, dostrzega ludzi z rękami wzniesionymi ku górze, tak to widzi.

Cała polana wypełniona jest szarymi postaciami. Kołyszą się, śpiewają, tańczą, podnoszą swoje ciała wyżej i wyżej, potem ich cienie, odbicia opadają na dół i tak w koło. Na przemian.

„Żydzi – myśli Rzeźbiarka. – Tutaj? Teraz? W takiej postaci, w takim wymiarze?”

Rzeźbiarka wyteża wzrok mocniej, silniej, intensywniej. Pośród kołyszących się cieni zauważa kogoś znajomego. Czyjaś twarz rozpoznaje, mierzy dokładniej wzrokiem. To Jakub z miasta. Ma sklep z tkaninami. Czego on tam nie ma. Różne wzory, kolory, barwy. Inna miękkość materiałów, inna niż wszystko wokół. Te zapachy, gdy tam się wchodzi. Przenikają, zniewalają, zabijają człowieka. Robią przyjemną pustkę w sercu.

Jakub ma czarny kapelusz na głowie, lekko pomięty, sfatygowany czasem. Biała koszula wilgotna, spocona, zmęczona przylega mu do ciała niczym deszcz w nocy. Ciemny, prawie czarny płaszcz kołysze się na boki, faluje, zmienia swój horyzont i kształt. Pejsy, ani długie, ani krótkie, takie zmęczone niewyraźnością czynią wokół jego twarzy, policzków, szyi koła, okręgi, jeziora.

Rzeźbiarka chwilę na to patrzy, ocenia co widzi, czego nie widziała dotychczas, tylko w filmach, potem wraca do domu.

„Dziwny jest świat – myśli. – Dziwni są ludzie, którzy ten świat tworzą. Kreślą swoimi zaletami i wadami. Pragnieniami”.

Następnego dnia Rzeźbiarka idzie do miasta. Skręca pomiędzy zniszczone kamienice, w boczną murowaną ulicę, wchodzi do sklepu Jakuba.

Od razu, tak znienacka zapach tkanin ją obezwładnia, usypia, odpręża. Przez chwilę przestaje oddychać, kamienieje na twarzy, nieruchomieje jej oddech, potem zamyka oczy, na sekundę, żeby uciec od siebie, od świata.

- Witam – mówi ciepłym głosem Jakub. – W czym mogę pomóc?

- Rozmowę – uśmiecha się Rzeźbiarka. – Odpowiedzią.

- Świat to ciągle pytania – uśmiecha się Jakub. – Pytania bez odpowiedzi.

Słowa, zdania, obrazy z wczoraj wychodzą ustami Rzeźbiarki. Jakub słucha, kiwa głową, zastanawia się. Jego ciało krząta się pomiędzy materiałami. Potem mówi:

- To co pani widziała to tradycja. Odległa, ale tradycja. Te konie, wozy, ubrania to świat dawno zapomniany. Teraz już nikt tak nie wędruje. Nie musi, nie może. Już nie musimy nigdzie uciekać.

Przywiązaliśmy się do miejsc, do cieni, które te miejsca tworzą, dotykają. Szepczą im codzienną pieśń istnienia.

- To pana rodzina?

- Tak. Raz do roku uciekają od codzienności, nawyków, przyzwyczajeń, bezpieczeństwa. Stają się inni, dla siebie, dla innych.

- Zaskakujące jest to, co widziałam.

- Ludzie nas ciągle zaskakują. Niekiedy nawet bardzo. Opowiem pani historię, która kiedyś się zdarzyła.

Wozy wypełnione towarami, ludźmi, śpiewami jadą przez kolejne biedne wioski. Mijają płoty, stare zniszczone chaty, rozpadające się stodoły, szopy, ocierają się o niepewne zaskoczone twarze i wciąż jadą przed siebie. Zatrzymują się co jakiś czas, na dzień, może dwa, a potem znów koła ruszają polnymi drogami.

Za wozami idzie tłum ludzi, biednych, niekiedy zamożnych. Pośród tłumem są kobiety i mężczyźni. Młodzi, starzy, dumni, pełni nadziei. Nadzieja, to jest to co widać najbardziej w ich oczach. Idą, śpiewają, są ufni. Wierzą, że uczestniczą w czymś wyjątkowym.

W największym wozie siedzi Isochar. Jego ubiór to skromny, jasny płaszcz, przepleciony wełnianym sznurem. Nosi długą brodę, świecącą się, pełną dumy. Drapieżne włosy zwisają mu łagodnie na ramiona.

Dużo o nim mówią. Ludzie widzą w nim Mesjasza. Kogoś, kto miał nadejść i nadszedł teraz.

Jego ręce krwawią przy nadgarstkach. Czerwona krew powoli sączy się przez cały dzień z jego żył. Nie można jej zatamować; wielu próbowało, bezowocnie, bezskutecznie.

Isochar czyni cuda, tak mówią ci co za nim idą, podążają. Muszą iść.

Kiedyś, gdy przeprawiali się przez rzekę, a nurt był mocny, silny, niebezpieczny, zatrzymał wodę, rzekę, prąd. Przeszli bezpiecznie na drugi brzeg. Dużo ludzi to widziało, dużo nawróciło.

Gdy zabrakło wina na wieczerzę w nocy, kazał przynieść wodę ze strumienia. Dotknął ją rękami, i ludzie znów mogli raczyć się słodkim, czerwonym, winogronowym winem.

Dotykał chorych ludzi, tracili przytomność, a gdy się budzili ich skazy, rozterki, bóle, rany ciała, duszy uciekały gdzieś daleko. Znikały w ciszy dnia.

Wieczorami, w chatach przy tańczących świecznikach, podczas modlitwy, jasne światło schodzi do niego z góry. Dotyka jego głowy, mieni się, ociera o jego oczy, a potem Isochar zaczyna mówić językami które są obce, nieznane, zapomniane.

- To starorzymski – mówi ktoś, rozpoznaje.

- Język islamu, arabski – zastanawia się ktoś inny.

- Hebrajski, ale sprzed czasów Chrystusa.

- Turecki, może syryjski, z domieszką egipskiego.

- Tego nikt nie zna, nie może znać, to z tamtego świata. Z krainy ludzi umarłych, nie istot żywych – ktoś mówi z trwogą.

Ludzie wierzą, że to Mesjasz, że nadchodzi koniec. Idą wraz z nim, modlą się wraz z nim. Rano, zaraz po wschodzie słońca, po południu, wieczorem przy gasnącym słońcu. Śpiewają, słuchają tego co mówi, a mówi rzeczy dziwne, niezrozumiałe, nie z tego świata.

- To Mesjasz. Nie można zrozumieć należycie jego mowy. To sygnał aniołów, Boga, odkupiciela. To, co mówi jest ważne, nie musi być dla nas zrozumiałe. Ważne, że on wie co mówi, do czego dąży, dokąd zmierza. My idziemy wraz z nim, to jest istotne w zbawieniu. Iść z Mesjaszem we właściwym kierunku. Jego drogą, nie swoją.

Od kilku dni na wozie Isochara pojawia się bogata Szlachcianka. Jedzie wraz z nim. To wdowa. Jej mąż zginął w walce, w pojedynku. Duma go zniszczyła, honor go zabił. Szlachcianka szuka zbawienia. Wierzy, że podążając wraz z nim ucieknie od śmierci, ucieknie od życia.

Ludzie patrzą na nią niechętnie. Mesjasz i ona to jakaś krzyżówka, jakaś zagadka.

Szlachcianka zaczyna znikać z Isocharem w starej chacie. Ucieka, wychodzi od niego dopiero nad ranem. Ludzie to widzą, śpią przed chatą, pod kocami.

Mesjasz wciąż mówi o zbawieniu. Jego biedne, skromne szaty fałują podczas ognistych przemówień.

- Mesjasz nie może być bogaty – mówią ludzie patrząc na jego strój. – Zbawienie to bieda. Wybawienie musi mieć smak i zapach skromności. Ubóstwa.

Ostatnio jego głos, spojrzenie coraz żarliwiej patrzy na Szlachciankę podczas kazań. Mówi tak, jakby do niej mówił, patrzy tak, jakby zbawienie mogło dotyczyć tylko jej, nie ludzi.

Nagle Isochar znika. Szlachcianka znika. Którejś ciemnej, mrocznej nocy. Zostawia list, krótki, treściwy, znaczący.

Ronatyn, przyjaciel Mesjasza go czyta. Jego głos podczas odczytu się łamie, załamuje, kurczy. Słowa tracą sens, kruszą się na pół, na małe szklane odłamki. Potem z tych odłamków zostaje pył, garstka tego co było, a już nigdy nie będzie, nie wróci.

- Zakochał się – Ronatyn wypuszcza list z ręki.

Biały, lekko pożółkły papier opada niczym zniszczony liść na ziemię.

Ludzie rozchodzą się z niechęcią do przeszłości. Do zapomnianych, opuszczonych, zużytych dawno żyć.

Muszą czekać na kolejnego Mesjasza. Muszą żyć na nowo, wrócić do nadziei.

Kilka lat później Ronatyn słyszy o Isocharze. Mieszka na kresach, przy jeziorach, w bogactwie. Jest szczęśliwy, zakochany, posiada wiele ziemi, lasów. Osiągnął zbawienie ze Szlachcianką. Poprzez ciało. Opuścił ludzi, żeby zbawić siebie.

Nie mylił się, mówi wszystkim Ronatyn, zbawił siebie, kosztem ludzi. Był Mesjaszem dla samego siebie.

Jakub kończy opowieść. Mruży oczy, patrzy tak, jakby to on wędrował za Isocharem. Jakby to on musiał wrócić do dawnych przyzwyczajęń, do dawnej biedy.

- Ludzie zaskakują innych ludzi. Nieustannie.

Bankowiec (od pieniędzy) zaczyna coraz częściej uciekać w nieświadomość. Ataki powtarzają się systematycznie. Idzie, robi pierwszy krok, drugi, trzeci i kolejne – ucieczka. Wstaje rano, przeciera zmęczone oczy po nocy, ubiera się, idzie do łazienki, potem do kuchni, zaczyna coś jeść – nieświadomość. I ta ciągła niewiedza, co

jest tutaj? czego nie ma tam? To go zabija, to go niszczy. Żyje, nie wiedząc gdzie żyje. Czuje, nie wiedząc co naprawdę czuje.

Rzeźbiarka jest przerażona. Czuła, że dzięki niej Bankowiec wraca do życia. Teraz to się zmieniło. Coś pękło w nim, coś uciekło z niej.

Star(usz)ka patrzy z troską na łzy, które niczym strumień przedzierają się do serca. Budzą się do życia, ocierają o jego troski, płyną niczym chmury po niebie, wciąż zmieniają kształty.

- Jak mogę ci pomóc? – pyta Star(usz)ka.

- Niekiedy płaczemy za innych, za ich ból, za obce cierpienie – mówi rozchwianymi słowami Rzeźbiarka.

- Znam kogoś, kto pomaga innym, bezinteresownie. Jednak potrzebna jest odwaga, żeby tam iść.

- Gdy cierpimy, odwaga to jedyna rzecz, która nam pomaga, jedyny sens, który jest z nami.

- Przyprowadź go na wyspę, jutro wieczorem – mówi szeptem Star(usz)ka. – Będę na was czekać.

- Skąd wiesz kogo?

- Ważne, że ty wiesz. Ważne, że go kochasz.

Star(usz)ka odchodzi płynnie, sennie jak wiatr, który jest, a za chwilę zniknie, uniesie się w niemożliwość, w nieuzasadnienie.

Dopływają do wyspy zniszczoną, starą łodzią. Gdy wysiadają, gdy łódź uspokaja swój ruch, swoje zmartwienia, za nimi, na jeziorze widać prawie niewidzialne okręgi, elipsy, zniekształcenia. Przez chwilę jezioro jeszcze coś znaczy, by po chwili znieruchomieć, zasnąć na jakiś czas.

Idą przez trzciny, suche, pomarszczone, zbliżają się do ruin. Stają, rozglądają się na boki, patrzą na ciemność, która zaczyna zbliżać się do ziemi.

- Tutaj? – pyta niepewnie Bankowiec. – Tutaj mamy się spotkać?

- Tak – mówi cień wynurzający się zza krzaków.

- Jesteśmy – mówi Rzeźbiarka.

- Dobrze – odpowiada Star(usz)ka. – Chodźcie za mną, w milczeniu. Słowa są zbędne, gdy zanurzamy się w ciemność, w mrok.

Zatapiają się w ruinach, w krzakach, w drzewach, które rozrosły się na resztkach miasta. Patrzą na zgarbione plecy Star(usz)ki. Są ich jedynym drogowskazem, wskazówką gdzie iść, dokąd zmierzać.

- Teraz uwaga na głowy – mówi szeptem Star(usz)ka i znika w ciemności. Rozpływa się niczym duch, zjawia, utrapienie.

Rzeźbiarka wchodzi niepewnie w czarną dziurę. Widzi schody, stare, zniszczone, popękane. Jej stopy niepewnie dotykają murowanych stopni. Ich ciężar jest dziwny, bolesny, nasączony niepewnością tego co jest, tego co za chwilę nie będzie.

Schodzą niżej, ostrożniej. Czują wilgoć koło siebie. Rzeźbiarka zauważa, że są już pod jeziorem. Pojedyncze krople spadają im na plecy, głowy, włosy. Stęchlizna, mokre, wilgotne powietrze jest wszędzie. Odczuwają cierpki zapach śmierci.

Rzeźbiarka zauważa kości zwierząt, po bokach drogi. Wzdryga się, skurcz w okolicach serca staje się okropny.

- Zwierzęta przychodzą tutaj umrzeć – mówi Star(usz)ka. – Zwierzęta wybrane przez los. Przez przeznaczenie.

Obraz się rozjaśnia, Rzeźbiarka rozpoznaje coraz więcej kształtów koło siebie. Widzi zapomniane miasto. Zauważa domy, ulice, latarnie. Zauważa przeszłość schowaną w niewidzialności.

Na końcu ulicy, tunelu widzi ogromny otwór, zagłębienie, przepaść. Tuż obok płynie rzeka, strumień. Nad wodą unosi się czerwony dym, lekko nasączony wilgocą.

- Musimy przez niego przejść – mówi Star(usz)ka. – Gdy w niego wejdziemy zapomnimy o naszym świecie. Gdy będziemy wracać pomoże nam zapomnieć o tym świecie.

Star(usz)ka znika w świetlistej czerwonej łunie. Potem idzie Rzeźbiarka, wzdryga się, gdy przenika ją przyjemne ciepło. Dreszcz powoduje w niej ulgę, pustkę, zapomnienie. Czuje się wolna, bezpieczna.

Bankowiec przeniknięty czerwienią wychodzi z dymu odmieniony. Zapomina po co tutaj jest, dlaczego błądzi w miejscach, których nie zna.

Idą dalej. Widzą nietoperze latające w powietrzu. Bez ładu, bez celu. Niektóre wiszą na ścianach u góry.

- To strażnicy tego miejsca – mówi Star(usz)ka. – Przyjaciele, poddani mojej Si(os)try. Są jej wierni, mówią co dzieje się tam, co nigdy nie powinno dziać się tutaj.

Przedzierają się przez sieć pajęczyn. Wyglądają jak zawieszona bielizna na sznurkach. Bez ładu, bez porządku, bez żadnej harmonii i planu.

Pajęczyny zostają im na włosach, rękach, ciałach. Na skórze. Stają się ich ubraniem, ochroną przed złem, niemocą, nieuporządkowaniem w środku.

- Dochodzimy do tronu mojej Si(os)try – mówi Star(usz)ka. – Milczcie. Będę mówić za was.

- Ludzie mówią, że masz siostrę. Że gdzieś jest, że żyje, że pomaga. Jednak nikt nic nie wie naprawdę. Niczego ludzie nie są pewni.

- Ja żyję w jasności, ona w ciemności. Słońce jest moją siostrą, mrok jest jej bratem. Ja czuję zapachy życia, ona czuje zapachy śmierci. Jesteśmy z jednej krwi, jednak z różnych światów.

Dochodzą do dużej sali, tronowej. Na podeście z kości słoniowej siedzi Si(os)tra. Jej oczy są zamglone, na jej brwiach widać pajęczynę, mleczną, gęstą, z nitkami złota. Włosy, lekko poskręcane, wiją się aż do ziemi. Wyglądają jak miedziany płaszcz, dywan narzucony na plecy. Ręce, skostniałe od zimna, wilgoci, ciemności ruszają się przez cały czas – tkwią w niegasnącym ruchu. Nogi, podkurczone lekko przy tronie są masywne, mocne, niebezpieczne. Czuć w nich drapieżność, władzę, chęć rządzenia innymi duszami, ciałami.

U jej stóp siedzą jeże, dużo jeży. Nie ruszają się, wydaje się, że śpią, że są martwe. Jednak to złudzenie. To są strażnicy jej ciała, niewolnicy jej duszy. Ich ryjki, oczy niespokojnie, w skupieniu spoglądają na przybyłych. Wiedzą, że ci co tu przybywają, nie zawsze wracają tam, skąd wcześniej przybyli. Si(os)tra – Królowa decyduje, kto może wrócić do świata żywych, kto nigdy już nie wróci do krainy pełnej światła. Kto zostanie na zawsze wśród cieni, wśród mroku.

Nad jej głową płyną szare nietoperze. Krążą nieustannie, kołyszą się w powietrzu. To zwiadowcy, wysłannicy ziemi. Bez nich nic nie dzieje się tutaj, nic nie dzieje się tam. Są uszami Si(os)try, są oczami Królowej ciemności.

- Witam cię – mówi Si(os)tra. – Rzadko tutaj bywasz. Nie chcesz być zbyt blisko rodziny. Boisz się być zbyt blisko rodziny.

- Boję się ciemności. Obawiam się świata w którym żyjesz – mówi Star(usz)ka. – Tylko miłość do ciebie sprawia, że przełamuję wstręt i wciąż tutaj jestem czasami.

- Kiedyś bywałam tam, gdzie ty żyjesz. Jednak ludzie mnie zranili. Nie chcę żyć wśród nich, przebywać pośród ich lęków, zmartwień. Są słabi, zbyt słabi dla mnie. Moja władza sięga tam, sięga tutaj. Zwiadowcy bywają tam nocami. To co mi mówią, utwierdza mnie w przekonaniu, że nie warto żyć w jasności, gdy ta jasność nieustannie zanurza się w ciemności.

Star(usz)ka zbliża się z obawą, z lękiem do Si(os)try. Jeże zaczynają nerwowo ruszać pyszczkami. Wiercą się, skupiają bliżej tronu. Nietoperze z zawziętością zacieśniają kręgi nad głową Królowej.

- Jak ci mogę pomóc? – pyta Si(os)tra. – Wciąż jesteś moją siostrą, pomimo różnic jakie nas dzielą.

Bankowiec wychodzi z ciemności. Ręka Star(usz)ki popycha go w kierunku Królowej.

- Popatrz mu w oczy, ty zawsze wiesz co kryje ludzka dusza, od czego ucieka ludzka dusza.

Si(os)tra wstaje, dotyka rękami głowy Bankowca, przez chwilę masuje jego włosy, skronie, kark a potem suchym głosem zaczyna mówić:

- Zamknij oczy, ucieknij tam, gdzie czujesz się wolny. Odpręż się – Bankowiec zaczyna swobodniej oddychać, jego usta stają się miękkie, bez żadnych napięć, lęków. – Teraz musisz zanurzyć się w przeszłość, udać się tam, gdzie wszystko się zaczęło – Si(os)tra zaczyna dmuchać w jego oczy, które zaczynają milknąć, oddalać się, uciekać.

- Jestem w parku, koło domu – mówi niczym spiker radiowy Bankowiec. – Zgubiłem się, mam sześć lat. Znam te alejki, ławki, jednak błędę. Widzę ruch koło stawu. Nieubłagane zbliża się noc. Jestem przerażony. Skradam się. Podchodzę powoli, bliżej, niczym kot. Postać nachyla się nad kobietą, młodą, w czerwonym płaszczu, w bordowych butach. Kobieta leży bez ruchu na trawie. Postać mnie zauważa. Ostrożnie, z jakąś niechęcią wstaje i zaczyna biec w moim kierunku. Widzę słońce do połowy schowane w ziemi, to ostatni

jasny błysk w mojej głowie. Uciekam, kroki mężczyzny szarpią powietrze tuż za mną. Wbiegam na ulicę, krzyczę. Jacyś ludzie, obcy pytają co się dzieje. Boję się. Mężczyzna znika. Zaczynam biec przed siebie bez opamiętania.

- Co ci powiedział ten człowiek, zanim wbiegłeś na ulicę, zanim twoja ucieczka zaczęła mieć jakieś znaczenie? – pyta Si(os)tra.

- Znajdę cię, nawet wtedy gdy zmienisz twarz, znajdę cię, nawet wtedy gdy zmienisz życie.

- Potem już tylko uciekałeś. Zapomniałeś, bo chciałeś zapomnieć, żeby żyć, żeby istnieć. Żeby strach nie pokonał cię już na starcie.

- Później moje ciało się uspokoiło, dzięki obojętności. Zapomniałem, żyłem, ale to nagle wróciło. Musiało kiedyś wrócić. Złe rzeczy zawsze wracają, wtedy, kiedy ich się najmniej spodziewamy.

- Obudź się – mówi szeptem, z czułością Si(os)tra. – Jesteś wolny. Uwolniłeś się od przeszłości. Już nigdy nie będziesz uciekał. Już nigdy nie będziesz żył pomiędzy dwoma światami.

Bankowiec budzi się. Nic nie rozumie. Widzi Si(os)trę, która bacznie mu się przygląda.

„Nie jest taka straszna z bliska – myśli. – Taka obojętna na ludzką krzywdę”.

- Pamiętasz coś? – pyta Rzeźbiarka.

- Nie.

- To dobrze – Rzeźbiarka przytula się do jego ciała, skóry, ramion.

Si(os)tra patrzy z uwagą na Rzeźbiarkę. Rzeźbiarka to zauważa. Czuje dziwny skurcz w sobie, obawę, że za chwilę coś się zmieni, nieubłagane.

- Nie potrzebuję twoich rad. Moje ręce są nagrodą, nie karą – mówi lekko szcękając zębami.

- To, że drżysz, oznacza, że jeszcze żyjesz – uśmiecha się Si(os)tra.

- To, że drzę, oznacza, że jeszcze tworzę.

- Popatrz mi w oczy – mówi suchym głosem Si(os)tra.

- Zrób to – słyszy głos Star(usz)ki za sobą Rzeźbiarka.

- Za chwilę, już niedługo dostaniesz wiadomość, list – drżącym głosem mówi Si(os)tra. Jej głos się łamie, zniekształca, brakuje mu sił.

- Jaką wiadomość? – Rzeźbiarka boi się, odczuwa strach w każdej części swojego ciała.

- List zmieni twój świat, zmieni twoje życie. Umrzesz i narodzisz się na nowo.

Si(os)tra odwraca się, wchodzi do rzeki płynącej w rogu komnaty i znika w ciemności, rozplywa się jak mgła. Za nią podążają jeże jak świta, jak dwór. Nietoperze przesuwają wilgotne powietrze nad ich głowami. Krążą, są rozdrażnione, robią coraz niższe kręgi tuż koło ich włosów.

- Wracamy – mówi Star(usz)ka. – Robi się niebezpiecznie.

Wychodzą z groty, przechodzą przez rzekę. Widzą martwe ryby kołyszące się niczym liście na wodzie. Dochodzą do zniekształconego szarością czerwonego dymu.

- Gdy wejdziecie w jego krąg, wspomnienia zostaną zatarte, zniszczone, zniekształcone. Będą snem, obrazem, staną się niepamięcią. Życie stąd nigdy nie powinno być życiem stamtąd.

Zanurzają się w wilgotnych, jaskrawych oparach. Dym głaszcze ich twarze, odpręża rysy, uspokaja oddech.

Przemieszczają się do góry, przez rozmazane miasto, w kierunku ziemi. Idą jak lunatycy. Czerwony dym wciąż jest w ich głowach, w oczach, na skórze. Dostają się na powierzchnię, wsiadają do zaspanej łodzi, odpływają. Pojedyncze gwiazdy odbijają się w granatowej toni jeziora. Mieniają się niczym złote ryby w akwarium. Wiosła zniekształcają ich kształty, rozkładają na małe niewidzialne lustra. Rozmazane półblaski.

Łódź dobija do brzegu. Rzeźbiarka patrzy na Bankowca.

- Dlaczego tak pływamy po jeziorze, w nocy?

- Nie wiem – odpowiada Bankowiec. – Może chodzi o gwiazdy, o księżyc, o tajemnicę. Może o te wszystkie rzeczy razem, wszystkie te rzeczy osobno.

- Chciałam popływać po jeziorze – mówi cicho Star(usz)ka. – Bałam się. Z wami ta podróż ma inny sens, inne znaczenie.

Star(usz)ka odchodzi. Przez chwilę jej kroki coś znaczą, lecz po chwili tracą całkowite znaczenie, całkowity sens.

- Od kilku miesięcy czuję się lepiej – mówi Bankowiec. – Nie uciekam, nie gonię za snami, za skutkami tych snów w prawdziwym życiu.

- Pamiętasz moment, gdy poczułeś się lepiej? – pyta Rzeźbiarka.

- Nie wiem dokładnie, kiedy to się stało, ale czuję, mam taką świadomość, że to stało się po naszej podróży w nocy po jeziorze – Bankowiec chwilę milczy, jego oczy zastygają, potem się rozjaśniają i znów zaczyna mówić. – Jeden obraz, może zdjęcie jest w mojej głowie...

- Jaki? – zaciekawia się Rzeźbiarka.

- Widzę miasto, ciemność, twarz kobiety, starej, zniszczonej, coś do mnie mówi...

- Tylko to pamiętasz?

- Najbardziej pamiętam ulgę w środku. Obojętność, która trwa do tej chwili. I wiem – Bankowiec ucieka w niepamięć z przeszłości – że będzie trwać nadal.

- Cieszę się – Rzeźbiarka przytula się do niego, tak mocno, z taką zawziętością, jakby go kiedyś miała stracić.

Kocha go, kocha tamtego, kocha dwóch mężczyzn równocześnie. Łączy dwa światy, dwa życia, które nigdy nie powinny być połączone. Nie chce zrezygnować z żadnego z nich.

- Przyjeżdżaj do Krakowa, szybko, może jeszcze zdążysz – głos Ciotki Elizy jest twardy, zniszczony, napełniony bólem, strachem, skutkiem tego strachu w przeznaczeniu, które już za chwilę może się spełnić.

- Co z mamą? – pyta Rzeźbiarka.

- Żyje... jeszcze – głos Ciotki Elizy się łamie, kruszy, rozpada na drobne cząstki, kawałki, odłamki. – Nie wiem, czy dożyje do rana...

- Jadę – Rzeźbiarka odrzuca słuchawkę, pakuje się i wybiega z domu.

Z drogi pamięta tylko twarze, stukot szyn, konduktora, obcą ludzką mowę, taksówkarza i strach, że nie zdąży.

Przed kamienicą stoi karetka, widzi ją z oddali. Jej jasny, biały kształt odbija pomarańczowe skrawki światła z nieba. Karetka odjeżdża, w bramie stoi siostra matki Eliza. Płacze, jej usta drżą, cier-

pią, kołysząc się w bólu niczym wiatr przepędzający chmury na niebie.

Rzeźbiarka do niej podchodzi, patrzy jej w oczy, tak głęboko. Widzi w nich swoje cierpienie, nie jej. Cierpienie, które zaczyna zbliżać się do jej wnętrza, do serca, do całego ciała. Po chwili ból ją przepełnia, ogarnia, rozpycha się w całym jej ciele, aż zasypia, do czasu, gdy czas nie będzie miał już żadnego znaczenia.

Stoją skulone na skraju ulicy. Płaczą. Wspólne łzy prowadzą ich na górę, schodami, klatką, zimnym martwym powietrzem.

Siadają w pokoju, ich ciała się uspokajają. Łzy, które jeszcze miały z nich wypłynąć, uciec, zastygają. Nieruchomieją na ich twarzach.

- Zawał serca – mówi Ciotka Eliza. – Choroba starości, choroba ludzi, którzy tęsknią za przeszłością.

- Coś mówiła? – szepcze Rzeźbiarka.

- List, zostawiła list – nienaturalnym głosem mówi Ciotka Eliza. – Nie wiem co w nim jest, nie chcę wiedzieć. Czuję, widziałam to w jej oczach, że to coś ważnego, istotnego, coś co zmieni twoje życie.

- Na pewno nie chcesz poznać jego treści?

- Nie – Ciotka wstaje jakby bała się prawdy, słów, które zastygły na papierze.

- Dlaczego?

- Powiedziała, że muszę ci go dać, że muszę jej przysiąc, że ci go dam. Nigdy taka nie była, taka dziwna, tajemnicza, bezkompromisowa, zawzięta.

- Odpocznij – Ciotka wstaje z krzesła. – Idę się przejść. Spacer mnie uspokoi.

Rzeźbiarka zostaje sama w pokoju. Patrzy na ściany – wspomnienia, patrzy na meble – uczucia, patrzy na zdjęcia – nienawiść.

Dotyka listu palcami, czuje ciepło jakie z niego bije. Zamyka oczy, list zaczyna płonąć w jej rękach, parzy jej palce, dłonie, całe ciało. Wzera się w serce.

Spalone wióry, szare ptaki, złe myśli opadają na dywan w pokoju.

Rzeźbiarka otwiera oczy. Patrzy na list. Napięcie słów, zdań, znaczeń, które dotyczą jej ściska mocno w dłoniach. Nie ma siły go

czytać teraz. Zostawia to na później, na dalszy odległy czas. Może jutro, może po pogrzebie, może kiedyś, może nigdy.

Cmentarz Rakowicki schowany jest w cieniu. Ciepły dzień, kilka chmur na szafirowym niebie, znajome obce twarze, groby ludzi sławnych, zapomnianych, teraz nieistotnych i płacz – szczery, udawany, wymuszony przez ból innych.

Ksiądz coś mówi o miłości, Bogu, pamięci. Stara się być miły w tym niemiłym momencie. Potem modlitwa, cisza gdy grób schodzi na dół, do ciemności, do siebie. Kondolencje ciche, szczere, niekiedy obce.

Potem stypa w restauracji na rynku. Kelnerzy podają obiad, ciasto, herbatę. Na stole pojawiają się wspomnienia i alkohol. Kolejność nie ma znaczenia.

Alkohol zawsze napełniony jest wspomnieniami, wspomnienia zawsze zanurzają się w alkoholu. Pływają w nim cały czas, nieustannie.

Ucieczka do domu matki, który teraz jest inny, pusty, samotny. Ucieczka na peron, do siebie, do lasu, do rzeźb.

Szybkie uciekające obrazy za oknem. Wyglądają jak jej życie sfilmowane przez kogoś obcego. Stukot szyn, cierpki, nieznosny, natarczywy.

Na końcu sen niespokojny, niespójny, pełen obrazów bez znaczenia. Spirala wspomnień połączonych ze sobą bez kolejności, bez dat, bez pór roku.

Gorące suche powietrze dusi się pomiędzy ciasnymi uliczkami Jerozolimy. Nie może wydostać się do góry, uciec – wisi, stoi w miejscu niczym ktoś kto błądzi, nie ma siły iść dalej, uciekać.

Krzyki ludzi budzą miasto ze śpiączki. Mężczyzna niesie krzyż, ciężki, duży, drewniany. Obok niego idą żołnierze rzymscy. Jego twarz jest zakrwawiona, na głowie ma koronę cierniową. Szkarłatny płaszcz, szary, zniszczony, zbrukany nienawiścią ociera się o rany na ciele.

Ludzie krzyczą, plują mu w twarz, śmieją się. Ich twarze pełne nienawiści, lęku, obawy że Mesjasz może być królem, spróbował być królem, kurczą się od słów, które zagłusza tłum.

Chrystus ciężkim krokiem idzie prosto przez miasto. Krew powoli zaciera mu zakurzoną drogę pomiędzy wąskimi ulicami. Kamienne miasto, bezduszne miasto przytłacza go niemiłosiernie, odbiera resztki sił, całą wiarę którą jeszcze ma w sobie.

Idzie ciężko aż do zakrętu, droga skręca w lewo, upada. Z bólem podnosi się, zauważa, że dalej, przed nim stoi jego Matka Maryja. Ból jej spojrzenia przytłacza go bardziej niż nienawiść ludzi, za których ma zginąć.

Dochodzi do kolejnego zakrętu, wątpi, czy może iść dalej, czy musi iść dalej. Dla kogo? dla nich? dla siebie? dla swojego Ojca na niebie?

Skręca kamienną drogą w prawo. Staje, jego nogi drżą, ręce stają się kamienne jak to miasto, jak ci ludzie.

Ktoś wraca z pola, żołnierze pchają go w kierunku Chrystusa. To Szymon Cymeryjczyk, nie wie co się dzieje, zaczyna nieść krzyż z obcym mężczyzną.

Żołnierze szydzą, śmieją się, krzyczą. To ich jedyna rozrywka w tym mieście. Tu nic się nie dzieje. Egzekucje to zabijanie czasu, który płynie tu wolniej niż gdzie indziej.

Idą razem pod górę. Płaskie, szare kamienie na drodze, liczne bramy, zniszczone, poszarpane przez czas, zaułki, okna bez żadnych zamknięć, wzory nad bramami, złamane i ten upał – niemiłosierny. To tak cięży, zabija, niszczy. Bardziej niż ból, bardziej niż krzyki.

- Kto to? – krzyczy ktoś z tłumu.

- Mesjasz – szydzi tłusty mężczyzna w jasnej szacie, w skórzanych sandałach.

- Król Żydowski – dodaje kobieta w jaskrawej szacie. – Miał nas wyzwolić, teraz sam nie może się wyzwolić.

Korona cierniowa zsuwa się na czoło Chrystusa. Krew zaciera mu drogę. Podchodzi do niego kobieta. Weronika ociera mu twarz białą chustą, patrzy mu w oczy, głęboko, z troską, ze współczuciem. On uśmiecha się do niej oczami. Idzie dalej w lewo, pod górę, na Golgotę.

Upada, tak mało już ma sił, w rękach, w nogach. Krzyż ciąży mu coraz bardziej.

Wstaje, patrzy na drogę, są już za murami miasta. Widzi kobiety, płaczące, coś do nich mówi, cicho, z nadzieją. One mu wierzą, chcą wierzyć.

Upada po raz trzeci. Nie ma sił żeby wstać, leży. Wtedy uzmysławia sobie, że ktoś koło niego jest, ktoś bliski, ktoś kto nie powinien tu być, nie musi tu być.

Widzi tę twarz od początku drogi. Od skazania. Pojawia się, znika, jest w tłumie, niekiedy w oknie, z przodu, z boku, w oddali, gdzieś w bramie. Jest i patrzy, potem niczym duch ucieka w nieskończoność.

Zna tę twarz, czuje, że jest mu bliska, miłosierna, oddana na wieki.

Wstaje powoli, z obawą, dochodzi do Golgoty, żołnierze rzymscy zabierają mu szaty, zdzierają je z zawziętością, ze śmiechem. Dzielą je na cztery części między sobą, śmieją się, tunikę zostawiają losowi, ktoś z nich ją weźmie.

Przybijają go do krzyża, gwoździami, mocno, z taką siłą jakby przybijali swoje nieszczęścia, grzechy, ułomności.

Ciało Chrystusa wisi na górze Golgocie. Obok niego wiszą skazańcy. Dwóch zbrodniarzy, dwa ciała czekają na śmierć, wyzwolenie z bólu.

Chrystus znów zauważa znajomą twarz. To On, musiał tu być, tak podpowiadało mu serce, rozum, dusza.

Widzi jak On przenika ludzkie umysły, przechodzi przez nie niczym cień, widzi uczucia innych ludzi – nienawiść, ból, współczucie. Wychodzi z nich, patrzy na to wszystko z boku, martwi się. Tak wygląda świat? tak wygląda życie?

Zmienia miejsca. Stoi tu, zawiesza się tam, chce zrozumieć dlaczego nienawiść i miłość to jedno, dlaczego pogarda i współczucie to wciąż to samo.

Wszystko się miesza, łączy, kwitnie ze sobą. Coś co jest odległe staje się bliskie. Coś co jest bliskie staje się skrajne, nieobecne, nieokreślone.

Twarz Chrystusa opada na dół, czeka na ciemność, która za chwilę się pojawi. Spowieje miasto, uczyni dzień nocą.

Jego ostatnie spojrzenie dostrzega płaczącą Matkę Maryję, jej siostrę Marię Magdalenę i swojego ucznia Jana.

Tłum się przersedza. Ludzie odchodzą. Umieranie może trwać kilka dni. Śmierć też ma swoje granice. Granicą każdej śmierci jest czas. Ludzie nie mają czasu dla obcej śmierci. Ważna jest tylko własna śmierć. Obca śmierć jest nieistotna, kłopotliwa, nie znacząca.

Kobieta stoi z tyłu, za tłumem coraz rzadszym. Płacze. Jej oczy są wilgotne, pełne rozpaczy i gniewu do ludzi, którzy ten gniew spowodowali w niej, w mężczyźnie który umiera na krzyżu.

- Dlaczego płaczesz? – cień w kapturze na głowie, w jasnej błękitnej szacie, patrzy na kobietę.

- Gdy widzę matkę tego mężczyzny, widzę siebie sprzed kilku dni. Też kogoś straciłam. Jej ból jest moim bólem – ręce kobiety drżą, jakby miała jakąś chorobę, skazę w sobie.

- Ludzie umierają, co nie oznacza, że ich nie ma. Są, ale w innym czasie, w innej przestrzeni – mężczyzna dotyka ręki kobiety, drżenie ucieka z niej na zawsze, na wieki. Kobieta czuje ulgę w sobie.

Patrzy na twarz mężczyzny. Nie widzi rysów, kształtów, odcienia włosów. Twarz ma w sobie dobro, ciepło, ulgę. Ulgę ją przenika, obezwładnia, zniewala. Czuje się taka dobra przy nim, taka bezbronna.

Jego oczy mienia się różnymi odcieniami życia. Raz są zielone, niebieskie, szafirowe, po chwili ciemnieją, stają się inne, ostrzejsze, mocniejsze. Gdy na nią patrzy, nie boi się niczego. Coś ma sens, coś ma znaczenie.

- Co tutaj robisz? – pyta cicho kobieta.

- Umiera mój syn. Gdy umiera ci ktoś bliski zrobisz wszystko żeby przy tym być, żeby trwać do końca.

- To miłosierne.

- To konieczne – mówi mężczyzna, a jego twarz się rozjaśnia.

Kobieta patrzy na niego. Nieruchomieje w niej to, co ciągle z niej uciekało cały czas, nieustannie.

- Mam dla ciebie wiadomość – mężczyzna podaje jej żółty pergamin, zawinięty w szary, lniany sznurek.

- Co to jest?

- Coś, co zmieni kształt twojego życia. Coś, co zmieni ciebie.

Mężczyzna zaczyna znikać, rozplywa się, rozmazuje w powietrzu. Po chwili zostaje tylko cień po nim. Ciemność, która znika z sekundy na sekundę.

Kobieta stoi zdumiona. Lekki wiatr krąży koło jej ciała. Czuje, że to on, w innej postaci, w innym wymiarze.

Jej głowa, włosy, oczy ocierają się o zapach powietrza. Wiatr coraz szybciej tańczy wokół jej ciała, ramion, nóg, rąk – potem znika.

Z nieba nadchodzi ciemność. Ludzie krzyczą, uciekają do Jerozolimy, do domów, do piwnic.

Chrystus umiera na krzyżu. Tylko pojedyncze cienie zostają przy krzyżu. Chmury schodzą niżej do ziemi. Są niewidoczne w ciemności, schowane w strachu ludzi.

Rzeźbiarka budzi się spocona w swoim łóżku. Pamięta fragment snu, niewielki, ostatni obraz. Jest przerażona, twarz kobiety ze snu to jej twarz. Jej rysy.

Patrzy na zegarek, jest trzecia rano. Widzi księżyc, gwiazdy, rozmazane chmury na granatowej pościeli nieba.

Zauważy list na stole. Leży w blasku księżyca. W jego odbiciu, które żółtym płomieniem przedarło się przez ciemność, mrok i zastygło na stole.

List wygląda jak mała lampka nocna. Świeci się, mruga jak ogień w nocy, na polanie.

Rzeźbiarka podchodzi do niego, dotyka jego jasnego ciepła, otwiera kopertę i zaczyna czytać.

Słowa, zdania, treść same do niej docierają. Zadomawiają się w jej ciele, umyśle i zasypiają.

„Kochana Cóрко! Wiem, czuję, że śmierć nadchodzi, zbliża się powoli, lecz konsekwentnie. Kocham Cię, to jedyna stała, która jest ze mną tutaj, mam nadzieję, że będzie tam. Na końcu drogi, na granicy, którą człowiek musi przekroczyć nie może już być fałszu, nienawiści. Musi być tylko prawda. Ludzie muszą odchodzić czyści z tego świata. Nie mogą zostawiać niezakończonych spraw, niedokończonych zdań za sobą. Wiem, że to co powiem teraz zburzy cały Twój świat, zniszczy całą wiarę, zabije nadzieję. Muszę to zrobić, dla Ciebie, dla siebie.

Kiedyś, dawno temu, wyjechałam na miesiąc do matki. Bez ojca. Mieliśmy kryzys w małżeństwie. Jego praca, ciągłe wyjazdy w delegację, nowa sekretarka, zazdrość, która bardziej niszczy niż buduje,

jego zimne serce bez czułości, bez namiętności to kamienie, które ciągnęły nas na dół.

Uciekłam do matki. Chciałam, żeby pojechał ze mną, nie chciał. Nie rozumiał, że ten wyjazd to nasze być czy nie być.

Matka nie pytała. Widziała moje oczy, mój smutek, zagubienie.

Chodziłam wzdłuż jeziora, po lesie, wspominałam dzieciństwo, które miało w sobie tyle nadziei, wolności. Łzy leciały mi po policzkach. Nie wiedziałam na jakiej krze płynę, czułam, że pod wpływem słońca lód topnieje. Zostawia mi coraz mniej czasu na życie.

Spotkałam go w parku. Siedział i czytał Hemingwaya „Pożegnania z bronią”. Obok niego drzewa, ludzie, ptaki, niebo. On zaczytany, nieobecny, niewidoczny. Niewidoczni ludzie są bardziej doskonali niż żywi. To zrozumiałam po czasie.

Podniósł wzrok, zobaczył jak patrzę na książkę, na kartki, na słowa, zdania. Uśmiechnął się. Zamknął kolejny rozdział, wstał, podał rękę i powiedział, Michał.

Usiadłam koło niego. Chwilę patrzyliśmy na siebie, na nasze zakłopotane ręce, spojrzenia, na czas, który stanął pomiędzy nami, zatrzymał się a potem on zaczął mówić. Najpierw powoli, trochę sennie, rozchwianie, później pewniej, swobodniej, z większą uwagą, nadzieją.

- Szanuję Hemingwaya.

- Za co? – spytałam.

- Za wiarę, jaką daje ludziom. Jego bohaterowie walczą, pomimo niemożliwości świata, niemożliwości ludzi, barier jakie nimi rządzą.

- Są przy tym sobą.

- Zawsze można być sobą, nawet wtedy gdy nie mamy wyboru. Wyborem już jest sama chęć życia, pomimo niechęci do życia.

- Pokazuje też miłość. Często niszczącą – powiedziałam. – Zmierzającą do katastrofy.

- Świat bez miłości byłby inny – odpowiedział. – Świat bez miłości byłby martwy.

Zaczęliśmy się spotykać. Dużo rozmawialiśmy. Zaprzyjaźniliśmy się. Wtedy zrozumiałam, że przyjaźń też może ocierać się o miłość.

Był miły, czuły, delikatny. Jak przyjaciel, nie jak kochanek. Którejś nocy spotkałam go na rynku, gdy wracałam do domu. Siedział i płakał. Opowiedział mi o śmierci swoich rodziców. Zginęli w wy-

padku pociągu. Wracali z wesela. Potem opiekowała się nim ciotka. W tym dniu mijała kolejna rocznica ich śmierci.

Poszliśmy do niego. Wypiliśmy dużo wina. On był samotny, ja byłam samotna. Pierwszy pocałunek delikatny, niewinny, drugi czuły, trzeci niebezpieczny dla niego, dla mnie.

Kochaliśmy się tak, jakby świat nie istniał. Jakbyśmy chcieli zabić w sobie to, co jest przyczyną samotności w nas.

Rano wróciłam do siebie. Miałam wyrzuty sumienia. Matka nic nie mówiła, popatrzyła na mnie, spuściła oczy, poszła do innego pokoju.

Po południu przyjechał mąż z kwiatami. Płakał, przeproszał, prosił o szansę. Uwierzyłam mu, wyjechałam z nim wieczorem. Tego samego dnia.

Po dziewięciu miesiącach urodziłaś się. Nic mu nie mówiłam. Znów nam razem było dobrze.

Zdradziłam go raz, z rozpaczy, ze współczucia, z samotności. Żeby pomóc komuś innemu, żeby pomóc sobie. Choć na chwilę.

Przepraszam, powinnam Ci powiedzieć o tym wcześniej. Nie mogłam, nie potrafiłam. Mówiłam później, w innym czasie, w innej przestrzeni. Coś ważnego, co odkładamy na później, często nigdy nie nadchodzi. Przez czas, przez życie.

Jeśli chcesz go poznać, jeśli jeszcze żyje musisz pójść na rynek, dojść do czerwonej kamienicy z orłem nad bramą i tą ulicą, która idzie w bok, po skosie dojść do końca. Przejdziesz park, na samym końcu stoi dom po prawej stronie. Nieduży, z dębem w ogrodzie. Obok niego, przy furtce jest stara latarnia z czasów gdy byliśmy pod zaborami. Poznasz ją, jest inna niż wszystkie na ulicy. W tym domu mieszkał sam. Kiedyś.

Jeśli chcesz, niech zostanie to wszystko jak jest teraz. Jeśli musisz, zrób to, co powie ci serce. Żebyś później nie żałowała. Zło jakie spotyka ludzi na końcu, gdy umierają, to niezrealizowane pragnienia, niedokończone myśli.

Przepraszam. Jeśli jest inny świat, inne niebo, wciąż będę Cię kochać. Jeśli nie ma, i jest tylko ciemność, musisz wiedzieć, że umieram myśląc o Tobie”.

Rzeźbiarka rzuca list na ziemię. Upada jak zranione zwierzę na polowaniu. Potem siedzi do rana na krześle. Nic nie mówi, nic nie

robi, prawie nie oddycha. Pojedyncze skrawki powietrza wchodzą do niej cicho, wychodzą jeszcze ciszej.

Jeszcze nie rozumie tego co czuje, tego co wie. Żył w nieświadomości tyle lat, tyle godzin, dni, nocy. Była kimś innym, niż myślała, że jest. To boli. Nieświadomość i chęć zrozumienia nieświadomości za wszelką cenę.

Chirurg (od serca) patrzy z niepokojem na serce. Szklane naczynie stoi w bezruchu. Światło zza okna odbija się od niego niczym od diamentu wystawionego na wystawie u jubilera.

Podchodzi bliżej do serca, głaszcze naczynie z troską, z obawą, potem bierze białą czystą kartkę, siada przy stole, wyjmuje pióro i zaczyna pisać granatowym tuszem.

„Kochana Iwono! To już ostatni list jaki piszę do Ciebie. Nie chcę, żebyś Ty pisała do mnie. Ta sytuacja mnie przeraża. Piszę do kogoś, kogo nie ma. Już nie istnieje.

Wiem, że nie wszystko ma w życiu sens, nie wszystko da się zrozumieć i poznać rozumem, ale to co się dzieje, nie powinno nigdy się dziać, nigdy wydarzyć. To obsesja, w której uczestniczę. Świadomie, może nieświadomie. Robiłem to z miłości do Ciebie, do tego co nas łączyło i będzie łączyć. Śmierć tego nie zniszczyła. Nie mogła zniszczyć. Pewnych rzeczy nie można zabić w człowieku. Nikt tego nie potrafi. Ani ludzie, ani życie.

Poznałem kogoś. Tutaj. Pewnie to wiesz, czujesz. Kobiety wiedzą takie rzeczy. Mają szósty, może siódmy zmysł. Chcę z nią być, cały czas. Nie tylko obrazami, skrawkami tych obrazów.

Wiem, że ona też coś do mnie czuje. Powiem jej co między nami jest, co między nami może być. Na razie żyjemy, ani razem, ani osobno.

Żegnaj Cię. Zawsze byłaś i będziesz Moją Największą Miłością. Moim wspomnieniem.

P.S. Nie odpisuj. Proszę”.

Chirurg odkłada pióro. Jest zmęczony. Patrzy za okno. Jesień, myśli. Znowu jesień. Nadchodzi szarość, mrok, długie noce. Mróz, który zamraza życie wokół nas.

Wstaje z krzesła. Ubiera się cieplej niż zwykle, wychodzi z domu. Mija ludzi skulonych w ubraniach, tulących się do siebie samych. Idą, pędzą, nic nie widzą. Ani siebie, ani innych.

Już widzi pocztę. Zaczyna padać deszcz. Mokry, wilgotny, zimny. Podbiega do skrzynki, otwiera wieczko, wrzuca list, głaszcze skrzynkę mokrą dłonią i ucieka do domu.

Biegnie, jego buty coraz częściej wpadają w kałuże, przez pośpiech. Przez strach, że nie zdąży przed burzą, przed zmrokiem.

Gdy wchodzi do domu zaczyna się burza. Błyskawice wyglądają jak popękane obrazy. Dzieli świat na małe kawałki. Różnicują ciemność poprzez pojedyncze ślady jasności.

Gdy kolejna błyskawica przecina niebo na połowę, Chirurg widzi nie niebo, tylko własne serce. Jak bije, jak oddycha, jak każda jasność to złudzenie, nie prawdziwe życie. Niebo to on, on to niebo.

„Tak wyglądam w środku, gdy udaję że żyję, że chcę żyć – myśli patrząc za okno”.

Podchodzi do łóżka. Jego ciało bezwładnie zanurza się w jego miękkości. Dostosowuje się do jego ciała, jego lęków. Zaciera obawy swoją łagodnością. Ciepłem.

Przykrywa się kołdrą i kocem. Cały. Szary materiał oddziela go od codzienności. Zabezpiecza jeszcze nierozpoczęte sny.

Sny nigdy nie powinny zanurzać się w życiu, życie nie powinno nigdy zanurzać się w snach.

Zasypia. Odpływa w nieznane. Przez chwilę jego oddech jeszcze jest w porcie, po chwili okręt zaczyna odpływać. Żagle nabierają wiatru, prężą się, napinają z przodu. Liny skaczą do przodu, do tyłu. Wiatr przenika pomiędzy nimi jak na skakance. Bawi się ich ruchem, szaleństwem, nieregularnością. Coś się zaczyna, coś się kończy. Coś zaciera, coś rozmazuje.

Rzeźbiarka (w drzewie) idzie przez las. Złote liście niczym deszcz spadają na ziemię. Wiatr je porywa do góry, one się unoszą, tańczą pomiędzy gałęziami, drzewami, konarami. Są jak baletnice, które uczą się dopiero tańczyć w szkole.

Miedziany dywan cicho, prawie bezszelestnie zagłusza kroki Rzeźbiarki. Wydaje się, że jej stopy pływają w morzu pełnym liści. Ich szelest, mowa, dźwięki rozchodzą się po lesie. Zwierzęta je sły-

sza, dostrzegają, oceniają. Las zawsze zauważa tych, którzy do niego zmierzają, tych, którzy od niego uciekają. Tych, którzy go niszczą.

Wychodzi z lasu. Dochodzi do rynku. Widzi zaspane, rozmazane codziennością twarze. Rozpołowione na obojętność. Niekiedy na pośpiech. Dochodzi do czerwonej kamienicy, szuka orła nad bramą. Zauważa go, dotyka oczami, pieści, tak jakby to jej mogło w czymś pomóc.

Boczna ulica, po skosie prowadzi ją do odpowiedzi. Przechodzi przez park, widzi dzieci zanurzone w dzieciństwie, w beztrosce, w zabawie. Zauważa rodziców udających, że czytają coś co ich interesuje.

Wchodzi pomiędzy domy jednorodzinne. W jej głowie pojawia się niepokój. Była tu kiedyś, raz, wieczorem. Odprowadziła Bankowca, zapomniał czegoś z domu. Czekala w ciemności pod domem, nie chciała wchodzić, potem poszli do niej.

Tak, zna tę okolicę, zna ten park. Ale to przypadek. Małe miasto, małe możliwości, mała ilość miejsc gdzie można żyć, gdzie można umrzeć.

Uspokaja się. To na pewno inny dom, inne drzwi, inne okna. Zniekształcone, nieznane ogrodzenie.

Zbliża się do końca ulicy. Rozgląda się, szuka niepewnie domu Bankowca. Łudzi się, że będzie bliżej, nie na samym końcu ulicy. Nie rozpoznaje go. Może to nie jest ta ulica, ta droga, to wspomnienie. Pamięć jest zawodna. Jak ludzie. Jak obietnice nigdy niespełnione.

Dostrzega starą, zniszczoną, pordzewiałą latarnię. To ostatni dom. Uspokaja się. Pomyliła się. Inna ulica, inne ciała schowane za murami.

Wtedy było ciemno, musiało być ciemno. Dotyka latarni. Pomimo czasu wciąż żyje. Czuje ciepło wydobywające się z jej wnętrza. Patrzy na stary dąb. To jest to miejsce, ten czas. Wchodzi, otwiera skrzypiącą furtkę.

Jej oczy kamienieją, nieruchomieją. Serce zatrzymuje się na kilka sekund. Ciało drętwieje, oddech staje się niespokojny, niespójny.

Widzi nad drzewami żółtą, pękniętą lampę. Rozpoznaje ją. Jest pewna. To zapamiętała z tamtej nocy, żółtą poszarpaną lampę.

A więc to ten dom. Może jest tu kilka rodzin. Jedna klatka, kilka drzwi. Osobne życia schowane za innymi bramami.

Dzwoni. Boi się, że to co się dowie, znów zmieni jej życie. Może on już dawno nie żyje. Obcy ludzie odprawiają ją bez pardonu. Znieważą jej słowa śmiechem. Odrzucają jedyną prawdę jaką ma w sobie. Zniszczą nadzieję brakiem jakiegokolwiek informacji.

Słyszy kroki za ścianą. Chce uciec, nie może. Prawda domaga się odpowiedzi. Nawet tej najgorszej. Najboleśniejszej.

Drzwi z lekkim zgrzytem otwierają się. W progu, pomiędzy domem a ogrodem stoi mężczyzna. Uśmiecha się życzliwie, tak jakby chciał komuś pomóc, coś doradzić, wskazać właściwy kierunek drogi.

- Słucham – mówi pewnym, skupionym głosem.

- Dzień dobry. Szukam kogoś, kto tutaj kiedyś mieszkał, może... – i tu Rzeźbiarka traci całą pewność, odwagę, bohaterstwo które nosi w sobie – jeszcze mieszka.

- Proszę wejść – mówi zachęcającym głosem Brat-J.

Idą krótkim przedpokojem, korytarzem w kolorze ciemnej zieleni, wchodzą do salonu.

- Proszę usiąść. Co pani chce wiedzieć?

- Niedawno zmarła mi matka – mówi Rzeźbiarka, jej głos dochodzi nie z jej wnętrza, lecz od kogoś obok, kogoś, kogo nie zna, lecz ta osoba chce jej pomóc, może jej pomóc. – Zostawiła list. Idę jego tropem. Kiedyś, dawno temu przyjaźniła się z kimś. Miał na imię Michał. Szukam go. Nie wiem czy jeszcze żyje, czy pan go zna, czy podróż w jej przeszłość ma jeszcze jakieś znaczenie – w oczach Rzeźbiarki pojawiają się łzy, mężczyzna je zauważa, lecz nic nie mówi, tylko słucha. – Chcę poznać prawdę o swojej matce. Poprzez tę prawdę chcę ją lepiej zrozumieć.

- To mój ojciec – uśmiecha się Brat-J. – Niestety już nie żyje.

- Nie żyje – głos kobiety się łamie, zniekształca. Coś co nie miało mieć znaczenia, nagle to znaczenie ma. To zaskakuje Rzeźbiarkę, obezwładnia.

- Co pani chce wiedzieć? – pyta życzliwie mężczyzna.

- Jak umarł?

- Normalnie. Ze starości. Może nie każdy tak umiera, on miał to szczęście – Brat-J. się zamyśla. – Matka umarła dwa lata później.

Nie mogła żyć bez niego. Był całym jej światem. Umarła z tęsknoty, nie przez chorobę.

- Tutaj są pochowani?

- Nie – Brat-J. wraca do wspomnień, do czasu od którego tak długo uciekał i prawie zapomniał, schował do odpowiedniej szuflady obrazy w komodzie i szczelnie zamknął. – Wyjechali do dużego miasta z moim bratem. Tam umarli. Ja zostałem. Miałem tutaj pracę, wciąż mam tutaj pracę. Dom to moje dzieciństwo. Nie chcę uciekać od wspomnień. Dobrze się z nimi czuję. Co innego mój brat. Chciał żyć inaczej, lepiej, gdzie indziej.

- Gdzie indziej nie oznacza lepiej – mówi cicho Rzeźbiarka.

- Za późno to zrozumiał. Brat wrócił, mieszkamy razem.

Rzeźbiarka otwiera szerzej oczy, coś do niej dociera, coś zaczyna rozumieć. Jakieś fakty, symbole łączą się w jedną całość. Nagle zaczyna jakiś obraz z niej uciekać. Nie wierzy, że ta historia może mieć jakiś dobry koniec.

Jej ciało zaczyna więdnąć, opada powoli na ziemię. Czuje, że świat wiruje wokół niej, rozplywa się, tańczy, łamie na pół.

Gdy jej ciało prawie dotyka niebieskiego dywanu ktoś ją łapie, chwytą jak drogi brylant i kładzie na łóżko.

Potem nic nie pamięta. Widzi tylko jasne plamy przed oczami, jakiś skurcz w środku jej doskwiera. Ciemne pasma kolorów, zbyt dalekie żeby je dotknąć, zbliżają się.

Czoło ma gorące, przepocone strachem. Włosy zwilżone są bólem, który zaczyna do niej docierać, budzić się.

Jakaś ręka zimnym okładem ją dotyka. Budzi się ze snu. Z odrętwienia.

- Wszystko dobrze? – słyszy głos, który zbliża się do niej zbyt wolno.

- Tak – Rzeźbiarka wstaje z trudem z łóżka. Oddycha teraz wolniej, pewniej, łączywie. Tak, jakby chciała mocniej chwycić się życia, nie śmierci.

- Straciła pani przytomność – głos jest cierpliwy, opiekuńczy, bezpieczny.

- Nie wiem co mi się stało – kłamie. – Co spowodowało tę zapasć.

- Pogoda – mówi Brat-J. – Pogoda sprawia, że nie jesteśmy sobą.

- Pokaże mi pan zdjęcie brata? – pyta tak, jakby nie chciała zobaczyć tego zdjęcia.

Musi zdobyć się na odwagę. Musi wiedzieć, czy to on. Czy to jest jej... Nie, nie chce tego nawet wypowiedzieć w myślach. To obłąd. Czarny film bez zakończenia. Ze złym scenariuszem. Z reżyserem, który uciekł z planu przed zakończeniem zdjęć.

Brat-J. pokazuje jej zdjęcie. Kolorowe, w małym rozmiarze. Trzyma je pewnie w prawej ręce.

- Proszę – mówi aksamitnym, miękkim głosem. – To ja i brat na ślubie naszej kuzynki.

Rzeźbiarka wolno, z namaszczeniem, z lękiem dotyka kształtu zdjęcia. Patrzy na jego tylnią, białą oprawę. Odwleka chwilę, opóźnia coś, co jest na jego drugiej stronie.

Może się myli, musi się mylić. Za kilka sekund coś się w niej złamie, rozerwie na pół i nigdy tego już nie złączy, nie będzie mogła zespawać w jedną całość. Lustro się pokruszy i rozsypie. Na miliony kawałków bez znaczenia.

Odwraca zdjęcie, podnosi powoli wzrok i patrzy. Jej oczy kamienieją. Twardnieją. Zamrażają się na wieczność.

Zdjęcie wypada jej z ręki. Przez chwilę tańczy w powietrzu niczym ptak i miękko zasypia na dywanie.

Mężczyzna, który stoi przed nią to jej brat, Bankowiec to też jest jej... Teraz wie, że słowa mogą zabijać duszę w człowieku.

Podrywa się z łóżka, instynktownie, jakby chciała uratować coś, co jeszcze w niej żyje, musi żyć. Wybiega z domu. Za sobą słyszy głos mężczyzny, jej brata:

- Co się stało?

Głos, jego śmiertelna tonacja ginie gdzieś w oddali, ociera się o dąb w ogrodzie i umiera, roztrzaskany na drobne, niewidzialne kawałki bez żadnego znaczenia. Bez żadnej treści.

Rzeźbiarka biegnie. Ludzie odwracają się za nią, patrzą z lękiem, z obawą, czy ktoś ją goni? przed czym ucieka? za czym tak w panice pędzi?

Mija park, ulice bez treści, bez nazw, przebiega przez rynek. Widzi gołębie, które w strachu, spłoszone podrywają się do góry i biegnie dalej. W kierunku lasu, jeziora, wyspy, domu. Nie wie gdzie się zatrzyma, dokąd ta ucieczka prowadzi.

Dobiega do brzegu jeziora. Dostrzega jego zimną, granatową poświatę. Wsiada do łodzi. Zaczyna wiosłować, mocno, na siłę. Łódź płynie, zrywami, skokami do przodu. Jak żaba, która skacze z liścia na liść, żeby dostać się tam, gdzie jeszcze nikt się nie dostał.

Ręce jej drętwieją, kurczą się z wysiłku. Nie wie co robić, gdzie jest. Przypomina sobie obraz z domu, rzeźbę na ścianie i piwnicę. Trzy rzeczy, trzy kształty wstępują do niej, jak goście którzy bez zaproszenia przyjeżdżają, gdy ich wcale nie potrzebujemy.

Ostatnia jej myśl „Co się dzieje?” łączy ją z tym co jeszcze jest, żeby za chwilę uciec do tego czego jeszcze w niej nie ma.

Skacze do jeziora, łódź chwilę samotnie tańczy, kiwa się na boki niczym ryba wyrzucona na brzeg plaży, potem uspokaja swój ruch zmieniając go w ciszę.

Ręce Rzeźbiarki zanurzają się w ciemność. Jej ciało, teraz bezwładne, nieruchome, skupione w sobie, opada niżej, głębiej.

Cisza, ją słyszy w głowie, taka tutaj cisza i spokój.

Gdy jest nisko, na tyle nisko żeby zobaczyć dno jej oczy rozszerzają się i zaczynają coś dostrzegać. Jakiś ruch, kształty, obrazy.

Rzeźbiarka otwiera szerzej oczy ze zdumienia. Przeciera je mocno, natarczywie, intensywnie rękami.

Widzi dom babci, dom, w którym teraz ona mieszka. Dom z czasów jej dzieciństwa, gdy przyjeżdżała tam z matką.

Babcia krząta się na podwórku, dziadek siedzi przed domem i pali fajkę. Zaciąga się mocno, tak mocno, jakby to miał być ostatni łyk powietrza w jego życiu. Smolisty zastrzyk odchodny.

Jej matka, młoda biega po trawie. Śmieje się, skacze przez krzaki, wchodzi na drzewa. Jest taka, jakie zawsze były jej oczy – wolna.

Rzeźbiarka podnosi wzrok wyżej, wyżej niż dach domu, gdzie dym unosi się w ciszy do góry.

Widzi pola, konie orzące ziemię. Ludzi, którzy idą za nimi przecierając twarze spocone, zmęczone brudnymi rękami. To ich praca, życie, codzienność. Nic nie mogą zrobić, tutaj się urodzili, tutaj zginą. Tu jest ich życie, nie znają innego. Nawet nie próbowali niczego zmienić – nie mogli, nie potrafili, za słabo wierzyli. Ucieczka to niepewność, zostanie to przeznaczenie – niekiedy trwanie.

Dostrzega krowy pasące się na łące, dzieci, które bawią się w ich pobliżu. Twarze mają znużone, nic się nie dzieje. Nic innego niż wczoraj, nic innego niż dzisiaj.

Dachy miasta, czerwone, czarne, ciemne, pordzewiałe przy kominach z których unosi się lekko i swobodnie dym, sadza. Czarne kontury życia są niczym drogowskazy tej ziemi, tego miejsca.

Okna w kamienicach, otwory, lustra tych co nie mogą iść dalej, nie mają siły podążać wzrokiem tam, gdzie sięgają zarysy miasta. Twarze w szklanych odbiciach budynków. Odległe, tak odległe, przez ułamek sekundy ta myśl pojawia się w głowie Rzeźbiarki.

Rynek pełen ludzi, stragany, nawoływania, szum przejeżdżających wozów pełnych ziemniaków, jabłek, gruszek i warzyw. Ten zgłęk, ten hałas teraz sobie przypomina. Hałas dzieciństwa.

Stragany uginają się od żywności. Sery żółte, białe, z dziurami, bez żadnych pęknięć i zarysowań, wędliny, kiełbasy suche, podsuszane lekko, niewidzialnie, pachnące tak jak pachnie wieś, życie, zdrowie, warzywa o różnych zapachach i kształtach, przedmioty niezbędne do życia, ubrania, garnki z gliny, z metalu i narzędzia.

Rynek żyje, ludzie się nawzajem nawołują, krzyczą coś do siebie, dotykają się słowami, gestami, wyrazami, spojrzeniami – coś czują. Nie tak jak dzisiaj, myśli Rzeźbiarka, dzisiaj ludzie uciekają od siebie. Nie mają czasu na bliskość, nie mają czasu na dotyk. Jeśli już to pospieszny, szybki, prawie bezdotykowy, bezuczuciowy, pusty.

Dostrzega złodzieja, kradnie kilka jabłek, ucieka. Potrąca ludzi. Znika pomiędzy kamienicami, brudnymi ulicami.

Widzi zniszczony kościół, miasto jest biedne, nie ma pieniędzy na życie, skąd znaleźć pieniądze na Boga. Ksiądz nawołuje co niedziele, bezskutecznie.

Ludzie na wsi myślą prosto, Bóg zapomina o ludziach, ludzie zapominają o Bogu.

Ksiądz jest gruby, tłusty, bez wyrazu miłości na twarzy. Nie umie przekonać ludzi do siebie, do Boga. Miasto, wieś to widzi. Ksiądz tego nie czuje, nie zauważa, nie zmienia się.

Rzeźbiarka skupia się na jeziorze, na jego wylewnym stylu dotykania brzegu. Szuwary wchodzą w niego z dziką zawziętością.

Zwierzęta piją z niego wodę. Podchodzą, nachylają się, jednak zanim wezmą pierwszy łyk patrzą czujnie na boki i dopiero potem gaszą swoje pragnienie. Głód życia, przetrwania.

Zauważa niedźwiedzia z małym niedźwiadkiem. Idą razem przez polanę, znikają w lesie, w jego zakorzenieniu. Sarny biegają pomiędzy drzewami, rzadko wychodzą na otwarty teren. Boją się ludzi, słońca, które dzisiaj tak intensywnie świeci, prawie bezgasnąco.

Duży, ogromny jeleń płynie po jeziorze. Jego poroże unosi się nad lustrem wody jak żagiel. Zostawia za sobą niewyraźną linię, znak istnienia. Dopływa do wyspy, otrzepuje skórę kilkoma nieskoordynowanymi drganiem i znika pomiędzy drzewami.

Światło pod wodą, miasto pod wodą, gdzie ja jestem? myśli Rzeźbiarka.

Jej wzrok znów skupia się na domu rodzinnym. Zauważa w nim ruch, nasycenie tego ruchu w jeziorze.

Babcia, dziadek i matka patrzą w jej kierunku. Pokazują rękami na nią. Uśmiechają się.

Rzeźbiarka jest zaskoczona. Na dłoni dziadka coś się błyszczy. Na prawej ręce, na drugim palcu złoty sygnet z godłem odbija się od ciemności jeziora.

Przypomina sobie obraz, ścianę, piwnicę. Znów. Przypomina sobie babcię błędzącą bez celu po jeziorze, wokół jeziora, pływającą na jego lustrze. Pusta łódź, samotna, zagubiona to wspomnienie wciąż w niej jest. A teraz ona, tu, skąpana w zastygnięciu jeziora i łódź u góry, nad nią. Tak wygląda śmierć? Czy śmierć to chodzenie drogami jakimi chodzili nasi bliscy? Ucieczka od bliskich zdarzeń, bez wiedzy, że i tak od nich nie możemy uciec. Nieustająca walka o bycie sobą, gdy i tak nigdy nie będziemy sobą. Przez ludzi, przez siebie.

Gdy jej ciało zaczyna dotykać dna, gdy jej ręce, nogi, głowa tracą ostatni oddech, Rzeźbiarka coś zauważa.

Nie widzi już miasta, ten obraz gdzieś zniknął, rozmazał się. Widzi swoją duszę, która uwalnia się od ciała. Leci wyżej, do góry, do nieskończoności. Jednak jej myśli zostają z nią, nie opuszczają jej.

Zamyka oczy, chce zrozumieć. Otwiera oczy, nic nie rozumie.

Ciała ludzi, bez twarzy, schowane za kapturami patrzą na nią z jakimś ciepłem. Dobrem.

Ich oczy, niewinne, spokojne, naznaczone błogością, sennością skupione są na niej nieustannie. Jest nowa, czuje się nowa, świeża, bezbronna w tym świecie. W krainie bez twarzy, bez skarg i płaczu.

Zbliżają się do niej, otaczają ją. Ich szaty, ciemne, szare, z ciężkich materiałów osaczają ją.

Zauważa, że nie ma ciała. Zgubiła je przed chwilą. Ma tylko uczucia, smak obrazów, przeszłości.

- Nie bój się – słyszysz głosy. – Tutaj nie ma czego się bać. Strach mija, gdy dusza opuszcza swoje ciało.

Idzie dalej. Nie widzi drzew, nieba, ziemi. Wszystko jest bezpostaciowe, bezzapachowe, bezobrazowe.

Z oddali, z wysoka światło, blask, ciepło zmierza w jej kierunku. Zbliża się szybko jakby kształty, bariery, czas nie miały dla niego żadnego znaczenia.

Rzeźbiarka czuje dobro, spokój, ciszę wydobywającą się od tego blasku. Nigdy nie czuła się tak dobrze, bezpiecznie.

Rozmazana jasność unosi się nad jej głową. Krąży okręgami wokół jej ciała. Potem cząstki tej jasności zaczynają opadać na dół. Rozpraszają się.

I wszystko znika – myśl, dusza, ciepło...

Ktoś szarpie ciałem Rzeźbiarki. Otwiera nieobecne oczy, chwilę walczy z lękiem, obawą gdzie jest? co tutaj robi? aż świadomość zaczyna wracać, przenikać jej ciało.

Widzi, że jest w łodzi. Cała mokra, przemoczona, zziębnięta. Ktoś się nad nią nachyla, coś do niej mówi, powoli, wolno, prawie sennie. Chce zamknąć oczy, uciec, odpocząć, ale jakiś głos nie pozwala jej tego zrobić.

Pojedyncze słowa, złamane, pęknięte dźwięki zaczynają do niej docierać.

- Wszystko dobrze – mówi Chirurg.

Teraz go rozpoznaje, uśmiecha się do niego, do jego mądrych, niekiedy nieobecnych oczu.

- Co tutaj robisz? – jej ciało wstaje, opiera się o bok łodzi.

- Skoczyłaś do wody. Tak nagle. Skoczyłem za tobą. Znalazłem cię w ciemności. Wyciągnąłem na łódź. Jeszcze żyłaś. Dlaczego to chciałaś zrobić?

- Nie chciałam – mówi cicho oddychając Rzeźbiarka. – Musiałam. Dla siebie, dla kogoś.

- Teraz też chcesz?

- Teraz już nie – przytula się do Chirurga. – Mam przecież ciebie. Przez chwilę tkwią w tym uścisku, zespoleniu, a potem wracają do brzegu.

Dochodzą do domu Rzeźbiarki. Ona się przebiera, bierze gorący prysznic, wyciera swoją skórę, jeszcze drżące ciało i mówi:

- Zostań ze mną na noc. Boję się ciemności bez ciebie.

- Boję się nocy, których nie mogę spędzić z tobą. Są takie samotne. Nieobecne.

Zasypiają skuleni jak małe koty w koszyku. Ich oddechy jednoczą się razem. Wchodzą w siebie, uciekają od siebie.

Bliskość to dotykanie oddechu kogoś, kto nam ten oddech pozwala dotknąć poprzez sny. Poprzez marzenia.

Rano, przy porannej kawie, przy jej cieple, bliskości, uzależnieniu Rzeźbiarka mówi do Chirurga:

- Zamieszkaj ze mną. Nie chcę już dłużej żyć sama. Mieszkać sama. Boję się samotnych poranków, bezsennych nocy. Nie boję się zasypiać, gdy jesteś obok mnie. Nie boję się wstawać, gdy czuję twój oddech w pobliżu mojego ciała.

- Dobrze – Chirurg całuje ją w rękę.

- Będzie nam razem dobrze – uśmiecha się Rzeźbiarka. – Tak dobrze, jak nikomu innemu.

Przytulają się do siebie. Milczą w zastygnięciu dusz, w nierozewalności serc.

Wiatr, cichy, bezszelestny krąży wokół nich. Ociera się o ich ciało. Chce być z nimi jak najbliżej. Potem ucieka daleko, aż po horyzont. Niesie dobrą nowinę. Jest orędownikiem uczuć, które się rodzą, pragnień, które nigdy nie znikają. Nie przeistaczają się w ciemność.

Kilka kolejnych dni, sennych, to dla Rzeźbiarki walka samej z sobą. Wciąż myśli o tym, co się stało. Bankowiec to jej brat. To ktoś, kogo pokochała, ktoś, kto ją rozumiał, ktoś, kogo już nie może kochać. Nie w ten sposób.

Zastanawia się, jak mu to ma powiedzieć. Napisać list, prosty, szczery, bez podania przyczyn, wyjaśnień. Prawda go zniszczy, jak ją zniszczyła.

Dobrze, że ma Chirurga koło siebie. On jej pozwoli zapomnieć, pomoże ruszyć do przodu. Prawda niszczy tych, którzy do prawdy dążą za wszelką cenę.

Już kilka razy próbowała, brała pióro do ręki, zaczynała pisać, powoli, dokładnie i nagle coś się w niej zatrzymywało – pustka. W głowie, w słowach, w oczach. Poddawała się. Musi to zrobić z bliska, tak by widział słowa, które do niego będą docierać. To go mniej zaboli, gdy będzie przy nim, w jego udęce.

Jasne, niecierpliwe, złośliwe błyski na niebie oświetlają ziemię co kilka minut. Zacierają kształt nieba, kruszą jego strukturę, obraz. Łamią jego barwę na drobne kawałki, potem je rozrzucają na boki, w nieładzie, w nieuporządkowaniu chwil, które kruszą się wraz z czasem.

Rzeźbiarka przedziera się przez deszcz, przez pioruny, przez rozjaśnienia nad głową. Idzie, stara się pokonać wiatr, jego złośliwe nastawienie do życia. Rękami rozgarnia opór powietrza. Bez względu na siłę przyrody.

Widzi kawiarnię, niczym port do niej mruga kilkoma latarniami ustawionymi równo na brzegu.

Wdziera się do środka jak intruz, jak uciekinier z za światów. Stoliki są puste, zaciemnione, nieobecne. Przy jednym siedzi Bankowiec, pije lampkę czerwonego wina.

Wstaje, gdy ją zauważa. Jego wzrok wyczuwa wyrok zapisany w jej oczach.

Rzeźbiarka patrzy na niego. Jego ręka stara się dotknąć jej dłoni. Ona ucieka, musi uciekać. Boi się uścisku zakazanego, boi się, że to co odrzuca, nagle do niej wróci, ze zdwojoną siłą, ze zwiększonym napięciem.

- Muszę ci coś powiedzieć – jej głos drży, pęka, kurczy się w środku. – Coś, co jest niewytłumaczalne, ale możliwe. Coś, co nie ma odpowiedzi, ale ma koniec. Coś, co zniszczy ciebie i mnie. Bez podania przyczyny tego upadku.

- Co się dzieje? Co się stało?

- To, co było między nami teraz się kończy. Już nie może być takie jak dawniej. Poznałam kogoś – tutaj coś w niej umiera, na zawsze. – Będę z nim mieszkać. To co było między nami umarło – kłamie. – I już nie wróci. Musimy zapomnieć, oboje.

- Nie mogę o tobie zapomnieć. Tracąc ciebie, tracę też przyjaciela.

- Musisz odejść, najlepiej uciec, żeby ocalić to, co było dobre między nami.

- Dlaczego? Powiedz dlaczego? – Bankowiec wstaje, chwytając ją w ramiona i wtedy piorun zza szyby uderza w drzewo przy drodze, łamie je na pół, ścina niczym drwal siekierą.

- To znak – mówi Rzeźbiarka – że nie możemy być razem.

- Nie powiesz mi prawdy?

- Nie mogę – łzy pojawiają się w jej oczach. – Nie chcę. Nie proszę mnie o to. Zbyt dużo odwagi poświęciłam, żeby tu przyjść.

- Co mam zrobić, żebyś poczuła się lepiej?

- Odejdź. Wyjedź. Ucieknij. Jesteś wyleczony. Nie potrzebujesz tego miejsca żeby żyć. Ja bez niego umrę. Wiele dla mnie znaczy. To jezioro, ten dom, okolica. Dla ciebie to była ucieczka, dla mnie nadzieja.

- Mam wyjechać?

- Tak, proszę cię. Wyjedź. Zapomnij. Nie pytaj o rzeczy, które mogą cię zabić. Czasami prawda to piekło, z którym zmagamy się całe życie.

Bankowiec patrzy w jej oczy. Są takie głębokie, pełne prawd, które teraz już nic nie znaczą. Wie, że nie zapomni nigdy. Jednak chce, żeby ona była szczęśliwa. Żyje się dla tych, których kochamy, kosztem naszego szczęścia.

- Żegnaj – odchodzi niepewnym krokiem, na chwilę zatrzymuje się przy drzwiach, jego kroki martwieją, zacierają się, potem wychodzi z kawiarni. W ciemność burzy. W jaskrawość piorunów na niebie.

- Nie odchódź – Rzeźbiarka zaczyna płakać. – Nie odchódź na zawsze.

Wstaje z krzesła jak manekin, sztywno, bez płynności własnego ciała, idzie w kierunku drzwi. Ręką niszczy ich opór, wchodzi w ciemność, w niespokojną siłę wiatru.

Oddechy burzy osuszają jej oczy. Wiatr, niczym szal przytula się do jej szyi. Zacieśnia się coraz bardziej, mocniej, intensywniej. Zaczyna ją dusić, oddzielać od rzeczywistości.

Dobiega pomiędzy błyskami do domu. Jest cała mokra, spocona, zniszczona.

Chirurg zaczyna ją przebierać, nakłada na jej ciało suche, bezpieczne ubrania. Zaparza jej ciepłą kawę. Okrywa kocem. Przytula się do jej drżącego ciała.

- Jak było? – pyta z troską.

- Tak, jakby świat dał nam coś, a potem nagle to zabrał. Jakby kamień uderzył nas w głowę, żeby zabić, a my wciąż żyjemy. Jakby wszystkie pytania były niewłaściwe, a odpowiedzi błędne.

- Tak źle?

- Tak nieistotnie. Tak zabójczo. Tak niepewnie.

- Chodźmy spać – bierze ją za rękę. Prowadzi do sypialni. – Jutro też jest dzień. Każdy dzień to nadzieja, że coś dobrego w końcu się wydarzy. Każdy dzień to złudzenie, że możemy żyć lepiej, umiemy żyć lepiej.

- Ludzie nie mają nadziei, mają złudzenia – gorzko mówi Rzeźbiarka.

- Ludzie mają wiarę, że złudzenie zawsze prowadzi ich do nadziei. Nadzieja do wolności.

- Wolność do obłądu – obojętnie mówi Rzeźbiarka.

Znikają w sypialni. Odgłosy burzy odchodzą w niepamięć. Są coraz cichsze, odległe, bezpostaciowe. W końcu gubią się gdzieś w oddali. Rozmazują się w ciemności.

Kawałki drzewa uciekają na ziemię, na nierówną, przyschniętą od słońca trawę. Tworzą łuk wokół rzeźby. Krąg, z którego nie można się wydostać.

Rzeźbiarka ociera pot z czoła. Jest zmęczona. Pozytywnie zniszczona pracą. Patrzy na niebo, słońce powoli zaczyna kończyć dzień.

Odkłada dłuto na stolik, który leży tuż koło jej nóg. Stolik jest niski, drewniany, zapomniany. Na nim leżą dłuta, w nieuporządkowaniu. Duże, małe, końcówki dziwne, tajemnicze.

Odchodzi kilka kroków, mierzy rzeźbę wzrokiem – czujnie. Ocenia, stara się zauważyć wady, zalety, pęknięcia w jej strukturze, po-

tem mówi szeptem, tak jakby chciała, żeby nikt tych słów nie usłyszał. Jakby to była tajemnica jej i rzeźby.

- Nazwę ją Bezdech.

Oddala się jeszcze jeden krok do tyłu, zatrzymuje się, skanuje ponownie figurę, jej kształt, wyobraźnię. Nie jest do końca zadowolona.

Obrazy można oglądać z bliska, z daleka. Z bliska widzi się zarysy, pęknięcia materii, złamane tonacje farb. Gdy odchodzi się kilka kroków niedoskonałość, kalectwo gdzieś znika. Widać to, co jest piękne, to, co jest niezwykle. Barwy nabierają znaczenia, kształty łączą się w jedną całość. Obrazy z bliska nigdy nie są takie same jak obrazy z daleka. Z rzeźbami też tak bywa.

Za sobą słyszy kroki. Wesołe, bezpieczne odgłosy życia. Odwraca się.

Chirurg wraca z córką z miasta. On niesie zakupy, ona trzyma w rękach liście. Różne, kolorowe, kształty odległe, niezmierzone.

Córka podbiega do matki. Przytula się mocno, niecierpliwie, z troską. Nie była z nią przez zbyt długi czas.

- Joasiu jesteś niezwykła, mądra, inna – mówi Rzeźbiarka. – Będziesz robiła rzeczy, których ja nigdy nie będę robiła. Będziesz żyła tak, jak inni boją się żyć. Z odwagą.

Patrzy na córkę. Tak ostatnio urosła. Staje się coraz mądrzejsza, silniejsza. Uczy się żyć po swojemu, nie tak jak żyją inni. Patrzy na świat inaczej, zauważa rzeczy, których nie widzą inni. Światło zawsze krąży koło niej, nigdy obok.

- Pokaż mi liście – mówi łagodnie. – Kto dziś zbiera liście?

- Ja – mówi z blaskiem w oczach Joanna. – To, że nikt nie zbiera liści, nie oznacza, że ja nie mogę ich zbierać. Są takie niezwykle, ich barwy są tak różne. Każdy liść to historia, każdy liść to jakiś dramat, nadzieja.

- Są jak ludzie – dodaje Chirurg.

- Liście są jak spojrzenia ludzi – mówi Joanna. – Niekiedy smutne, czasem wesołe, rozbiegane, obojętne. Są oczami lasu, który spogląda na nas nieustannie.

- Kocham cię za to, że jesteś. Za to kim już teraz jesteś. Stajesz się – mówi Rzeźbiarka.

Przytula się jeszcze mocniej do córki. Chce tkwić w tym uścisku jak najdłużej, jak najpełniej. Wie, że nic nie trwa wiecznie, że dobro musi się kiedyś skończyć. Niszczy je zło, ludzie. Dbą o te chwile, które potem gdzieś uciekają, znikają, rozpraszają się bezpowrotnie. Gubią w pośpiechu, w zabieganiu.

Odchodzą od siebie, ciałami, spojrzeniami, ciepłem. Gdy patrzą na siebie głębiej widzą wzajemny smutek.

Chirurg podchodzi do nich, całuje Rzeźbiarkę w usta, głaszcze jej czarne, krucze włosy, potem pyta:

- Jak rzeźba?

- Prawie skończona. Będzie symbolem wystawy. Kropką w zdaniu kończącym. Dopelnieniem.

- Udało się? Jest taka jaką chcesz żeby była?

- Nigdy to co tworzę, nie jest takie jakim bym chciała, żeby było. Dzięki niezadowoleniu wciąż szukam siebie na nowo, poprzez sztukę. Nie wiem jaka jestem w środku, nigdy nie dowiem się jaka jestem naprawdę. Zbliżę się bliżej, lecz nigdy dostatecznie blisko.

- Idziemy do domu? – pyta Chirurg córkę. – Poukładamy liście na stole.

Joanna podskakując, z entuzjazmem biegnie do drzwi. Ma w sobie pasję, wolność, myśli Rzeźbiarka, patrząc na córkę. Dzięki pasji przetrwamy zło, które nieustannie nas otacza.

Kolorowe liście w jej rękach mienia się w ostatnich zaciemnieniach światła. W jego półblaskach i półcieniach.

Rzeźbiarka po raz ostatni odwraca się w kierunku rzeźby. Może coś zmienić, jeśli można coś jeszcze zmienić.

Mężczyzna, Starzec z plecakiem dochodzi do szczytu góry. Jego prawa ręka, na której widać żyły, ruch tych żył w cieple, na skórze dotyka głazu na szczycie. Lewa podpira się niżej, na mniejszym odłamie skalnym. Nogi, wyglądające jakby był przygotowany do biegu, w pozycji startowej, drżą z wysiłku. Są zmęczone.

Twarz Starca zaznaczona siatką zmarszczek, z których każda coś mówi o nim, jak żył, jak chciał żyć, jest szczęśliwa.

Zawsze chciał tu być, nigdy nie miał czasu. Jest na końcu, teraz czas tak szybko mu ucieka.

Oczy błyszczą zmęczeniem. Patrzą w kierunku szczytu, nieba tuż przed nim.

Starzec zawsze walczył, zawsze przegrywał. Nigdy nie zwątpił, że jego życie ma jakiś cel, jakieś znaczenie. Teraz wie, że celem jest droga. Dowiedział się o tym na końcu, gdy jego ciało jest najsłabsze, najbardziej zniszczone.

- Bezdech, to do ciebie pasuje – mówi Rzeźbiarka. – Bezdech to stan duszy, nie ciała.

Słyszy niecierpliwy głos telefonu w pokoju. Chirurg podnosi słuchawkę, spokojnym głosem do kogoś coś mówi, potem krzyczy przez otwarte okno:

- Do ciebie! Z Krakowa!

Rzeźbiarka wolno, zmęczenie zdążyło już pokonać jej ciało, idzie do domu. Pokonuje próg, ciężko siada na krześle przy telefonie, bierze słuchawkę do ręki.

- Słucham.

- Cześć. Tu Marzena. Wszystko na wystawę przygotowane. Tak jak chciałaś.

- W Hotelu Starym? Na tarasie, na dachu?

- Rozmawiałam z kierownikiem hotelu. Zgodził się. Dla nich to jest promocja. Stajesz się coraz bardziej znana. To już kolejna wystawa, każda w innym miejscu. Krytycy lubią przychodzić na darmową wyżerkę i alkohol – śmieje się Marzena. – Jeśli do tego ocierają się o sztukę, prawdziwą sztukę, są zachwyceni.

- Dziękuję – Rzeźbiarka czuje się onieśmielona.

Nigdy nie potrafiła przyjmować komplementów. Nigdy nie potrzebowała przyjmować komplementów. Zawsze chciała być tylko sobą, w życiu, w sztuce.

- Stworzyłaś nowy styl. Inny niż wszyscy. Ludzie to widzą. Twoje rzeźby żyją, są w ruchu. Pokazują człowieka jak walczy, naturę, która ma w sobie zapach życia. Światło.

- Jak podoba ci się to miejsce?

- Zakochałam się w nim. Ten taras, widok na dachy kamienic, sterczące bezimienne kominy, rynek, Sukiennice, Kościół Mariacki z góry. Ludzie na dole są jak mrówki, małe bezbronne zaginione stworzenia. W środku hotelu, na dziedzińcu, na tarasie jest wystarczająco dużo miejsca. Widok może mniej szczególny niż na zewnątrz, ale też wyjątkowy. Rzeźby postawimy na białych kominach, jest ich tam dużo. Kominy są z kamienia, jakby z marmuru. Odpo-

wiednio oświetlone będą żyć wraz z rzeźbami. Mało mają zieleni, zbyt mało. Załatwię więcej kwiatów. Widok w nocy, księżyc, wino, pulsujące światła, już to sobie wyobrażam.

- Ostatnia rzeźba jest już gotowa. Za kilka dni przywiozę ją do Krakowa.

- Jaki będzie tytuł wystawy?

- Bezdech.

- Podoba mi się.

- Mam jeszcze prośbę.

- Jaką?

- Rzeźba, którą przywiozę ma stać w centrum uwagi. Gdzieś na środku. Będzie symbolem tej wystawy.

- Jak sobie życzysz – śmieje się Marzena. – Muszę kończyć. Czas ucieka. Do zobaczenia.

- Do zobaczenia – Rzeźbiarka odkłada słuchawkę.

Jest zmęczona. Tak bardzo zmęczona. Pracowała ostatnio ciężko. Cały czas. Wystawa. Zbyt szybki termin. Oczekiwania innych.

Siada na werandzie. Nalewa sobie czerwonego słodkiego wina do lampki. Patrzy na zachodzące słońce na niebie. Jest takie czerwone dzisiaj, zaciemnione pomarańczowymi smugami w środku. Takie niewinne, bezbronne. Umiera na kilka godzin mając wewnątrz szczęście.

„Ludzie tak nie potrafią – myśli pijąc zbyt zachłannie wino. – Umierać mając szczęście w oczach”.

Otwiera wczorajszą gazetę, zapomnianą na jakiś czas, zaczyna czytać. Przewraca kartki swobodnie, wychwytyjąc to, co ma znaczenie, pośród tego, co nie ma żadnego znaczenia.

- Polityka, nienawiść, nadmiar złych, okrutnych informacji, nic nie ma sensu, wartości – mówi do siebie. – Dlaczego dzienniki telewizyjne, gazety są tak pełne nienawiści do świata, do ludzi?

Chwilę milczy, potem znów mówi:

- Ciągłe wprowadzają człowieka w zły nastrój, w złe samopoczucie. Chcą nam wmówić, że jesteśmy jak ludzie z tych gazet. Tacy okrutni, tacy obojętni.

Dochodzi do ostatniej strony. Szelest papieru ją uspokaja, wycisza. Może wino tak działa? Słońce ukryte w całości za lasem, za jeziorem. Może zmęczenie?

Składa zdania w głowie. Powoli, sennie, w ciszy. Zerka na zdjęcie niżej. Jej oczy się rozszerzają, rozjaśniają, błysk przeszłości rozdziera serce.

Rozpoznaje twarz, oczy, jasne włosy. Ktoś, o kim chciała zapomnieć, musiała zapomnieć, z miłości, z nienawiści że to zrobiła, musiała zrobić, żeby mniej ranić kogoś, siebie, wrócił.

Bankowiec patrzy z odwagą w jej oczy. Popielate źrenice są takie jak kiedyś, mądre, czułe, zagubione. Łzy pojawiają się w jej oczach. Burzą szczęście, które sobie latami budowała.

Zaczyna uważnie, z naciskiem na każde słowo, czytać. Nalewa kolejną lampkę wina. Czerwień lekko drga w szkle, żyje. Z domu dochodzą ją przyciszone głosy. Bawią się, żyją, chcą żyć. W ich głosach słyszeć miłość, szczęście. Czyta zdania, słowa, zakręty znaczeń poukrywanych pomiędzy wierszami, kropkami, przecinkami. Znaki zapytań zbyt szybko przenikają symbole wykrzykników. Myślniki łączą się zbyt zachłannie z zapytajnikami. Na końcu dochodzi do niej treść, prawdziwe znaczenie tekstu. Zbliża się, gdy uczucie znów zamyka do bezpiecznej szuflady w komodzie, w sercu.

Bankowiec zbudował dom w Bieszczadach, na pustkowiu, w lesie. Mieszka tam od kilku lat. Drewniane bale, podłogi, okna. Opiekuje się ludźmi, którzy nagle stracili sens, znaczenie tego sensu w prawdziwym życiu. Mówi, że kiedyś też stracił wiarę, zgubił się, potem ją odnalazł z pomocą kogoś innego, i znów stracił. Wie, co czują ludzie, którzy nie widzą światła koło siebie, nadziei. Chce im pomagać. Jak potrafi – słowem, domem, czasem, który dla nich ma.

Ludzie nie mają czasu dla innych ludzi, obcych ludzi. Często dla siebie samych też.

Każdy człowiek to historia, drzewo, kamień porzucony koło drogi. Ktoś musi ten kamień podnieść, położyć na właściwe miejsce. Bankowiec pomaga innym bezinteresownie. To jego sposób na życie, na siebie.

Rzeźbiarka odkłada gazetę. Kładzie ją na stoliku koło wina. Wyciera zagubioną łzę, ostatni ślad przeszłości.

„Był dobrym człowiekiem – myśli. – Za dobrym dla mnie, za dobrym dla innych. Niektórzy ludzie nie są pisani innym ludziom, pomimo miłości, którą mogą im dać. Miłości na całe życie”.

Wstaje z krzesła, wchodzi do domu. Zanim zamyka drzwi, patrzy na las, na zaspane jezioro. Uśmiecha się do gwiazd, które błyszczą dzisiaj jaśniej niż zazwyczaj. Odbijają się w granatowej toni jeziora jak lampki na choince.

„Kocham to miejsce, ten czas. Znow kocham swoje życie. Będę o to walczyć. Aż do śmierci”.

Idzie do pokoju, do głosów, które wypełniają przestrzeń tego domu. Zapełniają całe jej życie. Zbliża się cicho, niczym kot na polowaniu. Skrada się, jakby bała się, że jej zbyt głośne kroki mogą coś zburzyć, zniszczyć.

Gdy wchodzi do pokoju widzi jak córka garściami podrzuca liście do góry. Skąpana jest w deszczu, tańczy machając rękami. Kolorowe barwy mieszają się w promieniach lampy.

Liście dotykają ich włosów, ramion, ciał. Zacierają się w szczęściu, które zatrzymało się tutaj na chwilę, na dłużej, na jakiś czas.

Rzeźbiarka podbiega do nich. Bierze kolorowe kształty do ręki, podrzuca do góry, śmieje się jak kiedyś w dzieciństwie. Gdy była szczęśliwa, gdy miała ojca i matkę. Gdy miała wiarę, że świat jest dla ludzi, a nie ludzie dla świata.

Potem zmęczeni, zdyszani leżą na podłodze. Na liściach, koło liści, w nieziemskich barwach pomiędzy ciałami.

Ich oddechy uspokajają się, wyrównują wspólny rytm zadowolenia między nimi. Potem uciekają od nich. Niezauważalnie, żeby nie zniszczyć tego co ich łączy, tego co daje im nadzieję. Już są wysoko, nad domem, nad lasem, nad jeziorem. Oddechy uciekają wyżej i wyżej. Są pomiędzy gwiazdami, księżycem, pomiędzy jasnością która łączy ciemność z niewidzialnością. Nagle się rozpraszają, rozmazują. Znikają.

Nie boją się, że się zgubią. Wiedzą, że są ze sobą złączone na zawsze, na wieczność. Na nieskończoność chwil, które jeszcze spędzą ze sobą.

DO CÓRKI

Góry, wierzchołki, skały, stawy, błękitne, zimne, czyste, nieskażone oddechem życia. Chmury poprzecinane zanikającymi promieniami słońca.

Idziemy do przodu. Nieustannie do góry, pomimo zmęczenia, słabości. Odpoczywamy, siadamy i znów przed siebie, do celu.

Zauważamy świstaka, śpi bezpieczny na kamieniu. Nie boi się ludzi, jest wolny.

Wchodzimy na szczyt, widzimy stawy z jednej i z drugiej strony. Jesteśmy szczęśliwi. Oddychamy głębiej, inaczej. W górach, na szczytach powietrze zawsze smakuje pełniej, lepiej.

Schodzimy na dół, łańcuchy, klamry. Nie boisz się. Nie ma w Tobie lęku, obawy, strachu. Odwaga jest w Twoich oczach, w oddechu, w każdym ruchu Twojego ciała.

Schodzimy, kiedyś trzeba zejść na dół, kiedyś każdy musi wrócić do innych ludzi.

Jesteś odważna, masz odwagę w sobie. Ukrytą, schowaną głęboko. Gdy musisz wydobywasz ją z siebie. Pomaga iść tam, gdzie inni nigdy nie dojdą. Dzięki odwadze możesz być kim chcesz, możesz robić co tylko chcesz. Ludzie odważni żyją ciekawiej, wyraźniej.

Są różne rodzaje odwagi. Można być odważnym w walce, w cierpieniu, w mądrości, w dążeniu do marzeń. W miłości też.

Gdy patrzę w Twoje oczy wiem, że Jesteś odważna. Odważna na swój własny, niezależny sposób.

Chciałbym, żebyś żyła inaczej, żeby Twoje życie ocierało się o marzenia, które są w zasięgu Twojej ręki. Zaslugujesz na nie, Jesteś mądrą, piękną kobietą, która będzie robić rzeczy niezwykle, wyjątkowe. Wiem to, czuję.

Czas będzie Twoim przyjacielem, nie wrogiem. Czas uczy nas cierpliwości, mądrości, sprawia, że najlepsze rzeczy są wciąż przed nami, ciekawi ludzie gdzieś koło nas.

Jestem dumny, że Jesteś moją córką, że Jesteś taka wyjątkowa. Wiem, że jeszcze nie raz zaskoczysz mnie swoją odwagą, swoim szczęściem.

Jesteś różą, która rozkwita czerwonym blaskiem wschodu słońca. Rozkwita żeby żyć, nie tylko być.

Wiem, że zawsze będziesz żyła, pomimo tego, że inni chcą tylko być.

Bycie nigdy nie oznacza życia, życie przeważnie nie ociera się o nieistotność bycia.

Bądź sobą, pomimo tego, że coraz mniej ludzi chce być sobą.

Bądź wolna, tak wolna jak nikt inny przed Tobą.

Niech inni zazdroszczą Ci wolności, dzięki której zmieniasz świat, zmieniasz życie. Zmieniasz, żeby lepiej je zrozumieć, zmieniasz żeby lepiej je przeżyć.